

B E R N A R D

Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM VI



ŚMIERĆ
KRÓLÓW



BERNARD
Cornwell

ŚMIERĆ
KRÓLÓW

TLUMACZENIE
ANNA DOBRZAŃSKA


OTWARTE
KRAKÓW 2019

*Dla Anne LeClaire, powieściopisarki i przyjaciółki,
która podpowiedziała mi, jak zacząć tę książkę*

WOJNY
WIKINGÓW
TOM VI

ŚMIERĆ KRÓLÓW



NAZWY GEOGRAFICZNE

W czasach anglosaskich sposób zapisu nazw geograficznych cechowała pewna dowolność – brakowało konsekwencji nawet co do samej nazwy. I tak na przykład Londyn często określany był mianem Lundonii, Lundenbergu, Lundenne, Lundene, Lundenwicu, Lundenceasteru czy Lundres. Bez wątpienia znajdą się czytelnicy, którzy będą zwolennikami innych wariantów nazw niż użyte przeze mnie w powieści* (ich wykaz znajduje się poniżej). W swoim wyborze kierowałem się zazwyczaj pisownią zaproponowaną w *Oxford Dictionary of English Place-Names* lub w *Cambridge Dictionary of English Place-Names*, charakterystyczną dla 900 roku, choć nawet te źródła okazały się zawodne. Przykładowo w 956 roku nazwa Hayling była zapisywana zarówno jako Heilincigae, jak i jako Haeglingaigga. Zresztą w tej materii sam również nie zawsze jestem konsekwentny: zamiast „Anglia” powinienem pisać „Englaland”, wolałem też współczesną nazwę Northumbria od Nordhymbraland, by nie sugerować czytelnikom, że granice pradawnego królestwa są zbieżne z granicami dzisiejszego hrabstwa Northumberland. Dlatego przedstawiam tu listę nazw – jak i samą ich pisownię – cechuje swoista kapryśność.

BADDAN BYRIG	Badbury Rings, hrabstwo Dorset
BEAMFLEOT	Benfleet, hrabstwo Essex
BEBBANBURG	zamek Bamburgh, hrabstwo Northumberland
BEDANFORD	Bedford, hrabstwo Bedfordshire

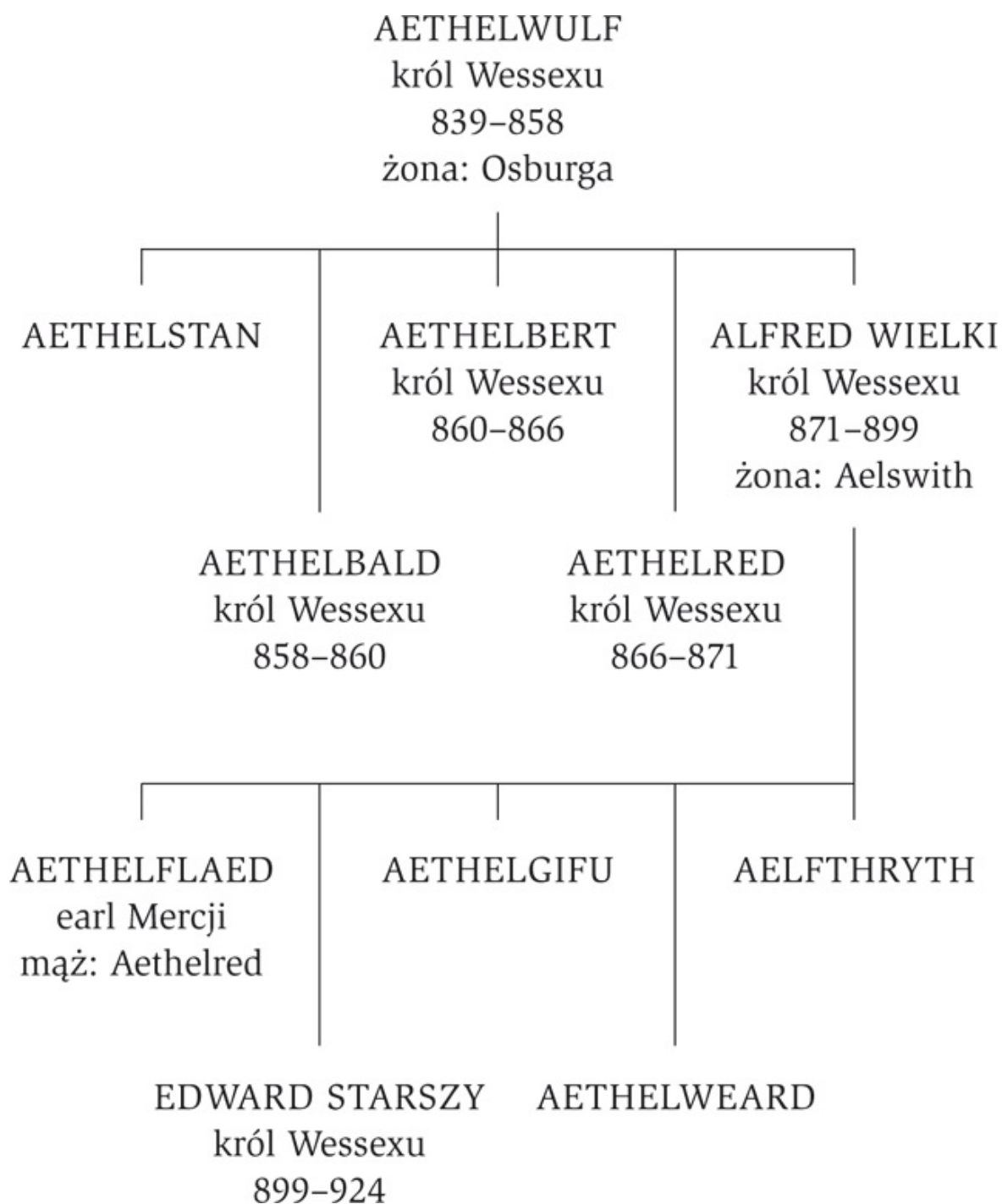
BLANEFORD	Blandford, hrabstwo Dorset
BUCCINGAHAMM	Buckingham, hrabstwo Buckinghamshire
BUCHESTANES	Buxton, hrabstwo Derbyshire
CEASTER	Chester, hrabstwo Cheshire
CIPPANHAMM	Chippenham, hrabstwo Wiltshire
CIRRENCEASTRE	Cirencester, hrabstwo Gloucestershire
CONTWARABURG	Canterbury, hrabstwo Kent
CRACGELAD	Cricklade, hrabstwo Wiltshire
CYNINGES TUN	Kingston nad Tamizą
CYTRINGAN	Kettering, hrabstwo Northamptonshire
DUMNOC	Dunwich, hrabstwo Suffolk
DUNHOLM	Durham, hrabstwo Durham
EANULFSBIRIG	St Neots, hrabstwo Cambridgeshire
ELEG	Ely, hrabstwo Cambridgeshire
EOFERWIC	York (pod rządami duńskimi przemianowany na Jorvik)
ETHANDUN	Edington, hrabstwo Wiltshire
EXANCEASTER	Exeter, hrabstwo Devon
FAGRANFORDA	Fairford, hrabstwo Gloucestershire
FEARNHAMME	Farnham, hrabstwo Surrey
FIFHADEN	Fyfield, hrabstwo Wiltshire
FUGHELNESS	wyspa Foulness, hrabstwo Essex
GEGNESBURH	Gainsborough, hrabstwo Lincolnshire
GLEAWECESTRE	Gloucester, hrabstwo Gloucestershire
GRANTACEASTER	Cambridge, hrabstwo Cambridgeshire
HOTHLEGE	rzeka Hadleigh Ray
HROFECEASTRE	Rochester, hrabstwo Kent
HUNTANDON	Huntingdon, hrabstwo Cambridgeshire

LICCELFELD	Lichfield, hrabstwo Stratfordshire
LINDISFARENA	Lindisfarne (Holy Island – Święta Wyspa), hrabstwo Northumberland
MEDWAEG	rzeka Medway
NATANGRAFUM	Notgrove, hrabstwo Gloucestershire
RATUMACOS	Rouen, Normandia, Francja
ROCHECESTRE	Wroxeter, hrabstwo Shropshire
SAEFERN	rzeka Severn
SCEAFTESBURI	Shaftesbury, hrabstwo Dorset
SCEOBYRIG	Shoebury, hrabstwo Essex
SCROBBESBURH	Shrewsbury, hrabstwo Shropshire
SNOTENGAHAM	Nottingham, hrabstwo Nottinghamshire
SUMORSAETE	hrabstwo Somerset
TOFECEASTER	Towcester, hrabstwo Northamptonshire
TRENTE	rzeka Trent
TURCANDENE	Turkdean, hrabstwo Gloucestershire
TWEOXNAM	Christchurch, hrabstwo Dorset
WESTUNE	Whitchurch, hrabstwo Dorset
WIMBURNAN	Wimborne, hrabstwo Dorset
WINTANCEASTER	Winchester, hrabstwo Hampshire
WYGRACEASTER	Worcester, hrabstwo Worcestershire

* Z uwagi na funkcjonujące spolszczenia w tłumaczeniu postanowiono posługiwać się współczesną nazwą Londyn w miejsce proponowanego przez autora Lundene. Ten sam zabieg zastosowano w przypadku Tamizy (w dosłownym tłumaczeniu: rzeka Temes). Z kolei wbrew nowej – i niezrozumiałej z punktu widzenia historycznego – polskiej

pisowni nazwy Nortumbria zdecydowano się na starą pisownię: Northumbria, ponieważ nazwa ta oznacza „Kraj na Północ od rzeki Humber”, a nie „Kraj na Północ od rzeki UMBER”. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

**DRZEWO GENEALOGICZNE KRÓLÓW
WESSEXU**



CZĘŚĆ PIERWSZA
WIEDŹMA

ROZDZIAŁ PIERWSZY

– Każdy dzień jest zwyczajny – rzekł ojciec Willibald. – Do czasu. – Uśmiechnął się radośnie, przekonany, że powiedział coś, co uznaję za znaczące, a gdy się nie odezwałem, wyglądał na srodze rozczarowanego. – Każdy dzień – zaczął od nowa.

– Słyszałem te brednie – warknąłem.

– Do czasu – dokończył smętnie.

Lubiłem Willibalda, chociaż był klechą. Nauczał mnie w dzieciństwie, a teraz traktowałem go jak przyjaciela. Był łagodny i poważny i gdyby cisi w istocie na własność posiadli ziemię[*], ojciec Willibald byłby bogaty ponad wszelką miarę.

Każdy dzień jest zwyczajny, dopóki coś się nie zmieni, a tamten chłodny niedzielny poranek wydawał się równie zwyczajny jak każdy inny – dopóki garstka głupców nie spróbowała pozbawić mnie życia. Panował przejmujący chłód. W tygodniu padał deszcz, lecz tego ranka kałuże ściały mróz, a szron pobieliał trawę. Ojciec Willibald przybył wkrótce po wschodzie słońca i zastał mnie na łące.

– Wczoraj wieczorem nie mogliśmy znaleźć twojego dworu – wytłumaczył swoje wczesne przybycie, trzęsąc się jak osika. – Zatrzymaliśmy się przeto w klasztorze Świętego Rumwolda – ciągnął i niedbale machnął ręką w stronę południa. – Ależ tam było zimno – dodał po chwili.

– Skape kanalie z tych mnichów – odparłem. Jak co tydzień miałem

dostarczyć do Świętego Rumwolda wóz z drewnem na opał, był to jednak obowiązek, który postanowiłem zignorować. Ojczulkowie sami mogli wycinać drzewa. – Kim był Rumwold? – zapytałem Willibalda. Znałem odpowiedź, ale chciałem utrzyć księżulkowi nosa.

– Był bardzo pobożnym chłopcem, panie – odparł.

– Chłopcem?

– Dziecięciem – rzekł z westchnieniem, jak gdyby przewidywał, w jakim kierunku zmierza nasza rozmowa. – Miał ledwie trzy dni, kiedy odszedł z tego świata.

– Obwołaliście świętym pacholę, które przeżyło ledwie trzy dni?

Willibald zamachał rękami.

– Cuda się zdarzają, panie – rzekł. – Mówią, że ssąc matczyną pierś, mały Rumwold śpiewał hymny pochwalne na cześć Pana naszego.

– Czuję się podobnie za każdym razem, gdy miętoszę w dłoni niewieścią pierś – odparłem. – Czy to czyni mnie świętym?

Willibald zadrżał i rozsądnie zmienił temat.

– Przynoszę wieści od aethelinga – wyłuszczył, mając na myśli Edwarda, najstarszego syna króla Alfreda.

– Mów zatem.

– Jest teraz królem Kentu – oznajmił radośnie ojczulek.

– Kazał ci jechać taki kawał drogi, żebyś mi o tym powiedział?

– Nie, nie. Pomyślałem, że może jeszcze nie słyszałeś.

– Oczywiście, że słyszałem – oburzyłem się. Alfred, król Wessexu, uczynił swojego pierworodnego królem Kentu, a to oznaczało, że Edward mógł doskonalić się w królowaniu, nie wyrządzając przy tym zbyt wielu szkód, Kent pozostawał bowiem częścią Wessexu. – Zdążył już przywieść Kent do upadku?

– Ależ nie – odparł gorliwie Willibald. – Choć... – Zawiesił głos.

– Choć co?

– Ach, to nic – rzucił beztrosko i z udawanym zainteresowaniem spojrzął na owce. – Ile czarnych owiec masz, panie?

– Mógłbym ucapić cię za kostki i wytrząsnąć z ciebie wieści – ostrzegłem.

– Sęk w tym, że Edward... Cóż... – Zawahał się, zaraz jednak uznał, że lepiej będzie, jeśli wyzna prawdę, na wypadek gdybym rzeczywiście miał ją z niego wytrząsnąć. – Rzecz w tym, że Edward chciał poślubić dziewczynę z Kentu, ale ojciec mu na to nie pozwolił. Lecz to doprawdy bez znaczenia!

Roześmiałem się. A zatem młody Edward nie był jednak taki idealny.

– Chcesz powiedzieć, że Edward oszalał z miłości, tak?

– Nie, nie! To tylko młodzieńcze zadurzenie. Zresztą już mu przeszło. Ojciec mu wybaczył.

Nie ciągnąłem go dłużej za język, choć powinienem mieć większe baczenie na ową plotkę.

– Jakie więc wieści przesyła młody Edward? – podjąłem. Staliśmy na łące mojego majątku w Buccingahamm, we wschodniej Mercji. Ziemie po prawdzie należały do Aethelflaed, ale dzierżawiła mi je w zamian za żywność, a posiadłość była na tyle duża, by wyżywić trzydziestu zbrojnych, z których większość tego ranka bawiła w kościele. – I czemu nie jesteś na mszy? – spytałem Willibalda, zanim miał sposobność odpowiedzieć na pierwsze pytanie. – Dziś przecież święto.

– Dzień Świętego Alnotha – odparł, jak gdyby było to coś wyjątkowego. – Wpierw jednak chciałem cię odnaleźć! – Zdawał się podekscytowany. – Mam ci do przekazania wieści od króla Edwarda. Każdy dzień jest zwyczajny...

– Aż do czasu – dokończyłem szorstko.

– Tak, panie – zgodził się bez przekonania i skonsternowany ściągnął brwi. – A ty co porabiasz?

– Patrzą na owce – odparłem zgodnie z prawdą. Spoglądałem na przeszło dwie setki owiec, które wgapiały się we mnie z żalonym beczaniem.

Księżulo odwrócił się, by jeszcze raz spojrzeć na stado.

– Dorodne zwierzęta – orzekł, jakby znał się na rzeczy.

– Ledwie wełna i baranina – skwitowałem. – To ja decyduję, które przeżyją, a które pójdą pod nóż. – Nastał czas uboju, ponure dni, kiedy nasze zwierzęta szły na rzeź. Zamierzaliśmy zachować kilka, by rozmnożyły się na wiosnę, większość jednak musiała umrzeć, albowiem nie mieliśmy wystarczająco dużo paszy, by wyżywić przez zimę całe stado. – Obserwuję ich grzbiety – wyłuszczyłem Willibaldowi – bo szron topnieje najszybciej na runie tych najzdrowszych. Dlatego je właśnie oszczędzimy. – Podniosłem jego wełnianą czapę i zmierzwiłem siwiejące włosy. – Ani śladu szronu – zauważyłem radośnie – w przeciwnym razie musiałbym poderżnąć ci gardło. – Wskazałem owcę z ułamanym rogiem. – Przytrzymaj tamtą!

– Tak, panie! – odparł pasterz. Był powykrzywianym, małym człowieczkiem z brodą, która skrywała połowę jego twarzy.

Warknął na dwa ogary, nakazując im pozostać na miejscu, po czym wszedł między zwierzęta i pastuszym kijem przegonił owcę, by dołączyła do stojącego na skraju łąki mniejszego stada. Jeden z ogarów, wielkie psisko z sierścią poznaczoną bliznami, przyskoczył do owcy, jednak pastuch go odgonił. Nie potrzebował mojej pomocy, by orzec o tym, które zwierzęta przeżyją, a które pójdą pod nóż. Od dziecka zajmował się ubojem. Jednak pan decydujący o tym, które z jego zwierząt pójdą na rzeź, winien spędzić z nimi trochę czasu i okazać im odrobinę szacunku.

– Dzień sądu – zauważył ojciec Willibald i naciągnął czapę mocniej na uszy.

– Ile? – zapytałem pasterza.

– Dwa tuziny i jedna, panie – odparł.

– To wystarczy?

– Wystarczy, panie.

– Resztę więc ubij – nakazałem.

– Dwa tuziny i jedna? – spytał ojczulek, nie przestając się trząść.

– Dwadzieścia i pięć – wyjaśniłem. – Tuzin, dwa tuziny, trzy tuziny, cztery tuziny, pięć tuzinów. Tak liczą pasterze. Nie wiem dlaczego. Świat jest pełen tajemnic. Podobno niektórzy wierzą nawet, że trzydniowy osesek może zostać świętym.

– Nie wolno kpić z Boga, panie – odparł ojciec Willibald, siląc się na surowość.

– Ja mogę – rzekłem. – A zatem czego chce młody Edward?

– Och, to ci dopiero wieści! – zaczął ochoczo, urwał jednak, widząc moją podniesioną rękę.

Ogary zaczęły warczeć. Oba przypadły do ziemi i wpatrywały się w stronę lasu. Zaczął padać deszcz ze śniegiem. Wytężałem wzrok, jednak pośród nagich gałęzi i ostrokrzewów nie dojrzałem żadnego niebezpieczeństwa.

– Wilki? – spytałem pastucha.

– Nie widziałem wilka, odkąd zawalił się stary most, panie – odrzekł.

Sierść na karkach zwierząt zjeżyła się. Pasterz cmoknął, żeby je uspokoić, a gdy gwizdnął, jeden z ogarów pomknął w stronę lasu. Drugi zaskomlił żałościwie, ale niski pomruk pasterza go uspokoił.

Biegnący ogar skręcił w stronę drzew. Była to suka, która знаła się na rzeczy. Przesadziła oszroniony rów i zniknęła wśród ostrokrzewów, a zaraz potem ujadając, wypadła spomiędzy krzaków. Przeskoczyła rów, przystanęła

na chwilę, spoglądając w stronę lasu, po czym rzuciła się do ucieczki w chwili, gdy spośród cieni wyleciała ze świstem strzała. Pasterz gwizdnął przenikliwie i suka, umknąwszy przed strzałą, pognała ku nam.

– Banici – orzekłem.

– Albo ludzie polujący na jelenie – zauważył pasterz.

– Moje jelenie – rzuciłem.

Wciąż wpatrywałem się między drzewa. Po co kłusownicy mieliby strzelać do psa pasterskiego? Lepiej by zrobili, uciekając. Może więc miałem do czynienia z wyjątkowo bezrozumnymi kłusownikami?

Deszcz ze śniegiem przybrał na sile, zawiewany przez dmący od wschodu zimny wiatr. Odziany w grubą futrzaną pelerynę, wysokie buty i czapkę z lisa nie odczuwałem chłodu, lecz Willibald obleczony w swą kapłańską czerń trząsł się mimo wełnianej peleryny i czapy.

– Chodźmy do dworu – zwróciłem się do niego. – W twoim wieku nie powinienes wypuszczać się zimą na zewnątrz.

– Nie spodziewałem się deszczu – odparł zbolalym głosem.

– Przed południem sypnie śniegiem – orzekł pasterz.

– Twoja chata znajduje się w pobliżu? – spytałem go.

Wskazał na północ.

– Zaraz za młodnikiem – rzekł, mając na myśli gęstą kępę drzew, przez którą biegła ścieżka.

– Masz tam palenisko?

– Tak, panie.

– Prowadź więc – rozkazałem. Zamierzałem zostawić ojczulka przy ogniu i udać się do dworu po ciepłą pelerynę i potulnego konia, którego mógłby dosiąść.

Szliśmy na północ, gdy psy znów poczęły warczeć. Odwróciłem się, by

spojrzeć na południe, i na skraju lasu dostrzegłem postacie. Nierówny rząd mężczyzn, którzy się nam przypatrywali.

– Znasz ich? – zagadnąłem pasterza.

– Nie są stąd, panie. Tuzin i jeden – dodał, mając na myśli, że jest ich trzynastu. – To zła liczba, panie. – Powiedziawszy to, uczynił znak krzyża.

– Co... – zaczął ojciec Willibald.

– Cicho – syknąłem. Oba psy szczyrzyły teraz kły. – Banici – zgadywałem, nie odrywając wzroku od nieznajomych.

– Święty Alnoth został zamordowany przez banitów – rzekł z niepokojem Willibald.

– A zatem nie wszystko, co robią banici, jest złe – odparłem. – Ci jednak to głupcy.

– Głupcy?

– Zaatakowali nas – odparłem. – Zostaną więc wytropieni i zabici.

– Jeśli pierwsi oni nie zabiją nas – zauważył ksiądz.

– Idź już! – Pchnąłem go w kierunku drzew, a sam dotknąłem dłonią rękojeści miecza i ruszyłem jego śladem.

Nie miałem przy sobie Oddechu Węża, swojego wielkiego miecza bitewnego, wziąłem mniejsze i lżejsze ostrze, które zdobyłem na Duńczyku ubitym przeze mnie pod Beamfleot. Był to dobry miecz, choć w tej chwili żałowałem, że nie mam przytrozonego do pasa Oddechu Węża. Obejrzałem się za siebie. Trzynastu ludzi przechodziło właśnie przez rów, kierując się w naszą stronę. Dwóch z nich miało łuki, podczas gdy pozostali zdawali się uzbrojeni w topory, noże lub we włócznie. Zdyszany Willibald ledwie dotrzymywał nam kroku.

– Kto to? – dopytywał.

– Bandyty? – rzuciłem. – Włóczędzy? Nie wiem. Uciekaj! – Wepchnąłem

go między drzewa, dobyłem miecza i odwróciłem się do naszych prześladowców. Jeden z nich wyciągał właśnie strzałę z wiszącej u pasa torby. To mnie przekonało, że najlepiej zrobię, jeśli czmychnę do młodnika w ślad za ojczulkiem. Strzała świsnęła obok mnie i wbiła się w poszycie. Nie miałem kolczugi, a gruba futrzana peleryna nie chroniła przed strzałami myśliwych. – Nie zatrzymuj się! – krzyknąłem do Willibalda i sam, utykając, ruszyłem w górę ścieżki.

W bitwie pod Ethandun otrzymałem ranę w prawe udo i choć mogłem chodzić, a nawet biegać powoli, wiedziałem, że nie dam rady odsadzić ludzi, których strzały z łatwością mogły mnie dosięgnąć. Przyspieszyłem kroku, gdy druga strzała odbiła się od gałęzi i tnąc powietrze, zniknęła między drzewami. Każdy dzień jest zwyczajny – pomyślałem – do czasu, aż wydarzy się coś ciekawego. Moi prześladowcy nie byli w stanie wypatrzeć mnie pośród czarnych pni i rosnących gęsto ostrokrzewów, założyli jednak, że podążyłem za Willibaldem, trzymali się więc dróżki, podczas gdy ja przycupnąłem w zaroślach, kryjąc się za gęstwą lśniących liści z naciągniętym na głowę ciężkim futrem. Minęli mnie, nie oglądając się za siebie. Przewodzili im dwaj łucznicy.

Pozwoliłem, by wysforowali się naprzód, i poszedłem za nimi. Kiedy mnie mijali, usłyszałem, jak mówią, wiedziałem przeto, że byli Sasami, a po akcencie poznałem, iż pochodzili z Mercji. Zakładałem, że to rabusie. Rzymski trakt prowadził głęboko w pobliskie lasy, gdzie bezpańscy ludzie zasadzali się na wędrowców, którzy by się chronić, podróżowali w dużych grupach. Dwukrotnie prowadziłem swoich wojowników przeciwko takim bandytom i myślałem, że przekonałem ich, by uprawiali swój nieczny proceder z dala od mojego majątku, nie wiedziałem jednak, kto jeszcze grasuje w moich lasach. Nie zdarzyło się do tej pory, by włóczędzy najechali me włości. Czułem, że włoski na karku stają mi dęba.

Ostrożnie podszedłem na skraj drzew i ujrzałem rzezimieszków stojących przy chacie pasterza, przywodzącej na myśl trawiasty pagórek. W istocie była to przykryta darnią sterta gałęzi z dziurą pośrodku, przez którą ulatywał dym z paleniska. Ojciec Willibald został wprawdzie pochwycony, ale był cały i zdrów – może chronił go jego kapłański status. Nigdzie jednak nie było śladu pasterza. Jeden z mężczyzn trzymał księżulka. Pozostali musieli zgadywać, że ukrywam się pośród drzew, bo wyrażając wzrok, wgapiali się w zagajnik.

Nagle z mojej lewej strony wypadły psy pasterskie i ujadając, rzuciły się na bandytów. Gnały co sił, sadząc sprężyste susy, krążyły wokół trzynastu mężczyzn, od czasu do czasu przyskakiwały do nich, kłapały zębami i odskakiwały w tył. Tylko jeden z oprychów miał miecz, operował nim jednak niezdarnie. Próbował ugodzić sukę, lecz ostrze minęło zwierzę o długość ramienia. Jeden z dwóch łuczników nałożył strzałę i naciągnął cięciwę, ale zaraz potem runął na plecy, jak gdyby uderzony niewidzialnym młotem. Osunął się na ziemię, podczas gdy uwolniona strzała poszybowała w niebo i nie czyniąc szkody, spadła w drzewa za moimi plecami. Psy opadły na cztery łapy i warczały wściekle, szczerząc kły. Łucznik szamotał się, ale najwyraźniej nie był w stanie się podnieść. Towarzysze patrzyli na niego przerażonym wzrokiem.

Drugi łucznik gotował się do wypuszczenia strzały, nagle jednak wzdrygnął się, odrzucił łuk i zakrył rękami twarz, na której zobaczyłem strużkę krwi, czerwonej jak jagody ostrokrzewu. Plama czerwieni, odcinająca się na tle zimowego krajobrazu, zniknęła, gdy mężczyzna zgiął się wpół z bólu. Ogary, szczerząc kły, pognały między drzewa. Deszcz ze śniegiem przybrał na sile, tłukąc wściekle w nagie gałęzie. Dwóch rzezimieszków podeszło do chaty pasterza, lecz ich przywódca przywołał ich z powrotem. Był młodszy od pozostałych i na oko bardziej od nich zamożny,

a przynajmniej nie tak biedny, jak jego towarzysze. Miał pociągłą twarz, rozbiegane oczka i krótką jasną brodę. Nosił zniszczony skórzany kaftan, pod którym dostrzegłem kolczugę. Był więc wojownikiem albo kaftan był kradziony.

– Lordzie Uhtredzie! – zawołał.

Nie odpowiedziałem. Drzewa zapewniały mi dobrą kryjówkę, ale wiedziałem, że jeśli moi prześladowcy zaczną przetrząsać młodnik, będę musiał ratować się ucieczką. Cokolwiek ich jednak zraniło, sprawiło, że zrobili się niespokojni. Cóż to mogło być? Bogowie – pomyślałem – a może któryś z chrześcijańskich świętych. Alnoth musiał szczerze nienawidzić banitów, skoro zginął z ich rąk, a ja nie wątpiłem, że mam do czynienia z banitami, którzy zostali wysłani, by pozbawić mnie życia. Nie dziwiło mnie to, albowiem w owym czasie miałem wielu wrogów. Wciąż ich mam, choć teraz żyję ukryty za najmocniejszym ostrokołem w Anglii Północnej. Wtedy jednak, zimą 898 roku, nie było Anglii. Istniały królestwa Northumbrii i Anglii Wschodniej, Mercji i Wessexu. Dwoma pierwszymi władali Duńczycy, Wessex należał do Sasów, a Mercja znajdowała się w stanie chaosu, po części duńska, a po części saska. Ja byłem jak Mercja, urodziłem się bowiem Sasem, lecz wychowali mnie Duńczycy. Czcilem duńskich bogów, choć z woli przeznaczenia zostałem obrońcą chrześcijańskich Sasów, tarczą, która osłaniała ich przed ciągłym zagrożeniem ze strony pogańskich Duńczyków. Wielu wikingów pragnęło więc mojej śmierci, choć nie znałem żadnego, który wynająłby mercyjskich zbirów, by urządzili na mnie zasadzkę. Ale i wśród Sasów byli tacy, których ucieszyłaby wieść o mojej śmierci. Mój kuzyn Aethelred, pan Mercji, opłaciłby sownie każdego, kto pozbawi mnie życia. On jednak posłałby przeciw mnie zbrojnych, nie byle oprychów. Tymczasem to on pierwszy przyszedł mi do głowy. Aethelred był mężem Aethelflaed, córki Alfreda, króla Wessexu, a ponieważ uczyniłem

z niego rogacza, postanowił zapewne odpłacić mi pięknym za nadobne i nasłał na mnie trzynastu banitów.

– Lordzie Uhtredzie! – zawołał ponownie młodzik, ale jedyną odpowiedzią było nagłe przeraźliwe beczenie.

Rzeka owiec płynęła ścieżką przez zagajnik, poganiana przez dwa psy pasterskie, które kłapiąc zębiskami, gnały je w kierunku trzynastu mężczyzn. Gdy dotarły do celu, szczerząc kły, zaczęły biegać w kółko i zagoniły owce tak, że te utworzyły ciasny okrąg, w którym zamknęły bandytów. Śmiałem się w głos. Byłem Uhtredem z Bebbanburga, człowiekiem, który nad brzegiem morza pozbawił życia wielkiego Ubbę i rozbił armię Haestena pod Beamfleot, ale w ten zimny niedzielny poranek lepszym panem wojny okazał się zwykły pastuch. Jego przerażone stado zacieśniło krąg wokół banitów, tak że z ledwością mogli się poruszyć. Psy ujadły, owce beczwały, a trzynastu mężczyzn traciło resztki nadziei.

Widząc to, wyszedłem spomiędzy drzew.

– Wołaliście mnie? – zapytałem.

Młodzik rzucił się na mnie, lecz drogę zagraadzały mu zbite w ciasną gromadę owce. Rozjuszony kopnął je i próbował ciąć mieczem, ale im bardziej się miotał, tym bardziej robiły się niespokojne, zaganiane do środka przez krążące wokół nich ogary. Młodzik zaklął i ucapił ojca Willibalda.

– Puść nas albo go zabijemy – warknął.

– To chrześcijanin – odparłem, pokazując mu młot Thora, który nosiłem zawieszony na szyi – czemu więc miałby mnie obchodzić?

Willibald spoglądał na mnie przerażonym wzrokiem, ale zaraz potem odwrócił się, gdy jeden z mężczyzn zawył z bólu. Znów czerwień krwi błysnęła pośród szarugi, jednak tym razem zobaczyłem, co ją utoczyło. Nie byli to ani bogowie, ani zamordowany święty, lecz pasterz, który wychynął spomiędzy drzew, dzierżąc w dłoni procę. Wyjął z sakwy kamyk, umieścił go

w rzemieniu i zakreślił nim. Rozległ się świst, a gdy pastuch wypuścił z ręki koniec rzemienia, kamień wystrzelił w powietrze.

Ogarnięci paniką banici odwrócili się, a ja gestem nakazałem pasterzowi, by pozwolił im odejść. Ten gwizdnął na psy, a wówczas i ludzie, i owce rozpierzchli się. Zbójce rzucili się do ucieczki, jednak jeden z włóczników wciąż leżał na ziemi oszołomiony po tym, jak wystrzelony z procy kamień trafił go w głowę. Młodzik, najwyraźniej odważniejszy od swoich kompanów, podszedł do mnie, myśląc może, że tamci mu pomogą, wkrótce przekonał się jednak, że został sam. Po jego twarzy przemknął cień przerażenia, a gdy się odwrócił, suka rzuciła się na niego, zatapiając kły w rękę, w której dzierżył miecz. Ten wrzasnął i próbował odegnać od siebie rozjuszone zwierzę, lecz w sukurs suce przybiegł jej towarzysz. Młodzik nadal zdzierał gardło, kiedy płazem miecza uderzyłem go w tył głowy.

– Możesz teraz odwołać psy – zwróciłem się do pasterza.

Pierwszy z łuczników nadal dychał, ale włosy nad prawym uchem miał zlepione krwią. Z całej siły kopnąłem go w żebra. Jęknął, ale był bez przytomności. Podałem pasterzowi łuk i torbę ze strzałami.

– Jak cię zwa?

– Egbert, panie.

– Jesteś teraz bogatym mężem, Egbercie – rzekłem mu. Chciałem, by moje słowa się ziściły. Nagrodziłbym go sowicie za to, co uczynił tego ranka, ale nie byłem już zamożnym panem. Wydałem bogactwa na ludzi, kolczugi i broń, potrzebne, by pokonać Haestena, i tamtej zimy byłem biedny jak mysz kościelna.

Pozostali bandyci umknęli na północ i zniknęli mi z oczu. Ojciec Willibald trząsał się jak osika.

– Szukali ciebie, panie – rzekł, szcękając zębami. – Zapłacono im, by cię zabili.

Pochyliłem się nad łucznikiem. Wyrzucony z procy kamień rozłupał mu czaszkę i wśród zlepionych posoką włosów dojrzałem odłamek kości. Kiedy jeden z ogarów przytruchtał, żeby obwąchać rannego, nagrodziłem go, głaszcząc gęstą, szorstką sierść.

– To dobre psy – zwróciłem się do Egberta.

– Dobrze do polowań na wilki, panie – odparł i unosząc procę, dodał: – Ale to lepiej się nadaje.

– Wcale zręcznie sobie z nią radzisz – zauważyłem. Mało powiedziane, albowiem w dłoniach pasterza proca była śmiertelnym orężem.

– Dwadzieścia pięć lat praktyki, panie. Nic nie odstrasza wilka tak jak kamień.

– Ktoś ich opłacił, żeby mnie zabili? – spytałem Willibalda.

– Tak mówili. Ktoś ich opłacił, żeby cię zabili.

– Wejdz do chaty – rzekłem. – Ogrzej się. – Po tych słowach spojrzałem na młodzika, którego strzegł większy z ogarów. – Jak cię zwa?

– Waerfurth, panie – odpowiedział niechętnie po chwili wahania.

– Kto wam zapłacił?

– Nie wiem, panie.

Wyglądało na to, że mówił prawdę. Waerfurth i jego towarzysze pochodzili z pobliskiego Tofeceasteru, osady na północy. Wyznał, że jakiś człowiek obiecał zapłacić im moją wagę w srebrze w zamian za moją śmierć. Ów nieznajomy podsunął im pomysł, że najlepiej będzie zasadzić się na mnie w niedzielny poranek, kiedy to większość moich ludzi bawi w kościele. Waerfurth zwerbował pozostałych dwunastu mężczyzn. Musiał wiedzieć, że to niełatwe zadanie, byłem bowiem osławionym wojownikiem, a i nagrodę obiecano wielką.

– Ten mężczyzna był Duńczykiem czy Sasem? – spytałem.

– Sasem, panie.

– I nie znasz go?

– Nie, panie.

Przepytywałem go jeszcze, ale dowiedziałem się tylko, że tamten był chudy, łysy i stracił jedno oko. Taki opis niewiele mi mówił. Jednooki i łysy? To mógł być niemal każdy. Ciągnąłem Waerfurtha za język, aż nie miał mi nic więcej do powiedzenia. Wówczas i on, i łucznik zawiśli na drzewie.

A ojciec Willibald pokazał mi magiczną rybę.

We dworze czekała na mnie delegacja. Szesnastu umyślnych przybyło z Alfredowej stolicy w Wintanceasterze, a wśród nich nie mniej niż pięciu księży. Dwaj, podobnie jak Willibald, pochodzili z Wessexu, a dwaj inni byli Mercjanami osiadłymi najwyraźniej w Anglii Wschodniej. Znałem ich obu, choć w pierwszej chwili ich nie rozpoznałem. Bliźniacy Ceolnoth i Ceolberht niemal trzydzieści lat temu razem ze mną byli zakładnikami w Mercji. Jako dzieci zostaliśmy pochwyceni przez Duńczyków, lecz podczas gdy ja przyjąłem ów los z otwartymi ramionami, bliźniacy nie mogli się z nim pogodzić. Teraz liczyli sobie prawie czterdzieści wiosen. Dwaj księża, podobni do siebie jak dwie krople wody – mocno zbudowani, o okrągłych twarzach i siwiejących brodach.

– Śledziliśmy twoje losy – rzekł jeden z nich.

– Z podziwem – dokończył drugi.

W dzieciństwie nie potrafiłem ich odróżnić i podobnie było teraz. Lecz wciąż jeden kończył zdanie wypowiedane przez drugiego.

– Z niechęcią – rzekł tamten.

– Z podziwem – upierał się jego bliźniak.

– Z niechęcią? – spytałem wrogim tonem.

- Wiadomo wszak, że Alfred jest rozczarowany.
- Że wyrzekasz się prawdziwej wiary, lecz...
- Codziennie się za ciebie modlimy!

Pozostali dwaj księża, Sasi zachodni, byli ludźmi Alfreda. To oni pomagali mu ustanawiać prawa i wyglądało na to, że przybyli, by mi doradzać. Resztę gości, w sumie jedenastu, stanowili wojownicy, pięciu z Anglii Wschodniej i sześciu z Wessexu. Wysłano ich, by strzegli duchownych w ich podróży.

To oni przywieźli magiczną rybę.

– Król Eohric – zaczął jeden z bliźniaków, nie potrafiłem jednak powiedzieć, czy był to Ceolnoth, czy Ceolberht.

– Pragnie sojuszu z Wessexem – dokończył jego brat.

– I z Mercją!

– Chrześcijańskimi królestwami.

– Dlatego królowie Alfred i Edward – tym razem głos zabrał ojciec Willibald – przysłali podarek dla króla Eohrica.

– Alfred wciąż żyje? – spytałem.

– Tak, Bogu niech będą dzięki – odparł Willibald. – Choć podupadł na zdrowiu.

– Jest bliski śmierci – wyłuszczył jeden z zachodniosaskich księży.

– Przyszedł na świat bliski śmierci – rzekłem – i umiera, odkąd go znam.

Minie jeszcze z dziesięć lat, nim wyzionie ducha.

– Módlmy się, aby tak się stało – rzekł gorliwie ojciec Willibald i uczynił znak krzyża. – Ale ma już pięćdziesiąt wiosen i srodze niedomaga. Naprawdę umiera.

– Dlatego pragnie sojuszu – ciągnął zachodniosaski klecha. – I dlatego lord Edward zwraca się do ciebie z prośbą.

– Król Edward – poprawił go ojciec Willibald.

– Kto więc i czego ode mnie chce? – spytałem. – Alfred z Wessexu czy Edward z Kentu?

– Edward – odparł Willibald.

– Eohric – rzekli zgodnie Ceolnoth i Ceolberht.

– Alfred – odezwał się saski ksiądz z zachodu.

– Oni wszyscy – dodał Willibald. – Wszystkim im na tym zależy, panie.

Edward lub Alfred, a może obaj, chcieli, bym udał się do władającego Anglią Wschodnią króla Eohrica. Eohric był Duńczykiem, przyjął jednak wiarę chrześcijańską i posłał bliźniaków do Alfreda, proponując zawiązanie sojuszu między chrześcijańskimi królestwami Brytanii.

– Król Eohric zaproponował, abyś to ty negocjował warunki sojuszu – wyłuszczył jeden z bliźniaków, nie wiedziałem jednak który.

– Czemu ja? – zażądałem odpowiedzi.

Tym razem głos zabrał ojciec Willibald.

– Któż bowiem zna Mercję i Wessex tak dobrze jak ty?

– Wielu jest takich – odparłem.

– Za twoim przywództwem pójdą też inni – zauważył ojczulek.

Zasiadaliśmy przy stole zastawionym ale, chlebem, serem, potrawką z warzyw i jabłkami. Płonący na palenisku ogień rzucał roztańczone cienie na poczerniałe od dymu belki. Pasterz miał rację: deszcz wkrótce przeszedł w śnieg, którego pojedyncze płatki wpadały do środka przez dymnik. Na zewnątrz za palisadą Waerfurth i łucznik wisieli na nagiej gałęzi wiązu, a na ich ciałach żerowały wygłodniałe ptaki. Większość moich ludzi była we dworze i przysłuchiwała się naszej rozmowie.

– Dziwna to pora na zawieranie sojuszy – zauważyłem.

– Alfredowi nie zostało wiele czasu – odparł Willibald. – A pragnie tego

sojuszu, panie. Jeśli wszyscy chrześcijanie Brytanii się zjednoczą, tron Edwarda będzie chroniony, kiedy odziedziczy koronę.

Była to prawda, lecz po co Eohric miałby chcieć sojuszu? Odkąd sięgam pamięcią, król Eohric z Anglii Wschodniej siedział przycupnięty na płocie oddzielającym chrześcijan od pogan, Duńczyków od Sasów, i oto nagle zaprzagnął deklorować swą lojalność wobec chrześcijańskich Sasów?

– Wszystko to z powodu Kanuta Ranulfsona – pospieszył z odpowiedzią jeden z bliźniaków.

– Przywiódł swych ludzi na południe – dodał drugi.

– Na ziemie Sigurda Thorrsona – rzekłem. – Wiem, sam posłałem wieści Alfredowi. Czyli Eohric obawia się Kanuta i Sigurda?

– W rzeczy samej – przyznał któryś z bliźniaczych księżulków.

– Kanut i Sigurd nie zaatakują teraz – odparłem – lecz może na wiosnę. – Kanut i Sigurd byli Duńczykami z Northumbrii i jak wszyscy Duńczycy marzyli o tym, by zająć ziemie Sasów. Najeźdźcy próbowali raz za razem i raz za razem ponosili porażkę. Jednakże kolejna próba była nieunikniona, albowiem serce Wessexu, wielki bastion saskiego chrześcijaństwa, chwiał się w posadach. Alfred umierał, a jego śmierć z pewnością sprowadzi do Mercji i Wessexu pogańskie miecze i pożogę. – Po cóż jednak Kanut czy Sigurd mieliby najeżdżać Eohrica? – spytałem. – Wszak zależy im nie na Anglii Wschodniej, lecz na Mercji i Wessexie.

– Pragną wszystkiego – odparł Ceolnoth. Albo Ceolberht.

– A prawdziwa wiara zostanie wyparta z Brytanii, jeśli nie staniemy w jej obronie – dodał starszy z dwóch saskich kapłanów.

– I dlatego błagamy cię, byś utworzył sojusz – objaśnił Willibald.

– Podczas bożonarodzeniowej uczyty – dodał jeden z bliźniaków.

– Alfred przesyła Eohricowi podarek – ciągnął ochoczo Willibald. – Alfred i Edward! Okazali wielką hojność, panie!

Podarek zamknięto w srebrnej szkatule wysadzanej klejnotami. Wieko zdobił wizerunek Chrystusa z uniesionymi ramionami, a wokół niego wyryto napis „*Edward mec heht Gewyrca*”, co znaczyło mniej więcej tyle, że relikwiarz ów wykonano na zlecenie Edwarda, albo – co bardziej prawdopodobne – na zlecenie jego ojca, który przypisał ową hojność synowi.

Willibald w nabożnym skupieniu uchylił wieko, odsłaniając wnętrze wyściełane barwionym na czerwono materiałem. Na dnie relikwiarza leżała mała poduszczyca wielkości ludzkiej ręki, na niej zaś spoczywał rybi szkielet.

Był cały, nie licząc głowy – długi biały kręgosłup z grzebieniem drobnych ości po każdej stronie.

– Oto i on – rzekł ojciec Willibald, ścisząc głos, jakby bał się, że zbyt głośny dźwięk zaszkodzi ościom.

– Martwy śledź? – spytałem z niedowierzaniem. – To prezent od Alfreda? Księża, wszyscy jak jeden, uczynili znak krzyża.

– Ile rybich szkieletów wam trzeba? – Po tych słowach spojrzałem na Finana, swojego najwierniejszego przyjaciela, który dowodził też moimi ludźmi. – Chyba możemy im dać trochę zdechłych ryb? – zapytałem.

– Możemy je rozdawać beczkami – odparł.

– Lordzie Uhtredzie! – Willibald jak zwykle dał się podejść moim drwinom. – Ta ryba – mówiąc to, drżącym palcem wskazał ości – to jedna z dwóch ryb, którymi nasz Pan nakarmił pięć tysięcy ludzi!

– A zatem ta druga musiała być naprawdę wielka – odparłem. – Co to było? Wieloryb?

Starszy z saskich księży spiorunował mnie spojrzeniem.

– Odradzałem królowi Edwardowi, żeby najmował cię do tego zadania – rzekł. – Mówiłem, żeby posłał chrześcijanina.

– Poślijcie więc kogoś innego – warknąłem. – Wolę spędzić Yule we

własnym dworze.

– Kiedy on uparł się, żebyś to ty jechał – zachnął się klecha.

– Podobnie jak Alfred – wtrącił Willibald i dodał z uśmiechem: – uważa, że przerazisz Eohrica.

– Niby czemu chce, by Eohric się bał? – spytałem. – Myślałem, że chodzi o sojusz.

– Statki króla Eohrica napadają na nasze statki handlowe – wyłuszczył ksiądz. – Musi zapłacić zadośćuczynienie, zanim zapewnimy mu naszą protekcję. Król ufa, że okażesz się przekonujący.

– Nie musimy wyruszać przez co najmniej dziesięć dni – odparłem, patrząc pośepnie na kapłańskie gęby. – Czy to znaczy, że do tego czasu mam was żywić?

– Tak, panie – przyznał uradowany Willibald.

Przeznaczenie bywa dziwne. Odrzuciłem chrześcijaństwo i wybrałem duńskich bogów, lecz kochałem Aethelflaed, córkę Alfreda, która była chrześcijanką, dlatego walczyłem po stronie krzyża.

I dlatego miałem spędzić Yule w Anglii Wschodniej.

Osferth wrócił do Bucingahamm, a wraz z nim dwudziestu moich wojowników. Wezwałem ich, chciałem bowiem, by w drodze do Anglii Wschodniej towarzyszył mi duży oddział. Może królowi Eohricowi spieszno było do zawiązania sojuszu i może zamierzał przystać na wszystkie żądania Alfreda, jednak traktaty najlepiej negocjować z pozycji zwycięzcy, dlatego chciałem wjechać na jego ziemie otoczony imponującą drużyną. Osferth i jego ludzie obserwowali Ceaster, rzymski obóz na odległej północno-zachodniej mercyjskiej granicy, gdzie schronił się Haesten po tym, jak rozbiliśmy jego siły pod Beamfleot. Osferth powitał mnie uroczyście, jak miał w zwyczaju. Rzadko się uśmiechał i zwykle patrzył na świat z miną, która wyrażała dezaprobatę dla wszystkiego i wszystkich, lecz myślę, że

ucieszył się z powrotu. Był synem Alfreda i dziewczki służebnej, a przyszedł na świat, zanim Alfred odkrył wątpliwe radości płynące z chrześcijańskiej pokory. Król pragnął, by jego bękart szkolił się na księdza, lecz ten wybrał drogę wojownika. Był to osobliwy wybór, albowiem Osferth nie znajdował w walce przyjemności, tak jak nie czekał na chwile, gdy wściekłość i miecz przyćmiewają człowiekowi umysł. Mimo to chłopak przejawiał w walce wszystkie cechy, którymi mógł się poszczycić jego ojciec. Był poważny, rozsądny i metodyczny. Tam, gdzie Finan i ja wykazywaliśmy się uporem, Osferth wykazywał się inteligencją, co w przypadku wojownika nie pozostawało bez znaczenia.

– Haesten wciąż liże rany – oświadczył.

– Trzeba go było zabić – mruknąłem.

Haesten wycofał się do Ceasteru po tym, jak zniszczyłem jego flotę i armię pod Beamfleot. Instynkt podpowiadał mi, żebym udał się za nim i skończył z draniem raz na zawsze, lecz Alfred zażądał, aby jego oddziały wróciły do Wessexu, a ja nie miałem dość ludzi, by oblegać rzymski fort.

I tak Haesten uszedł z życiem. Obserwowaliśmy go, wypatrując dowodu na to, że kolejny raz zbiera armię, ale Osferth był zdania, że Duńczyk słabnie, miast rosnać w siłę.

– Będzie musiał schować dumę do kieszeni i przysiąc lojalność komuś innemu – rzekł.

– Sigurdowi albo Kanutowi – zgadywałem. Sigurd i Kanut byli teraz najpotężniejszymi Duńczykami w Brytanii, choć żaden z nich nie był królem.

Mieli ziemię, bogactwa, trzodę, stada, srebro, okręty, ludzi i ambicje. – Po co mieliby sobie ostrzyć zęby na Anglię Wschodnią? – zastanawiałem się na głos.

– A czemu nie? – rzucił Finan. Był moim najbliższym kompanem i nikomu nie ufałem w bitwie tak jak jemu.

- Bo chcę Wessexu – odparłem.
- Albo całej Brytanii – dodał Finan.
- Czeka ją – wtrącił Osferth.
- Na co?
- Na śmierć Alfreda. – Rzadko mówił o Alfredzie „mój ojciec”, jakby wstydził się swego pochodzenia.
- Kiedy to nastąpi, wtedy dopiero zapanuje chaos – orzekł Finan z wyraźnym zadowoleniem.
- Edward będzie dobrym królem – odparł z wyrzutem Osferth.
- Będzie musiał wywalczyć sobie koronę – stwierdziłem. – Duńczycy poddadzą go próbie.
- Zamierzasz dla niego walczyć? – spytał królewski bękart.
- Lubię Edwarda – przyznałem wymijająco.

I rzeczywiście go lubiłem. Kiedy był dzieckiem, współczułem mu, albowiem ojciec powierzył nad nim pieczę klechom, którzy mieli z niego uczynić idealnego następcę Alfredowego tronu. Kiedy spotkałem go ponownie, tuż przed bitwą pod Beamfleot, wydał mi się napuszonym, nieustępliwym młodzieńcem, jednak dobrze się czuł wśród wojowników i wkrótce zmieniłem o nim zdanie. Wykazał się w walce pod Beamfleot i teraz, jeśli wierzyć plotkom ojca Willibalda, dowiedział się też co nieco na temat grzechu.

– Jego siostra chce, abyś go wspierał – zauważył wymownie Osferth, na co Finan parsknął śmiechem.

Wszyscy wiedzieli, że Aethelflaed jest moją kochanką, tak jak wiedzieli, że jej ojciec jest również ojcem Osfertha. Większość ludzi udawała jednak, że nie ma o niczym pojęcia, a uszczypliwa uwaga Osfertha była jedyną złośliwością, na jaką potrafił się zdobyć w odniesieniu do mojego związku z jego przyrodnią siostrą. Wolałbym spędzić świąteczną ucztę w towarzystwie

Aethelflaed, ale Osferth poinformował mnie, że została wezwana do Wintanceasteru, ja zaś nie byłem mile widziany przy królewskim stole. Poza tym miałem obowiązek dostarczyć magiczną rybę Eohricowi, a obawiałem się, że podczas mojej nieobecności Sigurd i Kanut najadą moje ziemie.

Latem wyprawili się na południe, prowadząc statki wzdłuż południowych brzegów Wessexu, podczas gdy armia Haestena łupiła Mercję.

Northumbryjscy Duńczycy myśleli, że odwrócą uwagę armii Alfreda w czasie, gdy Haesten plądrował północną granicę Wessexu. Tymczasem Alfred wysłał mi swoje oddziały, armia Haestena poniosła klęskę, a Sigurdowi i Kanutowi nie udało się zająć żadnego z pobudowanych na rozkaz Alfreda burhów – ufortyfikowanych twierdz rozproszonych na ziemiach znajdujących się pod panowaniem Sasów – i wrócili na swe statki z niczym. Wiedziałem jednak, że jeszcze o nich usłyszymy. Byli Duńczykami, a to znaczyło, że coś knują.

Dlatego nazajutrz rano w topniejącym śniegu, razem z Finanem, Osferthem i trzydziestoma zbrojnymi, udałem się na północ, na ziemie ealdormana Beornnotha. Lubiłem go. Był stary, siwy, kulawy i porywczy.

Jego włości znajdowały się na samym skraju saskiej Mercji, a wszystko na północ od nich należało do Duńczyków. Oznaczało to, że w ciągu ostatnich kilku lat musiał bronić swych pól i osad przed najazdami ludzi Sigurda Thorrsona.

– Boże Wszchemogący – powitał mnie. – Nie mów tylko, że miałeś nadzieję zjeść bożonarodzeniową ucztę pod mym dachem.

– Wolę dobrą strawę – odparłem.

– A ja mniej szpetnych gości – odgryzł się i krzyknął na służebnych, żeby zabrali nasze konie.

Mieszkał na północny zachód od Tofecestera, w wielkim dworze otoczonym stajniami i stodołami chronionymi potężną palisadą. Ziemia

między dworem a najbliższą stodołą była przesiąknięta krwią zarzynanego bydła. Ludzie przecinali ścięgna przerażonym zwierzętom, by powalić je na ziemię, i trzymali je, podczas gdy inni zabijali ciosem topora w łeb. Targane przedśmiertnymi drgawkami zwierzęta wleczono na stronę, gdzie kobiety i dzieci skórowały je i ćwiartowały. Wszystkiemu przyglądały się psy, które co rusz walczyły o rzucane im ochłapy. Powietrze cuchnęło krwią i łajnem.

– To był dobry rok – stwierdził Beornnoth. – Mamy dwa razy tyle zwierząt co rok temu. Duńczycy zostawili mnie w spokoju.

– Nie kradli bydła?

– Raz, może dwa. – Wzruszył ramionami. Od naszego ostatniego spotkania stracił władzę w nogach i wszędzie trzeba go było nosić na krześle.

– To starość – rzekł. – Zżera mnie od dołu. Pewnie chcecie ale?

Siedząc we dworze, wymieniliśmy się wieściami. Beornnoth ryczał ze śmiechu, kiedy opowiedziałem mu, jak próbowano mnie zabić.

– Zatem teraz to owce ratują ci życie? – Widząc swojego syna, który wszedł do izby, krzyknął na niego: – Chodź tu i posłuchaj, jak owce wygrały bitwę za lorda Uhtreda!

Jego syn zwał się Beortsig i podobnie jak ojciec był barczysty i brodaty. Uśmieł się z mojej opowieści, choć śmiech ten wydał mi się wymuszony.

– Mówisz, panie, że bandyci przybyli z Tofeceasteru? – zapytał.

– Tak mi powiedział – odparłem.

– To nasze ziemie – zauważył Beortsig.

– Banici – rzucił z lekceważeniem jego ojciec.

– I głupcy – dodał chłopak.

– Najął ich chudy, łysy człowiek z jednym okiem – ciągnąłem. – Znacnie kogoś takiego?

– Wygląda na to, że to nasz ksiądz – rzucił rozbawiony Beornnoth.

Tymczasem jego syn milczał. – Co więc cię tu sprowadza? – spytał. – Poza tym, że chcesz osuszyć moje beczki z ale.

Opowiedziałem mu o prośbie Alfreda, bym przypieczętował sojusz z Eohrikiem, i o tym, jak umyślni Eohrica tłumaczą prośbę swego króla, który najwyraźniej obawia się Sigurda i Kanuta. Beornnoth nie wyglądał na przekonanego.

– Sigurda i Kanuta nie obchodzi Anglia Wschodnia – rzekł.

– Eohric sądzi inaczej.

– To głupiec – skwitował Beornnoth. – Zawsze nim był. Sigurd i Kanut chcą Mercji i Wessexu.

– A gdy już je dostaną, panie – przemówił ze spokojem Osferth do naszego gospodarza – zwróć oczy ku Anglii Wschodniej.

– To prawda – zgodził się Beornnoth.

– Czemu więc nie mieliby najpierw zająć Anglii Wschodniej? – ciągnął Osferth. – I wzmocnić swe oddziały tamtejszymi wojownikami?

– Póki Alfred żyje, nic się nie wydarzy – orzekł gospodarz i uczynił znak krzyża. – Modlę się więc, by żył jak najdłużej.

– Amen – dokończył Osferth.

– Chcesz więc zakłócić Sigurdowi spokój? – zwrócił się do mnie Beornnoth.

– Chcę wiedzieć, co robi – odparłem.

– Gotuje się do Yule – mruknął lekceważąco Beortsig.

– A to znaczy, że nie będzie trzeźwiał przez kolejny miesiąc – dodał jego ojciec.

– Nie nękał nas przez ostatni rok – ciągnął chłopak.

– Nie chcę, żebyście go rozjuszyli. – Beornnoth powiedział to lekkim tonem, wiedziałem jednak, że jego słowa mają moc.

Gdybym wyprawiał się na północ, mógłbym sprowokować Sigurda, a wówczas na ziemiach Beornnotha zaroi się od duńskich jeźdźców i ich mieczy.

– Muszę ruszać do Anglii Wschodniej – wyjaśniłem – a Sigurdowi nie spodoba się wieści o przymierzu Eohrica z Alfredem. Może zatem wysłać ludzi na południe, by dać upust swemu niezadowoleniu.

Beornnoth ściągnął brwi.

– Albo i nie.

– Właśnie tego chcę się dowiedzieć – odparłem.

Słyszając to, Beornnoth burknął: – Nudzi ci się, lordzie Uhtredzie? Chcesz usiec kilku Duńczyków?

– Chcę tylko powęszyć.

– Powęszyć?

– Połowa Brytanii wie już o traktacie z Eohrikiem – odparłem. – A komu najbardziej zależy, żeby do niego nie doszło?

– Sigurdowi – przyznał po chwili Beornnoth.

Czasem myślałem o Brytanii jak o młynie. U podstawy silny i niezawodny niczym kamień młyński panował Wessex, na górze równie ciężki był kamień żarnowy Duńczyków, a zmiądzona między nimi trwała Mercja. To tam najczęściej dochodziło do potyczek między Sasami a Duńczykami. Alfred sprytnie rozciągnął swoje wpływy na południe królestwa, lecz północą rządili Duńczycy i do tej pory walka była wyrównana, a to oznaczało, że obie strony będą szukały sojuszników.

Duńczycy zerkali zalotnie w stronę walijskich królów, lecz choć Walijczycy pałali odwieczną nienawiścią do Sasów, obawiali się gniewu ich chrześcijańskiego boga bardziej niż Duńczyków, tak więc większa część Walii pozostawała w stanie kruchego pokoju z Wessexem. Tymczasem na wschodzie leżało nieprzewidywalne królestwo Anglii Wschodniej, którego

ludność, choć rządzona przez Duńczyków, rzekomo wyznawała wiarę chrześcijańską. To właśnie Anglia Wschodnia mogła o wszystkim zdecydować. Gdyby Eohric posłał ludzi do walki z Wessexem, zwyciężyliby Duńczycy, lecz gdyby zawiązał sojusz z chrześcijanami, klęska pogan byłaby nieuchronna.

Sigurd, jak mniemałem, będzie chciał zapobiec zawiązaniu sojuszu i miał na to dwa tygodnie. Czy to on wysłał trzynastu ludzi, aby mnie zabili? Gdy tak siedziałem we dworze Beornnotha, ta odpowiedź wydawała się najbardziej prawdopodobna. A jeśli rzeczywiście tak było, do czego posunie się tym razem?

– A więc chcesz powęszyć, tak? – spytał Beornnoth.

– Nie zamierzam go prowokować – zapewniłem.

– Żadnego zabijania ani rabunków?

– Żadnego zabijania ani rabunków – obiecałem.

– Bóg jeden wie, że bez zabijania niczego się nie dowiesz – odparł – ale zgoda. Idź i wiesz. Beortsig pojedzie z tobą.

Posłał z nami swojego syna i dwunastu zbrojnych, by mieć pewność, że nie złamiemy danego słowa. Beornnoth lękał się, że chcemy złupić kilka duńskich osad i wrócić z bydłem, srebrem i niewolnymi. Gdyby tak się stało, jego ludzie mieli nas powstrzymać. Ja jednak chciałem tylko rozejrzeć się po okolicy.

Nie ufałem Sigurdowi ani jego sojusznikowi Kanutowi. Lubilem obu, wiedziałem jednak, że zabiliby mnie równie łatwo, jak my ubijamy bydło przed zimą. Z nich dwóch to Sigurd był zamożniejszy, a Kanut bardziej niebezpieczny. Wciąż jeszcze był młody, zyskał jednak sławę pana mieczy – człowieka, którego ostrze wzbudza szacunek i lęk. Tacy ludzie przyciągali innych, którzy przybywali do Brytanii zza morza, gotowi pójść za wodzem obiecującym im bogactwa. Pomyślałem, że wiosną do brzegów Brytanii

przybiją kolejne wikińskie łodzie. A może Duńczycy zaczekają, aż Alfred odejdzie do swego boga, wiedzieli bowiem, że śmierć króla oznacza niepewność, a niepewność daje sposobność.

Beortsig zapewne myślał podobnie.

– Czy Alfred naprawdę umiera? – zapytał mnie, kiedy jechaliśmy na północ.

– Tak mówią.

– Wcześniej też tak mówili.

– Wiele razy – dodałem.

– Wierzysz w to, panie?

– Nie widziałem go.

Wiedziałem też, że nawet gdybym chciał zobaczyć Alfreda, nie byłbym mile widziany w pałacu. Mówiono mi, że Aethelflaed udała się do Wintanceasteru na bożonarodzeniową ucztę, lecz bardziej prawdopodobne było to, że wezwano ją, by czuwała przy umierającym ojcu, niż ucztowała przy jego stole.

– Czy wówczas Edward zasiądzie na tronie? – dopytywał Beortsig.

– Tego chce Alfred.

– A kto zostanie królem Mercji?

– W Mercji nie ma króla – odparłem.

– A powinien być – rzucił gorzko chłopak. – I żaden tam Sas zachodni!

Jesteśmy Mercjanami, nie Sasami zachodnimi.

Nic na to nie rzekłem. Kiedyś Mercja miała króla, lecz teraz podlegała Wessexowi. Alfred o to zadbał. Jego córka była żoną najpotężniejszego mercyjskiego ealdormana i większość Sasów zamieszkujących Mercję zadowolalała opieka, jaką roztaczał nad nią Alfred, choć nie wszystkim Mercjanom podobała się ta wschodniosaska dominacja. Po śmierci Alfreda

wpływowi Mercjanie zaczną łąpczywie zerkać na pusty tron i domyślałem się, że młody Beortsig będzie jednym z nich.

– Nasi praojcowie królowali na tych ziemiach – powiedział mi.

– A moi władali Northumbrią – odparłem. – Ja jednak nie pragnę tronu.

– Mercją powinien rządzić Mercjanin – ciągnął.

Miałem wrażenie, że czuje się nieswojo w moim towarzystwie, choć może denerwował się, albowiem zapuszczaliśmy się coraz głębiej na ziemię rządzone przez Sigurda.

Jechaliśmy prosto na północ, a stojące nisko zimowe słońce kładło nasze cienie daleko przed nami. Pierwsze napotkane osady były niczym innym, jak spalonymi do szczytu ruinami. Dopiero po południu dotarliśmy do wsi. Jej mieszkańcy widzieli, że nadjeżdżamy, dlatego powiodłem swych ludzi do pobliskich lasów, gdzie wywlekliśmy z kryjówki parę wieśniaków. Byli to Sasi, niewolny i jego żona. Twierdzili, że ich panem jest Duńczyk.

– Bawi we dworze? – spytałem.

– Nie, panie. – Chłopina klęczał i trząsał się, niezdolny podnieść wzroku i spojrzeć mi w twarz.

– Jak brzmi jego imię?

– Jarl Jorven, panie.

Zerknąłem na Beortsigę, który wzruszył ramionami.

– Jorven jest jednym z ludzi Sigurda – odparł. – I żaden z niego jarl. Ma pod sobą trzydziestu, może czterdziestu wojowników.

– Czy jego żona jest we dworze? – spytałem klęczącego.

– Tak, panie. I wojownicy, ale niewielu. Reszta wyjechała, panie.

– Dokąd?

– Nie wiem, panie.

Rzuciłem mu srebrną monetę. Nie było mnie stać na taką rozrzutność, ale

pan to pan.

– Zbliża się Yule – mruknął z lekceważeniem Beortsig. – Jorven udał się pewnie do Cytringan.

– Cytringan?

– Słyszeliśmy, że tam będą świętować Sigurd i Kanut – odparł.

Wyjechawszy z lasu, wróciliśmy na wilgotne pastwisko. Chmury zasnuły słońce i pomyślałem, że niebawem zacznie padać.

– Opowiedz mi o Jorvenie – zwróciłem się do Beortsig.

Chłopak wzruszył ramionami.

– To Duńczyk. Przybył dwa lata temu i Sigurd dał mu tę ziemię.

– Jest z nim spokrewniony?

– Nie wiem.

– Ile ma lat?

Kolejne wzruszenie ramionami.

– Jest młody.

Czemu miałby jechać na ucztę bez żony? Niemal zadałem to pytanie na głos, pomyślałem jednak, że zdanie Beortsig'a na niewiele mi się zda, zmilczałem więc. Zamiast tego spiąłem konia i jechałem tak długo, aż dotarłem do miejsca, z którego miałem widok na dwór Jorvena. Była to solidna budowla ze stromym dachem i zatkniętą na szczycie czaszką byka. Świeża strzecha nie zdążyła jeszcze omszeć. Dwór okalała palisada, dostrzegłem też dwóch ludzi, którzy się nam przyglądali.

– To dobry moment, żeby zaatakować Jorvena – rzekłem lekko.

– Zostawili nas w pokoju – oburzył się Beortsig.

– I myślisz, że dalej tak będzie?

– Myślę, że powinniśmy zawrócić – rzekł, a gdy się nie odezwałem, dodał: – jeśli chcemy dotrzeć do domu przed zmierzchem.

Puściłem jego utyskiwania mimo uszu i ruszyłem dalej na północ. Zostawiliśmy dwór Jorvena nietknięty i przecięliśmy niską grań, za którą rozciągał się widok na szeroką dolinę. Z dymników w chatach snuły się w niebo nitki dymu, a migotliwe błyski zdradzały bliskość rzeki. To dobra ziemia – pomyślałem – żyzna i dobrze nawodniona. Dokładnie taka, jakiej pragnęli Duńczycy.

– Mówisz, że Jorven ma pod sobą trzydziestu–czterdziestu wojowników?
– spytałem Beortsiga.

– Nie więcej.

– Jedną drużynę – rzuciłem bardziej do siebie niż do niego. Wyglądało więc na to, że Jorven i jego ludzie przepłynęli morze w jednej łodzi i przysięgli lojalność Sigurdowi, który w zamian oddał im przygraniczną ziemię. W razie saskiej napaści Jorven niechybnie by zginął, lecz przystał na takie ryzyko. Sytuacja miałaby się zgoła inaczej, gdyby to Sigurd wyprawił się na południe. – Kiedy Haesten przybył tu latem, sprawiał wam jakieś kłopoty? – spytałem Beortsiga i wbiłem pięty w boki konia.

– Nie niepokoił nas – odparł. – Dalej na zachód mieli z nim większe utrapienie.

Pokiwałem głową w milczeniu. Pomyślałem, że ojcu Beortsiga sprzykrzyły się potyczki z Duńczykami i płacił Sigurdowi daninę. Nie miałem innego wytłumaczenia dla pokoju, który panował na ziemiach Beornnotha, a Haesten, jak mniemałem, oszczędził Beornnotha na rozkaz Sigurda. Nie odważyłby się przeciwstawić woli Sigurda, więc omijał ziemie Sasów, którzy płacili za pokój. Wyprawił się zatem do południowej Mercji, gdzie grabił i palił, gwałcił i plądrował, aż niemal całkowicie pozbawiłem go sił pod Beamfleot. Wówczas przerażony z podkulonym ogonem zbiegł do Ceasteru.

– Coś cię niepokoi? – zapytał mnie Finan.

Jechaliśmy w dół, ku odległej rzece. Czuliśmy na plecach niesione wiatrem pierwsze krople deszczu. Finan i ja wysforowaliśmy się naprzód, tak by Beortsig i jego ludzie nie słyszeli, o czym mówimy.

– Po cóż mężczyzna miałby jechać na ucztę z okazji Yule bez swojej żony? – spytałem Finana.

W odpowiedzi wzruszył ramionami.

– Może jest szpetna? A może woli ucztować w towarzystwie młodszej, ładniejszej nałożnicy?

– Może – mruknąłem.

– A może został wezwany – ciągnął Finan.

– A po jakie licho Sigurd miałby wzywać swoich wojowników w środku zimy?

– Bo wie o Eohricu?

– Właśnie to mnie martwi – odrzekłem.

Deszcz przybrał na sile niesiony gwałtownymi podmuchami wiatru. Dzień zbliżał się ku końcowi, ciemny, wilgotny i zimny. W zamrzniętych rowach zalegały resztki śniegu. Beortsig upierał się, żebyśmy wracali, ja jednak parłem na północ, umyślnie zbliżając się do dwóch wielkich warowni.

Ktokolwiek ich strzegł, musiał nas zauważyć, a mimo to nikt nie wyjechał nam na spotkanie. Przeszło czterdziestu ludzi uzbrojonych w tarcze i włócznie przejeżdżało przez ich ziemię, a im niespieszno było się dowiedzieć, kim jesteśmy i co robimy. To tylko potwierdziło moje przypuszczenia, że warownie są właściwie niestrzeżone. Ludzie, których mijaliśmy po drodze, nie kłopotali nas, mając nadzieję, że ich zignorujemy.

W pewnym momencie ujrzeliśmy przed sobą pas ubitej ziemi, której widok przywodził na myśl rozległą czarną bliznę. Zatrzymałem konia na samym jej skraju. Szrama przecinała ścieżkę i opadała ku wodzie i łąkom na południowym brzegu rzeki, na której krople deszczu tworzyły wodne bańki.

Zawróciłem konia i udałem, że nie interesuje mnie stratowana trawa i odcisnięte w ziemi ślady końskich kopyt.

– Wracajmy – rzuciłem do Beortsiga.

Szpecąca ziemię blizna była dziełem przejeżdżającej tędy konnicy. Jadący w zimnym deszczu Finan zrównał konia z moim.

– Osiemdziesięciu ludzi – orzekł.

Skinąłem głową, ufałem bowiem jego osądowi. Dwie drużyny jechały tędy z zachodu na wschód, a ich konie stratowały trawę, wbijając ją w podmokły grunt. Dwie drużyny jechały wzdłuż rzeki. Ale dokąd?

Ściągnąłem cugle i pozwoliłem, by Beortsig nas dogonił.

– Mówiłeś, że gdzie Sigurd świętować będzie Yule? – spytałem go.

– W Cytringan – odparł.

– A gdzie leży Cytringan?

Wskazał na północ.

– Dzień, może dwa dni drogi stąd. Ma tam salę biesiadną.

Cytringan leżało na północy, lecz ślady kopyt wiodły na wschód.

Ktoś zatem kłamał.

[*] Zob. Biblia Tysiąclecia, Mt 5, 5.

ROZDZIAŁ DRUGI

Nie byłem świadom, jak ważny jest dla Alfreda ów sojusz, dopóki po powrocie do Buccingahamm nie zastałem szesnastu mnichów, którzy posilali się moim jedzeniem i pili moje ale. Najmłodszy z nich byli jeszcze młokosami z ledwie sypiącym się pierwszym wąsem, a najstarszy, który im przewodził, okazał się zażywnym mężczyzną mniej więcej w moim wieku. Brat John był tak gruby, że miał problem, by mi się pokłonić.

– Jest z kraju Franków – oświadczył ojciec Willibald.

– I co on tu robi?

– To królewski pieśniarz! Prowadzi chór.

– Chór? – spytałem.

– Śpiewamy – wyłuszczył brat John głosem, który zdawał się dochodzić gdzieś z wnętrza jego wielkiego kałduna. Machnął ręką na swoich mnichów i zakrzyknął: – *Soli Deo gloria!* Wstawajcie! Z życiem! Głęboki wdech! Na mój znak! I raz! I dwa! – Zaczęli śpiewać. – Otwierać usta! – ryknął na nich brat John. – Szeroko! Szeroko jak małe ptaszęta! Z głębi trzewi! Niech no was usłyszę!

– Dość! – huknąłem, nim skończyli pierwszy wers. Rzuciłem pochwę z mieczem Oswiemu, swojemu słudze, a sam poszedłem ogrzać kości przy ogniu płonącym w palenisku na środku izby. – Dlaczego muszę karmić zawodzących mnichów? – spytałem Willibalda.

– Ważne, byśmy wywarli dobre wrażenie – odparł, popatrując niepewnie na moją upstrzoną błotem kolczugę. – Reprezentujemy Wessex, panie, i

musimy zademonstrować chwałę Alfredowego dworu.

Wraz z mnichami Alfred wysłał sztandary. Na jednym widniał smok Wessexu, a na pozostałych wyhaftowano wizerunki świętych i sceny ze świętych ksiąg.

– Mamy zabrać ze sobą te szmaty? – spytałem.

– Oczywiście – potwierdził gorliwie ojczulek.

– Może mógłbym jechać pod sztandarem z wizerunkiem Thora? Albo Odyna?

Willibald westchnął.

– Nie, panie, proszę.

– Czemu więc nie możemy mieć sztandaru z wizerunkiem jednej ze świętych kobiet? – dopytywałem.

– Ależ możemy! – Willibald poweselał. – Jeśli takie masz życzenie.

– Jednej z tych, które przed śmiercią odarto z szat – dodałem, na co ojczulek znowu westchnął.

Sigunn przyniosła mi róg syconego miodu, za co nagrodziłem ją pocałunkiem.

– Wszystko dobrze? – spytałem.

Spojrzała na mnichów i wzruszyła ramionami. Widziałem, że Willibald jest jej ciekaw, zwłaszcza gdy otoczyłem ją ramieniem i przyciągnąłem do siebie.

– To moja kobieta – wyjaśniłem.

– Ale... – zaczął, zaraz jednak zawiesił głos. Myślał o Aethelflaed, lecz nie miał odwagi wspomnieć jej imienia.

– Chcesz o coś zapytać, ojcze? – Uśmiechnąłem się do niego.

– Nie, nie – odparł pośpiesznie.

Zerknąłem na największy sztandar, wielki jarmarczny kawał płótna, na

którym wyhaftowano scenę ukrzyżowania. Był tak duży, że trzeba będzie dwóch ludzi, by go nieść, i kilku kolejnych, jeśli mocniej powieje.

– Czy Eohric wie, że prowadzimy armię? – zwróciłem się do duchownego.

– Wie, że ma się spodziewać około setki ludzi.

– Sigurda i Kanuta też? – spytałem zjadliwie, na co Willibald spojrział na mnie nieobecny wzrokiem. – Duńczycy wiedzą o traktacie – dodałem. – I spróbują mu zapobiec.

– Zapobiec? Ale jak?

– A jak myślisz?

Nigdy jeszcze nie widziałem, by był taki blady.

– Król Eohric pošle ludzi, żeby nas eskortowali – odparł.

– Gdzie? Tu? – rzuciłem gniewnie, gdyż obawiałem się, że przybędą mi kolejne gęby do wykarmienia.

– Do Huntandon – odpowiedział Willibald. – A stamtąd na Eleg.

– Czemu udajemy się do Anglii Wschodniej? – spytałem.

– By zawrzeć sojusz, rzecz jasna.

Moje pytanie wyraźnie zbiło go z tropu.

– Dlaczego więc Eohric nie pošyla ludzi do Wessexu? – zażądałem odpowiedzi.

– Ależ wysłał, panie! Wysłał Ceolberhta i Ceolnotha. To król Eohric wyszedł z propozycją sojuszu.

– Czemu zatem nie podpisano go i nie przypieczętowano w Wessexie? – nie dawałem za wygraną.

Willibald wzruszył ramionami.

– Czy to ważne, panie? – spytał lekko zniecierpliwiony. – Mamy spotkać się w Huntandon za trzy dni – przypomniał mi. – A jeśli pogoda się

popsuje... – dodał i zawiesił głos.

Słyszałem o Huntandon, choć nigdy tam nie byłem. Wiedziałem tylko, że leży gdzieś poza granicą oddzielającą Mercję od Anglii Wschodniej. Skinąłem na bliźniaków Ceolberhta i Ceolnotha, którzy w pośpiechu wstali od stołu, przy którym ucztowali z dwoma księżmi przysłanymi razem z Willibaldem z Wessexu.

– Gdybym chciał pojechać stąd prosto na Eleg, którą drogę powinienem wybrać? – zapytałem ich.

Przez chwilę mruzcili coś między sobą, aż w końcu jeden odparł, że najkrótsza droga prowadzi przez Grantaceaster.

– Stamtąd – ciągnął drugi – na wyspę biegnie stary rzymski trakt.

– Na wyspę?

– Eleg to wyspa – wyłuszczył jego bliźniak.

– Na bagnach – dodał drugi.

– Jest tam żeński klasztor!

– Spalony przez pogan.

– Kościół został jednak odbudowany.

– Bogu niech będą dzięki.

– Klasztor zbudowała Święta Aethelreda.

– Która poślubiła Northumbryczyka – dodał Ceolnoth albo Ceolberht, myśląc, że się ucieszę, sam jestem bowiem Northumbryczykiem.

Jestem panem Bebbanburga, choć w tamtym czasie mój podstępny wuj władał ową nadbrzeżną twierdzą. Drań ukradł mi ją, lecz ja zamierzałem ją odzyskać.

– Czy Huntandon leży po drodze do Grantaceasteru?

Bliźniacy zdawali się zaskoczeni moją niewiedzą.

– Ależ nie, panie! – pospieszył z odpowiedzią jeden z nich. – Huntandon

leży dalej na północ.

– Po co więc tam jedziemy?

– Do króla Eohrica, panie – zaczął drugi bliźniak, zaraz jednak urwał.

Było oczywiste, że żaden z nich nie zastanawiał się nad tym pytaniem.

– To dobra droga, jak każda inna – odparł stanowczo jego brat.

– Lepsza niż ta do Grantaceasteru? – zapytałem.

– Prawie tak samo dobra – mruknął jeden z braci.

Bywają chwile, kiedy człowiek czuje się jak dzik uwięziony w lesie. Słyszysz łowczych, nasłuchuje ujadania ogarów, czuje, jak wali mu serce, i zastanawia się, w którą stronę uciec. Nie wie jednak, bo wszystkie te dźwięki dochodzą zewsząd, a zarazem znikąd. Nic tu się nie zgadzało. Nic. Wezwałem Sihtrica, niegdyś swojego służebnego, a teraz drużynnika.

– Znajdź kogoś – rzekłem mu – kogokolwiek, kto zna Huntandon.

I sprowadź go tu. Do jutra.

– Gdzie mam szukać? – chciał wiedzieć Sihtric.

– Skąd mam to wiedzieć? Jedź do miasta. Porozmawiaj z bywalcami tawern.

Sihtric, chudy młodzieniec o ostrych rysach, spojrział na mnie z urazą.

– Mam znaleźć kogoś w tawernie? – spytał, jak gdybym zlecił mu niewykonalne zadanie.

– Kupca! – ryknąłem na niego. – Znajdź mi kogoś, kto podróżuje. I nie upij się. Znajdź kogoś i sprowadź go do mnie. – Sihtric wciąż wyglądał na skwaszonego, może dlatego, że nie uśmiechało mu się wychodzenie na chłód.

Przez moment przypominał swego ojca, Kjartana Okrutnego, który spłodził chłopaka z saską niewolnicą. Zaraz jednak powściągnął swój gniew, odwrócił się i ruszył do wyjścia. Finan, którego uwadze nie umknęła zadziorność Sihtrica, wyraźnie się odprężył. – Znajdź mi kogoś, kto zna

drogę do Huntandon, do Grantaceasteru i na Eleg! – zawołałem za Sihtrikiem, on jednak wyszedł bez słowa. Dobrze znałem Wessex i stopniowo poznawałem Mercję. Znałem ziemie wokół Bebbanburga i Londyn, lecz pozostałe części Brytanii pozostawały dla mnie zagadką. Potrzebowałem kogoś, kto zna Anglię Wschodnią równie dobrze, jak ja znałem Wessex.

– My znamy wszystkie te miejsca – odezwał się jeden z bliźniaków.

Puściłem jego słowa mimo uszu, wiedziałem bowiem, że żaden z nich nigdy nie zrozumie moich lęków. Ceolberht i Ceolnoth poświęcili swoje życie nawracaniu Duńczyków i w sojuszu z Eohrikiem upatrywali dowodu na to, że ich bóg zwycięża w walce z bogami pogan, dlatego nie przyklasnęliby zamysłowi, który chodził mi po głowie.

– Czyli Eohric ma wysłać ludzi, żeby spotkali się z nami w Huntandon? – spytałem ich.

– Tak, panie, skąd mają nas eskortować. Zapewne pośle po nas jarla Oscytela.

Słyszałem o jarlu Oscytelu. Był dowódcą huskarłów[*] Eohrica, a co za tym idzie, dowodził siłami Anglii Wschodniej.

– Ilu ludzi przywiedzie? – spytałem.

Bliźniacy wzruszyli ramionami.

– Może setkę? – odparł jeden z nich.

– Albo dwie? – dodał drugi.

– I wszyscy razem udamy się na Eleg – rzekł radośnie ten pierwszy.

– Śpiewając na chwałę Pana – dorzucił brat John. – Jak małe ptaszyny.

Miałem więc udać się do Anglii Wschodniej, niosąc pół tuzina jarmarcznych sztandarów i wysłuchując mnisiego zawodzenia? Sigurdowi na pewno się to spodoba – pomyślałem. W jego interesie było nie dopuścić do podpisania traktatu, a żeby to zrobić, wystarczyło zasadzić się na mnie na

drodze do Huntandon. Nie byłem pewien, czy to właśnie planuje, mogłem się tylko domyślać. Z tego, co wiedziałem, Sigurd zamierzał świętować Yule i nie planował szybkiej zimowej kampanii mającej na celu udaremnienie sojuszu między Wessexem, Mercją a Anglią Wschodnią, lecz doświadczenie nauczyło mnie, że ci, którym się wydaje, że ich wróg śpi, zwykle nie żyją długo. Klepnąłem Sigunn w zadek.

– Chciałabyś spędzić Yule na Eleg? – spytałem ją.

– Boże Narodzenie – poprawił mnie jeden z bliźniaków i pobladł, czując na sobie moje spojrzenie.

– Wolałabym zostać tu – odparła Sigunn.

– Jedziemy na Eleg – orzekłem. – Założysz złote łańcuchy, które ci podarowałem. – Ważne, byśmy wywarli dobre wrażenie – dodałem i zerknąłem na Willibalda. – Prawda, ojczy?

– Nie możesz jej zabrać! – syknął księżulo.

– Nie?

Zamachał rękami. Chciał zapewne dodać, że piękna poganka pokala swą obecnością chwałę Alfredowego dworu, lecz nie miał odwagi powiedzieć tego na głos. W milczeniu patrzył więc na Sigunn, wdowę po jednym z duńskich wojowników, którego ubiliśmy pod Beamfleot. Sigunn miała siedemnaście wiosen, była gibką, szczupłą dziewczyną o bladej skórze, jasnoniebieskich oczach i włosach jak płynne złoto. Przywdziała odświętną, jasnożółtą, lnianą suknię obrębioną niebieską wstążką, na której wyhaftowano smoki, wijące się u dołu, wokół dekoltu i rękawów. Na szyi i nadgarstkach dziewczyny błyszczało złoto, znak, że cieszyła się względami i była własnością pana. Należała do mnie, jednak większość życia spędziła w towarzystwie ludzi Haestena, który zbiegł na drugi koniec Brytanii, do Ceasteru.

Oto dlaczego zabierałem Sigunn ze sobą na Eleg.

Było Yule, roku osiemset dziewięćdziesiątego ósmego, i ktoś próbował mnie zabić.

Tymczasem to ja zamierzałem zabić jego.

Choć Sihtric niechętnie wypełnił moje rozkazy, człowiek, którego sprowadził, okazał się dobrym wyborem. Był to młodzieniec liczący sobie niewiele ponad dwadzieścia wiosen. Twierdził, że jest kuglarzem, a to oznaczało, że w rzeczywistości był łotrzykiem, który podróżował od miasta do miasta, sprzedając talizmany i amulety. Zwał się Ludda, choć wątpiłem, by tak brzmiało jego prawdziwe imię. Towarzyszyła mu mała ciemnowłosa dziewczynka imieniem Teg, która patrzyła na mnie wilkiem spod grubych czarnych brwi i grzywy splątanych włosów. Miałem wrażenie, że spozierając na mnie, mruczy coś pod nosem.

– Rzuca czary? – spytałem.

– O tak, panie, potrafi to robić – odparł Ludda.

– Pytałem, czy rzuca je teraz.

– Nie, panie, skądże – zapewnił pospiesznie.

Kłęczeli przede mną oboje. Ludda miał zwodniczo szczerą twarz o szeroko rozstawionych niebieskich oczach i skorych do uśmiechu pełnych ustach. Na plecach nosił torbę, w której znalazłem amulety, głównie kamienie elfów i lśniące otoczaki, a także pęk skórzanych sakiewek, zawierających po jednym albo dwóch kawałkach zardzewiałego żelaza.

– Co to? – spytałem, trącając sakiewki czubkiem buta.

– Ach – bąknął i uśmiechnął się zmieszany.

– Ludzie, którzy oszukują mieszkańców moich ziem, są karani – uprzedziłem.

– Oszukują, panie? – Spojrzał na mnie z miną niewiniątka.

– Topię ich – odparłem – albo wieszam. Widziałeś ciała?

Zwłoki dwóch mężczyzn, którzy próbowali mnie zabić, wciąż wisały na wiązcie.

– Trudno ich nie zauważyć, panie – odparł Ludda.

Sięgnąłem po jedną ze skórzanych sakiewek, a gdy ją otworzyłem, na dłoń wypadły mi dwa rdzewiejące nity.

– Wmawiasz ludziom, że jeśli włożą mieszek pod poduszkę i zmówią modlitwę, żelazo zmieni się w srebro?

Duże niebieskie oczy otworzyły się jeszcze szerzej.

– Niby czemu miałbym mówić takie rzeczy, panie?

– Żeby sprzedać żelastwo za cenę stukrotnie wyższą, niż jest w istocie warte – rzekłem.

– Lecz jeśli ich modły będą dość żarliwe, Bóg Wszechmogący może ich wysłucha. Zachowałbym się nie po chrześcijańsku, panie, gdybym odmówił prostemu ludowi sposobności do udziału w cudzie.

– Powinienem cię powiesić – mruknąłem.

– Powieś ją zamiast mnie – odparł pośpiesznie Ludda, wskazując głową dziewczynkę. – To Walijka.

Roześmiałem się. Dziewczynka zrobiła chmurną minę, a ja po przyjacielsku trzepnąłem Ludde w ucho. Lata temu kupiłem podobną sakiewkę, wierząc jak głupiec, że modlitwa zmieni rdzę w złoto, a człowiek, który mi ją sprzedał, był takim samym łotrzykiem jak Ludda. Kazałem im zostać i zakrzyknąłem na służących, by przynieśli jemu i dziewczynce dzban ale i strawę.

– Gdybym wyprawiał się stąd do Huntandon, dokąd powinienem się udać? – spytałem go.

Rozważał moje pytanie przez kilka uderzeń serca, jakby węszył w nim jakiś podstęp, aż w końcu wzruszył ramionami.

– Nic prostszego, panie. Trzeba ci jechać na wschód do Bedanfordu, a stamtąd znaleźć dobrą drogę do miejsca zwanego Eanulfsbirig. Tam przeprawisz się przez rzekę i ruszysz na północny wschód do Huntandon.

– Jaką rzekę?

– Use, panie. – Zawahał się. – Poganie żeglują w górę Use, aż do Eanulfsbirig. Jest tam most. I kolejny w Huntandon. Trzeba go przejść, żeby dotrzeć do osady.

– Czyli trzeba dwukrotnie przeprawić się przez rzekę?

– Trzy razy, panie. Jeszcze w Bedanfordzie, ale tam trzeba przeprawić się w bród.

– A zatem muszę przeprawiać się z jednego brzegu na drugi i z powrotem? – dopytywałem.

– Możesz też podróżować północnym brzegiem, panie. Wówczas nie będziesz musiał przeprawiać się przez mosty, ale nadłożysz drogi.

– Jest inne miejsce, w którym można przebyć rzekę w bród?

– Nie przed Bedanfordem, panie. Nie po takich deszczach. Rzeki przybrały.

Pokiwałem głową. Bawiłem się srebrnymi monetami, od których ani Ludda, ani jego mała towarzyszka nie mogli oderwać wzroku.

– Powiedz – zacząłem – gdybyś chciał wywieść w pole ludzi z Eleg, którą drogę byś wybrał?

– Przez Grantaceaster – odparł bez zastanowienia. – To najszybsza ze wszystkich dróg, a mieszkańcy Grantaceasteru są wyjątkowo naiwni. – Mówiąc to, uśmiechnął się od ucha do ucha.

– A odległość z Eanulfsbirig do Huntandon?

– Prawie żadna, panie. Pokonasz ją w kilka godzin.

Podrzuciłem monety w dłoni.

– A mosty? – spytałem. – Drewniane czy kamienne?

– Oba drewniane – rzekł. – Niegdyś były z kamienia, lecz rzymskie przeszła runęły.

Opowiedział mi o innych osadach w dolinie rzeki Use i o tym, że dolina wciąż była bardziej saska niż duńska, choć tamtejsze gospodarstwa wszystkie jak jedno płaciły daninę duńskim panom. Pozwoliłem mu mówić, wciąż jednak myślałem o rzece, przez którą trzeba się będzie przeprawić. Jeśli Sigurd zamierza się na nas zasadzić, zrobi to w Eanulfsbirig, wie bowiem, że będziemy musieli przejść przez tamtejszy most. Z pewnością nie wybierze Huntandon, albowiem siły Anglów wschodnich będą czekały na wzniesieniu na północ od rzeki.

A może niczego nie planował.

Może upatrywałem niebezpieczeństwa tam, gdzie go nie było.

– Bawiłeś kiedyś w Cytringan? – spytałem Luddę.

Wyglądał na zaskoczzonego, może dlatego, że Cytringan leżało daleko od miejsc, o które go rozpytywałem.

– Tak, panie – odparł w końcu.

– Co tam jest?

– Jarl Sigurd ma tam salę biesiadną, panie. Korzysta z niej, kiedy poluje w tamtejszych lasach.

– Dwór jest otoczony palisadą?

– Nie, panie. To ogromne dworzyszczce, ale większość czasu stoi puste.

– Słyszałem, że Sigurd spędza tam Yule.

– To całkiem możliwe, panie.

Skinąłem głową, a gdy wrzuciłem monety z powrotem do sakwy, ujrzałem rozczarowanie na twarzy Luddy.

– Zapłacę ci – obiecałem. – Kiedy wrócimy.

– My? – spytał nerwowo.

– Jedziesz ze mną, Luddo – rzuciłem. – Wojowników ucieszy towarzystwo kuglarza, a kuglarz powinien być rad, mogąc podróżować pod zbrojną eskortą.

– Tak, panie – przyznał z udawaną wesołością.

Wyruszyliśmy następnego dnia rano. Mnisi podróżowali pieszo, srogo nas spowalniając, mnie jednak nie było spieszno. Zabrałem prawie wszystkich swoich ludzi – zostawiłem jedynie garstkę, by strzegli dworu. Z przeszło setki podróżnych tylko pięćdziesięciu było wojownikami – resztę stanowili klerycy i służba. Sigunn była wśród nas jedyną kobietą. Moi ludzie przywdziali najprzedniejszy rynsztunek. Dwudziestu jechało przodem, reszta osłaniała tyły, a między nimi szli albo jechali mnisi i służebni. Sześciu wojowników jechało na flankach i wypuszczało się do przodu na zwiad. Tak jak przypuszczałem, między Bucingahamm a Bedanfordem nie napotkaliśmy żadnych kłopotów. Nigdy wcześniej nie byłem w Bedanfordzie, który okazał się smutną, na wpół opuszczoną miejsciną, przywodzącą na myśl niewielką osadę pełną przerażonych wieśniaków. Na północ od rzeki znajdował się niegdyś wielki kościół, w którym pochowano ponoć króla Offę, tyrana Mercji, jednak Duńczycy spalili świątynię i rozkopali grób, szukając skarbów, które złożono w ziemi razem z królewskim truchłem. Spędziliśmy zimną, pełną niewygód noc w stodole, choć większość czasu przesiedziałem w ciemności z wartownikami, którzy trzęśli się jak osiki pod płaszczami z futer. Wraz ze świtem mgły nadciągnęły nad mokrą, szarą równinę, po której wielkimi zakolami leniwie wiła się rzeka.

W oparach mgły przeprawialiśmy się na drugi brzeg. Wysłałem Finana i dwudziestu ludzi na zwiad, a gdy wrócili, oznajmili, że nie widzieli żadnych wrogów.

– Wrogów? – zapytał Willibald. – Niby czemu oczekujesz wrogów?

– Jesteśmy wojownikami – rzekłem mu. – I zawsze zakładamy, że gdzieś czają się wrogowie.

Słyszając to, pokręcił głową.

– To ziemie Eohrica. Są nam przyjazne.

Bród był głęboki, a woda lodowata. Pozwoliłem mnichom przeprowić się na drugą stronę na tratwie, którą zapewne w tym celu przywiązano do południowego brzegu. Kiedy bezpiecznie dotarliśmy na drugi brzeg, podążyliśmy tym, co pozostało z dawnego rzymskiego traktu przecinającego rozległe rozmokłe łąki. Poranne mgły podniosły się, i choć dzień był słoneczny, w powietrzu czuło się chłód. Byłem niespokojny. Czasami, gdy wataha wilków nęka nasze stada, zaczajamy się na nie. Wypuszczamy kilka owiec na otwartą przestrzeń i trzymamy ogary w ukryciu, tak by drapieżcy ich nie zwęszyli, a sami czekamy z nadzieją, że wataha się pokaże. Wówczas wypuszczamy konnych i ogary i tak długo ganiamy za wilkami, aż zostają z nich jeno skrwawione skóry i strzępy mięsa. Teraz jednak to my byliśmy owcami. Zdążyliśmy na północ pod sztandarami, wszem i wobec obwieszczając nasze przybycie, podczas gdy wilki czaiły się na nas. Byłem tego pewien.

Razem z Finanem, Sigunn, Luddą, Sihtrikiem i czterema innymi ludźmi zjechaliśmy z traktu. Wcześniej nakazałem Osferthowi, by jechał dalej aż do Eanulfsbirig, lecz by nie przekraczał tam rzeki.

My tymczasem wyprawiliśmy się na zwiad, co jest prawdziwą sztuką. Zwykle wyznaczam do tego dwie pary konnych, którzy jadą po obu stronach drogi. Jedna para, obserwowana przez drugą, wypuszcza się naprzód, na wzgórze albo do lasów, i dopiero gdy zyskają pewność, że w zasięgu wzroku nie ma wroga, dają sygnał swoim towarzyszom, którzy zapuszczają się nieco dalej. Owego dnia jednak nie miałem na to czasu. Zamiast tego gnaliśmy co

koń wyskoczy. Dałem Luddzie kolczugę, hełm i miecz, podczas gdy Sigunn, która jeździła konno równie dobrze jak mężczyźni, miała na sobie ciężką pelerynę z wydrznych futer.

Późnym rankiem minęliśmy Eanulfsbirig. Skręciliśmy na zachód od niewielkiej osady i zaczęliśmy się pośród ciemnych zimowych drzew, obserwując rzekę, most i kryte strzechą maleńkie chatynki, znad których ulatywały w bezchmurne niebo nitki dymu.

– Nikogo nie widzę – stwierdził po chwili Finan. Ufałem jego oczom bardziej niż własnym. – Przynajmniej nikogo, kim należałoby się przejmować.

– Chyba że skryli się w chatach – zauważyłem.

– Nie wprowadziliby koni do środka – odparł Finan. – Chcesz, żebym poszedł sprawdzić?

Pokręciłem głową. Wątpiłem, by Duńczycy ukrywali się we wsi. Może w ogóle ich tu nie było. Podejrzewałem, że obserwują Eanulfsbirig z drugiego brzegu rzeki. Za nadrzecznymi łąkami rozciągały się lasy, w których mogła się ukryć cała armia. Zgadywałem, że Sigurd zaczeka, aż przeprawimy się przez rzekę, i dopiero zaatakuje. Gdyby zabezpieczył most, odciąłby nam drogę ucieczki. A może siedział we dworze i pił miód, a ja niepotrzebnie się martwiłem?

– Jedźmy dalej na północ – rzekłem i pognaliśmy konie przez obsiane pszenicą ozimą pobrużdżone pole.

– Czego oczekujesz, panie? – spytał mnie Ludda.

– Że zawrzesz gębę, jeśli napotkamy Duńczyków – powiedziałem.

– Tak właśnie uczynię – odparł gorliwie.

– I módl się, żebyśmy nie spotkali drani – dodałem.

Obawiałem się, że Osferth wpadnie w zasadzkę, choć intuicja podpowiadała mi, że wciąż nie natrafiliśmy jeszcze na wroga. Jeśli w ogóle

był jakiś wróg. Zdawało mi się, że most w Eanulfsbirig będzie dla Sigurda idealnym miejscem, by się na nas zasadzić, lecz do tej pory nie dostrzegliśmy jego ludzi po tej stronie rzeki, a byłem pewien, że rozstawiłby ich na obu brzegach Use.

Byliśmy teraz nieco ostrożniejsi i jadąc wśród drzew, kierowaliśmy się na północ. Zboczyliśmy z drogi, na której spodziewałby się nas Sigurd, i jeśli wystawił ludzi, którzy mieli odciąć nam drogę ucieczki, byłem pewien, że prędzej czy później na nich natrafimy. Tymczasem jak okiem sięgnąć otaczały nas ciche, zmarznięte pustkowia. Zaczynałem myśleć, że niepotrzebnie się obawiałem i nic nam nie zagraża, gdy nagle zobaczyłem coś dziwnego.

Byliśmy mniej więcej trzy mile za Eanulfsbirig, pośród podmokłych pól i niewielkich młodników, z rzeką oddaloną od nas o jakieś pół mili. Gdy znad zagajnika na przeciwległym brzegu uniosła się smużka dymu, nie zwróciłem na nią uwagi, zakładając, że to dym z chaty pobudowanej między drzewami.

Jednak Finan dostrzegł coś więcej.

– Panie? – Słyszając go, ściągnąłem lejce i spojrzałem we wskazanym kierunku. Rzeka w tamtym miejscu skręcała na wschód i w najdalszym miejscu zakola, za nagimi gałęziami wierzb dostrzegłem dzioby dwóch statków. I rzeźbione w drewnie smocze głowy. Nie widziałem ich, dopóki Finan nie wskazał palcem. Irlandczyk miał najbystrzejszy wzrok ze wszystkich znanych mi ludzi. – Dwa statki – rzekł.

Łodzie nie miały masztów, najpewniej dlatego, że przepłynęły pod mostem w Huntandon na wiosłach. Czy należały do Anglów wschodnich?

Wyteżąłem wzrok, lecz nie widziałem żadnych ludzi, ale kadłuby ukryte były za porastającymi brzeg rzeki gęstymi krzakami. Jednak już samo to, że łodzie zwrócono dziobami w stronę rzeki, mówiło mi, iż znajdowały się w miejscu, w którym nie powinienem się ich spodziewać. Za moimi plecami

Ludda paplał o tym, jak pewnego razu Duńczycy dopłynęli na wiosłach do samego Eanulfsbirig.

– Milcz – warknąłem do niego.

– Tak, panie.

– Może chcą tu przeczekać zimę? – zastanawiał się na głos Finan.

Pokręciłem głową.

– Gdyby tak było, wciągnęliby je na brzeg. I czemu nie zdjęli z dziobnic smoczycich głów? – Zakładamy głowy smoków albo wilków tylko wtedy, gdy wpływamy na wrogie wody, a to znaczyło, że statki nie należały do Anglów wschodnich. Obróciłem się w siodle i spojrzałem na Luddę. – Pamiętaj, że masz się nie odzywać.

– Tak, panie – odparł, choć oczy mu lśniły. Naszemu kuglarzowi spodobało się widać bycie wojownikiem.

– Co do reszty – ciągnąłem – pochowajcie krzyże.

Większość moich ludzi była chrześcijanami, nosili więc krzyże tak jak ja nosiłem młot Thora. Patrzyłem, jak chowają swe talizmany, podczas gdy ja pozostawiłem swój widoczny jak na dłoni.

Chwilę później spięliśmy konie i wyjechaliśmy z lasu na łąkę. Nie ujechaliśmy połowy drogi, gdy jeden ze statków się poruszył. Oba były zacumowane na przeciwległym brzegu, lecz jeden z nich przepłynął na drugą stronę i zobaczyłem na dziobie trzech ludzi w kolczugach. Podniosłem rękę, żeby widzieli, że nie jestem uzbrojony, i powoli skierowałem ku nim zmęczonego rumaka.

– Ktoś ty?! – zakrzyknął jeden z nich.

Mówił w języku Duńczyków, lecz na szyi miał powieszony krzyż. Był to mały drewniany krzyż z przyczepioną doń maleńką srebrną figurką Chrystusa. Może złupił go ktoś? Nie sądziłem, by wśród ludzi Sigurda byli jacyś chrześcijanie, jednak statki bezsprzecznie należały do Duńczyków.

Nieco dalej, za jego plecami, zobaczyłem czterdziestu ludzi, którzy trwali w oczekiwaniu na pokładach łodzi. Zatrzymałem się, by mógł mi się przypatrzeć. Ujrzał pana w kosztownym ryszunku zdobionym srebrnymi klamrami, z bransoletami połyskującymi w promieniach słońca i młotem Thora na szyi.

– Kim jesteś, panie? – zapytał z szacunkiem.

– Haakon Haakonson – wymyśliłem na poczekaniu. – Służę jarlowi Haestenowi.

Postanowiłem udawać jednego z ludzi Haestena, zakładałem bowiem, że żaden z wojowników Sigurda nie zna popleczników Haestena, tak więc nie będą mnie zbytnio przepytawać. Gdyby jednak stało się inaczej, wówczas Sigunn, która niegdyś podróżowała z armią Haestena, udzieliłaby stosownych odpowiedzi. Oto, dlaczego zabrałem ją ze sobą.

– Ivann Ivarrson – przedstawił się wojownik. Ucieszyło go, że znam duńską mowę, wciąż jednak był nieufny. – Co was tu sprowadza? – spytał uprzejmie.

– Szukamy jarla Jorvena – odparłem, wybierając imię człowieka, którego ziemie sąsiadowały z ziemiami Beortsiga.

– Jorvena?

– Służy jarlowi Sigurdowi – wyłuszczyłem.

– I jest razem z nim? – spytał Ivann, ani trochę niezaskoczony tym, że w poszukiwaniu jednego z ludzi Sigurda zapuściłem się tak daleko od należących do niego ziem.

To utwierdziło mnie w przekonaniu, że Sigurd istotnie jest niedaleko. Opuścił swe włości i przebywał na terenach należących do Eohrica, gdzie jedynym jego zadaniem było udaremnienie sojuszu.

– Tak mi powiedziano – odparłem nonszalancko.

– A zatem musi być na drugim brzegu rzeki – rzekł Ivann z wahaniem. –

Panie? – W jego głosie pobrzmiwała ostrożność. – Mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj – odparłem z pańska.

– Nie chcesz skrzywdzić Jorvena, panie?

Słyszając to, roześmiałem się.

– Wyświadczam mu przysługę – rzuciłem. Odwróciłem się w siodle i zerwałem kaptur z głowy Sigunn. – Uciekła od niego – wytłumaczyłem. – A jarl Haesten jest zdania, że Jorven chciałby ją odzyskać.

Ivann aż otworzył oczy ze zdumienia. Sigunn była piękną, bladą i delikatną. Miała też na tyle zdrowego rozsądku, by udawać przerażoną pod czujnym wzrokiem Ivanna i jego ludzi.

– Każdy chciałby dostać ją z powrotem – przyznał mój rozmówca.

– Jorven ani chybi ukarze sukę – rzuciłem niedbale. – Lecz może wpierw pozwoli wam trochę z nią poużywać? – Z powrotem naciągnąłem kaptur, zakrywając twarz Sigunn. – Służycie jarlowi Sigurdowi? – spytałem Ivanna.

– Królowi Eohricowi – odparł.

W chrześcijańskich księgach spisano opowieść, choć zapomniałem, o kim traktuje, a nie zamierzam pytać jednego z księży mojej żony, albowiem poczytałby za swój obowiązek poinformować mnie, że trafię do piekła, chyba że skłonię głowę przed ich ukrzyżowanym bogiem. Pamiętam jednak, że opowiadała o człowieku, który podróżował dokądś, gdy oślepiło go potężne światło i nagle zobaczył wszystko ze zdumiewającą wyrazistością. Tak właśnie poczułem się w tamtej chwili.

Eohric miał powód, by mnie nienawidzić. Puściłem z dymem Dumnoc, miasto na wybrzeżu południowej Anglii, i choć miałem motyw, by obrócić ów port w zwęglone ruiny, Eohric nie zapomniał pożogi. Myślałem, że chęć zawiązania sojuszu z Wessexem i Mercją sprawi, iż wybaczy mi taką zniewagę, teraz jednak przejrzałem jego zdradę. Pragnął mej śmierci.

Podobnie jak Sigurd, choć powody Sigurda były dużo bardziej

praktyczne. Chciał poprowadzić Duńczyków na południe, by zaatakować Mercję i Wessex, i dobrze wiedział, kto stanie na czele wrogiej armii. Uhtred z Bebbanburga. Nie jestem nieskromny. Byłem wielkim wojownikiem. Budziłem grozę. Łatwiej byłoby podbić Mercję i Wessex, gdybym był martwy. W tamtej chwili, na podmokłej nadbrzeżnej łące, zrozumiałem, na czym polegała zasadzka. Eohric, udając dobrego chrześcijanina, zaproponował, bym to ja negocjował warunki traktatu. W ten sposób chciał zwabić mnie do miejsca, gdzie Sigurd urządzi na mnie zasadzkę. Miałem zginać z ręki Sigurda, tak by Eohric był wolny od podejrzeń.

– Panie? – spytał Ivann, zdumiony moim milczeniem.

Dopiero słysząc jego głos, uświadomiłem sobie, że się w niego wgapiam.

– Sigurd najechał ziemie Eohrica? – spytałem, udając głupka.

– To nie najazd, panie – odparł Ivann. Zobaczył, że wpatruję się w przeciwny brzeg, choć poza polami i drzewami niczego tam nie było. – Jarl Sigurd poluje – skłamał gładko.

– Dlatego zostawiliście smocze łby na dziobnicach? – dopytywałem.

Rzezane w drewnie głowy bestii mają przerazić duchy naszych wrogów i zwykle zdejmujemy je, gdy wpływamy na przyjazne wody.

– To nie smoki – odparł Ivann. – To chrześcijańskie lwy. Król Eohric obstaje przy tym, byśmy zostawiali je na dziobnicach.

– Czym są lwy?

Wzruszył ramionami.

– Król mówi, że to lwy, panie – bąknął, najwyraźniej nie znając odpowiedzi.

– Cóż, to wyborny dzień na polowanie – rzekłem. – Czemu nie bierzesz w nim udziału?

– Mamy przeprowadzić łowczych przez rzekę – oznajmił. – Gdyby zwierzyna przedostała się na drugi brzeg.

Udawałem zadowolonego.

– Czyli możecie nas przeprowadzić?

– Konie potrafią pływać?

– Będą musiały – odparłem. Łatwiej było zmusić konie do pływania, niż zaganiać je na pokład. – Przyprowadzimy resztę naszych ludzi – dodałem, zwracając rumaka.

– Resztę? – Ivann natychmiast znów zrobił się podejrzliwy.

– Jej służki – rzuciłem, wskazując kciukiem Sigunn. – Moich dwóch służebnych i konie juczne. Zostawiliśmy ich we wsi. – Niedbale machnąłem ręką na wschód i dałem znak swoim ludziom, by jechali za mną.

– Możesz zostawić dziewczkę tutaj! – zaproponował z nadzieją Ivann, udałem jednak, że go nie słyszę, i wjechałem z powrotem między drzewa.

– Kurwie syny – warknąłem do Finana, kiedy byliśmy już bezpieczni.

– Kurwie syny?

– Eohric zwabił nas tu, żeby Sigurd mógł nas wygubić – wyjaśniłem. – Sigurd nie wie jednak, którym brzegiem będziemy podróżować, zostawił więc łodzie, by jego ludzie mogli się przeprowić, gdybyśmy postanowili pozostać po tej stronie rzeki. – Miałem w głowie gonitwę myśli. Może wcale nie zasadzili się na nas w Eanulfsbirig, lecz dalej na wschód, w Huntandon.

Sigurd pozwoli, bym przekroczył rzekę, i zaczeka z atakiem, aż dotrzemy do kolejnego mostu, gdzie siły Eohrica będą niczym kowadło dla jego młota. – Ty! – Mówiąc to, wskazałem Sihtrica, który niechętnie skinął głową. – Weź Ludę i znajdźcie Osfertha. Powiedz mu, żeby przywiódł tu wszystkich swoich wojowników. Mnisi i księża niech zostaną na drodze. Mają się stamtąd nie ruszać, rozumiałeś? A gdy będziecie wracać, dopilnujcie, żeby załoga łodzi was nie widziała. A teraz ruszajcie!

– Co mam powiedzieć ojcu Willibaldowi? – spytał Sihtric.

– Że jest cholernym głupcem i że ratuję mu jego bezwartościowe życie.

A teraz ruszajcie! Żwawo!

Kiedy razem z Finanem zsiadliśmy z koni, podałem Sigunn lejce.

– Zabierz je na drugi koniec lasu – rzekłem jej. – I czekaj.

Finan i ja ukryliśmy się na skraju drzew. Ivann najwyraźniej zaczął się denerwować, bo przez kilka minut spoglądał w kierunku, w którym odjechaliśmy, aż w końcu wrócił na jedną z zacumowanych łodzi.

– I co robimy? – zapytał Finan.

– Zniszczymy oba statki – odparłem.

Chciałem zrobić znacznie więcej. Miałem ochotę rozplatać Oddechem Węża tłuste gardło króla Eohrica, lecz to my byliśmy zwierzyną i nie wątpiłem, że Sigurd i Eohric mają wystarczająco dużo ludzi, by nas wygubić.

Dobrze wiedzieli, z jaką drużyną przybywam. Sigurd zapewne posłał zwiadowców w okolice Bedanfordu, a ci donieśli mu, ilu konnych zmierza wprost w przygotowaną przezeń pułapkę. Nie chciał jednak, byśmy ich zobaczyli. Pragnął, żebyśmy przeprawili się przez most w Eanulfsbirig, i dopiero wówczas zamierzał zajechać nas od tyłu, tak abyśmy znaleźli się między jego wojami a ludźmi króla Eohrica. Gdyby do tego doszło, wyróżniliby nas co do jednego. Gdyby się wszakże okazało, że podróżujemy północnym brzegiem rzeki, wojownicy Sigurda mieli przeprawić się przez Use na łodziach Ivanna i tam nas zaskoczyć. Nie próbował nawet ukryć statków. Bo i po co miałyby to robić? Zakładał, że widok dwóch wschodnioangielskich łodzi na brzegu wschodnioangielskiej rzeki nie obudzi mej czujności. Liczył, że powiodę swoich ludzi prosto w zasadzkę, wieści o rzezi dotrą do Wessexu za kilka dni, Eohric przysięgnie, że nie miał o niczym pojęcia, a winą za masakrę obarczy pogańskiego Sigurda.

Tymczasem ja zamierzałem skrzywdzić Eohrica, zadrwić z Sigurda i spędzić Yule w Buccingahamm. Moi ludzie przybyli późnym popołudniem.

Słońce wisiało nisko na zachodzie, świecąc załodze Ivanna prosto w oczy. Przez chwilę rozmawiałem z Osferthem, tłumacząc mu, co ma zrobić, a następnie odesłałem jego i sześciu wojowników, by wrócili do czekających przy drodze mnichów i księży. Odczekałem chwilę, a gdy wiszące na zimowym niebie słońce stoczyło się jeszcze niżej, zastawiłem własne sidła. Wziąłem Finana, Sigunn i siedmiu ludzi. Sigunn jechała konno, podczas gdy my szliśmy, prowadząc wierzchowce. Ivann spodziewał się zobaczyć niewielką grupę i to właśnie mu pokazałem. Podczas mojej nieobecności przepłynął łodzią na drugi brzeg, lecz teraz łódź na wiosłach wracała w naszą stronę.

– Miał na statku dwudziestu ludzi – zwróciłem się do Finana, zastanawiając się, ilu będziemy w stanie ubić.

– Po dwudziestu na każdej łodzi, panie – odparł. – Ale znad zagajnika unosi się dym. – Mówiąc to, wskazał głową kępę drzew na przeciwległym brzegu. – A to może znaczyć, że kolejni grzeją się przy ogniu.

– Nie przeprowią się przez rzekę tylko po to, żeby zginąć – warknąłem.

Rozmokła ziemia mlaskała przy każdym kroku. Wiatr ustał. Rosnące za rzeką nieliczne wiązy zachowały bladożółte liście. Spłoszone kwiczoły zerwały się do lotu. – Kiedy zaczniemy zabijać – rzekłem do Sigunn – weźmiesz konie i powiedziesz je z powrotem do lasu. Skinęła głową w milczeniu. Wziąłem ją ze sobą, bo Ivann spodziewał się ją zobaczyć, a także dlatego, że była piękna, a to oznaczało, że będzie patrzył na nią, zamiast spoglądać w stronę drzew, wśród których czaili się moi jezdni. Miałem nadzieję, że dobrze się ukryli, wołałem jednak nie oglądać się za siebie.

Ivann wyszedł na brzeg i przywiązał łódź do pnia topoli. Prąd ścigał statek w dół rzeki, dzięki czemu jego ludzie bez trudu mogli opuścić pokład. Było ich dwudziestu, a nas ledwie ośmioro. Ivann przyglądał się nam. Powiedziałem mu, że sprowadzimy dziewczki służebne, tych jednak nie było.

Ale mężczyźni widzą tylko to, co chcą zobaczyć, a Ivann nie mógł oderwać oczu od Sigunn. Czekał, niczego nie podejrzewając. Uśmiechnąłem się do niego.

– Słyszysz Eohricowi?! – zawołałem, kiedy się zbliżyliśmy.

– Tak, panie. Jest tak, jak ci mówiłem.

– I Eohric chce zabić Uhtreda? – zapytałem.

Po jego twarzy przemknął cień wahania, lecz ja nadal się uśmiechałem.

– Wiesz o... – zaczął, lecz nie miał okazji dokończyć, albowiem dobyłem Oddechu Węża, dając tym samym znak moim ludziom, by wychynęli zza drzew.

Chwilę później z lasu wypadł oddział konnych. Spod kopyt rumaków tryskały woda i grudki ziemi. Uzbrojeni we włócznie, w topory i tarcze jezdni stanowili zapowiedź nadciągającej śmierci. Wywinąłem ostrzem w kierunku Ivanna, by odsunął się od liny cumowniczej, tymczasem on potknął się i przewrócił między statkiem a brzegiem rzeki.

Chwilę później było już po wszystkim.

Na brzegu zaroilo się od konnych. Obłoczki pary ulatywały z ich ust w mroźnym powietrzu. Ivann krzyczał, błagając o litość, a jego ludzie, zdumieni nagłym atakiem, nie zdążyli nawet dobrać broni. Byli zmarznięci, znudzeni i zaskoczeni. Widok moich wojowników w hełmach, z tarczami i ostrzami odbijającymi światło jak szron, od którego miejscami wciąż jeszcze bieleła się trawa, zupełnie ich przeraził.

Załoga drugiego statku patrzyła, jak ich towarzysze składają broń. Oni także nie palili się do bitwy. Byli to ludzie Eohrica, głównie chrześcijanie, Sasi i Duńczycy, którym brakowało ambicji Sigurdowych wojowników.

Tamci duńscy wojowie wypatrywali gdzieś na wschodzie mnichów i konnych, którzy będą przeprować się przez rzekę, ci jednak byli tu jakby za karę. Mieli czekać, na wypadek gdyby okazało się, że są potrzebni,

tymczasem wszyscy woleli siedzieć we dworze i grzać się przy ogniu. Gdy obiecałem, że jeśli złożą broń, daruję im życie, przyjęli moją ofertę z żalosną wdzięcznością, a załoga drugiego statku krzyknęła, że ona również nie zamierza walczyć. Przeprowadziliśmy się łodzią Ivanna przez rzekę i tak oto zdobyliśmy dwie łodzie, nikogo przy tym nie zabijając. Zabraliśmy ludziom Eohrica kolczugi, broń i hełmy i wróciliśmy z nimi na przeciwległy brzeg.

Zostawiliśmy ich drżących z zimna po drugiej stronie – wszystkich prócz Ivanna, którego wzięliśmy w niewolę – i puściliśmy obie łodzie z dymem.

Załogi rozpały w lesie ogień, żeby się ogrzać, a my podłożyliśmy go pod statki Eohrica. Czekałem, aż wreszcie ławy wiosłarzy stanęły w płomieniach, a nieruchome powietrze zrobiło się gęste od dymu. Wówczas udaliśmy się na południe.

Dym był sygnałem i stanowił dla Sigurda jasne przesłanie, że jego plan się nie powiódł. Wkrótce usłyszy o tym od ludzi Eohrica, tymczasem jego zwiadowcy z pewnością zauważyli już mnichów i księży czekających przy moście w Eanulfsbirig. Przykazałem Osferthowi, by nie przechodzili na drugą stronę i robili wszystko, żeby ściągnąć na siebie uwagę. Naturalnie istniało ryzyko, że Duńczycy Sigurda zaatakują niemal bezbronnych duchownych, liczyłem jednak, że jarl nie zrobi tego, dopóki nie będzie miał pewności, że jestem wśród nich. I tak też uczynił.

Kiedy przybyliśmy do Eanulfsbirig, mnisi zawodzili w najlepsze. Osferth nakazał im śpiewać, tak więc nieszczęśnicy stali pod swymi wielkimi sztandarami i pieśniami wychwalali swego boga.

– Głośniej, niedojdy! – ryknąłem na nich, gdy cwałując, zbliżaliśmy się do mostu. – Śpiewajcie jak małe, głośne ptaszyny!

– Lordzie Uhtredzie! – Ojciec Willibald podbiegł ku mnie. – Co się dzieje? Co się dzieje?

– Postanowiłem wszcząć wojnę, ojczulku – odparłem radośnie. – To dużo

ciekawsze niż życie w pokoju.

Spojrzał na mnie przerażony. Zeskoczywszy z konia, zobaczyłem, że Osferth zrobił, co mu kazałem, i na środku drewnianego mostu ułożył podpałkę.

– To strzecha – rzekł do mnie. – Wilgotna.

– Ważne, by się paliła – stwierdziłem.

Strzecha zagradzała przejście przez most, maskując niską barykadę z nagromadzonego drewna. W dole rzeki gęsty dym z płonących statków bił w niebo ciemnymi słupami. Słońce staczało się za horyzont, rzucając długie cienie na wschód, gdzie ludzie Eohrica z pewnością powiadomili już Sigurda o moim przybyciu.

– Rozpętałeś wojnę? – Willibald zrównał się ze mną.

– Mur tarcz! – krzyknąłem.

Zamierzałem ustawić mur tarcz na środku mostu. Nie miało znaczenia, ilu ludzi przywiedzie Sigurd, bo tylko kilku mogło stawić nam czoło w wąskiej przestrzeni między ciężkimi drewnianymi balustradami.

– Przybyliśmy w pokoju! – oburzył się Willibald.

Bliźniacy Ceolberht i Ceolnoth również protestowali, podczas gdy Finan ustawiał ludzi w murze tarcz. Most był dość szeroki, by mogło na nim stanąć sześciu ludzi z zachodzącymi na siebie tarczami. Miałem więc cztery rzędy wojowników, zbrojnych w topory, włócznie i duże okrągłe tarcze.

– Przybyliśmy – odwróciłem się do Willibalda – bo Eohric was zdradził.

Chodziło mu nie o pokój, lecz o to, by rozpętać wojnę. Zapytaj jego. – Mówiąc to, wskazałem Ivanna. – No dalej, porozmawiaj z nim i zostawź mnie w spokoju! I powiedz tym klechom, żeby przestali zawodzić. Wówczas za dalekiej linii drzew na podmokłe pola wypadli Duńczycy.

Cały oddział liczący jakieś dwie setki ludzi jechał konno, prowadzony przez Sigurda, który dosiadał wielkiego białego ogiera. Nad nimi powiewał

sztandar z wyszytym na płótnie krukiem w locie. Widząc moich ludzi, jarl zrozumiał, że aby nas zaatakować, będzie musiał posłać swych wojów na wąski most, ściągnął więc wodze, zeskoczył z konia i ruszył ku nam pieszo. Towarzyszył mu młodszy mąż, jednak to Sigurd skupiał na sobie uwagę wszystkich. Był potężnym, barczystym człowiekiem. Poznaczoną bliznami twarz skrywała częściowo broda, tak długa, że splatał ją w dwa grube warkocze, którymi owijał szyję. Jego hełm odbijał czerwień ostatnich promieni zachodzącego słońca. Jarl nie niósł tarczy, nie dobył też miecza, wciąż jednak był duńskim panem wojny w całej okazałości. Jego hełm inkrustowano złotem, wśród splotów brody lśnił gruby złoty łańcuch, ciężkie złote ozdoby błyszczały mu na nadgarstkach, a gardziel pochwy, podobnie jak rękojeść miecza, zdobiona była złotem. Jego młody towarzysz nosił srebrny łańcuch, a jego hełm otaczał srebrny pierścień. Młodzieniec patrzył na nas zuchwale, jego twarz wyrażała wrogość i rozdrażnienie. Przeszedłem nad spiętrzoną na moście strzechą i wyszedłem im na spotkanie.

– Lordzie Uhtredzie – powitał mnie zjadliwie Sigurd.

– Jarlu Sigurdzie – odparłem tym samym tonem.

– Uprzedzałem ich, że nie jesteś głupcem – dodał. Słońce wisiało teraz tak nisko nad południowo-zachodnim horyzontem, że musiał mrużyć oczy, by mnie widzieć. Splunął na trawę. – Dziesięciu twoich ludzi przeciwko ośmiu moim – zaproponował. – Tu. – To powiedziawszy, wbił piętę w mokrą trawę.

Chciał ściągnąć moich ludzi z mostu i wiedział, że się nie zgodzę.

– Pozwól mi z nim walczyć – odezwał się jego młody towarzysz.

Spojrzałem na niego z lekceważeniem.

– Wolę zabijać wrogów, którym sypnął się już pierwszy wąż – warknąłem i wbiłem wzrok w Sigurda. – Ty przeciwko mnie – rzekłem. – Tu. – Wbiłem piętę w zmarznięte błocko.

Uśmiechnął się półgębkiem, odsłaniając poźółkłe zęby.

– Zabiłbym cię, Uhtredzie – odparł łagodnie – i tym samym uwolniłbym świat od bezwartościowego szczerzego łajna, jednak ta przyjemność musi poczekać.

Po tych słowach podwinął prawy rękaw, pokazując łubki na przedramieniu. Były to dwie cienkie deszczułki, owinięte ciasno płóciennymi bandażami. Dostrzegłem też osobliwą bliznę we wnętrzu jego dłoni, dwa cięcia, które układały się w znak krzyża. Sigurd nie był tchórzem, tak jak nie był na tyle głupi, by walczyć ze mną, kiedy zrastała mu się złamana kość ręki, w której dzierżył miecz.

– Znowu walczyłeś z kobietami? – spytałem, wskazując głową dziwną bliznę.

Świdrował mnie wzrokiem. Zdawało mi się, że moja uszczypliwość dotknęła go do żywego, on jednak się zastanawiał.

– Pozwól mi z nim walczyć! – powtórzył młodzik.

– Zamilcz! – warknął Sigurd.

Spojrzałem na młokosa. Liczył nie więcej niż osiemnaście–dziewiętnaście wiosen, był niemal w sile wieku, miał w sobie butę i pewność siebie młodego wojownika. Nosił misternej roboty kolczugę, prawdopodobnie frankijską, a ramiona ciężkie miał od bransolet, w których lubowali się Duńczycy, podejrzewałem jednak, że były to nie trofea zdobyte na poległych wrogach, lecz podarunki.

– Mój syn – przedstawił go jarl. – Sigurd Sigurdson. – Skinąłem głową, podczas gdy Sigurd Młodszy przewiercał mnie wrogim spojrzeniem. Tak bardzo pragnął się wykazać, lecz jego ojciec nie chciał nawet o tym słyszeć. – Mój jedyny syn – podkreślił.

– Wygląda na to, że spieszno mu umierać – odparłem. – Jeśli ma życzenie walczyć, chętnie je spełnię.

– To nie jego czas – uciął Sigurd. – Wiem, bo rozmawiałem z Aelfadell – dodał.

– Aelfadell?

– Ona zna przyszłość, Uhtredzie – odparł poważnym głosem, bez cienia kpiny. – Przepowiada przyszłość.

Słyszałem o Aelfadell plotki równie ulotne jak dym snujący się po Brytanii – mówiące o wieszczce z północy, która rozmawia z bogami. Jej imię, brzmiące jak słowo, które w naszym języku oznacza „koszmar”, sprawiało, że chrześcijanie czynili znak krzyża.

Wzruszyłem ramionami, jakby mnie to nie obeszło.

– I co mówi starucha?

Sigurd skrzywił twarz.

– Twierdzi, że syn Alfreda nigdy nie będzie władał Brytanią.

– A ty jej wierzysz? – spytałem, choć wiedziałem, że tak właśnie jest, albowiem mówił jasno i otwarcie, jak gdyby podawał mi cenę wołu.

– Ty także byś jej uwierzył – odparł. – Lecz nie pożyjesz tak długo, by się z nią spotkać.

– Ona ci to powiedziała?

– Mówi, że jeśli ty i ja się spotkamy, twój przywódca zginie.

– Mój przywódca? – Udałem rozbawionego.

– Ty – odparł posepnie Sigurd.

Splunąłem na trawę.

– Ufam, że Eohric dobrze ci płaci za ten zmarnowany czas.

– Zapłaci – rzucił hardo Sigurd, a zaraz potem odwrócił się, chwycił syna za łokieć i odszedł.

Mimo buty w głosie w mojej duszy zalegął się strach. A jeśli wiedźma Aelfadell się nie myliła? Bogowie mówią do nas, choć rzadko możemy ich

zrozumieć. Czy moim przeznaczeniem było zginąć tu, nad brzegiem rzeki?

Sigurd w to wierzył i szykował swych ludzi do ataku, na który nigdy by się nie porwał, gdyby wcześniej nie poznał jego rezultatu. Nikt, nieważne, jak wprawiony w walce, nie przerwałby muru tarcz tak mocnego jak ten, który ustawiłem na moście, lecz ludzie natchnieni przepowiednią byli gotowi popełnić każde głupstwo, wiedząc, że los przeznaczył im zwycięstwo. Dotknąłem rękojeści Oddechu Węża i młota Thora, który nosiłem zawieszony na szyi, i wróciłem na most.

– Rozpalcie ogień – nakazałem Osferthowi.

Nadszedł czas, by podpalić most i wycofać się, a Sigurd, jeśli był mądry, pozwolił nam odejść. Jego plan zasadzenia się na nas nie powiódł się, a nasza pozycja na moście była dużo lepsza. Jednak w głowie jarła rozbrzmiewały słowa przepowiedni dziwnej kobiety, dlatego też zaczął zagrzewać swych ludzi do walki. Słyszałem, jak krzyczą w odpowiedzi, uderzają ostrzami w tarcze, zeskakują z koni i formują szyk. Osferth przyniósł płonąca pochodnię, a gdy podetknął ją pod naniesioną na most strzechę, dym zgęstniał. Duńczycy wyli jak potępieńcy, a ja precyzyjnie przycisnąłem się na sam środek naszego muru tarcz.

– Musi naprawdę chcieć twojej śmierci, panie – mruknął rozbawiony Finan.

– To głupiec – odparłem.

Nie powiedziałem Finanowi, że wiedźma przepowiedziała moją śmierć. Był wprawdzie chrześcijaninem, ale wierzył we wszystkie opowieści o duchach i upiorach, tak jak wierzył, że w lasach żyją elfy, a nocą między chmurami można zobaczyć zjawy. Gdybym mu więc powiedział o prorocztwie Aelfadell, byłby równie przerażony jak ja. Wiedziałem, że jeśli Sigurd zaatakuje, będę musiał walczyć, bo musieliśmy utrzymać most, dopóki ogień nie rozgorzeje, a Osferth miał rację co do strzechy – była zrobiona z trzciny, nie ze słomy, a do tego zawilgotniała. Kopciła tylko, lecz

drewniane belki mostu, które Osferth i jego ludzie osłabili, rąbiąc je toporami, nie chciały zająć się ogniem.

Tymczasem druzynnicy Sigurda aż palili się do walki. Tłukli mieczami i toporami o ciężkie tarcze i przepychali się między sobą, by poprowadzić atak. Byli na wpół oślepieni przez słońce i krztusili się od dymu, ale i tak spieszno im było do bitki. Sława jest wszystkim i tylko ona towarzyszy nam w podróży do Walhalli, a człowiek, który pozbawiłby mnie życia, z całą pewnością mógł na nią liczyć. I tak oto w dogasających promieniach słońca Duńczycy gotowali się, by na nas uderzyć.

– Ojcie Willibaldzie! – krzyknąłem.

– Panie? – Od strony brzegu dobiegł mnie nerwowy głos.

– Przynieś ten wielki sztandar! Niech dwaj twoi mnisi trzymają go nad naszymi głowami!

– Tak, panie – rzekł wyraźnie zaskoczony i uradowany.

Po chwili dwóch mnichów przyniosło płótno z wyhaftowanym na nim ukrzyżowanym Chrystusem. Kazałem im stanąć tuż za ostatnią linią moich ludzi i przydzieliłem dwóch wojowników, by dołączyli do nich. Przy najmniejszym wietrze ogromne płótno na nic by się nie zdało, lecz teraz górowało nad nami: zielone, złote, brązowe, niebieskie i ciemnoczerwone w miejscu, gdzie włócznia żołnierza przebiła Chrystusowy bok. Willibald myślał, że wykorzystuję magię jego religii, by przydać mocy naszym mieczom i toporom, a ja nie wyprowadzałem go z błędu.

– To przysłoni im oczy – ostrzegł mnie Finan. Chciał przez to powiedzieć, że wielki cień rzucany przez sztandar pozbawi nas przewagi, jaką dawało nam słońce, które świeciło Duńczykom prosto w oczy.

– Tylko przez chwilę – odparłem. – Ani drgnijcie! – huknąłem na dwóch mnichów podtrzymujących ciężkie drzewce, na których zawieszono płócienny kwadrat.

Właśnie wtedy, może rozjuszeni widokiem sztandaru, Duńczycy, rycząc, rzucili się do ataku. Patrząc, jak na nas szarżują, wspomniałem swój pierwszy mur tarcz. Byłem wówczas młody i przerażony, stałem na moście nie szerszym od tego, na którym przyszło mi stać teraz, z Tatwine'em i jego Mercjanami, kiedy zaatakowała nas grupa walijskich złodziei bydła. Najpierw zasypali nas gradem strzał, a następnie natarli na nas. Wówczas na tamtym moście poznałem, czym jest radość walki. Teraz, stojąc tu, sięgnąłem po Żądło Osy. Mój wielki miecz nosił miano Oddech Węża, lecz jego młodszy brat, Żądło Osy, był krótkim zabójczym ostrzem, idealnym do walki w murze tarcz. Kiedy mężczyźni zwierają się niczym kochankowie, a ich tarcze napierają na siebie, kiedy czujesz na sobie ich cuchnące oddechy, widzisz ich gnijące zęby i pchły w brodach, kiedy nie ma miejsca, by wywijać toporem wojennym ani długim mieczem, Żądło Osy uderza znienacka. Był to niosący śmierć saks, wyśmienity do wypruwania flaków moim wrogom.

W tamten zimowy dzień doszło do prawdziwej rzezi. Duńczycy, ujrawszy naniesioną na most strzechę, uznali, że to nic więcej jak kopcające zawilgotniałe trzciny, jednak pod trzcina Osferth i jego ludzie ukryli belki dachowe, gdy więc nasi wrogowie próbowali rozkopać strzechę i utorować sobie drogę przez most, natknęli się na krokwie i zaczęli wpadać jedni na drugich. Niektórzy ciskali w nas włóczniami, te jednak wbijały się w nasze tarcze, czyniąc je nieporęcznymi, lecz w tamtej chwili nie miało to znaczenia.

Duńczycy biegnący w pierwszej linii potknęli się o belki, popychani do przodu przez tych, którzy biegli nieco z tyłu. Kopnąłem jednego w twarz i poczułem, jak wzmocniony żelaznymi płytkami but miażdży kość.

Wikingowie leżeli rozplaszczeni u naszych stóp, podczas gdy ich towarzysze próbowali przedrzeć się do przodu i nas dosięgnąć. Tymczasem my zabijaliśmy. Dwóm z nich udało się sforsować kopcającą barykadę i rzucili

się na nas. Jeden padł dźgnięty Żądłem Osy, którym zaatakowałem go zza krawędzi tarczy. Wywijał toporem, którego ostrze utkwilo w tarczy stojącego za mną wojownika. Duńczyk nadal ścisnął stylisko topora, gdy zobaczyłem, że jego oczy rozszerzają się, a usta wykrzywia grymas agonii. Obróciłem ostrze i szarpnąłem nim do góry, podczas gdy stojący obok mnie Cerdic ciął toporem. Mężczyzna ze zmiażdżoną twarzą trzymał mnie za kostkę, a gdy go dźgnąłem, oślepiła mnie krew, tryskająca spod ostrza Cerdicowego topora.

Leżący u mych stóp Duńczyk zaskomlał i próbował się odczołgać, lecz Finan raz i drugi ciął go mieczem w udo. Żeleźce duńskiego topora zaczepiło o górną krawędź mojej tarczy, a jego właściciel szarpnął w dół, by wystawić mnie na pchnięcie włócznią, lecz ostrze ześlizgnęło się z okrągłej tarczy i włócznia pomknęła w górę. Ja tymczasem kolejny raz dźgnąłem Żądłem Osy, a czując, że saks utkwil w ciele przeciwnika, przekręciłem nadgarstek. Finan ciął Duńczyków, śpiewając przy tym irlandzką pieśń bojową.

– Zewrzeć tarcze! – zagrziałem na swoich ludzi.

Ćwiczyliśmy to niezmordowanie każdego dnia. Jeśli mur tarcz idzie w rozsypkę, śmierć bierze ludzi we władanie, lecz jeśli się utrzyma, umierają wrogowie. Pierwsi Duńczycy rzucili się na nas jak szaleni, natchnieni wiedźmią przepowiednią, i wpadli na barykadę, która uczyniła z nich łatwą pożywkę dla naszych mieczy. Nie mieli szans rozbić naszego muru tarcz, byli bowiem zbyt niezdyscyplinowani i zdezorientowani. Teraz trzech z nich leżało martwych pośród rozrzuconych trzcin, które płonęły niechętnie, podczas gdy kopzące belki wciąż stanowiły niską przeszkodę dzielącą nas od wroga. Ci z Duńczyków, którzy przetrwali pierwsze starcie, nie czekając, wrócili na brzeg, gdzie druga grupa gotowała się do ataku. Było ich ze dwudziestu – rosłych mężów, zbrojnych we włócznie i gotowych zabijać. Ci jednak nie zamierzali atakować bez ładu i składu jak ich poprzednicy, lecz szli wolno i z rozmysłem. Umieci walczyć w murze tarcz i znali się na rzeczy,

ich tarcze zachodziły na siebie, a broń błyszczała w promieniach zachodzącego słońca. Działali bez pośpiechu i wiedziałem, że nie będą się potykać. Nadciągną powoli, użyją długich włóczni, by rozerwać nasze szyki i zrobić miejsce dla swych mieczy i toporów.

– Boże, miej nas w opiece! – zakrzyknął Willibald, gdy Duńczycy dotarli do mostu. Posuwali się ostrożnie, mierząc nas uważnym wzrokiem. Niektórzy wywrzaskiwali obelgi, jednak ledwie ich słyszałem. Patrzyłem na nich. Twarz i kolczugę miałem zbryzgane krwią. Moja tarcza była ciężka od tkwiącej w niej duńskiej włóczni, a ostrze Żądła Osy lśniło od krwi. – Zarznij ich, o Panie! – modlił się Willibald. – Wygub pogan! Ukarz ich, Panie, w swoim miłosierdziu!

Mnisi znów poczęli zawodzić. Duńczycy odwlekli na bok martwych i konających, by przygotować się do natarcia. Byli teraz blisko, bardzo blisko, wciąż jednak poza zasięgiem naszych ostrzy. Patrzyłem, jak ich tarcze na powrót się zwierają, a gdy podnieśli włócznie, usłyszałem rozkaz do ataku. W tej samej chwili dotarł do mnie schrypnięty głos ojca Willibalda.

– Chrystus jest naszym przywódcą! Walczcie dla Chrystusa! Nie możemy zawieść!

Roześmiałem się.

– Teraz! – ryknąłem na dwóch ludzi stojących obok mnichów. – Teraz!

Wielki sztandar runął do przodu. Kobiety na dworze Alfreda miesiącami tkwały go z drogiej barwionej wełny, poświęciły na niego długie miesiące modlitwy, miłości i pracy, a teraz postać Chrystusa spadła na szarżujących Duńczyków. Płócienna płachta opadła na nich niczym rybacka sieć, oślepiając tych, którzy szli w pierwszym szeregu, a gdy to się stało, dałem swoim ludziom znak do ataku.

Łatwo umknąć przed grotem włóczni, jeśli dzierżący ją człowiek nie może cię zobaczyć. Krzyknąłem do ludzi w drugim szeregu, by chwycili za

broń i trzymali ją w gotowości, podczas gdy my rzuciliśmy się na włóczników. Topór Cerdica bez trudu przedzierał się przez płótno, wełnę i żelazo, sięgając kości i mózgow. Z bojowym okrzykiem na ustach rąbaliśmy wrogów, usypując z ich ciał nową barykadę. Część Duńczyków cięła sztandar, który przykrył ich niczym całun, pozbawiając widoku. Finan kroił ostrzem nadgarstki włóczników, Duńczycy rozpaczliwie próbowali wyswobodzić się spod płótna, my tymczasem siekliśmy, rąbaliśmy i pchaliśmy, podczas gdy wokół nas gęstniał dym z tłących się porozrzucanych trzcin. Poczulem żar na kostce. Belki w końcu zajęły się ogniem. Sihtric, obnażając zęby w potwornym grymasie, raz za razem rąbał toporem, siekł nim uwięzionych Duńczyków.

Cisnąłem Żądło Osy na brzeg rzeki i chwyciłem porzucony topór. Nigdy nie lubiłem walczyć toporem. To nieporęczna broń. Jeśli pierwszy cios zawiedzie, trzeba zbyt dużo czasu, by wyprowadzić kolejny, a samemu naraża się na atak. Jednak ten wróg był już pokonany. Potargany sztandar teraz czerwienił się od krwi, przesiąkł nią. Tymczasem ja raz za razem opuszczałem broń, rąbiąc szerokim żeleźcem kolczugę, ciało i kość, krztusiłem się od dymu, Duńczyk wrzeszczał jak opętany, moi ludzie krzyczeli, słońce było kulą ognia wiszącą na zachodzie, a wilgotna od wody równina skrzyła się czerwienią.

Cofnęliśmy się. Zobaczyłem dziwnie radosną twarz Chrystusa trawioną ogniem, gdy sztandar stanął w płomieniach. Płótno płonie szybko, więc czarna plama rozlewała się na kolejne warstwy materiału. Osferth znosił ze zrównanej z ziemią chaty coraz więcej trzciny i drewna, którymi karmiliśmy niewielkie płomienie, patrząc, jak ogień nabiera mocy. Ludzie Sigurda mieli dość. Oni również się wycofali i stojąc na przeciwległym brzegu, patrzyli, jak ogień bierze most we władanie. Przeciągnęliśmy cztery duńskie trupy na naszą stronę mostu i ogołociliśmy ze srebrnych łańcuchów, bransolet i

emaliowanych pasów. Sigurd dosiadł białego rumaka i wpatrywał się we mnie. Jego ponury syn, który nie brał udziału w walce, splunął w naszą stronę. Sam jarl nie rzekł ani słowa.

– Aelfadell się pomyliła! – zawołałem, wiedźma jednak miała rację. Nasz przywódca zginął, może drugi raz, a wypalona w płótnie dziura wskazywała miejsce, gdzie był i gdzie został strawiony przez ogień.

Czekałem. Było już po zmroku, gdy most runął do wody, a w rozświetlone płomieniami powietrze wzbijała się z sykiem gęsta chmura pary. Kamienne filary wzniesione przez Rzymian były okopcone, lecz wciąż nadawały się do użytku, trzeba będzie jednak wielu godzin ciężkiej pracy, by odbudować most. Podczas gdy spalone belki spływały w dół rzeki, my opuściliśmy brzeg.

Noc była zimna.

Szliśmy. Pozwoliłem mnichom i księżom jechać konno, trzęśli się bowiem i byli słabi, my tymczasem prowadziliśmy konie. Wszyscy chcieli odpocząć, ja jednak nie zezwoliłem na popas, wiedząc, że Sigurd i jego ludzie ruszą naszym śladem, gdy tylko przeprawią się przez rzekę. Kroczyliśmy pod jasnym, zimnym światłem gwiazd, aż do Bedanfordu. Dopiero gdy znalazłem porośnięte drzewami wzgórze, na którym w razie potrzeby mogliśmy się bronić, pozwoliłem swoim ludziom udać się na spoczynek. Tej nocy nie rozpaliliśmy ognia. Patrzyłem w dal, wypatrując Duńczyków, ci jednak nie nadeszli.

Następnego dnia wróciliśmy do domu.

[*] Huskarlowie – anglosaska oraz wikińska straż przyboczna władców.

ROZDZIAŁ TRZECI

Święto Yule nadeszło i przeminęło, a po nim nastąpiły burze, które wraz ze śniegiem nadciągnęły od Morza Północnego. Ojciec Willibald, zachodniosascy księża, mercyjscy bliźniacy i śpiewający mnisi zmuszeni byli zostać w Buccinghamm do czasu, aż pogoda się poprawi, a wówczas wysłałem Cerdica i dwudziestu włóczników, by bezpiecznie odstawili ich do domu. Zabrali ze sobą magiczną rybę i Ivanna, więźnia. Alfred, jeśli nadal żył, z pewnością chciałby usłyszeć o zdradzie Eohrica. Dałem Cerdicowi list do Aethelflaed. Po powrocie zarzekał się, że przekazał go jednej z zaufanych dworów, lecz nie przywiózł odpowiedzi.

– Nie pozwolono mi zobaczyć się z panią – wyjaśnił. – Trzymają ją w zamknięciu.

– W zamknięciu?

– W pałacu, panie. Nic, tylko płaczą i zawodzą.

– Ale Alfred żył, kiedy wyjeżdżałeś?

– Tak, panie, lecz księża powiedzieli, że jedynie modlitwy utrzymują go przy życiu.

– Zawsze tak mówią.

– A lord Edward się zaręczył.

– Zaręczył?

– Poszedłem na ceremonię, panie. Zamierza poślubić panią Aelflaed.

– Córkę ealdormana?

– Tak, panie. Tak zdecydował król.

– Biedny Edward – rzekłem, mając w pamięci plotki ojca Willibalda o tym, że następca Alfreda chciał poślubić dziewczynę z Kentu.

Aelflaed była córką Aethelhelma, ealdormana Sumorsaete, a Alfred najpewniej zaaranżował małżeństwo, by związać Edwarda z najszlachetniejszym rodem Wessexu. Zastanawiałem się, jaki los spotkał Kentyjkę.

Sigurd wrócił na swoje ziemie, skąd od czasu do czasu wysyłał oddziały w głąb saskiej Mercji, by paliły, mordowały, zniewalały i kradły. Była to wojna graniczna, która niczym nie różniła się od ciągłych walk, jakie prowadzili między sobą Szkoci i Northumbryjczycy. Żaden z jego oddziałów nie dotarł do moich włości, lecz moje pola leżały na południe od rozległych ziem Beornnotha i gniew Sigurda skupił się na ealdormanie Aelfwoldzie, synu człowieka, który poległ, walcząc u mego boku pod Beamfleot.

Ciekawiło mnie jednak, że ludzie jarla nie zapuszczają się na ziemie Beornnotha. Dlatego w marcu, gdy w żywopłotach zabieliły się gwiazdnice, wziąłem piętnastu ludzi i udałem się do dworu Beornnotha z noworocznym podarkiem z sera i solonej baraniny. Zastałem starca okutanego w futro i przygarbionego na krześle. Twarz miał zapadniętą, oczy wodniste, a dolna warga drżała mu niekontrolowanie. Beornnoth umierał. Beortsig, jego syn, patrzył na mnie z ponurą miną.

– Już czas dać Sigurdowi nauczkę – orzekłem.

Beornnoth ściągnął brwi.

– Przestań tak krążyć – nakazał mi. – Przez ciebie czuję się stary.

– Jesteś stary – odparłem.

Słyszając to, skrzywił się.

– Jestem jak Alfred – odparł. – I już niedługo spotkam się ze swoim Bogiem. Stanę przed tronem Chrystusowym i dowiem się, kto będzie żył

dalej, a kto spłonie. Wpuszczą go do nieba, prawda?

– Powitają Alfreda z otwartymi ramionami – zgodziłem się. – A ciebie?

– W piekle przynajmniej nie zmarznę – mruknął i drżącą ręką otarł ślinę z brody. – A więc chcesz walczyć z Sigurdem?

– Chcę zabić drania.

– Miałeś okazję przez Bożym Narodzeniem – przypomniał mi Beortsig, ja jednak puściłem tę uwagę mimo uszu.

– On czeka – odezwał się Beornnoth. – Czeka, aż Alfred umrze. Do tego czasu nie zaatakuje.

– On już atakuje – odparłem.

Beornnoth pokręcił głową.

– To tylko rajdy – rzucił lekceważąco. – Wciągnął swoje statki na brzeg w Snotengaham.

– Snotengaham? – spytałem zaskoczony.

Żaden statek w Brytanii nie zapuścił się jeszcze tak daleko w głąb lądu.

– To dowód na to, że nie planuje niczego poza rajdami.

– To dowód na to, że nie planuje ataków od strony morza – odparłem. –

Ale co go powstrzyma przed atakiem z lądu?

– Może i tak uczyni – zgodził się Beornnoth. – Kiedy Alfred umrze.

Tymczasem kradnie tylko bydło.

– A zatem i my ukradniemy mu bydło – odparłem.

Beortsig skrzywił się, a jego ojciec wzruszył ramionami.

– Po co szturchać diabła, kiedy śpi? – spytał starzec.

– Aelfwold nie uważa, żeby spał – rzekłem.

Beornnoth się roześmiał.

– Aelfwold jest młody – mruknął z lekceważeniem. – I ambitny. Sam prosi się o kłopoty.

Saskich panów Mercji można było podzielić na dwa obozy: tych, którzy pogardzali dominacją Sasów zachodnich na ich ziemiach, i tych, którzy byli jej zwolennikami. Ojciec Aelfwolda popierał Alfreda, podczas gdy Beornnoth rozpamiętywał czasy, gdy Mercja miała swojego króla, i jak inni jemu podobni nie posłał ludzi, by wspomogli mnie w walce z Haestenem. Wolał, by dowodził nimi Aethelred, a to oznaczało, że stacjonowali w Gleawecestre, czekając na atak, który nigdy nie nastąpił. Frakcje te nie darzyły się sympatią, lecz Beornnoth był uczciwym człowiekiem, choć może zbliżająca się śmierć sprawiła, że nie chciał podsycać dawnych antagonizmów. Zaprosił nas, byśmy zostali na noc.

– Opowiedz mi historię – zwrócił się do mnie. – Lubię słuchać opowieści.

Opowiedz mi o Beamfleot. – Była to wymowna prośba i zawołane przyznanie się do tego, że latem ubiegłego roku jego ludzie byli w niewłaściwym miejscu.

Nie opowiedziałem mu całej historii. Zamiast tego, gdy wielki ogień zabarwił powałę na czerwono, a ale rozwiązało ludziom języki, snułem opowieść, jak zginął Aelfwold Starszy. Jak szarżował ze mną ramię w ramię, jak rozbił duński obóz i jak wspólnie sialiśmy zniszczenie pośród przerażonych mężczyzn na skraju wzgórza. O tym, jak uderzyły na nas duńskie posiłki i jak rozgorzała walka. Słuchali mnie z uwagą. Niemal wszyscy zgromadzeni w izbie stali w murze tarcz, znali więc strach, który ogarnia człowieka w tamtej chwili. Opowiedziałem, jak zabito mi konia, jak utworzyliśmy okrąg z tarcz i walczyliśmy przeciwko ryczącym wściekle Duńczykom, którzy mieli nad nami przewagę liczebną. Opisałem śmierć Aelfwolda tak, jak sam by tego chciał, opowiadając o tym, jak zabijał wrogów, jak posyłał pogan w zaświaty i jak kładł Duńczyka za Duńczykiem, aż w końcu cios topora rozłupał mu hełm i pozbawił go życia. Nie powiedziałem, jak spojrzał na mnie z wyrzutem, i nie powtórzyłem jego

ostatnich słów, w których pobrzmiwała nienawiść, wierzył bowiem niesłusznie, że go zdradziłem. Skonał przy mnie i w tamtej chwili ja także gotowałem się na śmierć, przekonany, że Duńczycy wygubią nas w ten spływający krwią poranek. Nadciągnął jednak Steapa z oddziałem Sasów zachodnich i niechybna klęska przerodziła się w nieoczekiwane zwycięstwo.

Drużynnicy Beornnotha poczęli walić pięściami w stoły, by wyrazić uznanie dla mojej historii. Ludzie lubują się w opowieściach o bitwach, dlatego najmujemy bardów, by wieczorami zabawiali nas historiami o wojownikach, mieczach, tarczach i toporach.

– To zacna opowieść – orzekł Beornnoth.

– Śmierć Aelfwolda to twoja wina – przemówił ktoś z głębi izby.

Przez moment zdawało mi się, że słuch płąta mi figle albo że słowa te nie były skierowane do mnie. W sali zapadła cisza.

– Nie powinniśmy byli walczyć! – Głos należał do Sihtrica. Zerwał się na równe nogi i widziałem, że jest pijany. – Nie posłałeś zwiadowców do lasu! – warknął. – Ilu ludzi straciło życie, bo nie posłałeś zwiadowców do lasu? – Byłem zbyt zdumiony, by cokolwiek powiedzieć. Sihtric był moim sługą, ocaliłem mu życie i sprawiłem, że z dzieciaka wyrósł na mężczyznę i wojownika. Dałem mu złoto, nagradzałem go, tak jak pan nagradza swych ludzi, a teraz patrzył na mnie z nienawiścią w oczach. Beortsig, naturalnie, rozkoszował się tą chwilą, popatrując to na mnie, to na Sihtrica. Rypere, przyjaciel Sihtrica, siedzący obok niego na ławie, położył mu rękę na ramieniu, ten jednak ją strącił. – Ilu ludzi zginęło tamtego dnia przez twoje zaniechanie?! – ryknął na mnie.

– Jesteś pijany – odparłem ostro. – Jutro będziesz się przede mną płaszczył i może ci wybaczę.

– Lord Aelfwold żyłby dziś, gdybyś miał odrobinę rozumu! – wrzasnął.

Niektórzy z moich ludzi próbowali go uciszyć, ja jednak krzyknąłem: –

Podejź tu i uklęknij przede mną! Zamiast tego splunął w moją stronę. W izbie zapanował rejwach. Ludzie Beornnotha podjudzali Sihtrica, podczas gdy moi wyglądali na kompletnie zbitych z tropu.

– Dajcie im miecze! – zawołał ktoś.

Sihtric wyciągnął dłoń.

– Dajcie mi miecz! – huknął.

Ruszyłem w jego stronę, lecz Beornnoth zaśmiał się i chwycił mnie za rękaw.

– Nie w moim dworze, lordzie Uhtredzie – ostrzegł mnie. – Nie w moim dworze. – Zatrzymałem się, a Beornnoth niezdarnie dźwignął się na nogi.

Żeby ustać, musiał przytrzymywać się ręką krawędzi stołu, drugą drżącą dłoń wymierzył zaś w Sihtrica. – Wyprowadźcie go! – nakazał.

– Trzymaj się ode mnie z daleka! – krzyknąłem za nim. – Razem z tą suką, którą wzięłeś za żonę!

Sihtric próbował wyrwać się trzymającym go mężczyznom, ale był zbyt pijany, a ich uścisk zbyt silny. Chwilę później wśród drwin i gwizdów ludzi Beornnotha wywlekli go z izby. Beortsig roześmiał się, widząc moją konsternację. Jego ojciec zgromił go wzrokiem i opadł ciężko na krzesło.

– Wybacz – mruknął.

– Pożałuje tego – wycedziłem mściwie przez zaciśnięte zęby.

Nazajutrz rano nie widziałem Sihtrica, nie pytałem też, gdzie Beornnoth go ukrył. Gotowaliśmy się do powrotu, kiedy dwaj ludzie wynieśli Beornnotha na podwórze.

– Obawiam się, że umrę przed Alfredem – rzekł.

– Ja zaś mam nadzieję, że przeżyjesz jeszcze wiele lat – odparłem.

– Kiedy Alfred umrze, Brytanię ogarnie chaos – ciągnął. – Wszystko, co pewne, odejdzie razem z nim. – Zawiesił głos. Wciąż był zakłopotany tym,

co ubiegłej nocy wydarzyło się pod jego dachem. Był świadkiem, jak jeden z moich ludzi mnie obraża, powstrzymał mnie przed wymierzeniem mu stosownej kary i incydent ten leżał między nami niczym żarzący się węgiel.

A jednak obaj udawaliśmy, że nic się nie stało.

– Syn Alfreda to dobry człowiek – uspokoiłem go.

– Edward jest młody – rzucił pogardliwie. – I kto wie, na kogo wyrośnie?
– Westchnął. – Życie to opowieść, która nie ma końca – ciągnął. – Ale chciałbym przed śmiercią usłyszeć jeszcze kilka wersów. – Pokręcił głową. – Edward nie będzie rządził.

Uśmiechnąłem się.

– On pewnie jest innego zdania.

– Tak głosi przepowiednia, lordzie Uhtredzie – rzekł z powagą.

Zaskoczyły mnie jego słowa.

– Przepowiednia? – powtórzyłem.

– Jest wieszczka, która widzi przyszłość – odparł.

– Aelfadell? – spytałem. – Widziałeś ją?

– Beortsig ją widział – rzekł, spoglądając na syna, który na dźwięk imienia wieszczki uczynił znak krzyża.

– Co powiedziała? – zwróciłem się do nachmurzonego Beortsiga.

– Nic dobrego – odparł szorstko i zamilkł.

Usiadłem w siodle i rozejrzałem się w poszukiwaniu Sihtrica, ten jednak wciąż się ukrywał, tak więc zostawiłem go u Beornnotha i ruszyliśmy w drogę powrotną. Finan nie mógł pojąć jego zachowania.

– Musiał być kompletnie pijany – odezwał się w zdumieniu.

Przemilczałem jego słowa. Pod wieloma względami to, co mówił Sihtric, było prawdą. Aelfwold zginął przez moje niedbalstwo, to jednak nie dawało Sihtriciowi prawa, by oskarżać mnie otwarcie w izbie pełnej ludzi.

– Zawsze był dobrym człowiekiem – ciągnął Finan. – Choć ostatnio zrobił się opryskliwy. Nie rozumiem.

– Upodabnia się do ojca – odparłem.

– Kjartana Okrutnego?

– Nie powinienem był ratować mu życia.

Finan pokiwał głową.

– Chcesz, żebym go zabił?

– Nie – odparłem stanowczo. – Tylko jeden człowiek może go zabić. Ja.

Rozumiesz? Jest mój i dopóki go nie wypatroszę, nie chcę słyszeć jego imienia. Po powrocie do domu wygnałem z dworu Ealhswith, żonę Sihtrica, i jego dwóch synów. Były łzy i błagania, pozostałem jednak niewzruszony.

Ealhswith odeszła.

Następnego dnia wyruszyłem zastawić pułapkę na Sigurda. To były dni pełne trwogi. Cała Brytania czekała na wieści o śmierci Alfreda, wiedząc, że wraz z jego odejściem rozsypią się patyczki runiczne. Od ich układu zależał los Brytanii, a jaki był to los, nikt nie wiedział, chyba że wieszczka rzeczywiście znała prawdę. Wessex potrzebował kolejnego silnego króla, który ochroniłby jego mieszkańców, w Mercji część ludzi pragnęła tego samego, podczas gdy inni chcieli odzyskać własnego władcę, a na rządzonej przez Duńczyków północy wciąż marzono o podboju Wessexu. Tymczasem Alfred przeżył wiosnę i lato, ludzie czekali i marzyli, zboża rosły, a ja powiodłem czterdziestu sześciu wojów na wschód i północ, do kryjówki Haestena.

Wolałbym mieć pod sobą trzy setki. Wiele lat temu przepowiedziano mi, że pewnego dnia powiodę przez Brytanię wielką armię, lecz aby mieć armię, mężczyzna musi mieć ziemię, a moje włości z ledwością wystarczały na utrzymanie jednej drużyny. Zbierałem daniny w ziarnie i pobierałem opłaty od kupców korzystających z rzymskiego traktu, który biegł przez ziemie

Aethelflaed, był to jednak marny przychód, dlatego mogłem powieść do Ceasteru jedynie czterdziestu sześciu ludzi.

To ponure miejsce od zachodu zamieszkiwali Walijscy, a od wschodu i północy rządili nim duńscy panowie, którzy nie uznawali żadnej władzy poza własną. Rzymianie zbudowali fort w Ceasterze i to w jego ruinach znalazł schronienie Haesten. Był czas, że jego imię przepełniało lękiem serce każdego Sasa, teraz jednak stanowił cień samego siebie, jego armia liczyła niespełna dwie setki ludzi, lecz nawet ich lojalności nie mógł być pewien.

Z początkiem zimy miał pod sobą przeszło trzystu wojowników, lecz wojownicy oczekują od swego pana, że da im coś więcej niż strawę i ale. Chcą srebra, złota i niewolnych. I tak oto kolejni ludzie Haestena opuszczali go, szukając dla siebie innych panów. Dołączali do Sigurda i Kanuta, rozdawców złota.

Ceaster leżał na skraju Mercji i trzy mile na południe od fortu natknąłem się na oddziały Aethelreda, nieco ponad stu pięćdziesięciu ludzi, których zadaniem było mieć oko na Haestena i osłabiać go, nękać jego zwiadowców. Dowodził nimi młodzik imieniem Merewalh, który wyraźnie ucieszył się na mój widok.

– Przyjechałeś zabić żalosego drania, panie? – spytał.

– Tylko na niego popatrzeć – odparłem.

Po prawdzie przybyłem po to, by to mnie się przyjrano, choć nie zamierzałem nikomu o tym mówić. Chciałem, żeby Duńczycy wiedzieli, że jestem w Ceasterze, tak więc przeparadowałem ze swoim oddziałem na południe od starego rzymskiego fortu, obnosząc się ze swoim sztandarem z głową wilka. Przywdziałem najlepszą zbroję wypolerowaną na wysoki błysk przez Oswiego, mojego służebnego, i podjechałem dostatecznie blisko starych murów, by jeden z ludzi Haestena próbował dosięgnąć mnie strzałą. Ujrzałem pióro lotki i patrzyłem, jak krótkie drzewce wbiły się w ziemię

kilka kroków od kopyt mojego rumaka.

– Nie obroni tych wszystkich murów – rzekł smętnie Merewalh.

Miał rację. Rzymski fort w Ceasterze był tak rozległy, że mógł uchodzić niemal za miasto, i ludzie Haestena nie byli w stanie zabezpieczyć rozpadających się murów na całej ich długości. Merewalh i ja mogliśmy zjednoczyć siły i zaatakować nocą. Może znaleźlibyśmy niestrzeżony fragment umocnień i stoczylibyśmy walkę na ulicach, ale nasze siły były zbyt zbliżone do tych, którymi dysponował Haesten, nie chcieliśmy więc ryzykować. Stracilibyśmy ludzi, pokonując wroga, który już był pokonany, dlatego zadowolilem się myślą, że Haesten wie, iż przybyłem, by z niego szydzić. Ach, jakże musiał mnie nienawidzić. Ledwie przed rokiem był najpotężniejszym ze wszystkich wikingów, a teraz ukrywał się niczym lis zagoniony do nory. I wszystko to z mojej winy. Jednak Haesten był szczwanym lisem, więc wiedziałem, że już teraz knuje, jak odzyskać władzę.

Stary fort pobudowano w wielkim zakolu rzeki Dee. Tuż za południowymi murami znajdowały się ruiny wielkiej kamiennej budowli, będącej niegdyś areną, na której – jak opowiedział mi ksiądz Merewalha – rzucano chrześcijan na pożarcie dzikim bestiom. Niektóre rzeczy są zbyt piękne, by były prawdziwe, dlatego zastanawiałem się, czy mu wierzyć.

Ruiny areny byłyby wyborną twierdzą dla tak niewielkiego oddziału jak ten, któremu przewodził Haesten, on jednak postanowił skupić wszystkie swe siły w północnym krańcu fortu, gdzie rzeka przepływała niemal pod samymi murami. Miał tam dwa małe statki, stare łodzie kupieckie, najpewniej dziurawe, albowiem wciągnięto je na brzeg. Gdyby został zaatakowany i odcięty od mostu, przepłynąłby na nich na drugi brzeg Dee i zbiegł do leżących za nią dzikich krain.

Merewalha zdumiało moje zachowanie.

– Próbujesz nakłonić go do walki? – spytał trzeciego dnia, gdy kolejny

raz paradowałem pod starymi wałami obronnymi.

– Nie będzie walczył – odparłem – ale chcę, żeby do nas wyszedł. I zrobi to, nie oprze się pokusie. – Przystanąłem na rzymskim trakcie wiodącym wprost do bramy fortu. Dwuskrzydłowe odrzwia były teraz zablokowane od wewnątrz drewnianymi balami. – Wiesz, że kiedyś ocaliłem mu życie?

– Nie wiedziałem.

– Są chwile, gdy uświadamiam sobie, jakim jestem głupcem – rzekłem. – Powinienem był go zabić w chwili, kiedy go zobaczyłem.

– Zrób to teraz, panie – odparł Merewalh, jako że Haesten pojawił się właśnie w zachodniej bramie fortu i niespiesznie ruszył ku nam.

Miał ze sobą trzech ludzi, wszyscy jechali konno. Przystanęli na południowo-zachodnim krańcu fortu, między murami a zrujnowaną areną.

Wtedy też Haesten uniósł ręce, pokazując, że chce rozmawiać. Zawróciłem konia i ruszyłem w jego stronę, bacząc, by zatrzymać się w bezpiecznej odległości od wałów obronnych, gdzie nie dosięgną mnie strzały. Wziąłem ze sobą jedynie Merewalha, reszta naszych ludzi obserwowała nas z daleka.

Haesten uśmiechał się, jakby od dawna wyczekiwał naszego spotkania. Niewiele się zmienił, tylko broda mu posiwiała, podczas gdy gęste włosy wciąż były jasne. Twarz miał zwodniczo szczerą, pełną wdzięku, ze śmiejącymi się jasnymi oczami. Nosił tuzin bransolet i choć wiosenny dzień był ciepły, miał na sobie pelerynę z foczego futra. Haesten lubił nosić się po pańsku. Ludzie nie pójdą za biedakiem, tak jak nie pójdą za panem, który nie ma hojnej ręki, dlatego tak długo, jak miał nadzieję na odzyskanie bogactw, musiał sprawiać wrażenie pewnego siebie. Mój widok wyraźnie go ucieszył.

– Lordzie Uhtredzie! – wykrzyknął.

– Jarlu Haestenie – powitałem go z przekazem. – Czy przypadkiem nie miałeś być królem Wessexu?

– To przyjemność, która będzie musiała poczekać – odparł. – Tymczasem pozwól, że powitam cię w swoim obecnym królestwie.

Roześmiałem się, jak tego ode mnie oczekiwał.

– Twoim królestwie?

Zatoczył ręką łuk, wskazując posępną dolinę rzeki Dee.

– Ta ziemia nie ma króla, czemu więc ja miałbym nim nie zostać?

– To włości lorda Aethelreda – wyłuszczyłem.

– A lord Aethelred chętnie dzieli się swoim dobytkiem – odrzekł

Haesten. – Podobno równie chętnie dzieli się wdziękami swojej żony.

Widząc, że siedzący obok mnie Merewalh drgnął niespokojnie, podniosłem rękę, żeby go uspokoić.

– Jarl Haesten żartuje – rzekłem.

– Oczywiście, że żartuję – przyznał Haesten. Uśmiech na jego twarzy zgasł.

– To Merewalh – przedstawiłem swego towarzysza. – Służy lordowi Aethelredowi. Zabijając cię, zdobyłby sobie jego przychyłność.

– Zdobyłby jeszcze większą, gdyby zabił ciebie – odciął się Haesten.

– To prawda – przyznałem i zerknąłem na Merewalha. – Chcesz mnie zabić?

– Panie! – Spojrzał na mnie przerażony.

– Mój pan, Aethelred – zwróciłem się do Haestena – pragnie, byś opuścił jego ziemię. I bez ciebie ma tu dość łajna.

– Niech więc lord Aethelred przybędzie tu i mnie pogoni – odparł jarl.

Wszystko to było pozbawione sensu, tak jak się tego spodziewałem. Haesten nie opuścił fortu po to, by wysłuchiwać gróźb, lecz dlatego, że chciał wiedzieć, co oznacza moje przybycie.

– Może – ciągnąłem – lord Aethelred wysłał mnie, bym to ja cię pogonił?

– A kiedy ostatnio zrobiłeś, co ci kazał? – chciał wiedzieć Haesten.

– Może jego żona chce, żeby cię pogonić? – odparłem.

– Myślę, że wolałaby widzieć mnie martwym.

– Tu akurat masz rację – przyznałem.

Słyszając to, uśmiechnął się.

– Przybyłeś, lordzie Uhtredzie, z jednym oddziałem ludzi. Obawiamy się ciebie, a jakże, któż bowiem nie boi się Uhtreda z Bebbanburga? – Mówiąc to, skłonił się w siodle. – Lecz jedna drużyna nie wystarczy, by spełnić życzenie pani Aethelflaed. – Czekał na moją odpowiedź, ja jednak milczałem. – Powiedzieć ci, co mnie zastanawia? – zapytał.

– Mów.

– Od lat, lordzie Uhtredzie, Alfred się tobą wysługuje. Zabijałeś jego wrogów, prowadziłeś jego armie, broniłeś jego królestwa, a w zamian za swe usługi dostałeś garstkę ludzi. Inni mają ziemię, wielkie dworzyszczka, bogactwa, które piętrzą się w skarbcach, szyje ich kobiet zdobi złoto, a do bitwy prowadzą setki zaprzysiężonych im ludzi, gdy tymczasem człowiek, który strzegł ich bezpieczeństwa, pozostaje niedoceniony.

– Ocaliłem ci życie – odparłem – a ciebie dziwi niewdzięczność?

Roześmiał się, słysząc moje słowa.

– Głodzi cię, bo się ciebie obawia. Uczynili cię już chrześcijaninem?

– Nie.

– Więc dołącz do mnie. Ty i ja, lordzie Uhtredzie. Wysiudamy Aethelreda z jego dworu i podzielimy Mercję między siebie.

– Zaproponuję ci ziemię w Mercji – rzekłem.

Rozciągnął usta w uśmiechu.

– Majątek długi na dwa kroki i szeroki na jeden? – zapytał.

– I głęboki na dwa – dodałem.

– Niełatwo mnie zabić – odrzekł. – Jestem widać ulubieńcem bogów, podobnie jak ty. Słyszałem, że Sigurd cię przeklął.

– Co jeszcze słyszałeś?

– Że słońce wschodzi i zachodzi.

– Dobrze mu się przyjrzyj, bo niewiele ci już pozostało wschodów i zachodów. – Po tych słowach spiąłem konia, zmuszając wierzchowca Haestena do cofnięcia się. – Posłuchaj – rzuciłem schrypniętym głosem – masz dwa tygodnie, żeby opuścić to miejsce. Rozumiesz mnie, ty niewdzięczna kupo psiego łajna? Jeśli za czternaście dni nadal tu będziesz, zrobię z tobą to, co zrobiłem z twoimi ludźmi pod Beamfleot. – Spojrzałem na jego dwóch towarzyszy i znów na Haestena. – Dwa tygodnie – powtórzyłem. – Po tym czasie nadciągną Sasi zachodni, a ja uczynię z twojej czaszki kielich.

Rzecz jasna kłamałem – przynajmniej w kwestii saskich oddziałów – ale Haesten wiedział, że to dzięki nim zwyciężyłem pod Beamfleot, tak więc uwierzył w moje słowa. Zaczął coś mówić, lecz zawróciłem konia i odjechałem, dając Merewalhowi znak, by zrobił to samo.

– Zostawię ci Finana i dwudziestu moich ludzi – rzekłem Mercjaninowi, kiedy byliśmy wystarczająco daleko, by Haesten nie mógł nas słyszeć. – Przed upływem dwóch tygodni spodziewajcie się ataku.

– Ze strony Haestena? – spytał z powątpiewaniem.

– Nie, Sigurda. Sprowadzi co najmniej trzy setki ludzi. Haesten potrzebuje pomocy. Będzie chciał zdobyć przychylność Sigurda, dlatego pośle wiadomość, że tu jestem, Sigurd zaś przybędzie, bo pragnie mojej śmierci. – Naturalnie nie mogłem być pewien, że tak się stanie, lecz wierzyłem, że Sigurd połknie przynętę, którą machałem mu przed nosem. – Kiedy tu ściągnie – kontynuowałem – wycofajcie się. Ukryjcie się w lasach, nie dajcie się wyprzedzić i ufajcie Finanowi. Niech Sigurd marnuje ludzi po

próżnicy. Nawet nie próbujcie z nim walczyć, po prostu trzymajcie się z przodu.

Merewalh nie zamierzał mi się sprzeciwić. Zamiast tego spoglądał na mnie pytająco, jakby się nad czymś zastanawiał.

– Panie – zaczął w końcu – dlaczego Alfred cię nie nagroził?

– Bo mi nie ufa – odparłem. Zdumiony moją szczerością, patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. – I jeśli jesteś oddany swemu panu – ciągnąłem – powiesz mu, że Haesten oferował mi przymierze.

– Powiem też, że odmówiłeś.

– Możesz powiedzieć, że się wahałem – rzekłem, kolejny raz wprawiając go w osłupienie, po czym spiąłem konia do galopu.

Sigurd i Eohric zastawili na mnie misterną pułapkę, w którą omal nie wpadłem. Tym razem to ja zasadzałem się na Sigurda. Nie liczyłem, że go zabiję – jeszcze nie – lecz chciałem, by pożałował, że nastawał na moje życie. Wpierw jednak musiałem poznać przyszłość. Nadszedł czas wyprawić się na północ. Dałem Cerdicowi swoją kolczugę, hełm, płaszcz i konia. Cerdic nie dorównywał mi wzrostem, lecz był dość wysoki, a ubrany w mój najprzedniejszy rynsztunek, z opuszczonymi osłonami na policzki, mógł z powodzeniem mnie udawać. Wziął też moją tarczę z wymalowanym na niej wilczym łbem, a ja nakazałem, by pokazywał się każdego dnia.

– Nie podjeżdżaj zbyt blisko murów – ostrzegłem go. – Niech myśli, że go obserwuję.

Zostawiłem proporzec z wilczym łbem Finanowi i nazajutrz wraz z dwudziestoma sześcioma ludźmi ruszyłem na północ. Wyjechaliśmy przed świtem, tak by nie zobaczył nas żaden ze zwiadowców Haestena, i skierowaliśmy się ku wschodzącemu słońcu. Wraz z nastaniem dnia wjechaliśmy w las i pozostając w ukryciu, parliśmy na wschód. Towarzyszył nam Ludda. Był oszustem i łajdakiem, ale go lubiłem.

Jego wiedza o Brytanii była godna podziwu.

– Jestem w ciągłym ruchu, panie – wyjaśnił mi. – Dlatego znam wszystkie drogi.

– W ciągłym ruchu?

– Jeśli sprzedasz człowiekowi dwa zardzewiałe gwoździe za grudkę srebra, lepiej, by następnego dnia nie dostał cię w swoje ręce. Ruszasz więc w dalszą drogę.

Roześmiałem się. Ludda był naszym przewodnikiem i prowadził nas na wschód rzymskim traktem, a gdy zobaczyliśmy osadę, znad której ulatywały w niebo nitki dymu, ominęliśmy ją szerokim łukiem i zboczyliśmy na południe, unikając ciekawskich oczu. Za wsią szlak się urywał i tylko wydeptane przez bydło ścieżki prowadziły między wzgórz.

– Dokąd on nas prowadzi? – dopytywał Osferth.

– Do Buchestanes – odparłem.

– Co tam jest?

– Owe ziemie należą do jarla Kanuta – rzekłem – i nie spodoba ci się to, co tam znajdziemy, więc ci nie powiem.

Wolałbym towarzystwo Finana, ufałem jednak, że Irlandczyk będzie trzymał Cerdica i Merewalha z dala od kłopotów. Lubiałem Osfertha, lecz bywały chwile, gdy jego ostrożność bardziej mi przeszkadzała, niż pomagała.

Gdybym zostawił go w Ceasterze, wycofałby się jeszcze przed przybyciem Sigurda. Trzymałby Merewalha z dala, zaszywając się w granicznych lasach między Mercją a Walią, i Sigurd mógłby porzucić polowanie. Mnie tymczasem zależało na tym, by wodzić go za nos, i w tej materii liczyłem na Finana.

Zacząło padać. Nie był to delikatny letni deszcz, lecz przygnana wschodnim wiatrem gwałtowna ulewa, która nas spowolniła, czyniąc naszą podróż bardziej nużącą, ale i bezpieczniejszą. Bezpieczniejszą, albowiem

tylko nielicznym chciało się wyściubiać nos w taką pogodę. Kiedy napotykalismy nieznanomych, mówiłem, że jestem lordem Kumbrii w drodze do jarla Sigurda, by złożyć mu hołd. Kumbria była dziką krainą, której drobni panowie kłócili się między sobą. Spędziłem tam trochę czasu i byłem gotów odpowiedzieć na wszelkie pytania, jednak żaden z napotkanych ludzi o nic nie pytał.

Pokonawszy wzgórza, trzy dni później dotarliśmy do Buchestanes. Była to miejscina położona w niecce między wzniesieniami, wokół garstki rzymskich budynków. Ich mury wprawdzie się zachowały, lecz dachy od dawna już kryte były strzechą. Nie zbudowano tu palisady, ale na skraju miasteczka natknęliśmy się na trzech strażników, którzy wyszli nam na spotkanie z jednej z nędznych chałup.

– Jeśli chcecie wejść do miasta, musicie zapłacić – uprzedził nas jeden z nich.

– Ktoś ty? – zapytał drugi.

– Kjartan – odparłem.

Było to imię, którego używałem w Buchestanes, imię okrutnego ojca Sihtrica, imię z mojej przeszłości.

– Skąd przybywasz? – dopytywał tamten. Był uzbrojony w długą włócznię z zardzewiałym ostrzem.

– Z Kumbrii – odparłem.

Słyszając to, parsknęli śmiechem.

– Z Kumbrii, powiadasz – odezwał się pierwszy. – Cóż, tutaj nie zapłacisz owczym łajnem. – Roześmiał się, ubawiony własnym dowcipem.

– Komu służycie? – spytałem go.

– Jarlowi Kanutowi Ranulfsonowi – odparł ten drugi. – Nawet w Kumbrii musieliście o nim słyszeć.

– Jest sławny – przyznałem z udawanym podziwem i zapłaciłem im

srebrnymi kawałkami porąbanej bransolety. Z początku targowałem się, choć niezbyt zaciekle, chciałem bowiem wejść do miasta, nie wzbudzając podejrzeń.

I tak oto rozstałem się z resztkami srebra i wjechaliśmy na błotniste ulice. Znaleźliśmy schronienie w rozległym gospodarstwie we wschodniej części miasta. Należało do wdowy, która dawno temu zaprzestała hodowli owiec i zamiast tego gościła podróżnych szukających gorących źródeł, które rzekomo miały właściwości lecznicze. Teraz jednak dostępu do źródeł strzegli mnisi, którzy żądali srebra od każdego, kto chciał skorzystać z rzymskich łaźni.

– Mnisi? – spytałem ją. – Myślałem, że ziemie te należą do Kanuta Ranulfsona.

– A po cóż miałby się tym przejmować? – odparła. – Tak długo, jak dostaje swoje srebro, nie dba o to, jakiego czczą boga.

Wdowa była Saksonką, podobnie jak większość mieszkańców miasteczka, jednakże mówiła o Kanucie z wyraźnym szacunkiem. Nic dziwnego: był bogaty, niebezpieczny i powiadano, że nikt w całej Brytanii nie walczy mieczem tak jak on. Podobno jego miecz był najdłuższym i najbardziej zabójczym ostrzem, dzięki czemu jarl zyskał przydomek Długi Miecz. Lecz Kanut był również zagorzałym sojusznikiem Sigurda – jeśli więc dowie się, że przebywam na jego ziemi, wkrótce w Buchestaness zaroi się od Duńczyków chcących pozbawić mnie życia.

– Czyli przyjechaliście do gorących źródeł? – spytała mnie wdowa.

– Szukam wieszczki – odparłem.

Słyszając to, uczyniła znak krzyża.

– Boże, miej nas w opiece – szepnęła.

– Co mam zrobić, żeby się z nią spotkać?

– Zapłacić mnichom, a jakże!

Chrześcijanie są dziwni. Twierdzą, że pogańscy bogowie nie mają mocy,

a stara magia jest równie oszukańcza jak sprzedawane przez Ludde sakiewki z żelazem, lecz kiedy niedomagają, kiedy plony są marne albo gdy pragną mieć dzieci, idą do wieszczki, do wiedźmy. Księża przestrzegają przed takimi kobietami, nazywają je heretyczkami i narzędziami w rękach szatana, a dzień później płacą im w srebrze, by przepowiedziały im przyszłość albo usunęły brodawki z twarzy. Mnisi z Buchestanes niczym się od nich nie różnili.

Strzegli rzymskiej łaźni, zawodzili w kaplicy i brali srebro i złoto od tych, którzy chcieli spotkać się z *aglaecwif*. *Aglaecwif* to kobieta-potwór i tak właśnie myślałem o Aelfadell. Obawiałem się jej i chciałem jej wysłuchać, dlatego posłałem Ludde i Rypere'a, by zaaranżowali spotkanie, kiedy jednak wrócili, oświadczyli, że wieszczka zażądała złota. Nie srebra. Złota.

Wyprawiając się do Buchestanes, wziąłem ze sobą monety, niemal wszystkie, jakie mi zostały. Byłem zmuszony zabrać złote łańcuchy Sigunn i dwa z nich oddałem mnichom, poprzysięgając, że kiedyś wrócę i je odbiorę.

Drugiego dnia o zmroku poszedłem na południowy zachód, na górujące nad mieściną wzgórze, na którego szczycie znajdował się grobowiec dawnych ludzi. Zielony kurhan na mokrym wzniesieniu. Grobowce te zamieszkują mściwe duchy i idąc ścieżką przez las wśród jesionów, buków i wiązów, czułem dojmujący chłód. Nakazano mi, bym przyszedł sam, i uprzedzono, że jeśli tego nie zrobię, nie ujrzę wieszczki, teraz jednak szczerze żałowałem, że usłuchałem i nie wziąłem towarzysza. Zatrzymałem się, słysząc jedynie szept wiatru w liściach, kapanie wody i szum pobliskiego strumienia. Wdowa mówiła mi, że niektórzy czekali kilka dni na spotkanie z Aelfadell, a byli i tacy, którzy zapłaciwszy srebrem i złotem, przyszli do lasu i niczego w nim nie znaleźli.

– Potrafi rozpuścić się w powietrzu – mówiła wdowa, czyniąc znak krzyża.

Podobno gdy Kanut przyszedł na spotkanie z wieszczką, ta się nie

pojawiła.

– A jarl Sigurd? – spytałem. – On też tu był?

– Przybył w zeszłym roku – odparła. – Był hojny. Towarzyszył mu saski lord.

– Kto taki?

– Skąd mam wiedzieć? Nie gościli w moim domu. Zatrzymali się u mnichów.

– Powiedz, co pamiętasz.

– Był młody – rzekła. – Miał długie włosy jak ty, ale był Sasem. – Większość Sasów ścinała włosy, podczas gdy Duńczycy nosili je długie. – Mnisi nazywali go Sasem, panie – ciągnęła wdowa. – Lecz kim był naprawdę? Nie wiem.

– I był lordem?

– Ubierał się po lordowsku.

Ja miałem na sobie kolczugę i skórę. Nie słysząc w lasach nic dziwnego, szedłem przed siebie, gnąc kark pod mokrymi liśćmi, aż dotarłem do końca ścieżki i wapiennej grani przeciętej głęboką szczeliną. Ze ściany klifu spływała woda, a z dna szczeliny wypływał strumień, którego wody pieniały się na skałach i znikwały pośród lasów. Rozejrzałem się, lecz dookoła nie było żywej duszy. Zdało mi się, że nie śpiewa żaden ptak, choć wszystko to pewnie były moje obawy. Wody strumienia przelewały się z hukiem.

Widziałem ślady odcisnięte w kamykach nad brzegiem wody, choć żadne z nich nie wydawały się świeże. Wziąłem głęboki oddech, przeszedłem nad stertą zwalonych kamieni i wszedłem do porośniętego paprociami wnętrza rozpadliny.

Pamiętam lęk, jaki mi towarzyszył, większy nawet od tego, jaki czułem pod Cynuit, gdy ludzie Ubby ustawili mur tarcz i natarli na nas. Dotknąłem zawieszzonego na szyi młota Thora, zmówiłem modlitwę do Hodura, syna

Odyna, ślepego boga nocy, i po omacku ruszyłem przed siebie, chyląc głowę pod skalistym łukiem, za którym gasło wieczorne światło. Zaczekałem, aż oczy nawykną do mroku, i podjąłem przerwana wędrowkę. Szedłem wzdłuż strumienia, a kamyki i piach chrzęściły mi pod butami. Krok za krokiem posuwałem się w głąb niskiego, wąskiego przejścia, a im dalej szedłem, tym bardziej było mi zimno. Ścisnąłem w dłoni młot Thora. Jaskinia była z pewnością jednym z wejść do podziemnego świata, gdzie Yggdrasil zapuszcza korzenie, a trzy prządky decydują o naszym losie. To tu mieszkały elfy, krasnoludy i istoty mroku, które dręczą nas za życia i obracają wniwecz nasze plany i nadzieje. Byłem przerażony.

Pośliznąłem się na piasku i omal nie upadłem. Wyczułem, że dotarłem do końca wąskiego przejścia, które otwierało się na wielką, rozbrzmiewającą echem przestrzeń. Zobaczyłem błysk światła i zastanawiałem się, czy wzrok płata mi figle. Kolejny raz dotknąłem młota i położyłem dłoń na rękojeści Oddechu Węża. Stałem bez ruchu, słuchając kapania wody i szumu strumienia, próbując wychwycić dźwięk, który świadczyłby o tym, że oprócz mnie jest tu ktoś jeszcze. Ścisnąłem rękojeść miecza i modliłem się do ślepego Hodura, by poprowadził mnie w ciemnościach.

Wówczas ujrzałem światło.

Rozbłysło nagle. Były to płomienie świec z knotami z sitowia ukryte za zasłonami. Gdy zasłony uniesiono, drobne kopcące płomienie zaświeciły oślepiającym blaskiem w morzu czerni.

Świece stały na skale, której powierzchnia była gładka niczym stół. Tuż obok zauważyłem nóż, kubek oraz czarę. Jaskinia miała wysokość izby.

Z sufitu zwisały kamienne sopele, przywodzące na myśl zamrażniętą w ruchu wodę. Płynny kamień zabarwiony na niebiesko i szaro. Wszystko to zobaczyłem w jednej chwili, a zaraz potem spojrzałem na stworzenie, które przyglądało mi się zza kamiennego stołu. Była czarną peleryną pośród

mroku, postacią utkaną z cieni, wykrzywionym kształtem, *aglaecwif*. Lecz w miarę jak moje oczy nawykły do światła, ujrzałem, że mam przed sobą drobną istotę, kruchą niczym ptak, starą jak czas, z twarzą tak ciemną i pobrużdżoną, że przypominała wyprawioną skórę. Jej czarna wełniana peleryna była uwalana błotem, a naciągnięty na głowę kaptur częściowo zakrywał siwe włosy, tu i ówdzie poprzątkowane czernią. Była szkaradą w ciele człowieka, *galdricge*^[*], *aglaecwif*. Aelfadell.

Stałem bez ruchu, a ona milczała. Wbijała we mnie nieruchome spojrzenie, które przejmowało mnie lękiem, aż w końcu skinęła na mnie szponiastą dłonią i dotknęła pustej czarki.

– Napełnij ją – rzekła. Głos miała jak poruszany wiatrem żwir.

– Czym?

– Złotem – odparła. – Albo srebrem. Ale masz ją napełnić.

– Chcesz więcej? – spytałem gniewnie.

– Pragniesz wszystkiego, Kjartanie z Kumbrii – rzekła. Wymawiając imię, zawahała się, jak gdyby domyślała się, że nie jest ono prawdziwe. – A zatem tak. Chcę więcej.

Omam nie odmówiłem, przyznaję jednak, że przerażała mnie jej moc, dlatego wyjąłem z sakwy całe srebro, piętnaście srebrnych monet, i wysypałem je do drewnianej miski. Słyszając, jak brzęknęły, wiedźma uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Co chcesz wiedzieć? – spytała.

– Wszystko.

– Nadejdzie czas zbiorów – odparła z lekceważeniem – a po nim zima. Po zimie nadejdzie czas zasiewu, a po nim kolejne zbiory i kolejna zima, i tak aż po wsze czasy. Ludzie będą się rodzić i umierać. To wszystko.

– A zatem powiedz mi to, co chcę wiedzieć – rzekłem.

Zawahała się i niemal niezauważalnie skinęła głową.

– Połóż dłoń na skale – zażądała, a widząc, że oparłem na zimnym kamieniu lewą rękę, pokręciła głową. – Tę, w której trzymasz miecz – uściśliła. Zrobiłem, co mi kazała. – Obróć ją – warknęła, a ja posłusznie odwróciłem rękę wewnętrzną stroną do góry. Patrząc mi w oczy, sięgnęła po nóż. Uśmiechnęła się półgębkiem, jakby czekała tylko, aż cofnę dłoń, a gdy tego nie zrobiłem, przeciągnęła po niej ostrzem. Zrobiła jedno nacięcie, które biegło od nadgarstka do małego palca, a zaraz potem kolejne, biegnące w poprzek. Widząc zbierającą się w ranach świeżą krew, przypomniałem sobie bliznę na dłoni Sigurda. – A teraz – przemówiła, odkładając nóż – mocno uderz dłonią w kamień. – Wskazała palcem gładki środek głazu. – Tutaj.

Krople krwi rozprysły się, a na skale pozostał odcisk dłoni z odbitym w nim czerwonym krzyżem.

– Teraz milcz – nakazała Aelfadell i poruszyła ramionami, by zrzucić pelerynę.

Była naga. Ciało miała chude, blade, brzydkie, stare i wysuszone. Jej piersi były obwisłe, skóra pomarszczona i upstrzona plamami, a ramiona wychudłe. Podniosła rękę i rozpuściła zebrane na karku włosy, tak że poprzetykane siwizną czarne pasma rozsypały się wokół jej ramion niczym długie loki niezamężnej młodej dziewczyny. Była parodią kobiety, wiedźmą, i widząc ją, zadrzałem. Zdawała się nie zauważać mojego spojrzenia, zamiast tego wbijała wzrok w krew lśniąca w blasku płomieni. Dotknęła jej zakrzywionym paluchem i rozsmarowała na gładkim kamieniu.

– Kim jesteś? – spytała, a w jej głosie pobrzmiwała szczerą ciekawość.

– Wiesz, kim jestem – odparłem.

– Kjartanem z Kumbrii – rzekła. Z jej gardła dobył się dźwięk, który mógł uchodzić za śmiech, a zaraz potem dotknęła skrwawionym palcem kubka. – Wypij to, Kjartanie z Kumbrii – nakazała, z kpiną wymawiając to imię. – Wszystko.

Uniosłem kubek i wychyliłem jego zawartość. Smakowała ohydnie. Była gorzka i cuchnęła. I choć przyprawiała mnie o mdłości, wypilem wszystko do dna.

Wówczas Aelfadell się roześmiała.

Niewiele pamiętam z tamtej nocy, a większość z tego, co pamiętam, chciałbym zapomnieć. Zbudziłem się nagi, zziębnięty i związany. Ręce i nogi miałem skrępowane skórzanymi rzemieniami tak, że dłońmi niemal dotykałem stóp. Bładoszare światło sączyło się przez szczelinę w głąb tunelu i rozświetlało rozległą jaskinię. Podłoga była upstrzona odchodami nietoperzy, a skórę miałem usmarowaną własnymi wymiocinami. Aelfadell, zgarbiona i mroczna w swej czarnej pelerynie, siedziała w kucki nad moją kolczugą, dwoma mieczami, hełmem, młotem i odzieniem.

– Zbudziłeś się, Uhtredzie z Bebbanburga – rzekła, przetrząsając mój dobytek. – I zdaje ci się – ciągnęła – że łatwo będzie mnie zabić.

– Tak właśnie myślę, kobieto – wyrzeźbiłem chrapliwym głosem.

Szarpnąłem rzemienie, kalecząc przy tym nadgarstki.

– Potrafię wiązać supły, Uhtredzie z Bebbanburga – odezwała się.

Podniosła młot Thora i zakręciła nim na skórzanym rzemyku. – Tani amulet jak na wielkiego lorda. – Zarechotała. Ciało miała przygarbione i powykręcane, cała budziła odrazę. Szponiastą dłonią wyciągnęła Oddech Węża z pochwy i podeszła do mnie. – Powinnam cię zabić, Uhtredzie z Bebbanburga – syknęła. Ledwie starczało jej sił, by podnieść ciężkie ostrze, które złożyła na jednym z mych podkulonych kolan.

– Czemu więc tego nie zrobisz? – spytałem.

Przyjrzała mi się z uwagą.

– Czy jesteś teraz mądrzejszy? – zadała pytanie, a gdy nic nie rzekłem, dodała: – Przyszedłeś po mądrość. Znalazłeś ją?

Gdzieś w oddali rozległo się pianie koguta. Szarpnąłem więzy raz i drugi,

lecz nie byłem w stanie ich poluzować.

– Uwolnij mnie – nakazałem.

Roześmiała się.

– Nie jestem głupia, Uhtredzie z Bebbanburga.

– Nie zabiłaś mnie – odparłem. – Nie zabijając mnie, postąpiłaś głupio.

– Możliwe – przyznała. Przesunęła miecz, tak że czubek ostrza wbijał mi się w pierś. – Czy w swej nocy znalazłeś mądrość, Uhtredzie? – Uśmiechnęła się, odsłaniając gnijące zęby. – W swej nocy rozkoszy? – Spróbowałem strząsnąć miecz i przewrócić się na bok, ale przytrzymała go i utoczyła mojej krwi. Bawił ją mój widok. Leżałem teraz na boku, a ona położyła ostrze na moim biodrze. – Jęczałeś w ciemnościach, Uhtredzie. Jęczałeś z rozkoszy, a może zapomniałeś?

Pamiętałem dziewczynę, która przyszła do mnie w nocy. Smagłą, o kruczoczarnych włosach, szczupłą i piękną, gibką jak wierzbowa witka. Dziewczynę, która ujeżdżając mnie, uśmiechała się, i której delikatne ręce dotykały mojej twarzy i piersi. Dziewczynę, która wyginała ciało w łuk, gdy pieściłem dłońmi jej piersi. Pamiętałem uda napierające na me biodra i muśnięcia palców na policzkach.

– Pamiętam sen – odburknąłem.

Aelfadell zakołysała się na piętach w przód i w tył w ohydnej parodii, naśladowując ruchy ciemnowłosej piękności. Miecz zsunął mi się z biodra.

– To nie był sen – odparła kpiącym tonem.

Chciałem ją wówczas zabić. Wiedziała o tym i się roześmiała.

– Wielu próbowało pozbawić mnie życia – rzekła. – Raz przyszli po mnie księża. Było ich ze dwudziestu, a przewodził im stary opat z płonąca pochodnią. Modlili się głośno, nazywając mnie pogańską wiedźmą. Ich kości wciąż gniją w dolinie. Widzisz, mam synów. Dobrze, gdy kobieta ma synów, bo nie ma większej miłości od tej, którą matka darzy swych synów. Czyżbyś

zapomniał o tej miłości, Uhtredzie z Bebbanburga?

– Kolejny sen – odparłem.

– To nie sen – rzekła Aelfadell, a ja przypomniałem sobie matkę, która nocą tuliła mnie w ramionach, kołysała i pozwalała mi ssać swoją pierś.

Wspomniałem radość tamtych chwil i łzy, kiedy dotarło do mnie, że to sen, albowiem moja matka zmarła, wydając mnie na świat, więc nigdy jej nie poznałem.

Aelfadell się uśmiechnęła.

– Od tej pory, Uhtredzie z Bebbanburga, będę myślała o tobie jak o swoim synu. – Znów zapragnąłem ją zabić, a ona, wiedząc o tym, wyśmiała mnie. – Ubiegłej nocy – rzekła – przyszła do ciebie bogini. Pokazała ci całe twoje życie, całą twoją przyszłość, świat ludzi i to, co się z nim stanie.

Czyżbyś już zapomniał?

– Bogini? – powtórzyłem. Pamiętałem słowa, smutek po tym, jak opuściła mnie matka, dosiadającą mnie smagłą dziewczynę i sen, w którym unosiłem się ponad światem, gnany na skrzydłach wiatru niczym łódź niesiona falami, nie pamiętałem jednak żadnej bogini. – Jaka bogini? – spytałem.

– Erce – odparła, zdumiona niedorzecznością mego pytania. – Słyszałeś o Erce? Ona cię zna.

Erce to jedna z pradawnych bogiń, która była w Brytanii, jeszcze zanim nasi ludzie przybyli tu zza morza. Wiedziałem, że wśród wiejskiej ciemnoty wciąż są tacy, którzy oddają jej cześć – matce ziemi, dawczyni życia, bogini.

– Słyszałem o niej – odparłem.

– Nie jesteś głupi – ciągnęła Aelfadell – wiesz bowiem, że istnieją bogowie. Chrześcijanom się zdaje, że jeden bóg będzie służył mężczyznom i kobietom, lecz jak to jest możliwe? Czy jeden pasterz ochroni wszystkie owce świata?

– Stary opat próbował cię zabić? – spytałem. Przewróciłem się na prawy bok, tak by nie widziała moich rąk i tego, że trę rzemieniem o krawędź kamienia z nadzieją, iż przerwę więzy. Poruszałem dłońmi ostrożnie, na wypadek gdyby coś zauważyła, i zagadywałem staruchę. – Stary opat próbował cię zabić? – powtórzyłem. – A jednak mnisi cię chronią?

– Nowy opat nie jest głupcem – odrzekła. – Wie, że jeśli mnie tknie, jarl Kanut oskóruje go żywcem, dlatego mi służy.

– Nie przeszkadza mu to, że nie jesteś chrześcijanką? – dopytywałem.

– Lubi monety, które przynosi mu Erce. – Uśmiechnęła się szyderczo. – Wie, że Erce mieszka w tej jaskini i że mnie chroni. Teraz bogini czeka na twoją odpowiedź. Czy jesteś mądrzejszy, Uhtredzie z Bebbanburga?

Zdumiony pytaniem milczałem i to ją rozjuszyło.

– Czyżbym mówiła niewyraźnie – warknęła. – Głupota odebrała ci słuch i wypełniła twoją głowę ropą?

– Nic nie pamiętam – skłamałem.

Słyszając to, roześmiała się. Przykucnęła i z mieczem wciąż opartym na mym biodrze poczęła kołysać się w przód i w tył.

– Siedmiu królów umrze, Uhtredzie z Bebbanburga, siedmiu królów i kobiety, które kochasz. Oto twoje przeznaczenie. Syn Alfreda nie zasiądzie na tronie, Wessex będzie zgubiony, Sas zabije to, co kocha, a Duńczycy posiadą wszystko. Wszystko się zmieni i wszystko pozostanie takie, jak było i jakie zawsze będzie. Widzisz więc, że jesteś mądrzejszy.

– Kim jest ów Sas? – spytałem. Wciąż tarłem rzemieniem o kamień, lecz pęta na nadgarstkach nadal były zaciśnięte.

– To król, który zniszczy wszystko, czym włada. Erce wie wszystko, Erce wszystko widzi.

Odgłosy kroków przy wejściu tchnęły we mnie nadzieję, lecz miast moich ludzi ujrzałem trzech mnichów wchodzących w mrok jaskini.

Przewodził im starzec o potarganych siwych włosach i zapadniętych policzkach, który spojrzał na mnie, na Aelfadell i znowu na mnie.

– To naprawdę on? – spytał.

– To Uhtred z Bebbanburga, mój syn – odparła starucha i parsknęła śmiechem.

– Dobry Boże – jęknął mnich. Przez chwilę wydawał się przerażony i tylko dlatego wciąż oddychałem. Oboje z Aelfadell wiedzieli, że jestem wrogiem Kanuta, nie wiedzieli jednak, czego jarl chce ode mnie, więc bali się mnie zabić, by nie narazić się na jego gniew. Siwowłosy mnich podszedł do mnie ostrożnie, obawiając się tego, do czego jestem zdolny. – Jesteś Uhtred?

– Jestem Kjartan z Kumbrii – odparłem.

Aelfadell zarechotała.

– To Uhtred – rzekła. – Napar Erce nie kłamie. W nocy gaworzył jak dziecię.

Mnich lękał się mnie, albowiem moje życie i śmierć były dla niego niepojęte.

– Po coś tu przyszedł? – zapytał.

– By poznać przyszłość – odparłem. Czuję na palcach lepłą krew.

Pocierając rzemieniem o skałę, otworzyłem rany, które Aelfadell wycięła mi na dłoni.

– Poznał przyszłość – przemówiła starucha. – Przyszłość martwych królów.

– Była w niej mowa o mojej śmierci? – zapytałem i pierwszy raz zobaczyłem na pomarszczonej wiedźmierzy twarzy niepewność.

– Trzeba nam posłać po jarla Kanuta – odezwał się mnich.

– Zabijmy go – rzucił jeden z jego młodszych towarzyszy. Był wysoki i dobrze zbudowany, miał pociągłą, zaciętą twarz, haczykowany nos i okrutne

oczy o bezlitosnym spojrzeniu. – Jarl chciałby widzieć go martwym.

Starszy klecha nie był co do tego taki pewny.

– Nie znamy zamysłów jarla, bracie Hearberhcie.

– Zabijmy go! Jarl nas nagrodzi. Nagrodzi nas wszystkich. – Brat Hearberht miał rację, lecz bogowie napełnili serca jego towarzyszy wątpliwościami.

– Niech jarl zdecyduje – orzekł starszy mnich.

– Odpowiedź nie przyjdzie wcześniej jak za trzy dni – mruknął zjadliwie Hearberht. – Co poczniemy z nim do tego czasu? W mieście są jego ludzie.

Jest ich zbyt wielu.

– Zabierzemy go do jarla? – zaproponował starzec. Rozpaczliwie pragnął odpowiedzi i był gotów zrobić wszystko, by samemu nie musieć podejmować decyzji.

– Na litość boską – warknął Hearberht. Podszedł do moich rzeczy, pochylił się i podniósł z ziemi Żądło Osy. Krótkie ostrze odbiło nikłe światło. – Co się robi z osaczonym wilkiem? – zapytał i ruszył w moją stronę.

Wykorzystałem całą swoją siłę – siłę, którą lata wymachiwania mieczem i tarczą tchnęły w moje kości i mięśnie, siłę nabytą przez lata wojen i gotowania się do walki. Wyrzuciłem przed siebie podkulone nogi, szarpnąłem ramionami i poczułem, jak pęta puszczają. Zaraz potem obróciłem się na plecy, a gdy wielki miecz spadł z brzękiem z mojego biodra, wydałem z siebie okrzyk bojowy wojownika i sięgnąłem po rękojeść Oddechu Węża.

Aelfadell próbowała wyrwać mi ostrze, lecz była stara i powolna, a ja, wypełniając swym rykiem całą jaskinię, chwyciłem za miecz i wywinąłem nim, by ją odegnąć. Kiedy dźwignąłem się na nogi, Hearberht sparował mój cios. Zatoczyłem się, wciąż bowiem miałem spętane nogi. Mnich jakby tylko na to czekał: natarł na mnie gotów krótkim ostrzem rozplatać mój nagi

brzuch, ja jednak wytrąciłem mu broń i runąłem na niego. Kiedy zerwałem się z ziemi, zamachnął się saksem na moje nagie nogi, sparowałem jednak cios i ciąłem w dół swoim mieczem, swoją kochanką – swoim ostrzem i nieodłącznym towarzyszem – i ostrym jak brzytwa sztychem wypatroszyłem klechę niczym rybę. Krew trysnęła na czarną szatę, barwiąc na czarno nietoperze guano, ja tymczasem nie przestawałem wymachiwać mieczem, nieświadomy wściekłych okrzyków, które odbijały się echem od ścian jaskini.

Konający Hearberht trząśł się i kwiczał jak zarzynane prosię, a pozostali dwaj mnisi wzięli nogi za pas. Widząc to, przeciąłem rzemienie wokół nóg i pogałem za nimi. Rękojeść Oddechu Węża była śliska od mojej krwi, a samo ostrze domagało się jej więcej.

Dopałem ich w lesie, niespełna pięćdziesiąt kroków od wejścia do jaskini. Młodszego powaliłem ciosem w tył głowy, a starszego ucapiłem za szatę. Odwróciłem go ku sobie i poczułem bijący spod czarnej szaty smród odchodów.

– Jestem Uhtred z Bebbanburga – rzekłem. – A ty kim jesteś?

– Jestem opat Deorlaf, panie – wybąkał. Upadł na kolana i wyciągnął ku mnie złączone dłonie.

Chwyciłem go za gardło i zatopiłem Oddech Węża w jego brzuchu, szarpnąłem ostrze i rozplątałem go, a on skomlał jak pies i kwilił jak dziecko. Skonał we własnych odchodach, wzywając Jezusa Odkupiciela. Poderżnąłem gardło młodszemu mnichowi i wróciłem do jaskini, gdzie obmyłem ostrze miecza w strumieniu.

– Erce nie przepowiedziała twojej śmierci – rzekła Aelfadell. Wrzasnęła, gdy zrzuciłem pęta z rąk i wyrwałem jej miecz, jednak teraz była dziwnie spokojna. Patrzyła tylko na mnie, najwyraźniej się mnie nie bała.

– Dlatego mnie nie zabiłaś?

– Mojej śmierci też nie przepowiedziała – odparła.

– Więc może się pomyliła – rzuciłem i wyciągnąłem Żądło Osy z martwej dłoni Hearberhta.

I wówczas ją ujrzałem.

Z głębi jaskini, wąskiego przejścia prowadzącego do zaświatów, wyszła Erce. Była dziewczyną, której uroda zaparła mi dech w piersi. Czarnowłosą pięknnością, która posiadała mnie tej nocy, smukłą i bladą, olśniewającą, spokojną i nagą jak ostrze w mojej dłoni, a ja mogłem jedynie się jej przyglądać. Nie byłem w stanie się poruszyć, ona tymczasem patrzyła na mnie wielkimi, pełnymi powagi oczami i oboje milczeliśmy, aż poczułem, że wraca mi oddech.

– Kim jesteś? – spytałem.

– Odziej się – rzekła Aelfadell, nie wiedziałem jednak, czy zwraca się do mnie, czy do dziewczyny.

– Kim jesteś? – powtórzyłem, lecz ona milczała.

– Odziej się, lordzie Uhtredzie – nakazała mi starucha.

Posłuchałem jej. Włożyłem skórzany kaftan, buty i kolczugę, przypasałem miecze, dziewczyna tymczasem patrzyła na mnie pełnymi spokoju ciemnymi oczami. Była piękna jak letni poranek i cicha jak zimowa noc. Nie uśmiechała się, jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Podeszedłem do niej i wyczułem coś dziwnego. Chrześcijanie mówią, że mamy duszę, czymkolwiek ona jest, mnie się jednak zdało, że ta dziewczyna nie posiada niczego takiego. Z jej ciemnych oczu wyzierała pustka. Przeraziło mnie to i sprawiło, że podeszedłem do niej powoli.

– Nie! – krzyknęła Aelfadell. – Nie możesz jej dotknąć! Ujrzałeś Erce w świetle dnia. Dotąd nikomu się to nie udało.

– Erce?

– Idź – rzekła. Idź. – Zagrodziła mi drogę. – Ubiegłej nocy śniłeś, a we

śnie odnalazłeś prawdę. Niech to ci wystarczy, a teraz idź już.

– Przemów do mnie – zwróciłem się do dziewczyny, ona jednak stała bez ruchu i w milczeniu wpatrywała się we mnie pustym wzrokiem.

Nie mogłem oderwać od niej oczu. Mógłbym tak patrzeć na nią do końca swoich dni. Chrześcijanie rozprawiają o cudach, ludziach, którzy chodzą po wodzie i wstają z martwych. Twierdzą, że to dowody na prawdziwość ich wiary, choć żaden z nich nie potrafi dokonywać cudów ani ich pokazać.

Tymczasem ja w wilgotnej jaskini pod wzniesionym na wzgórzu kurhanem ujrzałem prawdziwy cud. Ujrzałem Erce.

– Idź – ponaglała Aelfadell i choć przemawiała do mnie, to bogini odwróciła się i zniknęła w podziemnym świecie.

Nie zabiłem staruchy. Wyszedłem z jaskini. Zawlokłem ciała mnichów w krzewy jeżyn, gdzie zajmą się nimi padlinożercy, a następnie pochyliłem się nad strumieniem i długo i łapczywie piłem wodę.

– Co powiedziała wiedźma? – zapytał Osferth, gdy wróciłem do obejścia wdowy.

– Nie wiem – odparłem, a ton, jakim to powiedziałem, sprawił, że Osferth powstrzymał się od zadawania dalszych pytań. Wszystkich poza jednym.

– Dokąd teraz jedziemy, panie?

– Na południe – odparłem, wciąż jeszcze oszołomiony.

I tak oto ruszyliśmy ku ziemiom Sigurda.

[*] *Galdricge* – kobieta używająca magii, wieszczka.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Zdradziłem Aelfadell swoje imię, lecz co jeszcze jej powiedziałem? Czy powiedziałem jej, że planuję zemstę na Sigurdzie? I co sprawiło, że tak dużo mełłem ozorem? Wyłuszczył mi to Ludda w drodze na południe.

– Są zioła, grzyby i śniec, którą można znaleźć na kłosach żyta, panie.

Różne rzeczy mogą sprawić, że człowiek będzie śnił. Używała ich moja matka.

– Była wiedźmą?

Wzruszył ramionami.

– Tak czy siak, była mądrą kobietą. Przepowiadała przyszłość i warzyła napary.

– A napar podany przez Aelfadell, ten, który rozwiązał mi język i sprawił, że zdradziłem swoje imię?

– Może była w nim śniec z kłosów? Jeśli tak, masz szczęście, że żyjesz, panie. Niewiele trzeba, żeby zabić śniącego, lecz jeśli wiedźma znała się na rzeczy, trajkotałeś jak stara przekupka.

Kto wie, z czym jeszcze zdradziłem się przed *aglaecwif*? Czułem się jak głupiec.

– Czy ona naprawdę rozmawia z bogami? – Powiedziałem Luddzie o Aelfadell, ale nie o Erce. Pragnąłem zachować ją dla siebie, niczym sekret, wspomnienie, które nie dawało o sobie zapomnieć.

– Niektórzy twierdzą, że rozmawiają z bogami – odparł niepewnie Ludda.

– I widzą przyszłość?

Przez chwilę wiercił się w siodle. Nie był przyzwyczajony do jazdy konnej i od siedzenia w siodle bolały go tyłek i uda.

– Czy gdyby naprawdę widziała przyszłość, panie, siedziałaby w jaskini? Żyłaby w pałacu, a królowie pełzaliby u jej stóp.

– Może tylko tam przemawiają do niej bogowie? – odparłem.

Ludda usłyszał niepokój w moim głosie.

– Jeśli rzucisz kośćmi dość razy, panie, zawsze wyrzucisz właściwe liczby – odparł z powagą. – Jeżeli powiem ci, że jutro zaświeci słońce, spadnie deszcz i śnieg, chmury zasnują niebo i zerwie się wiatr, że dzień będzie bezwietrzny i ogłuszy nas huk pioruna, jedna z tych rzeczy na pewno okaże się prawdą, a ty zapomnisz o reszcie, bo będziesz chciał wierzyć, że naprawdę potrafię wieszczyć. – Uśmiechnął się przelotnie. – Ludzie kupują zardzewiałe żelazo nie dlatego, że mam dar przekonywania, lecz dlatego, że rozpaczliwie chcą wierzyć, że zmieni się ono w srebro.

Tymczasem ja rozpaczliwie chciałem wierzyć, by jego wątpliwości dotyczące Aelfadell okazały się prawdą. Wiedźma orzekła, że Wessex jest zgubiony, i przepowiedziała śmierć siedmiu królów, co to jednak miało znaczyć? O jakich królach mówiła? O Alfredzie z Wessexu, Edwardzie z Kentu, Eohricu z Anglii Wschodniej? O kim jeszcze? I kim był ów Sas?

– Wiedziała, kim jestem – zwróciłem się do Luddy.

– Bo wypieś jej napar, panie. Odurzyła cię i sprawiła, że gadałeś, co ci ślina na język przyniesie.

– Związała mnie – dodałem. – Ale mnie nie zabiła.

– Bogu niech będą dzięki – rzekł gorliwie Ludda. Wątpiłem, by był chrześcijaninem, a już na pewno nie przykładowym, lecz miał na tyle oleju w głowie, by nie narażać się księżom. W zdumieniu ściągnął brwi. – Ciekawe, czemu cię nie zabiła.

– Bała się – odparłem. – Podobnie jak opat.

– Związała cię, panie – ciągnął Ludda – bo ktoś powiedział jej, że jesteś wrogiem jarla Kanuta. Tyle wiedziała, lecz nie miała pojęcia, co jarl zamierza z tobą zrobić. By się tego wywiedzieć, posłała po mnichów. Oni jednak zbyt się lękali, by kazać cię zabić. Zabicie lorda to niemała rzecz, zwłaszcza gdy w pobliżu są jego ludzie.

– Jeden z nich się nie lękał.

– I teraz tego żałuje – rzucił radośnie Ludda. – Ale to dziwne, panie, bardzo dziwne.

– Co takiego?

– Wiedźma rozmawia z bogami. A oni nie powiedzieli jej, żeby cię zabiła.

– Ach – bąknąłem. Wiedziałem, co miał na myśli, lecz nic innego nie przyszło mi do głowy.

– Bogowie wiedzieliby, co z tobą zrobić, i powiedzieliby jej o tym, jednak tego nie zrobili. To znaczy, panie, że starucha nie słucha bogów, lecz jarla Kanuta. Mówi ludziom to, co chcą usłyszeć. – Znowu wiercił się w siodle, próbując ulżyć obolałemu tyłkowi. – Jest i droga, panie – rzucił, wskazując palcem. Prowadził nas na południowy wschód i wypatrywał rzymskiego traktu, który przecinał wzgórze. – Biegnie do starych kopalni ołowiu – rzekł. – Za nimi się urywa.

Kazałem Luddzie prowadzić nas do Cytringan, gdzie Sigurd miał salę biesiadną, nie zdradziłem jednak, co zamierzam. Po co udałem się na poszukiwania Aelfadell? Rzecz jasna po to, by znaleźć drogę. Trzy Norny siedzą wśród korzeni Yggdrasilu, gdzie snują nasz los i nożycami przecinają nić naszego życia. Wszyscy chcemy wiedzieć, gdzie kończy się owa nić. Pragniemy poznać przyszłość. Tak jak powiedział Beornnoth, chcemy poznać zakończenie opowieści – i po to właśnie udałem się do Aelfadell.

Wkrótce Alfred umrze – może nawet już nie żył – i wszystko się zmieni. Nie byłem głupcem i wiedziałem, że mój udział w tych zmianach nie będzie mały. Jestem Uhtred z Bebbanburga. Ludzie się mnie obawiali.

W tamtych czasach nie byłem wielkim panem, nie zbywało mi na ziemi, bogactwach ani ludziach, lecz Alfred wiedział, że jeśli pragnie zwycięstwa, będzie musiał użyć mi wojowników, i tak właśnie obaliliśmy potęgę Haestena pod Beamfleot. Jego syn Edward zdawał się mi ufać, ja jednak udałem się do Aelfadell, by zajrzeć w przyszłość. Po co sprzymierzać się z człowiekiem skazanym na porażkę? Czy Edward był tym, którego Aelfadell zwała Sasem i który według jej wieszczów doprowadzi Wessex do upadku?

Czy istniała jakaś bezpieczna droga? Siostra Edwarda Aethelflaed nie wybaczyłaby mi, gdybym zdradził jej brata, lecz jej los mógł być także przesądzony. Wszystkie moje kobiety umrą. Nie zdziwiło mnie to, albowiem wszyscy umrzemy, nie wiedziałem jednak, dlaczego Aelfadell wyrzekła te słowa. Czyżby przestrzegała mnie przed dziećmi Alfreda? Przed Aethelflaed i Edwardem? Żyjemy w świecie pogrążającym się w mroku, ja zaś szukałem światła, które wskazałoby mi właściwą ścieżkę, i go nie odnalazłem. Wyjątkiem była wizja Erce, wizja, która wyryła się w mej pamięci i która mnie prześladowała.

– *Wyrd bið ful āræd* – rzekłem na głos.

Przeznaczenie jest wszystkim.

Pod wpływem gorzkiego naparu Aelfadell zdradziłem swe imię, lecz co jeszcze powiedziałem? Nie wyjawiałem swoim ludziom, co zamierzam, ale czy odkryłem swoje plany przed wiedźmą? Aelfadell żyła na ziemiach Kanuta i pod jego ochroną. Przepowiedziała, że Wessex upadnie, a Duńczycy zwyciężą, i nic dziwnego, albowiem takie było życzenie Kanuta Długiego Miecza. Jarl Kanut pragnął, by każdy duński wódz udał się do jaskini i usłyszał o czekającym ich zwycięstwie, gdyż mężczyźni idący w bój po

pewne zwycięstwo walczyli z pasją, która miała im to zwycięstwo zapewnić.

Ludzie Sigurda, którzy zaatakowali mnie na moście, naprawdę wierzyli, że zwyciężą, i dzięki temu łatwiej było zwabić ich w pułapkę. Teraz prowadziłem kilku drużynników do miejsca, gdzie może czekała nas śmierć. Czy wyjawilem Aelfadell, że planuję zaatakować Cytringan? Jeśli to uczyniłem, starucha z pewnością pchnęła umyślnych do Kanuta, a ten zrobi wszystko, by chronić swego przyjaciela Sigurda. W drodze do domu zamierzałem jechać przez Cytringan, gdzie Sigurd miał salę biesiadną, z nadzieją, że zastanę ją pustą i niestrzeżoną. Zamierzałem spalić ją do szczętu i po wszystkim udać się do Buccingahamm. Sigurd próbował mnie zabić i chciałem, by gorzko tego pożałował. Udałem się więc do Ceasteru, by go wywabić, i jeśli mój plan się powiódł, Sigurd zmierzał tam teraz, wierząc, że zaskoczy mnie i zabije, podczas gdy ja planowałem puścić z dymem jego dworzyszczce. Tymczasem jego druh Kanut może słał ludzi do Cytringan, licząc, że zwabi mnie w pułapkę.

Musiałem więc zrobić coś innego.

– Zapomnij o Cytringan – zwróciłem się do Luddy. – I prowadź mnie do doliny Trente. Do Snotengaham.

I tak oto jechaliśmy na południe pod sunącymi na niebie niskimi chmurami, a dwa dni i dwie noce później przybyliśmy do doliny, która budziła tak wiele wspomnień. To tu dotarłem, gdy pierwszy raz wsiadłem na okręt wojenny, wiosłując w górę rzek Humber i Trente. Tu pierwszy raz ujrzałem Alfreda. Byłem wówczas chłopcem, a on młodym mężczyzną, i śledząc go, usłyszałem, jak cierpiał z powodu grzesznego uczynku, który sprowadził na świat Osfertha. To tu, nad brzegami Trente, pierwszy raz spotkałem Ubbę zwanego Ubbą Okrutnym, który napawał mnie lękiem i niemal nabożną czcią. Później nad odległym morzem miałem go zabić.

Ostatni raz byłem tu jako chłopiec, lecz teraz wróciłem jako mężczyzna,

którego inni obawiali się tak, jak ja niegdyś obawiałem się Ubby. Niektórzy zwali mnie Uhtredaerwe – Uhtredem Niegodziwym. Nadali mi takie miano, albowiem nie byłem chrześcijaninem, lubiłem je jednak i przyszło mi do głowy, że pewnego dnia posunę się w swej niegodziwości za daleko i przez moją głupotę zginą ludzie.

Może tu, może teraz... porzuciłem bowiem zamysł zniszczenia dworu w Cytringan i miast tego podjąłem się karkołomnego zadania, które rozsławi moje imię na całą Brytanię. Sława. Woleliśmy ją od złota, tak więc zostawiłem swych ludzi w osadzie i biorąc ze sobą jedynie Osfertha, ruszyłem południowym brzegiem w dół rzeki. Milczałem do chwili, gdy stanęliśmy na skraju młodnika, skąd mieliśmy widok na szerokie zakole rzeki i widoczne w oddali miasto.

– Snotengaham – rzekłem. – To tu pierwszy raz spotkałem twojego ojca.

Zbył me słowa mruknięciem. Miasto leżało na północnym brzegu rzeki i rozrosło się, odkąd oglądałem je po raz ostatni. Za murami pobudowano chaty, a powietrze nad dachami było gęste od dymu z kuchennych palenisk.

– Należy do Sigurda? – spytał Osferth.

Przytaknąłem, mając w pamięci słowa Beornnotha, że Sigurd zgromadził swoją flotę w Snotengaham. Pamiętałem również słowa, które Ragnar Starszy powiedział mi, kiedy byłem dzieckiem: że Snotengaham, choć w głównej mierze zamieszkiwane przez Sasów, już zawsze należeć będzie do Duńczyków. Było to mercyjskie miasto na północnym skraju królestwa, jednak odkąd sięgałem pamięcią, rządili w nim Duńczycy, a teraz jego kupcy i duchowni, dziwki i karczmarze płacili w srebrze Sigurdowi. To on pobudował dworzyszczę na skalistym wzniesieniu w centrum miasta i choć sam mieszkał daleko na południu, Snotengaham było jedną z Sigurdowych twierdz, miejscem, gdzie czuł się bezpieczny.

Żeby dotrzeć do miasta od strony morza, należało płynąć w górę Humber,

a następnie wejść na wody Trente. Była to podróż, którą odbyłem w dzieciństwie na pokładzie Żmii Wichrów, łodzi należącej do Ragnara.

Teraz, stojąc na skraju zagajnika, widziałem czterdzieści–pięćdziesiąt łodzi zacumowanych na przeciwległym brzegu. Na tych statkach rok wcześniej Sigurd popłynął na południe, do Wessexu, choć wówczas skończyło się na tym, że złupił kilka gospodarstw w pobliżu Exanceasteru. Ich obecność sugerowała, że Duńczyk nie planuje kolejnej morskiej inwazji. Tym razem zamierzał uderzyć od strony lądu, najechać Mercję i Wessex i wydrzeć je Sasom.

Lecz dumą mężczyzny nie są wyłącznie jego ziemie. Jego miarą jest liczba ludzi, którym przewodzi, a widok łodzi utwierdził mnie w przekonaniu, że Sigurd ma pod sobą prawdziwą hordę. Ja tymczasem dowodziłem jedną drużyną. Śmiem twierdzić, że sławą dorównywałem Sigurdowi, choć w moim przypadku nie przekuwała się ona na bogactwa. Pomyślałem, że zasługuję na miano Uhtreda Niemądrego. Przez wszystkie te lata służyłem Alfredowi, a nie miałem z tego nic prócz dzierżawionej ziemi, jednej drużyny i sławy. Sigurd zaś miał na własność całe miasta, majątki ziemskie i przewodził armii.

Nadszedł czas zakpić sobie z niego.

Rozmawiałem z każdym z moich ludzi z osobna. Powiedziałem im, że zdradzając mnie, mogą się wzbogacić, i uprzedziłem, że jeśli choć jeden z nich szepnie którejś z miejskich kurew, że jestem Uhtredem, najpewniej zginę, a wraz ze mną zginie większość moich drużynników. Nie przypominałem im o przysiędze, którą mi złożyli – nie musiałem tego robić, bo nie przypuszczałem, by któryś z nich mnie zdradził. Miałem w drużynie czterech Duńczyków i trzech Fryzyjczyków, z którymi łączyły mnie nie tyle słowa przysięgi, ile serdeczna przyjaźń.

– To, co zrobimy – zapowiedziałem – sprawi, że będziemy na językach

całej Brytanii. Nie wzbogacimy się, ale zdobędziemy rozgłos.

Powiedziałem im, że od tej chwili nazywam się Kjartan. Było to imię, którym posłużyłem się podczas spotkania z Aelfadell, imię z mojej przeszłości, i szczerze go nienawidziłem. Nosił je ojciec Sihtrica, okrutnik i nikczemnik, lecz musiało mi ono wystarczyć przez kolejnych kilka dni, które miałem szansę przeżyć, jeśli nikt w Snotengaham mnie nie rozpozna.

Spotkałem Sigurda dwukrotnie i choć były to krótkie spotkania, obawiałem się, że niektórzy z ludzi towarzyszących mu wówczas mogli być teraz w Snotengaham. Było to jednak ryzyko, które musiałem podjąć. Zapuściłem brodę, przywdziałem starą pordzewiałą kolczugę i wyglądałem tak, jak chciałem wyglądać – niczym człowiek na skraju upadku.

Znalazłem tawernę poza miastem, pozbawione nazwy obskurne miejsce, gdzie podawano skwaśniałe ale, spleśniały chleb i ser, w którym roiło się od robaków, lecz moi ludzie mogli przespać się w izbie wysypanej brudnym sitowiem, a właściciel, gburowaty Sas, był wyraźnie zadowolony z marnej zapłaty, jaką uiściłem w srebrze.

– Co tu robicie? – dopytywał.

– Mamy nadzieję kupić statek – odparłem i dodałem, że kiedyś walczyliśmy dla Haestena, lecz dość mieliśmy głodowania w Ceasterze i chcemy jedynie wrócić do domu. – Wracamy do Fryzji – dokończyłem swoją opowieść, która tu, w Snotengaham, nikomu nie wydawała się dziwna.

Duńczycy służą tym, dzięki którym mogą się wzbogacić, a jeśli przywódca zawodzi, jego armia topnieje jak śnieg w słońcu. Nikogo też nie dziwiło, że Fryzyjczyk przewodzi Sasom. Na wikińskich statkach pływają Duńczycy, Norwegowie, Fryzyjczycy i Sasi. Każdy bezpański wojownik mógł wyruszyć na wiking, a szypra nie interesowało, jakim mówił językiem, pod warunkiem że umiał wywijać mieczem, pchać włócznią i wiosłować.

Nikt więc nie kwestionował mojej opowieści i dzień po tym, jak

przybyliśmy do Snotengaham, przyszedł do mnie brzuchaty Duńczyk imieniem Frithof. Nie miał lewej ręki poniżej łokcia.

– Jakiś saski łajdak uciął mi ją – rzucił radośnie. – Ja za to uciąłem mu łeb, można więc rzec, że była to uczciwa wymiana. – Frithof był reeve'em Snotengaham, człowiekiem odpowiedzialnym za utrzymanie porządku, pilnującym interesów swego pana. – Ja dbam o jarla Sigurda, a on o mnie – wyłuszczył.

– Jest dobrym panem?

– Najlepszym – odparł entuzjastycznie. – Hojnym i lojalnym. Czemu mu nie przysięgniesz?

– Chcę wrócić do domu – odrzekłem.

– Do Fryzji? – spytał. – Mówisz jak Duńczyk, nie jak Fryzjczyk.

– Służyłem Skirnirowi Thorsonowi – rzekłem.

Skirnir był piratem grasującym u wybrzeży Fryzji i przysłużyłem mu się, sprowadzając na niego śmierć.

– Skirnir był draniem – mruknął Frithof. – Ale słyszałem, że miał ładną żonę. Jak nazywała się jego wyspa? – Nie próbował mnie podejść, był łagodnym, gościnnym człowiekiem.

– Zegge – odparłem.

– A, tak! Nie było tam nic prócz piachu i rybich odchodów. A więc przeszedłeś od Skirnira do Haestena, tak? – Roześmiał się, sugerując, że kiepsko dobieram swych panów. – Dobrze wyjdiesz, służąc jarlowi Sigurdowi – zapewnił mnie. – Dbą o swoich ludzi, a wkrótce da im do podziału ziemię i srebro.

– Wkrótce?

– Kiedy umrze Alfred – odpowiedział reeve. – Wessex rozpadnie się na kawałki. Musimy tylko poczekać i wyciągnąć po nie rękę.

– Mam ziemię we Fryzji – rzekłem. – I żonę.

Słyszając to, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Kobiet jest tu pod dostatkiem – obwieścił – lecz jeśli naprawdę chcesz wrócić do domu...

– Chcę – potwierdziłem.

– A zatem będziesz potrzebował statku – zauważył. – Chyba że wolisz płynąć w pław. Przejdźmy się.

Czterdzieści siedem łodzi wyciągnięto na brzeg i ustawiono na dębowych palach na łące nieopodal opadającej łagodnie zatoczki, dzięki czemu łatwo było je zwodować. Sześć innych unosiło się na wodzie. Spośród nich cztery były statkami kupieckimi, a dwie długimi łodziami wojennymi o szlachetnych liniach, z wysokimi dziobami i rufami.

– Niosąca Jasność. – Frithof wskazał jeden z dwóch statków wojennych unoszących się na wodzie. – To łódź jarla Sigurda.

Była to prawdziwa piękność z płaskim, smukłym dnem, wysokimi dziobem i rufą. Przycupnięty na brzegu mężczyzna malował wzdłuż kadłuba białą linię, która miała podkreślić jej groźny kształt. Frithof poprowadził mnie w dół na drewniany pomost i przeszedł nad niskim śródokręciem. Poszedłem za nim, czując pod stopami delikatne kołysanie, którym łódź odpowiedziała na nasz ciężar. Z pokładu usunięto maszt, wiosła i dulki, dostrzegłem za to dwie małe piły, toporek i pudełko z dłutami – znak, że trwały tam prace. Łódź chwiała się na wodzie, lecz nie była gotowa do żadnej wyprawy.

– Sprowadziłem ją tu aż z Danii – rzekł tęsknie Frithof.

– Jesteś szyprem? – spytałem.

– Byłem. I może znowu będę. Tęsknię za morzem. – Przeciągnął dłonią po gładkim drewnie podłużnicy. – Czyż nie jest wspaniała?

– Piękna – przyznałem.

– Jarl Sigurd kazał ją zbudować – dodał. – A on zasługuje na wszystko, co najlepsze. – Poklepał pieszczotliwie kadłub. – Dąb zielony z Fryzji. Za duża dla ciebie.

– Jest na sprzedaż?

– W życiu! Jarl Sigurd prędzej sprzedałby w niewolę własnego syna! Poza tym ilu wioseł potrzebujesz? Dwudziestu?

– Nie więcej – odparłem.

– Ona potrzebuje pięćdziesięciu – odrzekł Frithof, kolejny raz poklepując deski Niosącej Jasność, i westchnął na wspomnienie tego, jak pruć fale.

Ja tymczasem zerknąłem na narzędzia ciesielskie.

– Szykujecie ją na morze? – spytałem.

– Jarl nic nie mówił, ale nie lubię, gdy łodzie zbyt długo stoją na brzegu.

Drewno wysycha i się kurczy. W następnej kolejności chcę zwodować tę. – Mówiąc to, wskazał zatokę, w której kolejna łódź stała wsparta na grubych dębowych balach. – Morski Barbarzyńca – rzekł. – Należy do jarla Kanuta.

– Trzyma tutaj swoje statki?

– Tylko te dwa – odpowiedział. – Morskiego Barbarzyńcę i Ścigacza Chmur.

Ludzie uszczelniali Morskiego Barbarzyńcę, upychając między klepkami mieszankę wełny i smoły drzewnej. Mali chłopcy pomagali im albo bawili się nad brzegiem rzeki. Kotły ze smołą kociły, wypełniając nadrzeczne powietrze gryzącą wonią. Frithof zszedł na nabrzeże i poklepał głowę mężczyzny malującego na podłużnicy białą linię. Widać było, że jest lubiany.

Ludzie witali go z szacunkiem i uśmiechali się do niego, a i on był wobec nich życzliwy. Z przypiętej u pasa sakwy wyjmował kawałki wędzonej wołowiny i rozdawał je dzieciom, do każdego z nich zwracając się po imieniu.

– To Kjartan – przedstawił mnie mężczyznom uszczelniającym Morskiego Barbarzyńcę. – Chce kupić od nas łódź i wrócić do Fryzji, gdzie czeka na niego żona.

– Sprowadź ją tu! – zawołał jeden z nich.

– Ma dość oleju w głowie, żeby trzymać ją z daleka od takich szumowin jak wy – zakpił Frithof i ruszył dalej, prowadząc mnie obok wielkiej sterty kamieni kotwicznych.

Miał przyzwolenie Sigurda na kupowanie i sprzedawanie łodzi, jednak tylko pół tuzina było na sprzedaż, a spośród nich tylko dwie spełniały moje oczekiwania. Jedną był statek kupiecki, szeroki i solidnej budowy, lecz krótki – cztery szerokości, licząc od dzioba do rufy – a przez to powolny.

Druga łódź była starsza i bardziej wysłużona – mierzyła co najmniej siedem szerokości, licząc od dzioba do rufy – a jej szlachetna linia przykuwała uwagę.

– Należała do Norwega, który dał się zabić w Wessexie – rzekł Frithof.

– Zrobiona z sośniny? – spytałem, poklepując dłonią kadłub.

– Ze świerczyny – odparł Duńczyk.

– Wolałbym dębinę – mruknąłem niechętnie.

– Sypnij złotem, a każę zbudować ci statek z najlepszego fryzyjskiego dębu – odrzekł. – Ale jeśli chcesz tego lata przepłynąć się przez morze, będziesz musiał zadowolić się sośniną. To dobra łódź, solidna. Ma maszt, żagiel i takielunek.

– Wiosła?

– Mamy pod dostatkiem dobrych jesionowych wiosł. – Przeciągnął dłonią po dziobnicy. – Wymaga trochę pracy – przyznał – ale swego czasu była prawdziwą piękną. Córka Tyra.

– Tak się nazywa?

Odpowiedział uśmiechem.

– Nie inaczej. – Uśmiechał się, albowiem Tyr jest bogiem wojowników walczących w pojedynkach i podobnie jak Frithof, ma tylko jedną rękę.

Drugą odgryzł mu oszalały wilk Fenrir. – Jej właściciel czcił Tyra – dodał Duńczyk, nie przestając głaskać dziobnicy.

– Ma głowę bestii?

– Coś ci znajdę.

Przez chwilę targowaliśmy się po przyjacielsku. Zaproponowałem resztę srebra, które mi zostało, i wszystkie nasze konie wraz z siodłami i uzdami, i choć Frithof z początku zażądał dwa razy tyle, po prawdzie cieszył się, że pozbędzie się Córki Tyra. Może kiedyś rzeczywiście prezentowała się okazale, teraz jednak była stara i mała. By obronić łódź, trzeba pięćdziesięciu–sześćdziesięciu ludzi, tymczasem Córka Tyra mogła pomieścić nie więcej niż trzydziestu – mnie jednak wystarczała w zupełności.

Podejrzywałem, że gdybym jej nie kupił, porąbano by ją na opał, zresztą nie dałem za nią wiele.

– Dopłyniesz na niej do Fryzji – zapewnił mnie Frithof.

Splunęliśmy w dłonie, podaliśmy sobie ręce i tak oto Córka Tyra stała się moją własnością. Musiałem kupić smołę drzewną, by ją uszczelnić, i przez kolejne dwa dni siedzieliśmy na brzegu i upychaliśmy między klepkami gorącą smołę zmieszaną z końskim włosiem, mchem i owczą wełną. Ze składu przyniesiono na łękę maszt, żagle i konopne olinowanie, ja zaś uparłem się, by moi ludzie opuścili obskurną tawernę i spali na statku.

Rozpięliśmy żagiel niczym namiot i spaliśmy na kadłubie albo pod nim. Zdawało się, że Frithof nas polubił, choć może cieszyła go myśl, że jeden z jego statków wróci w końcu na wody. Przynosił ale na łękę oddaloną o czterysta–pięćset kroków od najbliższych murów Snotengaham, pił z nami i snuł opowieści o dawnych bitwach, a ja w zamian raczyłem go historiami ze

swych podróży.

– Tęsknię za morzem – wyznał ze smutkiem.

– Więc płyn z nami – zaprosiłem go.

Z żalem pokręcił głową.

– Jarl Sigurd to dobry pan, dba o mnie.

– Zobaczę go, nim wypłyniemy? – spytałem.

– Wątpię – odparł Duńczyk. – Razem z synem ruszył na pomoc twojemu staremu druhowi.

– Haestenowi?

Frithof przytaknął.

– Przezimowałeś u niego? – spytał.

– Obiecywał, że niebawem dołączą do nas inni – skłamałem gładko. – Mówił, że przybędą z Irlandii, ale nikt się nie zjawił.

– A jednak latem nieźle sobie radził – zauważył.

– Dopóki Sasi nie przejęli jego floty – rzuciłem kwaśno.

– Uhtred z Bebbanburga – dodał równie kwaśno i dotknął młota Thora, który nosił zawieszony na szyi. – Teraz ten sam Uhtred go oblega. Dlatego wyjechaliście?

– Nie chcę umrzeć w Brytanii. Więc tak: dlatego wyjechaliśmy.

Frithof się uśmiechnął.

– Uhtred umrze w Brytanii, przyjacielu. Jarl Sigurd wyprawił się, żeby ubić sukinsyna.

Tym razem to ja zacisnąłem palce na młocie Thora.

– Niech bogowie zapewnią jarlowi zwycięstwo – rzekłem obłudnie.

– Gdy Uhtred polegnie – dodał Frithof – Mercja upadnie, a gdy umrze Alfred, upadnie Wessex. – Uśmiechnął się. – Kto chciałby być we Fryzji, gdy to się stanie?

– Tęskno mi do domu – odparłem.

– Sprowadź się tu! – rzucił z entuzjazmem. – Dołącz do jarła Sigurda, a sam wybierzesz sobie ziemię w Wessexie, weźmiesz tuzin saskich żon i będziesz żył jak król!

– Wpierw jednak będę musiał zabić Uhtreda? – spytałem niefrasobliwie. Frithof kolejny raz dotknął amuletu.

– Psi syn zginie – odparł głosem, w którym próżno było doszukiwać się lekkości.

– Wielu próbowało go zabić – dodałem. – Ubba próbował!

– Uhtred nigdy wcześniej nie stawał w walce przeciwko jarlowi Sigurdowi – zapewnił Duńczyk. – Ani przeciwko jarlowi Kanutowi, a miecz jarła Kanuta jest szybki jak język węża. Powiadam ci, Uhtred umrze.

– Wszyscy kiedyś umrzemy.

– Jego śmierć została przepowiedziana – rzekł Frithof, a widząc moje zainteresowanie, po raz kolejny musnął palcami młot Thora. – Jest widząca – wyjaśnił – która ujrzała jego śmierć.

– Gdzie? Kiedy?

– Kto to wie? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Ona pewno wie i obiecała to jarlowi.

Poczułem nagłe ukłucie zazdrości. Pytałem się w duchu, czy nocą Erce posiadała Sigurda, tak jak posiadała mnie. Zaraz jednak pomyślałem, że skoro Aelfadell przepowiedziała moją śmierć Sigurdowi, a mnie nie rzekła ani słowa, znaczyło to, że albo okłamała kogoś z nas, albo Erce mimo swej nadzwyczajnej urody nie była boginią.

– Jarl Sigurd i jarl Kanut zmierzają się z Uhtredem – ciągnął Frithof. – Wieszczba mówi, że zwyciężą, Uhtred umrze, a Wessex upadnie. A to oznacza, że stracisz swoją szansę, przyjacielu.

– Może wrócę – odparłem i pomyślałem, że może w istocie pewnego dnia powrócę do Snotengaham, bo jeśli spełni się Alfredowy sen o tym, by zjednoczyć wszystkie królestwa, w których posługiwano się angielszczyzną, ktoś będzie musiał wygnać Duńczyków ze Snotengaham i innych miast między Wessexem a dziką szkocką granicą.

Nocami, kiedy w miejscowych tawernach cichły śpiewy, a psy przestawały ujadać, strażnicy, którzy trzymali pieczę nad statkami, dosiadali się do naszych ognisk, posilali się naszym jadłem i pili nasze ale. Działo się tak trzy noce z rzędu, aż o świcie następnego dnia moi ludzie ze śpiewem na ustach, używając pochylni z drewnianych bali, zwodowali Córkę Tyra na Trente.

Łódź unosiła się na wodzie. Trzeba było dnia, żeby ją obciążyć, i połowy kolejnego, żeby odpowiednio rozłożyć kamienie i nieco bardziej obciążyć ją na rufie. Wiedziałem, że będzie przeciekać, bo wszystkie łodzie przeciekają, lecz drugiego dnia o zmierzchu nad świeżo ułożonymi kamieniami balastowymi nie było śladu wilgoci. Frithof dotrzymał słowa i przyniósł wiosła, a moi ludzie popłynęli kilka mil w górę rzeki, obrócili łódź i wrócili.

Ułożyliśmy maszt na stojakach, przytroczyliśmy do niego zwinięty żagiel, a cały nasz skromny dobytek ukryliśmy pod małym półpokładem na rufie. Za ostatnie srebrne monety kupiłem beczkę ale, dwie suszone ryby, dwukrotnie wypiekany chleb, połec wędzonego boczku i owinięty w płótno krążek twardego jak kamień sera. O zmroku Frithof przyniósł nam rzeźbioną w drewnie dębowym głowę orła morskiego, która pasowała na dziób.

– To prezent – zwrócił się do mnie.

– Dobry z ciebie człowiek – odparłem, i w istocie za takiego go miałem.

Patrzył, jak niewolni wnoszą głowę na pokład mojej łodzi.

– Niech Córką Tyra dobrze wam służy – rzekł, dotykając młota Thora zawieszzonego na szyi. – Niech wiatr nigdy was nie zawiedzie, a morze

zaprowadzi was bezpiecznie do domu.

Nakazałem niewolnym, by umieścili głowę orła na dziobnicy.

– Wiele ci zawdzięczam i pragnąłbym odpowiednio ci podziękować – rzekłem ciepło do Frithofa. Chciałem podarować mu srebrną bransoletę, ale pokręcił głową.

– Mnie na nic się nie zda – odparł. – A ty we Fryzji będziesz potrzebował srebra. Wyruszacie o świcie?

– Przed południem.

– Przyjdę się pożegnać – obiecał.

– Jak daleko stąd do morza?

– Za dwa dni wypłyniecie na otwarte wody – zapewnił mnie. – W ujściu rzeki zbrodźcie lekko na północ. Unikajcie wybrzeży Anglii Wschodniej.

– Jakież trudności?

Wzruszył ramionami.

– Parę statków szuka łatwych łupów, a Eohric podjudza ich załogi.

Wypłynicie na morze i dalej przed siebie. – Zadarł głowę i spojrzał w bezchmurne niebo. – Jeśli utrzyma się dobra pogoda, będziecie w domu za cztery dni. Może pięć.

– Jakież wieści z Ceasteru? – spytałem. Obawiałem się, iż Sigurd przejrzy, że został oszukany, i postanowi wrócić, jednak Frithof o niczym nie wiedział, przypuszczałem więc, że Finan wciąż przysparzał jarłowi kłopotów, wodząc go za nos po wzgórzach i lasach na południe od starego rzymskiego fortu.

Tej nocy była pełnia i strażnicy kolejny raz przyszli na nabrzeże, gdzie Córka Tyra kołysała się na wodzie przywiązana do Niosącej Jasność konopnymi linami. Blask księżyca odbijał się w zakolach rzeki. Ugościliśmy ich ale, uraczyliśmy pieśniami i opowieściami, i czekaliśmy. Ujrzałem sowę

płomykówkę, która przeleciała tak nisko, że dostrzegłem skrzydła białe jak dym, i wziąłem to za dobry omen. W środku nocy, gdy psy przestały ujadać, wyprawilem Osfertha i dwunastu ludzi do stogu siana stojącego w połowie drogi do miasta.

– Przynieście tyle siana, ile zdołacie udźwignąć – nakazałem im.

– Siana? – spytał jeden ze strażników.

– Do spania – rzuciłem i kazałem Luddzie, by napełnił jego róg ale.

Strażnicy zdawali się nie zauważać, że żaden z moich ludzi nie pije, ani też nie wyczuwali ich zdenerwowania. Podczas gdy oni wlewali w siebie ale, ja wszedłem na pokład Niosącej Jasność, a stamtąd na Córkę Tyra, gdzie włożyłem kolczugę i przypasałem Oddech Węża. Jeden po drugim moi ludzie wchodzili na łódź i gotowali się do walki, podczas gdy Osferth powrócił z wielką stertą siana. Dopiero wówczas jeden z czterech strażników zaczął dopatrywać się w naszym zachowaniu czegoś dziwnego.

– Co robicie? – zapytał.

– Palimy wasze statki – odparłem radośnie.

Spojrzał na mnie z rozdziawionymi ustami.

– Jak to? – bąknął.

Ledwie to powiedział, sięgnąłem po Oddech Węża i podstawilem mu czubek ostrza pod nos.

– Jestem Uhtred z Bebbanburga – rzekłem, patrząc, jak jego oczy robią się okrągłe ze zdumienia. – Wasz pan próbował mnie zabić – dodałem – chciałem mu więc przypomnieć, jak srodze zawiódł.

Zostawiłem na nabrzeżu trzech ludzi, by mieli oko na strażników, tymczasem wraz z pozostałymi uwijaliśmy się na wyciągniętych na brzeg statkach. Toporami rozłupaliśmy łąwy i rozsypaliśmy na dnie szerokich pokładów siano i podpałkę. Największy stos ułożyłem na Morskim Barbarzyńcy, ulubionym statku Kanuta, stojącym w samym środku

wciągniętej na brzeg floty. Osferth i pół tuzina jego ludzi obserwowali miasto, jednak nie dostrzegli żadnego zamieszania przy bramach, które – jak mniemałem – zostały zamknięte na noc. Nawet gdy z pomocą lin wyciągaliśmy drewniane podpory spod ustawionych najbliżej wody łodzi, a te ześlizgując się, wpadały na siebie z hukiem, hałas nie obudził mieszkańców Snotengaham.

Leżące w północnej części ziem Sigurda Snotengaham osłaniały przed Mercją należące do jarła wielkie warownie, podczas gdy na północ od niego rozciągało się terytorium Kanuta. Może nie było w Brytanii drugiego tak bezpiecznego miasta – może dlatego zgromadzono tu wikińską flotę i może dlatego Frithof wystawił na warcie ledwie czterech niezbyt rozgarniętych ludzi. Ich zadaniem nie było odpieranie ataku na Snotengaham, jako że nikt się go nie spodziewał – mieli jedynie powstrzymywać drobnych złodziei przed kradzieżą drewna i węgla drzewnego, którym opalano kotły ze smołą.

Ów węgiel leżał teraz rozsypany na łodziach, podczas gdy ja opróżniłem zawartość jednego z kopających kotłów na pokład Morskiego Barbarzyńcy.

Podłożyliśmy ogień pod pozostałe statki i wróciliśmy na nabrzeże. Płomienie buchnęły, przygasty, po czym rozgorzały z nową mocą. Dym gęstniał z każdą chwilą. Z początku płonęły wyłącznie podpałka i węgle – trzeba było czasu, by dębowe klepki statków zajęły się ogniem. W końcu jednak i one stanęły w płomieniach. Lekki, zmienny wiatr momentami nawiewał dym z powrotem, sprawiając, że kłębił się, a zaraz potem wzbijał w powietrze. Ogień rozprzestrzeniał się, topiąc smołę, iskry strzelały w niebo, a wszystkiemu towarzyszył ryk pożaru.

Osferth i jego ludzie biegli ku nabrzeżu między lśniącą od pożogi rzeką a płomieniami. Jedna z łodzi zawałiła się, płonące klepki rozsypały po ziemi, a jęzory ognia zaczęły lizać dno sąsiedniego statku.

– Nadciągają! – krzyczał Osferth.

– Ilu?

– Sześciu? Siedmiu?

Powiodłem dziesięciu ludzi w górę rzeki, tymczasem Osferth podpalał statki, które wciąż unosiły się na wodzie. Wśród ryku płomieni od czasu do czasu słychać było trzask pękających klepek. Morski Barbarzyńca przywodził na myśl utkany z płomieni statek widmo, gorejący kocioł. Kiedy go mijaliśmy, długa stępka złamała się z trzaskiem, a w niebo sypnął snop iskier, w których blasku ujrzałem biegnącą ku nam grupę ludzi. Było ich niewielu, ośmiu, może dziewięciu, a po pelerynach narzuconych w pośpiechu na skórzane kubraki można było sądzić, że żaden z nich nie jest gotowy do walki. Nie mieli też broni i widząc mnie, zwolnili kroku. Nic dziwnego, byłem bowiem w kolczudze i hełmie, a w dłoni dzierżyłem Oddech Węża.

Długie ostrze odbijało blask ognia. Milczałem. Stałem zwrócony tyłem do ryczących płomieni, tak więc twarz miałem skrytą w cieniu. Ujrawszy pośród pożogi wojowników gotowych do walki, mężczyźni zawrócili i pognali do miasta sprowadzić pomoc. Ta jednak już nadciągała. Coraz więcej ludzi biegło przez łąkę i w ognistej łunie dojrzałem błysk stali.

– Na nabrzeże! – ryknąłem na swoich ludzi.

Wycofaliśmy się na poczerniały od ognia brzeg.

– Osfercie! Czy wszystkie płoną?! – Miałem na myśli zacumowane przy brzegu wikińskie statki, wszystkie z wyjątkiem Córki Tyra i Niosącej Jasność.

– Tak! – odkrzyknął.

– Na pokład! – zawołałem.

Na pokładzie Córki Tyra policzyłem swoich ludzi, a widząc, że strażnicy czmychnęli z nabrzeża, toporem przeciąłem cumy łączące Niosącą Jasność z drewnianym pomostem. Ludzie z miasta myśleli, że kradnę łódź Sigurda, więc ci, którzy mieli przy sobie broń, ruszyli jej na ratunek. Wskoczyłem na

pokład Niosącej Jasność i waliłem toporem, by przeciąć ostatnią linę łączącą dziobnicę z brzegiem. Trzymany przez jedną cumę statek przechylał się w stronę rzeki, podczas gdy moje uderzenie naderwało tylko konopny sznur.

Jeden z obrońców przeskoczył na pokład i wylądował na ławach wioślarzy. Zamachnął się na mnie mieczem i jego ostrze dosięgło mojej kolczugi. W odpowiedzi kopnąłem go w twarz. Kątem oka dostrzegłem kolejnych dwóch ludzi, którzy szykowali się do skoku. Jeden chybił i spadł w wąską przestrzeń między burtą a brzegiem, gdzie uczepony ręką kadłuba, próbował się nań wspiąć. Jednakże drugi wylądował obok mnie i ciął mnie w brzuch krótkim ostrzem. Osferth, który wrócił na pokład Niosącej Jasność, ruszył mi z odsieczą, ja tymczasem, wywijając toporem, próbowałem parować sypiące się na mnie ciosy. Pierwszy z napastników ciął mnie w nogi, jednak ostrze miecza zatrzymało się na wszytych w buty metalowych płytkach. Skacząc na pokład, zranił się, możliwe, że złamał nogę, bo nie był w stanie ustać prosto.

Obrócił się, by stawić czoło Osferthowi, ten jednak wytrącił mu miecz z dłoni i rzucił się na niego. Drugi z napastników spanikował i pchnął go za burtę. Kolejny raz ciąłem toporem napiętą linę, a gdy w końcu pękła, omal nie straciłem równowagi, gdy zerwana z uwięzi łódź szarpnięciem oderwała się od brzegu. Człowiek wiszący na kadłubie runął do rzeki, a ten, którego ranił Osferth, konał. Jego krew spływała po kamieniach balastowych.

– Dziękuję – zwróciłem się do Osfertha.

Prąd rzeczny znosił oba statki w dół rzeki, z dala od szalejącego pożaru i bijących w niebo kłębow dymu, które przesłaniały gwiazdy. Ukryliśmy na kadłubie Niosącej Jasność podpałkę, węgiel drzewny i ostatni piecyk.

Przechyliłem go teraz i czekałem wystarczająco długo, by widzieć, jak węgiel zaczyna płonąć. Dopiero wówczas wróciliśmy na pokład Córki Tyra i przecięliśmy linę, która łączyła ją z Niosącą Jasność. Tuzin moich ludzi

siedział już przy wiosłach i wprawnymi ruchami odbił od większej łodzi.

Umieściłem wiosło sterowe na rufie i napałem na nie, wyprowadzając Córkę Tyra na środek rzeki. Czyjś topór nadleciał ku nam od strony brzegu, ostrze odbiło blask ognia i wpadło do wody za naszymi plecami.

– Załóżcie głowę orła! – ryknąłem na swoich ludzi.

– Kjartanie! – Frithof dosiadający rosłego karego rumaka galopował wzdłuż brzegu. Ciśnięty ku nam topór należał do jednego z jego ludzi, a teraz drugi posłał ku nam włócznie, która nie wyrządziwszy żadnych szkód, wpadła z pluskiem do wody. – Kjartanie!

– Nazywam się Uhtred! – odkrzyknąłem. – Uhtred z Bebbanburga!

– Co?! – ryknął, jakby mnie nie słyszał.

– Uhtred z Bebbanburga! Pozdrów ode mnie jarla Sigurda!

– Ty psie!

– I powiedz temu gównozercy, którego nazywasz swym panem, by nigdy więcej nie próbował mnie zabić!

Frithof i jego ludzie musieli ściągnąć cugle, albowiem dopływ rzeki przeciął im drogę. Przeklinał mnie jeszcze, lecz jego głos cichł, w miarę jak odpływaliśmy coraz dalej.

Niebo za naszymi plecami gorzało łuną znad płonącej floty jarla Sigurda. Nie wszystkie statki stanęły w płomieniach i nie wątpiłem, że z piekła, które rozpętaliśmy tamtej nocy, ludzie Frithofa ocala jedną, dwie, a może więcej łodzi. Wiedziałem też, że będą chcieli nas ścigać, dlatego odpływając, podpaliliśmy Niosącą Jasność. Prąd rzeczny obrócił łodzią, a jej smukły kadłub zmienił się w kołyskę ognia. Miałem nadzieję, że prędzej czy później statek zatoni, dym zmieni się w parę, a wrak zablokuje rzekę. Pozdrowiłem Frithofa machnięciem ręki i roześmiałem się. Sigurd będzie wściekły, kiedy odkryje, że zagraliśmy mu na nosie. Więcej: wystrychnęliśmy go na dudka, zmieniając jego cenną flotę w stertę popiołów.

Rzeka za naszymi plecami skrzyła się czerwienią, podczas gdy wody przed nami skąpane były w srebrzystym blasku księżyca. Parł silny prąd, ale potrzebowiałem ledwie pół tuzina wiosł, by utrzymać łódź na środku rzeki.

Płynęliśmy po zewnętrznej stronie zakoli, gdzie woda była najgłębsza, nasłuchując złowieszczego szurania kilu o dno, jednak bogowie nam sprzyjali i Córka Tyra pospiesznie oddalała się od bijącej znad Snotengaham łuny.

Poruszaliśmy się szybciej niż konni i wkrótce mieliśmy znaczną przewagę nad każdą łodzią, która mogłaby próbować nas doścignąć. Przez mniej więcej godzinę Niosąca Jasność płynęła tuż za nami, w końcu jednak została w tyle, a trawiące ją płomienie jeszcze przez jakiś czas majaczyły w zakolach rzeki.

Ostatecznie i one przygasły – miałem nadzieję, że łódź zatoneła, a jej wrak utworzył zaporę na rzece. My tymczasem płynęliśmy przed siebie.

– Co na tym zyskaliśmy, panie? – spytał Osferth, który dołączył do mnie na półpokładzie Córki Tyra.

– Sprawiliśmy, że Sigurd wyszedł na głupca – odparłem.

– Lecz przecież nie jest głupcem.

Wiedziałem, że Osferth nie pochwalał tego, co uczyniliśmy. Nie był tchórzem, lecz uważał, podobnie jak jego ojciec, że inteligentny człowiek może uniknąć wojowania i rozsądkiem doprowadzić do zwycięstwa.

Tymczasem wojna to przede wszystkim emocje.

– Chcę, żeby Duńczycy się nas bali – odparłem.

– Przecież już się bali.

– Teraz boją się jeszcze bardziej – rzekłem. – Żaden Duńczyk nie zaatakuje Mercji czy Wessexu, wiedząc, że jego dom nie jest bezpieczny.

Pokazaliśmy im, że nie boimy się zapuszczać na ich ziemie.

– Albo daliśmy im powód do zemsty – burknął Osferth.

– Zemsty? – spytałem. – Myślisz, że Duńczycy zamierzali zostawić nas w spokoju?

– Obawiam się ataków na Mercję – wyznał. – Odwetu za to, co uczyniliśmy.

– Buccingahamm spłonie – odparłem – ale kazałem wszystkim opuścić dwór i udać się do Londynu.

– Tak? – Wydawał się zaskoczony, zaraz jednak sposepniał. – A więc dwór Beornnotha również pójdzie z dymem.

Słyszając to, roześmiałem się i dotknąłem srebrnego łańcucha, który Osferth nosił na szyi.

– Chcesz postawić ten łańcuch na to, że tak się nie stanie? – spytałem go.

– Niby czemu Sigurd miałby nie spalić dworu Beornnotha? – dopytywałem.

– Bo Beornnoth i jego syn to ludzie Sigurda – stwierdziłem.

– Beornnoth i Beortsig?

Pokiwałem głową. Nie miałem dowodu, a tylko podejrzenia, lecz ziemie Beornnotha graniczące z duńską Mercją pozostały nietknięte, a to mogło sugerować pewien układ. Domyślałem się, że stary Beornnoth, umęczony ciągłymi wojnami, zawarł pokój. Tymczasem jego zgorzkniały syn pałał nienawiścią do Sasów zachodnich, którzy w jego mniemaniu pozbawili Mercję suwerenności.

– Na razie nie mogę tego udowodnić – zwróciłem się do Osfertha – ale zrobię to.

– Nawet jeśli tak jest, panie – odparł z rozważą – co nam to dało? – Mówiąc to, wskazał błędną w oddali łunę.

– Poza tym, że rozjusziliśmy Sigurda? – Naparłem na wiosło sterowe, kierując łódź na zewnętrzną stronę długiego zakola. Niebo na wschodzie

pojaśniało, a wciąż ukryte słońce rozświetliło ławice chmur. Bydło leniwie odwracało za nami głowy. – Twój ojciec – ciągnąłem, wiedząc, jak bardzo rozjuszą go te dwa słowa – całe moje życie trzymał Duńczyków na dystans.

Wessex to forteca. Wiesz jednak, co marzy się twemu ojcu.

– Zjednoczyć wszystkie ziemie, których mieszkańcy posługują się anglosaską mową.

– Nie dokonasz tego, budując fortecę. Nie pokonasz Duńczyków, broniąc się przed ich atakami. To ty musisz zaatakować. A twój ojciec nigdy tego nie zrobił.

– Posłał statki do Anglii Wschodniej – obruszył się Osferth.

Alfred w istocie wysłał statki do Anglii Wschodniej, by ukarać Duńczyków Eohrica, którzy wyprawili się na Wessex, jednak królewskie łodzie niewiele tam wskórały. Sasi zachodni budowali wielkie okręty, których stępki były zbyt głębokie, by pływać po rzekach, gdy więc ludzie Eohrica umknęli na płytsze wody, flota Alfreda wycofała się, choć groźba z jej strony wystarczyła, by przekonać Eohrica do utrzymania pokoju między Wessexem a jego królestwem.

– Jeśli chcemy zjednoczyć Sasów – dodałem – statki na nic się nam nie zdadzą. Będziemy potrzebować murów tarcz, włóczni, mieczy i rzezi.

– I Boskiego wspomżenia – dodał Osferth.

– Nawet tego – rzuciłem. – Wiedzą o tym twój brat i twoja siostra. Będą szukać kogoś, kto poprowadzi mur tarcz.

– Ciebie.

– Nas. Dlatego spaliliśmy flotę Sigurda. By pokazać Wessexowi i Mercji, kto może go poprowadzić. – Klepnąłem go w ramię i uśmiechnąłem się od ucha do ucha. – Mam dość bycia tarczą Mercji. Chcę być mieczem Sasów.

Alfred, jeśli jeszcze żył, był konający. A jego ambicja stała się właśnie moją własną. Zdjęliśmy z dziobnicy głowę orła, by nie uchodzić za wrogów,

i pod wschodzącym słońcem pożeglowaliśmy ku Anglii. Byłem w ojczyźnie Duńczyków i widziałem połączenie piasku i jałowej ziemi, i choć zgaduję, że mają też lepsze ziemie od tych, które widziałem, wątpię, by mogły się one równać z tymi, które mijaliśmy, płynąc na pokładzie Córki Tyra. Rzeka niosła nas pośród żyznych pól i głębokich lasów. Prądy ściągały do wody pierzaste liście wierzb. Wydry harcowały w nurcie, umykając przed cieniem naszego kadłuba, a lasówki hałasowały na brzegach, gdzie pierwsze jaskółki zbierały błoto na gniazda. Łabędź rozpostarł skrzydła i syknął na nas, na co moi ludzie odpowiedzieli tym samym, wyraźnie rozbawieni. Obsypane świeżą zielenią drzewa rozpościerały swe gałęzie nad łąkami żółtymi od pierwiosnków, podczas gdy w lasach kwitły niebieskie dzwonki. Oto, co sprowadziło tu Duńczyków – nie srebro i niewolnicy, nawet nie sława, lecz ziemia: bogata, żyzna, płodna ziemia, która dawała plony i dzięki której można było wykarmić rodzinę. Dzieci pielące pola prostowały się, by nam pomachać. Widziałem dwory, osady i stada i wiedziałem, że mam przed oczami prawdziwe bogactwo, dla którego ludzie ściągali tu zza morza.

Wypatrywaliśmy pościgu, jednak nikt nas nie gonił. Wiosłowaliśmy, choć starałem się oszczędzać swych ludzi, więc z każdej strony tylko pół tuzina uwijało się przy wiosłach, prowadząc łódź w dół rzeki. W powietrzu roiło się od jętek, głodne ryby pływały tuż pod powierzchnią wśród falujących na wodzie długich wodorostów. Kiedy mijaliśmy Gegnesburh, przypomniałem sobie, jak Ragnar zabił mnicha. Było to miasto, w którym wychowała się żona Alfreda, na długo przed tym, zanim zajęli je Duńczycy. Okalały je mur i drewniana palisada, lecz zarówno jedno, jak i drugie było w opłakanym stanie. Znaczna część palisady została rozebrana, a dębowe bale najpewniej wykorzystano do budowy domostw, tymczasem usypane z ziemi wały zapadły się, tworząc rów, za którym widać było nowo pobudowane chaty.

Duńczycy nie dbali o ochronę. Czuli się tu bezpieczni. Odkąd zdobyli miasto, nikt nie próbował go odbić i żyli w przekonaniu, że nikt się na to nie poważy.

Ludzie pozdrawiali nas okrzykami. Jedynymi statkami zawijającymi do Gegnesburhu były łodzie kupieckie, powolne i ociążałe. Zastanawiałem się, czy miastu nadano nową duńską nazwę, bo choć ziemie te należały do Mercji, przekształcano je w królestwo Duńczyków.

Cały dzień płynęliśmy na wiosłach, aż przed wieczorem dotarliśmy do estuarium rzeki Humber. Wody rozpościerającego się przed nami morza ciemniały w gasnących promieniach słońca. Postawiliśmy maszt, do którego to zadania trzeba było wszystkich moich ludzi, a następnie naprężyliśmy konopne liny, przywiązaliśmy je do burt, wciągnęliśmy reję i rozwinęliśmy żagiel. Utkane z wełny i lnu płótno wybrzuszyło się, chwytając południowo-zachodni wiatr, takielunek napiął się i zatrzeszczał, a łódź podskoczyła na pierwszych falach. Córka Tyra zadrżała, a my szarpnęliśmy za wiosła, walcząc z nadchodzącym przypływem, i pożeglowaliśmy na wschód, ku zapadającej nocy. Potrzebowaliśmy wiosła i żagla, by płynąć pod prąd, a gdy ten począł słabnąć, wypłynęliśmy na szersze wody upstrzone plamkami bieli w miejscach, gdzie fale walczyły z rzeką. Oglądałem się przez ramię, wypatrując pościgu, lecz nie widziałem żadnych łodzi. Tymczasem zostawialiśmy za sobą błotniste brzegi, czując, jak kadłub unosi się na spienionych morskich grzywaczach.

Większość statków wieczorami przybija do brzegu. Szyper znajduje zatoczkę, w której przeczekują noc, my jednak płynęliśmy na wschód, a gdy zapadł zmrok, wciągnęliśmy wiosła na pokład i pozwoliliśmy małej łodzi płynąć z wiatrem. Czasami w mroku kierowałem ją na południe, a gdy nadszedł świt, zasnąłem. Jeśli ktoś nas ścigał, nic o tym nie wiedziałem, a statki z Anglii Wschodniej nie widziały nas, gdy zbiegaliśmy na południe.

Znałem te wody. Wraz z nastaniem pięknego słonecznego dnia podpłynęliśmy nieco bliżej brzegu, wypatrując znajomych widoków.

Zoczyliśmy dwa inne statki, te jednak nas zignorowały. Sunęliśmy więc dalej pośród przybrzeżnych równin błotnych, minęliśmy Fughelness i wpłynęliśmy na wody Tamizy. Bogowie sprawowali nad nami pieczę i po kilku dniach i nocach niczym niezmaconej podróży dotarliśmy do Londynu.

Wprowadziłem Córkę Tyra do doku przy domostwie, w którym mieszkałem podczas swej bytności w Londynie. Nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś je zobaczę, w nim bowiem umarła Gisela. Pomyślałem o Aelfadell i jej ponurej wieszczbie, według której wszystkie moje kobiety miały umrzeć. Pocieszałem się jednak myślą, że starucha nie przewidziała, iż flota Sigurda spłonie, skąd więc mogła wiedzieć, co spotka moje kobiety?

Ostrzegłem swoich ludzi w Buccingahamm, by spodziewali się ataku, i nakazałem im jechać na południe do Londynu, oczekiwałem więc, że zastanę w domu Sigunn albo Finana, który zakończywszy swą misję w Ceasterze, również miał do nas dołączyć. Dwór jednak zdawał się opuszczony, gdy ostatni raz pociągając za wiosła, wpłynęliśmy do doku.

Ludzie z linami cumowniczymi wyszli na brzeg, a gdy odkładane wiosła stuknęły o ławki, drzwi do domu stanęły otworem i na pomost wyszedł klecha.

– Nie możecie tutaj cumować! – zawołał do mnie.

– Coś ty za jeden? – spytałem.

– To prywatne domostwo – oświadczył, ignorując moje pytanie. Był chudym człowiekiem w średnim wieku, o srogim obliczu, które szpeciły blizny po ospie. Jego długą czarną szatę, nieskazitelnie czystą, utkano z najprzedniejszej wełny. Włosy miał starannie przycięte. Nie był zwykłym księdzem: odzienie i postawa zdradzały, że mam do czynienia z człowiekiem uprzywilejowanym. – W dole rzeki jest cumowisko. – Mówiąc to, machnął

ręką na wschód.

– Kim jesteś? – powtórzyłem pytanie.

– Człowiekiem, który każe ci znaleźć inne miejsce do cumowania – rzucił poirytowany. Nie cofnął się, gdy wyskoczyłem z łodzi i stanąłem przed nim.

– Każę usunąć tę łódź – zagroził. – I żeby ją odzyskać, będziesz musiał zapłacić.

– Jestem zmęczony – odparłem. – I ani mi się śni cumować gdzie indziej.

Poczułem znajomy smród Londynu – woń dymu zmieszana z fetorem odchodów – i przypomniałem sobie Gisele rozrzucającą lawendę na wykładanej płytkami podłodze. Myśl o niej sprawiła, że poczułem bolesne ukłucie straty. Lubiała ten dom, pobudowany przez Rzymian, z pokojami wychodzącymi na rozległe podwórze i wielką izbą z widokiem na rzekę.

– Nie możesz tu wejść! – oświadczył stanowczo klecha, kiedy go minąłem. – Dom należy do Plegmunda.

– Plegmunda? – spytałem. – On dowodzi tutejszym garnizonem?

Domiszczce należało do tego, kto akurat dowodził miejscowym oddziałem. Po mnie zaszczyt ten przypadł Sasowi zachodniemu imieniem Weohstan, lecz Weohstan był mi przyjacielem i wiedziałem, że chętnie ugościłby mnie pod swym dachem.

– Dwór został podarowany arcybiskupowi – wyłuszczył klecha. – Przez Alfreda.

– Arcybiskupowi? – zdumiałem się. Plegmund był nowym arcybiskupem Contwaraburga, Mercjaninem słynnym ze swej pobożności, przyjacielem Alfreda i najwyraźniej nowym właścicielem jednego z najlepszych domów w Londynie. – Była tu dziewczyna? – dopytywałem. – Albo Irlandczyk?

Wojownik?

Klecha pobladł. Musiał przypomnieć sobie Sigunn albo Finana, którzy przyszli do dworu, i wspomnienie to uświadomiło mu, kim jestem.

– Jesteś Uhtred? – zapytał.

– To ja – odparłem i pchnięciem otworzyłem drzwi. Długa izba, pełna ciepła, gdy mieszkałem tu razem z Giselą, została zmieniona w miejsce, gdzie mnisi przepisywali swoje manuskrypty. Na sześciu wysokich pulpitych znajdowały się zwoje pergaminu, pióra i kałamarze. Przy dwóch stali duchowni. Jeden w skupieniu kopiował manuskrypt, drugi tymczasem z pomocą kawałka deszczułki i igły nakłuwał na pustym zwoju linie, dzięki którym pismo było proste. Słyszając zamieszanie, obaj podnieśli głowy i spojrzeli na mnie nerwowym wzrokiem, po czym wrócili do swych zadań. – Pytałem, czy była tu dziewczyna – przypomniałem klesze. – Dunka. Szczupła i ładna. Powinno jej towarzyszyć pół tuzina zbrojnych.

– Była – odparł niepewnie księżulo.

– I?

– Poszła do tawerny – bąknął chłodno, wiedziałem więc, że Sigunn została odprawiona.

– A Weohstan? – spytałem. – Gdzie jest?

– Kwateruje w kościele.

– Plegmund jest w Londynie?

– Arcybiskup jest w Contwaraburgu.

– Ile ma łodzi? – ciągnąłem klechę za język.

– Żadnej – odparł.

– A więc nic mu po tym przeklętym doku. Moja łódź zostanie tu, dopóki jej nie sprzedam, a jeśli poważysz się ją tknąć, klecho, jeśli tkniesz ją choćby paluchem, usuniesz ją albo choć o tym pomyślisz, zabiorę cię na pełne morze i nauczę Chrystusowych sztuczek.

– Chrystusowych sztuczek? – spytał.

– Słyszałem, że chodził po wodzie.

Rozmowa z klechą przygnębiła mnie, przypomniała mi bowiem o lepkich łapskach kościoła, które coraz mocniej zaciskały się wokół Wessexu. Wyglądało na to, że król darował Plegmundowi i Werferthowi, biskupowi Wygraceasteru, połowę nabrzeża Londynu. Alfred pragnął, by kler był bogaty, a biskupi wpływowi, ufał bowiem, że będą wprowadzać w życie i egzekwować jego prawa, gdybym więc pomógł rozszerzyć ich wpływy dalej na północ, ani chybi i tam zapanowałyby smutne, pozbawione wszelkich uciech rządy biskupów, księży, mnichów i zakonnic. Tymczasem byłem zobowiązany – zobowiązany poprzez Aethelflaed, która przebywała w Wintanceasterze. Dowiedziałem się tego od Weohstana.

– Król zebrał wokół siebie rodzinę – rzekł ponuro – albowiem bliski jest jego koniec. – Weohstan był powściągliwym, łysym, niemal bezzębnym Sasem zachodnim, który dowodził garnizonem w Londynie. Miasto należało ponoć do Mercjan, lecz Alfred zadbał o to, by każdy, kto sprawował tu jakąkolwiek władzę, przysięgał wierność Wessexowi, a Weohstan był dobrym człowiekiem, pozbawionym wyobraźni, lecz sumiennym. – Sęk w tym, że potrzebuję pieniędzy na naprawę murów – mruknął do mnie – a oni nie chcą mi ich dać. Ślą bogactwa do Rzymu, a nie chcą dać na moje mury.

– Okradnij ich więc – zaproponowałem.

– Od miesięcy nie widzieliśmy tu Duńczyka – oświadczył.

– Z wyjątkiem Sigunn – dodałem.

– Śliczna jest – rzucił i uśmiechnął się, odsłaniając resztki zębów. Udzielił jej schronienia, kiedy na mnie czekała.

Nie miała żadnych wieści z Buccingahamm, zgadywałem jednak, że tamtejszy dwór ze stodołami i spichrzami obróci się w kopcającą ruinę, gdy tylko Sigurd wróci z wypadu do Ceasteru. Dwa dni później powrócił Finan i uśmiechając się radośnie, przekazał nam najnowsze wieści.

– Daliśmy Sigurdowi popalić – oznajmił. – I powiedliśmy go wprost na

Walijczyków.

– A Haesten?

– Bóg jeden wie.

Finan opowiedział, jak razem z Merewalhem wycofali się na południe w gęste lasy i jak Sigurd podążył ich śladem.

– Chryste, aż palił się do bitki. Rozesłał za nami grupy konnych i jedna z nich wpadła w naszą zasadzkę. – Mówiąc to, wręczył mi sakwę pełną srebra złupionego Duńczykom, których wycięli w dąbrowie.

Rozjuszony Sigurd stał się nieostrożny i próbował osaczyć moich ludzi, rozsyłając zbrojnych na zachód i południe, a tymczasem natknął się na porywczych Walijczyków i drużyna walijskich wojów ruszyła zza wzgórz przeciwko wikingom. Sigurd zatrzymał ich w murze tarcz i zaraz potem wycofał się na północ.

– Musiał usłyszeć wieści o spalonej flocie – zgadywałem.

– Będzie wielce nieszczęśliwym człowiekiem – rzucił radośnie Finan.

– Ja zaś jestem biedny – odparłem.

Buccingahamm najpewniej poszło z dymem, nie miałem więc od kogo ściągać podatków. Rodziny moich ludzi były w Londynie, Córkę Tyra sprzedałem za marne grosze, a Aethelflaed nie była w stanie mi pomóc.

Przebywała w Wintanceasterze u boku niedomagającego ojca, podobnie jak jej mąż. Wysłała mi list, lecz jego treść była beznamietna, a chwilami wręcz nieprzyjazna, jak gdyby wiedziała, że ktoś przeczyta przede mną. Mówiłem jej jednak o swym niedostatku, zasugerowała więc w liście, bym udał się do jednej z jej posiadłości w dolinie Tamizy. Zarządcą był tam człowiek, który walczył u mego boku pod Beamfleot, i przynajmniej on ucieszył się na mój widok. Został okaleczony w walce, chodził jednak o kuli i całkiem nieźle trzymał się w siodle. To on pożyczył mi pieniądze. Ludda został ze mną. Obiecałem mu, że gdy znów się wzbogacę, zapłacę mu za jego

usługi.

Powiedziałem też, że jeśli chce, może odejść, on jednak zdecydował się pozostać. Uczył się władać mieczem i tarczą i musiałem przyznać, że polubiłem jego towarzystwo. Opuścili mnie za to dwaj Fryzyjczycy. Uznali, że lepiej im będzie u innego pana, a ja ich nie zatrzymywałem. Byłem w równie ciężkim położeniu jak Haesten, a moi ludzie zastanawiali się, czy przypadkiem nie przysięgali niewłaściwemu człowiekowi.

I wtedy, z końcem lata, wrócił Sihtric.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Było to lato łowów i patroli. Leniwi ludzie to nieszczęśliwi ludzie, tak więc za pożyczone srebro kupiłem konie i wyprawiliśmy się na północ, ku granicom Sigurdowych ziem. Jeśli jarl wiedział o moim przybyciu, niczym się nie zdradził. Możliwe, że bał się kolejnego podstępu, takiego jak ten, który zmusił jego ludzi do bezsensownej walki z dzikimi Walijczykami – lecz i my nie szukaliśmy zwady. Nie miałem wystarczająco dużo ludzi, by wdawać się w potyczki. Wprawdzie obnosiłem się ze swym sztandarem, jednak wszystko to była hucpa.

Haesten nadal przebywał w Ceasterze, choć garnizon był teraz pięciokrotnie większy niż wiosną. Nowo przybyli okazali się nie wojownikami Haestena, lecz zaprzysiężonymi jarla Sigurda i jego sojusznika Kanuta Długiego Miecza, i ściągnęli na tyle licznie, by strzec murów starego fortu na całej ich długości. Zawiesili swe tarcze na palisadzie, a nad południową strażnicą powiewały ich chorągwie. Obok topora i strzaskanego krzyża Kanuta zawisł proporzec Sigurda przedstawiający kruka w locie. Nigdzie jednak nie widziałem sztandaru Haestena, domyślałem się więc, że walczył teraz dla jednego z dwóch jarłów.

Merewalh zgadywał, że w forcie stacjonuje obecnie około tysiąca wojowników.

– Próbują nas sprowokować – rzekł. – Garną się do walki.

– Ale ty nie dasz się sprowokować?

Pokręcił głową. Miał pod sobą ledwie stu pięćdziesięciu ludzi, wycofywał

się więc za każdym razem, gdy duński garnizon wyprawiał się poza fort.

– Nie wiem jednak, jak długo jeszcze tu zostaniemy – przyznał.

– Prosiłeś lorda Aethelreda o wsparcie?

– Prosiłem – rzucił posepnie.

– I?

– Mówi, że mamy mieć ich na oku – odparł Merewalh wyraźnie zniesmaczony.

Aethelred miał dość ludzi, by wywołać wojnę, i w każdej chwili mógł odbić Ceaster, tymczasem nie robił nic. Zaznaczyłem swoją obecność, parując pod murami z powiewającym nad głową wilczym sztandarem, i tak jak poprzednio, Haesten nie zdołał oprzeć się pokusie. Tym razem towarzyszyło mu dwunastu konnych, ku mnie ruszył jednak sam, rozkładając szeroko ręce. Wciąż się uśmiechał.

– Sprytnie postąpiłeś, mój przyjacielu – powitał mnie.

– Sprytnie?

– Jarl Sigurd nie był zachwycony. Przybył mi na ratunek, ty tymczasem spaliłeś jego statki! Jak się pewnie domyślasz, nie jest z tego powodu szczęśliwy.

– Nie pragnę jego szczęścia.

– Poprzysiągł ci śmierć.

– Zupełnie jak ty kiedyś.

– Ja dopełniam przyrzeczeń – zapewnił mnie.

– Łamiesz je równie łatwo, jak niezdarne dziecko tłucze jaja – rzuciłem pogardliwie. – Przed kim tym razem ugiąłeś kolano? Przed Sigurdem?

– Przed Sigurdem – przyznał. – W zamian przysłał mi swego syna i siedmiuset ludzi. – To powiedziawszy, wskazał towarzyszących mu konnych, wśród których rozpoznałem posepną twarz Sigurda Sigurdsona.

– Kto więc tu dowodzi? – spytałem. – Ty czy chłopak?

– Ja – odparł Haesten. – Mam wlać mu do głowy odrobinę zdrowego rozsądku.

– I Sigurd wierzy, że to zrobisz? – zakpiłem, a Haesten miał na tyle przyzwoitości, by się roześmiać. Patrzył na linię drzew ponad moim ramieniem, próbując zgadnąć, ilu ludzi przywiodłem, by wspomóc Merewalha. – Wystarczająco, by się z wami rozprawić – odpowiedziałem na pytanie, którego wszak nie zadał.

– Wątpię – rzekł. – Gdyby tak było, walczyłbyś, zamiast mleć ozorem.

To, co mówił, było prawdą.

– A więc co obiecał ci Sigurd w zamian za twoją przysięgę? – wypytywałem.

– Mercję – odparł.

Tym razem to ja się roześmiałem.

– Dostaniesz Mercję? A kto będzie rządził Wessexem?

– O tym zdecydują Sigurd i Kanut – stwierdził nonszalancko i się uśmiechnął. – Może ty? Myślę, że gdybyś się ukorzył, jarl Sigurd byłby gotów ci wybaczyć. Wolałby walczyć z tobą niż przeciwko tobie.

– Powiedz mu, że ja wolę go zabić – odparłem. Ściągnąłem wodze. – Jak twoja żona?

– Brunna ma się dobrze – odrzekł wyraźnie zaskoczony, że o to pytam.

– Nadal jest chrześcijanką?

Brunna została ochrzczona, podejrzewałem jednak, że cała ceremonia była kpiną mającą uśpić czujność Alfreda.

– Wierzy w chrześcijańskiego boga – odparł ze wstrętem Haesten. – Wiecznie do niego zawodzi.

– Będę się modlił, by odnalazła spokój we wdowieństwie – zapewniłem

go.

Odwróciłem się, gdy usłyszałem krzyk i ujrzałem galopującego ku nam Sigurda Sigurdsona.

– Uhtredzie! – wołał.

Zawróciłem konia i czekałem.

– Walcz ze mną – rzucił, zeskakując z siodła i sięgając po miecz.

– Sigurdzie! – warknął ostrzegawczo Haesten.

– Jestem Sigurd Sigurdson! – wrzasnął szczeniak. Stał z obnażonym mieczem i wbijał we mnie nienawistne spojrzenie.

– Nie teraz – rzekł Haesten.

– Posłuchaj swej niańki – zwróciłem się do chłopaka, który słysząc to, zamachnął się na mnie ostrzem.

Sparowałem cios prawą stopą, tak że metal odbił się z brzękiem od strzemienia.

– Nie! – krzyknął Haesten.

Sigurd splunął w moją stronę.

– Jesteś stary i przerażony. – Jeszcze raz strzyknął śliną i dodał podniesionym głosem: – Niech ludzie mówią, że Uhtred uciekł przed Sigurdem Sigurdsonem!

Był młody i głupi i palił się do walki. Był też krzepki, a w dłoni dzierżył miecz przedniej roboty, lecz jego ambicje przewyższały umiejętności. Chciał zyskać sławę, a ja przypomniałem sobie, że w jego wieku pragnąłem tego samego, i bogowie mi sprzyjali. Czy sprzyjali też Sigurdowi Sigurdsonowi?

Bez słowa wysunąłem stopy ze strzemion i zeskoczyłem z siodła. Powoli wyciągnąłem Oddech Węża i uśmiechnąłem się do chłopaka, który najwyraźniej tracił rezon, bo dostrzegłem na jego twarzy cień zwątpienia.

– Proszę, nie! – krzyknął Haesten.

Jego ludzie postąpili do przodu, podobnie jak moi.

Rozłożyłem ręce, zapraszając Sigurda do ataku. Zawahał się, lecz przyjął wyzwanie. Wiedział, że gdyby tego nie zrobił, wyszedłby na tchórza. Nie mogąc znieść tej myśli, rzucił się na mnie. Jego ostrze było szybkie niczym wąż. Sparowałem cios, zdumiony jego zwinnością, i odepchnąłem go wolną ręką, tak że zatoczył się w tył. Chwilę później ponownie zamachnął się mieczem, jednak i tym razem odparłem jego ruch. Pozwalałem mu atakować, podczas gdy sam tylko się broniłem, czym doprowadzałem go do jeszcze większej pasji. Był biegły we władaniu mieczem, lecz w przyływie wściekłości zdawał się zapomnieć wszystkie nauki. Wywijał ostrzem na oślep, wyprowadzając łatwe do sparowania ciosy, i wkrótce usłyszałem, jak stojący z tyłu ludzie Haestena radzą mi, by użył czubka miecza.

– Walcz ze mną! – ryknął Sigurd i kolejny raz zamachnął się na mnie.

– Szczeniak – warknąłem na niego, aż w oczach zaśniły mu łzy wściekłości. Wywinał mieczem tuż obok mojej głowy. Ostrze ze świstem przecięło letnie powietrze, a gdy wierzchołek sztychu mignął mi przed oczami, zanurkowałem do przodu i wolną ręką chwyciłem go za kostkę.

Chłopak runął na ziemię niczym wół, któremu podcięto ścięgna, ja tymczasem przystawiłem mu do szyi Oddech Węża. – Dorośnij, zanim znów będziesz chciał ze mną walczyć – poradziłem mu. Próbował się poderwać, lecz znieruchomiał, czując czubek ostrza, który wbijał mu się w szyję. – Nie umrzesz dziś, Sigurdzie Sigurdsonie – dodałem. – A teraz wypuść miecz.

Chłopak miauknął niczym kocię.

– Wypuść miecz – syknąłem i tym razem usłuchał. – To prezent od ojca? – spytałem go, lecz nie odpowiedział. – Nie umrzesz dziś – powtórzyłem. – Ale chcę, byś zapamiętał ten dzień. Dzień, w którym rzuciłeś wyzwanie Uhtredowi z Bebbanburga. – Przez kilka uderzeń serca patrzyłem mu w oczy, po czym wykonałem błyskawiczne cięcie. Był to ledwie ruch nadgarstkiem,

jednak rozplątał mu rękę, w której trzymał broń. Chłopak wzdrygnął się, kiedy trysnęła krew, ja tymczasem cofnąłem się, pochyliłem i podniosłem jego miecz. – Przekaż jego ojcu, że oszczędziłem szczeniaka – zwróciłem się do Haestena. Wytarłem Oddech Węża w pelerynę, rzuciłem zdobyczne ostrze Oswiemu, swojemu służącemu, i wskoczyłem na koń.

Sigurd Sigurdson ścisnął okaleczoną dłoń. – Przekaż ojcu moje pozdrowienia – rzuciłem i spiąłem konia. Niemal słyszałem, jak Haesten odetchnął z ulgą, że chłopak żyje.

Czemu go nie zabiłem? Bo nie był tego wart. Chciałem sprowokować jego ojca, a zabijając młokosa, z pewnością dopiąłbym swego. Nie miałem jednak ludzi, by toczyć wojnę z Sigurdem. Potrzebowałem do tego Sasów zachodnich. Musiałem poczekać, aż będę gotów, aż Wessex i Mercja zjednoczą siły. Dlatego go oszczędziłem.

Nie zostaliśmy w Ceasterze. Nie mieliśmy dość ludzi, by zająć stary fort, a im dłużej zwlekaliśmy z odjazdem, tym większe było ryzyko, że nadciągnie armia Sigurda, tak więc zostawiliśmy Merewalha, by miał oko na fortecę, a sami wróciliśmy do dworu Aethelflaed w dolinie Tamizy, skąd posłałem do Alfreda gońca z wieściami, że Haesten ślubował wierność Sigurdowi, a w Ceasterze stacjonuje duński garnizon. Zdawałem sobie sprawę z tego, że Alfred jest zbyt chory, by poczynić jakiegokolwiek kroki, ufałem jednak, że może Edward albo rada witanu chcieliby o tym wiedzieć. Nie otrzymałem jednak żadnej odpowiedzi. Gdy lato ustąpiło miejsca jesieni, brak wieści z Wintanceasteru zaczął mnie niepokoić. Dowiedzieliśmy się od podróżnych, że król niemal całkowicie opadł z sił, że prawie nie wstaje z łoża, a bliscy nie odstępują go na krok. Nie dostałem żadnych listów od Aethelflaed.

– Mógł ci chociaż podziękować za pokrzyżowanie planów Eohricowi – mruknął do mnie Finan pewnego wieczoru, mając na myśli Alfreda.

– Pewnie był rozczarowany – odparłem.

– Że przeżyłeś?

Słyszac to, uśmiechnąłem się.

– Że nie doszło do zawarcia traktatu.

Finan spoglądał markotnie w głąb izby. Ogień na palenisku nie płonął, wieczór był bowiem ciepły. Moi ludzie siedzieli w milczeniu przy stołach, psy leżały na sitowiu.

– Potrzebujemy srebra – zagadnął posępnie Finan.

– Wiem.

Jak to możliwe, że byłem tak biedny? Większość pieniędzy roztrwonilem, jadac na północ, do Aelfadell i Snotengaham. Zostało mi trochę srebra, było go jednak zbyt mało, bym mógł spełnić swoją ambicję i odzyskać Bebbanburg, wielką nadmorską fortecę. Potrzebowałem do tego ludzi, statków, broni, jedzenia i czasu. Potrzebowałem bogactw, a póki co żyłem z pożyczonych pieniędzy w rozpadającym się dworzyszczu na południowych krańcach Mercji. Byłem na łasce Aethelflaed, ta jednak najwyraźniej się kończyła, albowiem wciąż nie otrzymałem od niej żadnych wieści.

Podjezrewałem, że uległa zgubnemu wpływowi swojej rodziny i księżom, którzy byli wiecznie gotowi mówić nam, jak mamy się zachowywać.

– Alfred nie zasługuje na ciebie – ciągnął Finan.

– Ma głowę zaprzątniętą innymi rzeczami – odparłem. – Na przykład własną śmiercią.

– Gdyby nie ty, już dawno by nie żył.

– Gdyby nie my.

– I co dla nas zrobił? – warknął. – Jezu Chryste i wszyscy święci, jeden po drugim wykańczamy wrogów Alfreda, a on traktuje nas jak psie gówno.

Nic nie rzekłem. Siedzacy w kącie izby harfista grał melodię równie smętną i melancholijną jak mój nastrój. Światło przygasało, a dwie służące

stawiały na stole świece z knotem z sitowia. Patrzyłem, jak Ludda wsuwa jednej z nich rękę pod spódnicę, i zastanawiałem się, czemu został. Gdy wcześniej go o to pytałem, odparł, że szczęście raz nam sprzyja, a raz się od nas odwraca, czuje jednak, że los jeszcze się do mnie uśmiechnie. Miałem nadzieję, że przecucie go nie zawiedzie.

– Co się stało z tamtą walijską dziewczynką? – spytałem go. – Jak miała na imię?

– Teg, panie – odparł Ludda. – Zmieniła się w nietoperza i odleciała. – To powiedziawszy, uśmiechnął się od ucha do ucha, choć zauważyłem, że wielu moich ludzi uczyniło znak krzyża.

– Może wszyscy powinniśmy zmienić się w nietoperze – mruknąłem bez humoru.

Finan ściągnął brwi.

– Skoro Alfred cię nie chce – zagadnął – powinieneś dołączyć do jego wrogów.

– Przysięgałem Aethelflaed.

– A ona swemu mężowi – warknął.

– Nie będę walczył przeciwko niej.

– A ja nie odejdę – zapewnił i wiedziałem, że mówi prawdę. – Ale nie wszyscy zostaną tu na zimę, żeby głodować.

– Wiem – przyznałem.

– Ukradnijmy statek – namawiał mnie. – I wyruszmy na wiking.

– Za późno na to – odparłem.

– Bóg jeden wie, jak przetrwamy zimę – burknął. – Musimy coś zrobić.

Zabić kogoś bogatego.

Ledwie to powiedział, gdy drzwi do halli stanęły otworem, a strzegący ich strażnicy zastąpili drogę człowiekowi, który wdarł się do środka. Miał na

sobie kolczugę, hełm, a u pasa miecz. Za nim ledwie widoczna w dogasającym świetle stała kobieta z dwójką dzieci.

– Żądam, by mnie wpuszczono! – krzyknął przybysz.

– Dobry Boże – mruknął Finan, rozpoznawszy głos Sihtrica.

Jeden ze strażników próbował dobyć miecza, lecz Sihtric odepchnął go ze złością.

– Niech zachowa swój miecz – rzekłem, wstając od stołu. – I niech wejdzie.

Żona Sihtrica i jego dwaj synowie pozostali w drzwiach, on tymczasem ruszył w głąb izby. Zapadła cisza. Finan zerwał się na równe nogi, lecz pchnąłem go z powrotem na ławę.

– To mój obowiązek – syknąłem do Irlandczyka, obszedłem stół i zeskoczyłem na wysypaną sitowiem polepę.

Widząc mnie, Sihtric się zatrzymał. Nie miałem miecza. W halli nie nosiliśmy broni, albowiem broń i ale nie idą ze sobą w parze. Tym większe było zdumienie, gdy Sihtric obnażył swe długie ostrze. Niektórzy z moich ludzi podnieśli się, gotowi interweniować, zbyłem ich jednak machnięciem dłoni i szedłem dalej w kierunku Sihtrica. Zatrzymałem się dwa kroki od niego.

– Czego chcesz? – spytałem szorstko.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu, a ja się roześmiałem. Objąłem go, a on uścisnął mnie i wyciągnął ku mnie rękojeść miecza.

– Jest twój, panie – rzekł. – Jak zawsze.

– Ale! – zakrzyknąłem. – Dawajcie ale i strawę!

Finan patrzył z rozdziawionymi ustami, jak kładę Sihtricowi dłoń na ramieniu i prowadzę go do stołu. Ludzie wiwatowali. Lubili Sihtrica i zdziwiło ich jego zachowanie, wszystko to jednak zostało ukartowane.

Nawet zniewagi, którymi mnie obrzucił. Chciałem, by Beortsig wziął go do siebie, a ten rzucił się na Sihtrica niczym szczupak na kaczkę. Nakazałem mu, by pozostał w służbie Beortsig'a tak długo, aż dowie się wszystkiego, co chciałem wiedzieć. Teraz zaś powrócił.

– Nie wiedziałem, gdzie cię szukać, panie – rzekł – pojechałem więc do Londynu, a Weohstan pokierował mnie tutaj.

Powiedział mi, że Beornnoth nie żyje. Starzec umarł z początkiem lata, tuż przed tym, jak ludzie Sigurda minęli jego ziemie, by spalić Bucingahamm.

– Spędzili noc we dworze, panie – poinformował mnie.

– Ludzie Sigurda?

– I on sam. Beortsig ich ugościł.

– Jest na usługach Sigurda?

– Tak – potwierdził, choć wcale mnie to nie zaskoczyło. – I nie tylko on.

Sigurdowi towarzyszył Sas, człowiek, którego jarl traktował z szacunkiem.

Długowłosego męża imieniem Sigebriht.

– Sigebriht? – powtórzyłem. Imię wydało mi się znajome, jak gdybym gdzieś już je słyszał, choć nie mogłem sobie przypomnieć gdzie.

Przywołałem w pamięci słowa wdowy z Buchestanes, która mówiła, że Aelfadell odwiedził długowłosego Sas.

– Sigebriht z Kentu, panie – dodał Sihtric.

– Ach tak! – Połałem Sihtriciowi ale. – Ojciec Sigebrihta jest ealdormanem Kentu, nieprawdaż?

– Tak, panie, to ealdorman Sigelf.

– A zatem Sigebrihtowi nie podoba się to, że Edwarda obwołano królem Kentu? – zgadywałem.

– Sigebriht nienawidzi Edwarda – wyznał Sihtric. Uśmiechał się od ucha do ucha, wyraźnie z siebie zadowolony. Zostawiłem go na przespiegi we dworze Beortsiga i wiedział, że spisał się, jak należy. – I chodzi nie tylko o to, że Edward jest królem Kentu, lecz o dziewczynę. Panią Ecgwynn.

– Powiedział ci to wszystko? – spytałem zdumiony.

– Nie mnie. Niewolnej. Wychędożył ją, a gdy chędoży, język mu się rozwiązuje. Powiedział jej, a ona powiedziała Ealhswith.

Ealhswith była żoną Sihtrica. Siedziała teraz w izbie i posilała się, podobnie jak jej dwaj synowie. Była dziwką i radziłem Sihtricowi, żeby się z nią nie żenił, ale się pomyliłem. Okazała się bowiem dobrą żoną.

– Kim więc jest pani Ecgwynn? – spytałem.

– To córka biskupa Swithwulfa, panie – wyłuszczył Sihtric. Wiedziałem tylko, że Swithwulf był biskupem Hrofeceastre w Kencie, nigdy jednak nie spotkałem ani jego, ani jego córki. – Wolała Edwarda zamiast Sigebrihta – ciągnął.

A zatem to córkę biskupa chciał poślubić Edward, choć jego ojciec był przeciwny ich małżeństwu.

– Doszły mnie słuchy, że Edward musiał zrezygnować z dziewczyny – rzekłem.

– Ona jednak z nim uciekła – odparł Sihtric. – Tak przynajmniej twierdził Sigebriht.

– Uciekła! – Słyszając to, wyszczerzyłem zęby w uśmiechu. – I gdzie jest teraz?

– Nikt tego nie wie.

– A Edward ma poślubić Aelflaed. – Przyszło mi do głowy, że ojciec i syn musieli się przemawiać. Edward uchodził za idealnego następcę Alfreda, syna bez skazy, księcia przygotowywanego i uczonego, by rządzić Wessxem.

Tymczasem wystarczył uśmiech córki biskupa, by wszelkie nauki królewskich księży poszły w zapomnienie. – Czyli Sigebriht nienawidzi Edwarda.

– Tak, panie – przyznał Sihtric.

– Bo ten uciekł z córką biskupa. Czy to jednak wystarczający powód, by przysięgać lojalność Sigurdowi?

– Nie, panie. – Sihtric znów się uśmiechnął. Widać jeszcze nie powiedział mi najważniejszego. – Nie przysięgał Sigurdowi, lecz Aethelwoldowi.

A więc dlatego Sihtric wrócił. Odkrył bowiem, kim jest Sas, który według przepowiedni Aelfadell miał doprowadzić Wessex do zguby. Zastanawiałem się, dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej. Podejrzywałem Beortsga, któremu marzyła się korona Mercji, on jednak nic nie znaczył. Sigebriht myślał pewnie, że któregoś dnia będzie władał Kentem, nie wyobrażałem sobie jednak, by ktoś jego pokroju mógł zniszczyć Wessex. Tymczasem odpowiedź była oczywista. Nigdy jednak nie przyszła mi do głowy, albowiem miałem Aethelwolda za głupca i słabeusza. Ale jak widać, nawet głupcy i słabeusze mają swoje ambicje, a przy tym bywają podstępni.

– Aethelwold! – powtórzyłem imię.

– To jemu przysięgał Sigebriht. Sigebriht jest posłańcem, którego Aethelwold pchnął do Sigurda. Jest coś jeszcze, panie. Klecha Beortsga ma jedno oko, jest chudy jak szczapa i łysy.

Myślałem o Aethelwoldzie, potrzebowałem więc chwili, by przypomnieć sobie dzień, w którym banda głupców próbowała mnie zabić. Uszedłem wówczas z życiem dzięki pasterzowi, jego procy i owcom.

– Beortsig pragnął mej śmierci – mruknąłem.

– Albo jego ojciec – dodał Sihtric.

– Z rozkazu Sigurda – zgadywałem. – Albo Aethelwolda. – Nagle

wszystko stało się jasne i wiedziałem już, co mam robić. Nie chciałem tego.

Poprzysiągłem raz, że nigdy więcej nie wrócę na dwór Alfreda, jednak następnego dnia wyruszyłem do Wintanceasteru.

Na spotkanie z królem.

Aethelwold. Powinienem był się domyślić. Znałem Aethelwolda całe swoje życie i zawsze nim pogardzałem. Był bratankiem Alfreda, pokrzywdzonym i wiecznie niezadowolonym. Alfred już dawno powinien był go zabić, ale coś – może sympatia do bratanka albo raczej umiłowane przez chrześcijan poczucie winy – sprawiło, że się powstrzymał.

Ojciec Aethelwolda, król Aethelred, był bratem Alfreda. Aethelwold, jako najstarszy syn, spodziewał się, że to właśnie on zasiądzie na tronie Wessexu. Był jednak dzieckiem, gdy jego ojciec zmarł, a rada witanu zdecydowała, że zamiast niego rządzić będzie jego wuj Alfred. Alfred pragnął korony i ciężko na nią pracował, wciąż jednak byli tacy, którzy nazywali go uzurpatorem.

Aethelwold nienawidził wuja, ten jednak zamiast go zamordować – co często mu doradzałem – pobłażał we wszystkim bratankowi. Pozwolił mu zachować niektóre z majątków należących do jego ojca, wybaczał mu ciągle zdrady i bez wątpienia modlił się za niego. Aethelwold potrzebował modlitw jak nikt inny. Był nieszczęśliwy, często się upijał i może dlatego Alfred go tolerował.

Trudno było upatrywać w pijanym głupcu zagrożenia dla królestwa. Tymczasem Aethelwold porozumiał się z Sigurdem. Chciał zostać królem zamiast Edwarda i aby tego dokonać, wszedł w sojusz z duńskim jarlem.

Sigurd zaś ochoczo zbratał się z Sasem, którego prawa do tronu Wessexu były równie zasadne jak prawa Edwarda. Co więcej, znaczyło to, że jego najazd na Wessex wydawać się mógł jak najbardziej słuszny. Jechaliśmy w sześciu na południe przez Wessex. Zabrałem ze sobą Osfertha, Sihtrica,

Rypere'a, Eadrica i Luddę. Zostawiłem Finana, by dowodził resztą moich ludzi, i zapowiedziałem, że jeśli w Wintanceasterze nie okażą nam wdzięczności, wyprawimy się na północ.

– Musimy coś zrobić – rzekł Finan.

– Obiecuję – odparłem. – Wyruszymy na wikingów. Wzbogacimy się.

Wpierw jednak muszę dać Alfredowi ostatnią szansę.

Finan nie dbał o to, po czyjej stronie walczymy, tak długo, jak długo mógł liczyć na łupy, i doskonale go rozumiałem. Podczas gdy moim pragnieniem było odzyskać Bebbanburg, on pragnął powrócić do Irlandii i zemścić się na człowieku, który odebrał mu bogactwa i rodzinę, a żeby to zrobić, obaj potrzebowaliśmy srebra. Finan, rzecz jasna, był chrześcijaninem, choć ochoczo korzystał z życia i chętnie użyczyłby swego miecza przeciwko Wessexowi, gdyby za zdobyte w walce bogactwa mógł wrócić do ojczyzny. Wiedziałem, że uważał moją wyprawę do Wintanceasteru za stratę czasu.

Alfred mnie nie lubił, a Aethelflaed wyraźnie się ode mnie oddaliła, Finan zaś był przekonany, że jadę płaszczyć się przed ludźmi, którzy od samego początku winni byli okazywać mi wdzięczność.

Podczas podróży miewałem chwile, gdy nachodziła mnie myśl, że Finan ma rację. Od lat służyłem Wessexowi swym mieczem, walczyłem o jego przetrwanie i kładłem trupem kolejnych wrogów królestwa, lecz moja kiesa nadal pozostawała pusta. Ślubowałem wierność, choć zrobiłem to niechętnie.

Łamałem przysięgi i zmieniałem strony, ale mówiłem prawdę, gdy wyznałem Osferthowi, że chcę być mieczem Sasów, nie tarczą Mercji. Dlatego ostatni raz udawałem się do serca saskiej Brytanii – by dowiedzieć się, czy mój miecz nadal jest tam potrzebny. A jeśli nie? Miałem przyjaciół na północy.

Ragnara, który był mi bliższy niż przyjaciel i którego kochałem jak brata. Wiedziałem, że on mi pomoże. Jeśli zaś ceną, którą przyjdzie mi zapłacić,

będzie wrogość Wessexu, niech i tak się stanie. Jechałem nie jako żebrak, za którego uważał mnie Finan, lecz jako żądny pomsty wojownik. Kiedy zbliżaliśmy się do Wintanceasteru, zaczęło siąpić. Delikatny deszcz zraszał bogatą krainę pełną żyznych pól, nowych kościołów i osad opływających w dostatek, gdzie kryte grubą strzechą chaty nie przypominały poczerniałych od dymu, wychudłych szkieletów. Dwory rosły, albowiem ludzie lubią, gdy ich ziemie sąsiadują z tymi, którzy są u władzy.

Wessexem rządziły dwie potęgi, król i kler, a im bardziej zbliżaliśmy się do miasta, tym większe były kościoły i dwory. Nic dziwnego, że ludzie Północy pragnęli zagarnąć te ziemie dla siebie. Kto by nie chciał? Tutejsze bydło było utuczone, stodoły pełne, a panny urodziwe.

– Czas, żebyś się ożenił – powiedziałem Osferthowi, gdy w otwartych drzwiach jednej ze stodół zobaczyliśmy dwie jasnowłose dziewczki, które przesiewały ziarno na klepisku.

– Myślałem o tym – odparł ponuro.

– Tylko myślałeś?

Uśmiechnął się.

– Wierzysz w przeznaczenie, panie – rzekł.

– A ty nie? – spytałem. Osferth i ja wysforowaliśmy się kilka kroków naprzód. – Zresztą co ma przeznaczenie do dziewczki, którą weźmiesz do łóża?

– *Non ingreditur mamzer hoc est de scorto natus in ecclesiam Domini* – wyrecytował i dodał z ponurą miną: – *usque ad decimam generationem* [*].

– Beocca i Willibald próbowali uczyć mnie łaciny, ale żadnemu z nich się nie udało – odparłem.

– To ze świętych pism, panie – wyjaśnił. – Z Księgi Powtórzonego Prawa.

Znaczy mniej więcej tyle, że żaden bękart nie może być częścią Kościoła, i przestrzega, że klątwa ta będzie trwała przez dziesięć pokoleń.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

– Kiedy cię poznałem, uczyłeś się na księdza!

– I zaprzestałem – odparł. – Musiałem. Jak mogłem być księdzem, skoro Bóg odmawia mi dostępu do swego zgromadzenia?

– A więc nie możesz być klechą – rzekłem. – Ale możesz się ożenić!

– *Usque ad decimam generationem* – przypomniał mi. – Moje dzieci będą przeklęte i ich dzieci także. I tak przez dziesięć pokoleń.

– Czyli każdy bękart jest potępiony?

– Tak mówi Bóg.

– Strasznie złośliwy ten wasz bóg – warknąłem, lecz zobaczyłem, że święte słowa dotknęły go do żywego. – To nie twoja wina, że Alfred wychędożył służkę.

– To prawda, panie.

– Jak więc możesz cierpieć za grzech, którego nie popełniłeś?

– Bóg jest surowy, ale sprawiedliwy.

– Sprawiedliwy! Czy to znaczy, że jeśli nie schwytałem złodzieja, powinienem wybatożyć jego dzieci? To nazywasz sprawiedliwością?

– Bóg brzydzi się grzechem, panie, a jak inaczej odwieść ludzi od grzechu, jeśli nie zagrozić im srogą karą? – Zjechał na lewy skraj drogi, by przepuścić juczne konie wiozące na północ owcze skóry. – Gdyby Bóg nie karał nas surowo – podjął po chwili – grzech pleniłby się jak chwasty.

– Ja lubię grzeszyć – odparłem i skinąłem głową na konnego, którego niewolni prowadzili juczne konie. – Alfred żyje? – spytałem.

– Ledwie dycha – odparł handlarz. Uczynił znak krzyża i podziękował, gdy życzyłem mu bezpiecznej podróży.

Osferth ściągnął brwi.

– Po co zabrałeś mnie z sobą, panie? – zapytał.

- A czemu nie?
- Mogłeś wziąć Finana, ale wybrałeś mnie.
- Nie chcesz zobaczyć ojca?

Milczał przez chwilę, a gdy się odwrócił, zobaczyłem w jego oczach łzy.

- Chcę, panie – wyznał.
- Właśnie dlatego cię wziąłem – odparłem.

Gdy wyjechaliśmy z za zakrętu, ujrzeliśmy Wintanceaster i górującą nad skupiskiem dachów wieżę nowego kościoła. Wintanceaster był głównym burhem Alfreda, jednym z miast ufortyfikowanych przed Duńczykami. Otaczał go głęboki rów, gdzieniegdzie wypełniony wodą, a za nim wznosił się wysoki, usypany z ziemi wał, zwieńczony palisadą z dębowych bali. Niewiele jest rzeczy gorszych od ataku na takie miejsce. Obrońcy, tak jak ludzie Haestena w Beamfleot, mają przewagę i mogą zasypywać gradem strzał i kamieni wroga, który pokonawszy liczne przeszkody, próbuje wdrzeć się na mury po sieczonych toporami drabinach. Burhy Alfreda uczyniły Wessex bezpiecznym. Duńczycy mogli plądrować okoliczne wsie, jednak wszystko, co przedstawiało sobą jakąkolwiek wartość, znajdowało się za murami, tak więc wikingowie potrafili jedynie krążyć wokół nich i rzucać puste groźby. Aby zdobyć burh, należało oblegać miasto i głodem przymusić ludzi do uległości. To jednak mogło trwać tygodnie, jeśli nie miesiące, a w tym czasie oblegająca armia wystawiała się na atak posiłków nadciągających z innej saskiej fortecy.

Można też było rzucić wojów na mury i patrzeć, jak umierają w rowie, jednak Duńczycy niechętnie posyłali ludzi na pewną śmierć. Burhy były twierdzami, zbyt dobrze umocnionymi, a Bebbanburg – pomyślałem – był trudniejszy do zdobycia niż którykolwiek z nich.

Północną bramę miasta wykonano z kamienia, a na jej straży stał tuzin zbrojnych. Dowodził nimi niski, siwowłosy człowieczek o dzikim spojrzeniu.

Zobaczywszy mnie, odegnał swych ludzi machnięciem ręki.

– Jestem Grimric, panie – rzekł, najwyraźniej licząc, że go rozpoznam.

– Byłeś pod Beamfleot – domyśliłem się.

– Tak, panie! – potwierdził zadowolony, że pamiętam.

– Gdzie wykazałeś się w walce – ciągnąłem z nadzieją, że tak właśnie było.

– Pokazaliśmy psim synom, jak walczą Sasi, prawda, panie? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Wciąż powtarzam tym tchórzliwym młokosom, że wiesz, co to prawdziwa walka! – Mówiąc to, wskazał kciukiem swoich ludzi. Wszyscy oni byli młodzikami ściągniętymi z okolicznych gospodarstw i warsztatów, by odsłużyć swoje za murami burhu. – Mają jeszcze mleko pod nosem, panie – ciągnął.

Dałem mu monetę – jedną z ostatnich, jakie mi zostały – albowiem tego oczekuje się od pana.

– Kup im ale – zwróciłem się do Grimrica.

– Tak uczynię, panie – odparł. – Wiedziałem, że się pojawisz! Oczywiście muszę poinformować o twoim przybyciu, ale wiedziałem, że wszystko będzie dobrze.

– Dobrze? – spytałem, zdumiały mnie bowiem jego słowa.

– Wiedziałem, panie! – Uśmiechnął się i machnięciem ręki przepuścił nas przez bramę.

Udałem się do Dwóch Żurawi, gdzie właściciel mnie znał. Zakrzyknął na służących, by doglądnęli naszych koni, przyniósł ale i dał nam dużą izbę na tyłach tawerny, gdzie sienniki wypchano świeżą słomą.

Właściciel był jednorękim mężczyzną z brodą tak długą, że zatykał jej koniec za szeroki skórzany pas. Miał na imię Cynric i stracił lewą dłoń, walcząc dla Alfreda. Prowadził tawernę od ponad dwudziestu lat, więc nie było w Wintanceasterze rzeczy, o której by nie wiedział.

– Księża rządzą – powiedział mi.

– Nie Alfred?

– Biedny drań jest słabowity jak szczeniak. To cud, że wciąż jeszcze dycha.

– A Edward chodzi na pasku u księży? – spytałem.

– U księży, matki i witanu – odparł Cynric. – Ale nie jest tak świętobliwy, jak im się wydaje. Pewnie słyszałeś o lady Ecgwynn?

– Córce biskupa?

– Tej samej. Bóg jeden wie, że śliczna była z niej istota. Drobniutka, ale śliczna.

– Nie żyje?

– Zmarła przy porodzie.

Gapiałem się na niego, a w mojej głowie kłębiły się myśli.

– Jesteś pewien?

– A jakże – oburzył się. – Znam kobietę, która pomagała jej przy położeniu!

Ecgwynn urodziła bliźnięta, chłopca imieniem Aethelstan i dziewczynkę Eadgyth, sama zaś zmarła tej samej nocy.

– Edward jest ojcem dzieci? – spytałem, a on przytaknął. – Bliźnięta, królewskie bękarty – dodałem ściszym głosem.

– Bękarty? – Cynric pokręcił głową. – Edward twierdził, że poślubił dziewczynę, a jego ojciec upierał się, że to wbrew prawu, i to do niego należało ostatnie słowo. Zatuszowali całą sprawę! Bóg jeden wie, że akuszerka dostała sowitą zapłatę.

– Dzieci żyją?

– Są w klasztorze Świętej Heddy z panią Aethelflaed.

Spoglądałem w płomienie. A więc doskonały następca tronu okazał się równie grzeszny jak każdy człowiek. A Alfred próbował ukryć przed

światem owoce tego grzechu i umieścił bliźnięta w klasztorze z nadzieją, że nikt ich nie zauważy.

– Biedny Edward – westchnąłem.

– Poślubi teraz Aelflaed – rzekł Cynric. – Co niepomernie cieszy Alfreda.

– Ale ma przecież dwoje dzieci – skwitowałem zdumiony. – A to dopiero!

Mówisz, że Aethelflaed jest u Świętego Heddy?

– Trzymają ją tam pod kluczem – dodał Cynric. Wiedział o moim przywiązaniu do Aethelflaed, a sposób, w jaki to powiedział, kazał mi się domyślać, że królewską córkę zamknięto w klasztorze, by nie dopuścić do naszego spotkania.

– Jej mąż tu jest?

– W pałacu Alfreda. Jak i cała rodzina, nawet Aethelwold.

– Aethelwold!

– Przyjechał dwa tygodnie temu, płacząc i zawodząc nad umierającym wujem.

Aethelwold miał zatem więcej odwagi, niż się spodziewałem. Sprzymierzył się z Duńczykami, a mimo to był na tyle bezczelny, by przybyć na dwór.

– Nadal pije? – spytałem.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nie było go tu. Mówią, że cały czas spędza na modlitwach – rzucił pogardliwie, na co się roześmiałem. – Wszyscy się modlimy – dokończył ponuro, mając na myśli, że wszyscy martwią się tym, co się wydarzy, gdy Alfred umrze.

– Przeorysza Hildegyth nadal jest u Świętego Heddy?

– Sama jest teraz świętą, panie, ale tak, wciąż tam przebywa.

Zabrałem Osfertha do Świętego Heddy. Deszcz siąpił, przez co ulice stały się śliskie. Klasztor pobudowano na północnym skraju miasta, nieopodal ziemnego wału zwieńczonego wysoką palisadą. Jedyne wejście znajdowało się na samym końcu długiej, błotnistej alejki, na której – tak jak ostatnim razem – tłoczyli się żebracy czekający na jałmużnę i jedzenie rozdawane przez zakonnice każdego dnia o wschodzie i zachodzie słońca. Nędzarze schodzili nam z drogi, a na widok kolczug i mieczy zrobili się niespokojni.

Niektórzy wyciągali ku nam ręce albo drewniane miski, ja jednak nie zwracałem na nich uwagi, zdumiony widokiem trzech zbrojnych przed drzwiami do klasztoru. Mieli na sobie hełmy, dzierżyli włócznie, miecze i tarcze, a widząc nas, odsunęli się od drzwi, by zagrodzić nam drogę.

– Nie możesz wejść do środka, panie – rzekł jeden z nich.

– Wiesz, kim jestem?

– Lord Uhtred – odparł tamten z szacunkiem. – Powtarzam ci jednak, że nie możesz wejść do klasztoru.

– Przeorysza to moja dawna przyjaciółka – powiadomiłem zgodnie z prawdą.

Hild była mi przyjaciółką, świętą, kobietą, którą kochałem, wszystko wskazywało jednak na to, że nie będę mógł się z nią spotkać. Strażnikom przewodził dobrze zbudowany mąż, niemłody już, lecz barczysty i pewny siebie. Jego miecz tkwił w pochwie, choć nie wątpiłem, że w razie konieczności sięgnąłby po niego, tak jak nie wątpiłem, że gdyby do tego doszło, bez trudu powaliłbym go na ziemię. Strażników było jednak trzech, a wiedziałem, że Osferth nie będzie walczył przeciwko Sasom zachodnim strzegącym wejścia do klasztoru. Wzruszyłem więc ramionami.

– Możesz zatem przekazać przeoryszy wiadomość? – spytałem.

– To mogę uczynić, panie.

– Powiedz, że Uhtred chciał się z nią spotkać.

Pokiwał głową. Usłyszawszy poszeptywania żebraków za plecami, odwróciłem się i zobaczyłem kolejnych zbrojnych, którzy niczym rzeka wlewali się w wąską uliczkę. Rozpoznałem ich dowódcę, człowieka imieniem Godric, który służył pod Weohstanem. Prowadził siedmiu ludzi zbrojnych w tarcze i włócznie, podobnie jak ci, którzy strzegli klasztornych wrót.

W hełmach na głowach byli gotowi do walki.

– Proszono mnie, bym odprowadził cię do pałacu, panie – powitał mnie Godric.

– I trzeba ci do tego włóczni?

Zignorował moje pytanie i zamiast tego wskazał wąską uliczkę.

– Pójdiesz, panie?

– Z przyjemnością – odparłem i ruszyłem za nim przez miasto.

Ludzie na ulicach patrzyli, jak idziemy w milczeniu. Osferth i ja byliśmy wprawdzie uzbrojeni, lecz wyglądaliśmy jak więźniowie pod eskortą, a gdy dotarliśmy do bram pałacu, zarządca nakazał nam oddać broń. Nie było to nic nadzwyczajnego. Tylko królewska straż mogła nosić broń na terenie pałacu, tak więc oddałem Oddech Węża i ruszyłem za Godrikiem przez prywatną kaplicę Alfreda do niskiego, krytego strzechą budynku.

– Masz panie poczekać w środku. – Mówiąc to, wskazał drzwi.

Czekaliśmy w pozbawionej okien izbie, w której za jedyne umeblowanie służyły dwie ławy, pulpit do czytania i krzyż. Ludzie Godrica stali na zewnątrz, a gdy próbowałem wyjść, drogę zagroziły mi skrzyżowane włócznie.

– Chcemy jedzenia i ale – oświadczyłem. – I wiadra na szczynty.

– Aresztują nas? – spytał Osferth, gdy przyniesiono strawę i wiadro.

– Na to wygląda.

– Za co?

– Nie wiem – odparłem.

Zjadłem chleb, przegryzając go twardym serem, a posiliwszy się, umościłem się na wilgotnej podłodze i próbowałem zasnąć.

Zmierzchało, gdy powrócił Godric.

– Pójdziecie za mną, panie – rzekł tym samym uprzejmym tonem i powiódł mnie i Osfertha przez jeden ze znajomych dziedziców do niewielkiej izby, gdzie w palenisku radośnie buzował ogień.

Ściany przyozdobiono malowanymi skórą z wizerunkami świętych. Na podniesieniu w końcu izby, przy stole nakrytym barwionym na niebiesko płótnem siedziało pięciu duchownych. Trzech widziałem po raz pierwszy, lecz pozostali dwaj byli mi dobrze znani i żaden z nich nie był mi przyjacielem. Jednym z nich był biskup Asser, nikczemny walijski klecha i zaufany powiernik Alfreda, a drugim biskup Erkenwald. Między nimi siedział człowiek o wąskich ramionach, siwych włosach z wygoloną tonsurą i o wychudłej twarzy, która nadawała mu wygląd zabiedzonej łasicy. Miał haczykowaty nos, bystre oczka i wąskie, zaciśnięte usta, które nie kryły krzywych zębów. Siedzący w dwóch końcach stołu dwaj mnisi byli znacznie młodszy, a każdy z nich miał przed sobą zwój pergaminu, pióro i kałamarz.

Najwyraźniej zamierzali coś spisywać.

– Biskupie Erkenwaldzie – powitałem go i spojrzałem na Assera. – Ciebie chyba nie znam.

– Zdejmij mu z szyi ten młot – zwrócił się Asser do Godrica.

– Dotknij młota, a wrzucę twój tyłek do paleniska – warknąłem do strażnika.

– Dość tego! – Zabiedzona łasica uderzyła dłonią w stół. Słoiczki z inkaustem podskoczyły, a dwaj skrybowie zaczęli skrobać piórami po zwojach. – Jestem Plegmund – przedstawił się.

– Wielki czarownik Contwaraburga? – spytałem.

Spoglądał na mnie z wyraźnym niesmakiem, po czym wyciągnął przed siebie pergamin.

– Musisz się wytłumaczyć – rzekł.

– I tym razem bez żadnych łgarstw! – prychnął Asser.

Lata temu w tej samej halli byłem sądzony przez witan za przestępstwa, których istotnie się dopuściłem. Człowiekiem, który świadczył wówczas przeciwko mnie, był Asser, wyłgałem się jednak, a on, wiedząc, że kłamałem, szczerze mnie znienawidził.

Przyjrzałem mu się, marszcząc brwi.

– Jak cię zwać? – spytałem. – Kogoś mi przypominasz. Walijskiego wypierdka o szcurzej gębie, ale tamtego zabiłem, więc nie możesz nim być.

– Lordzie Uhtredzie – rzekł biskup Erkenwald znużonym głosem. – Nie ubliżaj nam, proszę.

Erkenwald i ja nie przepadaliśmy za sobą, ale będąc biskupem Londynu, udowodnił, że potrafi rządzić, i nie powstrzymał mnie przed atakiem na Beamfleot – co więcej, jego zdolności przywódcze w znacznym stopniu przysłużyły się zwycięstwu.

– Co miałbym wytłumaczyć? – spytałem.

Arcybiskup Plegmund sięgnął po świecę i przysunął ją, żeby lepiej widzieć, czego dotyczy pismo.

– Zostaliśmy poinformowani o twoich poczynaniach tego lata – odrzekł.

– I chcecie mi podziękować – zgadywałem.

Czułem na sobie ich zimne, przenikliwe spojrzenia. Plegmund zyskał sławę człowieka, który odmawiał sobie wszelkich przyjemności: czy to strawy, czy kobiet, czy zbytku. Służył swemu bogu, umartwiając się, modląc się w miejscach odosobnienia i żyjąc jak pustelnik. Nie miałem pojęcia, cóż

w tym godnego podziwu, lecz chrześcijanie darzyli go szacunkiem i byli zachwyceni, gdy porzucił swą samotnię, by zostać biskupem.

– Wiosną – podjął piskliwym głosem – spotkałeś się z człowiekiem, który zwie się jarl Haesten, a następnie udałeś się na północ, na ziemie należące do Kanuta Ranulfsona, gdzie to radziłeś się więdźmy Aelfadell. Stamtąd ruszyłeś do Snotengaham, zajmowanego obecnie przez Sigurda Thorrsona, po czym ponownie spotkałeś się z jarlem Haestenem.

– Wszystko to prawda – przyznałem. – Pominęliście jednak kilka rzeczy.

– Znowu zaczyna kłamać – syknął Asser.

Posłałem mu wściekłe spojrzenie.

– Twoja matka siedziała na stołku, gdy cię rodziła?

Plegmund kolejny raz uderzył otwartą dłonią w stół.

– Cóż takiego pominęliśmy?

– Drobnny fakt, że spaliłem flotę Sigurda.

Osferth, wyraźnie zaniepokojony wrogością moich rozmówców, nie mówiąc ani słowa i bez sprzeciwów księży siedzących przy nakrytym płótnem stole, cofnął się do drzwi. Wypuścili go. Wszak to na mnie im zależało.

– Wiemy, że flota spłonęła – ciągnął Plegmund. – Wiemy też dlaczego.

– Oświećcie mnie więc.

– Był to znak dla Duńczyków, że nie będzie odwrotu. Sigurd Thorrson przekonuje swych ludzi, że ich przeznaczeniem jest podbić Wessex, i na dowód tego spalił własne statki: by wiedzieli, że nie wrócą za morze.

– A wy w to wierzycie? – spytałem.

– To prawda – warknął Asser.

– Nie rozpoznałbyś prawdy, nawet gdyby wbili ci ją do gardła styliskiem topora – odparłem. – Żaden z panów Północy nie spaliłby swoich statków. Są

dla nich zbyt cenne. Ja je spaliłem, a gdy to zrobiłem, ludzie Sigurda próbowali mnie zabić.

– Ależ nikt nie wątpi, że byłeś tam, gdy to się wydarzyło – zauważył Erkenwald.

– Nie przeczysz więc, że radziłeś się wiedźmy Aelfadell? – spytał Plegmund.

– Nie – odparłem. – Tak jak nie przeczę, że rok temu rozbiłem duńskie armie pod Fearnhamme i Beamfleot.

– Nikt nie podważa tego, że w przeszłości służyłeś Wessexowi – zapewnił Plegmund.

– Kiedy było ci to na rękę – dodał zjadliwie Asser.

– Czy zaprzeczasz, że zabiłeś opata Deorlafa z Buchestanes?

– Wypatroszyłem go niczym rybę – odparłem.

– Więc nie zaprzeczasz? – Głos Assera zdradzał jego zdumienie.

– Szczycę się tym – dodałem. – I tym, że ubiłem jednego z dwóch innych mnichów.

– Zapiszcie to! – syknął Asser do skrybów, których nie trzeba było zachęcać, spisywali bowiem każde słowo.

– Rok temu – odezwał się biskup Erkenwald – odmówiłeś złożenia przysięgi wierności aethelingowi Edwardowi.

– To prawda.

– Dlaczego?

– Bo dość mam Wessexu – odparłem. – Dość mam księży, mówienia mi, jaka jest wola waszego boga, i powtarzania, że jestem grzesznikiem, ciągłych bzdur i ukrzyżowanego tyrana, którego zwiecie swym bogiem, a który pragnie tylko, byśmy wszyscy byli nieszczęśliwi. Odmówiłem złożenia przysięgi, bo chcę wrócić na północ, do Bebbanburga, i zabić ludzi, którzy

mi go odebrali. Nie mógłbym tego zrobić, gdybym przysiągł Edwardowi, bo on miałby wobec mnie inne plany.

Może nie najlepiej dobrałem słowa, jednak nie byłem w nastroju do kwiecistych przemówień. Ktoś – zgadywałem, że Aethelred – zadał sobie wiele trudu, by mnie zniszczyć, a by to uczynić, posłużył się potęgą kościoła.

Ja jednak byłem zdecydowany stawić czoło tym nieszczęsnym draniom. Wydawało się, że na razie wszystko idzie zgodnie z planem. Przynajmniej sprawiali wrażenie jeszcze bardziej nieszczęśliwych. Plegmund krzywił twarz, Asser uczynił znak krzyża, a Erkenwald zamknął oczy. Młodzi skrybowie pisali teraz jeszcze szybciej.

– Ukrzyżowany tyran – powtórzył powoli jeden z nich, skrobiąc piórem po pergaminie.

– A kto wpadł na wspaniały pomysł, by posłać mnie do Anglii Wschodniej, żeby Sigurd mógł mnie zabić? – spytałem.

– Król Eohric zapewnia, że Sigurd zjawił się nieproszony i że wiedział, iż przypuści atak na tamte siły – rzekł Plegmund.

– Eohric to pierdoła – rzuciłem. – A gdybyś nie wiedział, biskupie, pierdoła to ktoś taki jak biskup Asser, co to wyskoczył na świat z matczynego tyłka.

– Powściągnij język! – warknął Plegmund, mierząc mnie wściekłym spojrzeniem.

– Niby czemu miałbym to robić?

Słyszając to, zamrugał. Asser szeptał mu coś do ucha, a biskup Erkenwald spróbował mnie zagadnąć.

– Co ci powiedziała wiedźma Aelfadell? – zapytał.

– Rzekła, że Sas zgubi Wessex, Duńczycy zwyciężą i Wessex przestanie istnieć.

Słyszając to, wszyscy trzej podnieśli głowy. Może byli chrześcijanami, a

przy tym ważnymi, lecz wciąż musieli się liczyć z prawdziwymi bogami i ich magią. Bali się, choć żaden nie uczynił znaku krzyża, albowiem czyniąc to, przyznaliby, że pogańska wieszczka miała przystęp do prawdy, a tego zrobić nie mogli.

– A kimże jest ów Sas? – W ustach Assera pytanie zabrzmiało niczym przeciągły syk.

– To właśnie zamierzałem powiedzieć królowi. Po to przybyłem do Wintanceasteru.

– Powiedz zatem nam – zażądał Plegmund.

– Powiem królowi – odparłem.

– Ty wężu – warknął Asser. – Złodzieju, który zakrada się nocą! Sasem, który przywiedzie Wessex do upadku, jesteś ty sam!

Splunąłem, by okazać, jak bardzo pogardzam jego słowami, lecz plwocina nie dosięgła stołu.

– Przybyłeś tu – rzekł Erkenwald znużonym głosem – z powodu kobiety.

– Cudzołożnik – warknął Asser.

– Tylko to tłumaczy twoją obecność w Wintanceasterze – ciągnął Erkenwald, a zaraz potem spojrzał na arcybiskupa. – *Sicut canis qui revertitur ad vomitum suum.*

– *Sic inprudens qui iterat stultitiam suam* – zaintonował arcybiskup.

Przez moment myślałem, że mnie przeklinają, lecz biskup Asser, chcąc pokazać, jak bardzo jest świątły, przełożył dla mnie ich słowa: – Jak pies powraca do swoich wymiocin, tak niemądry powtarza swoje szaleństwa.

– Słowa Boże – rzekł Erkenwald.

– Musimy zdecydować, co z tobą zrobić – odezwał się Plegmund.

Słyszając to, ludzie Godrica postąpili do przodu. Byłem świadom ich włóczni za swoimi plecami. W palenisku trzasnęło polano, a iskry sypnęły na

sitowie, które poczęło kopcić. W innych okolicznościach służący albo jeden z wojowników pospieszyłby zdeptać maleńki pożar, lecz tym razem nikt się nie ruszył. Chcieli widzieć mnie martwym. Ciszę przerwał Plegmund.

– Mamy dowody, że zadawałeś się z wrogami naszego króla, że zmagawałeś się z nimi, jadłeś ich chleb i sól. Co gorsza, sam przyznałeś, że zabiłeś świętego opata Deorlafa i dwóch jego braci, a także...

– Święty opat Deorlaf – przerwałem mu – układał się z wiedźmą Aelfadell i chciał mnie zabić. Co miałem zrobić? Nadstawić drugi policzek?

– Milcz! – nakazał mi Plegmund.

Postąpiłem dwa kroki do przodu i zdeptałem ogień pod butem. Jeden z ludzi Godrica, myśląc, że mam zamiar zaatakować duchownych, podniósł włócznię, ja tymczasem odwróciłem się i spojrzałem na niego. Tylko spojrzałem. Oblał się rumieńcem i powoli opuścił broń.

– Walczyłem z wrogami waszego króla – przemówiłem, cały czas patrząc na włócznika, i dopiero po chwili odwróciłem się do Plegmunda – o czym biskup Erkenwald dobrze wie. Podczas gdy inni kulili się za murami burhów, ja prowadziłem armię Alfreda. Stałem w murze tarcz. Wyrzynałem waszych wrogów, aż ziemia nasiąkała ich krwią, paliłem statki i odbiłem fort w Beamfleot.

– A jednak wciąż nosisz ten młot! – zauważył Asser schrypniętym głosem. Drżącym palcem wskazywał mój amulet. – To symbol naszych wrogów, znak tych, którzy kolejny raz zadaliby Chrystusowi męczeńską śmierć, a ty nosisz go nawet na dworze naszego króla!

– Co zrobiła twoja matka? – spytałem. – Pierdnęła niczym klacz? I tak przyszedłeś na świat?

– Dość! – nakazał zmęczonym głosem Plegmund.

Nietrudno było zgadnąć, kto sączył im w uszy jad. Mój kuzyn Aethelred. Był tytularnym panem Mercji, tamtejszym odpowiednikiem króla, każdy

jednak wiedział, że jest szczeniakiem na smyczy Sasów zachodnich. Chciał przeciąć tę smycz, a gdy Alfred umrze, sięgnąć po koronę. I nową żonę, starą była bowiem Aethelflaed, która do smyczy dodała mu rogi. Wodzony na smyczy rogacz łaknął zemsty i chciał mojej śmierci, wiedział bowiem, że w Mercji jest zbyt wielu ludzi, którzy miast za nim pójść za mną.

– Naszym obowiązkiem jest zdecydować o twym losie – orzekł Plegmund.

– O tym decydują Norny u korzeni Yggdrasilu – odparłem.

– Poganin – syknął Asser.

– Królestwo musi być chronione – ciągnął arcybiskup, ignorując zarówno jego, jak i mnie. – Musi je chronić tarcza wiary i miecz prawości, a w królestwie Bożym nie ma miejsca dla bezbożnika, człowieka, który w każdej chwili może się od nas odwrócić. Uhtredzie z Bebbanburga, chcę, abyś wiedział...

Jednak to, co zamierzał mi powiedzieć, pozostało niewypowiedziane, albowiem w tej samej chwili drzwi do izby otworzyły się ze skrzypnięciem.

– Król pragnie go widzieć – rzekł znajomy głos.

Odwróciłem się i ujrzałem Steapę. Dobrego, poczciwego Steapę, dowódcę straży Alfreda, zniewolonego wieśniaka, który stał się wielkim wojownikiem, człowieka tępego jak but, lecz silnego jak wół, przyjaciela wiernego jak żaden inny.

– Król – powtórzył beznamiętnie.

– Ale... – zaczął Plegmund.

– Król chce ze mną mówić, ty krzywozębny łajdaku – zwróciłem się do niego i spojrzałem na włócznika, który gotów był się na mnie rzucić. – Jeśli jeszcze raz wymierzysz we mnie ostrze, rozplątam ci brzuch, a flakami nakarmię swoje psy – zagroziłem mu.

Niemal słyszałem śmiech Norn. Tymczasem poszedłem na spotkanie z

królem.

[*] „Nie wejdzie syn nieprawego łoża do zgromadzenia Pana, nawet w dziesiątym pokoleniu nie wejdzie do zgromadzenia Pana”. Biblia Tysiąclecia, Pwt 23, 2.

CZEŚĆ DRUGA
ŚMIERĆ KRÓLA

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Alfred leżał okryty wełnianymi kocami i wsparty na wielkiej poduszce. Osferth siedział na łożu z ręką w ojcowskiej dłoni. Druga dłoń króla spoczywała na zdobionej klejnotami księdze, którą – jak mniemałem – była Ewangelia. Tuż za drzwiami w długim, wąskim przejściu brat John i czterech chórzystów śpiewali przepełnioną żalem pieśń. W komnacie cuchnęło mimo ziół rozsypanych po podłodze i grubych świec płonących w wysokich drewnianych świecznikach. Wśród nich były cenne świece, z których pomocą Alfred odmierzał czas. Nacięcia na nich symbolizowały kolejne godziny, podczas których z króla wyciekało życie. Pod jedną ze ścian stało dwóch księży, a na drugiej ścianie naprzeciw nich rozwieszono skórę, na której namalowano scenę ukrzyżowania.

Steapa wepchnął mnie do komnaty i zamknął za mną drzwi.

Alfred wyglądał, jakby już nie żył, i w istocie mógłbym wziąć go za trupa, gdyby nie wypuścił z dłoni ręki zapłakanego Osfertha. Pociągła twarz króla była przeraźliwie blada, policzki miał zapadnięte, podobnie jak oczy, pod którymi malowały się sine cienie. Włosy zrzedły i posiwiały. Policzki zapadły mu się w niemal bezzębnych ustach, nieogolona broda była wilgotna od śliny, a wsparta na księdze dłoń przywodziła na myśl kości obciążone skórą. Na jednym ze szkieletowych palców lśnił wielki rubin. Oddech króla był płytki, lecz jego głos pozostał silny.

– Oto miecz Sasów – powitał mnie Alfred.

– Widzę, królu, że twój syn lubi kłapać dziobem – odparłem.

Przyklęknąłem na jedno kolano i trwałem tak, dopóki machnięciem ręki nie nakazał mi wstać. Wsparty na poduszce spoglądał na mnie, podczas gdy ja patrzyłem na niego. Za drzwiami lamentowali mnisi, a znad jednej z migoczących świec uniósł się kłęb gęstego dymu.

– Umieram, lordzie Uhtredzie – rzekł Alfred.

– Tak, panie.

– Ty zaś wydajesz się zdrowy jak koń – dodał, krzywiąc twarz w grymasie, który miał być uśmiechem. – Zawsze umiałeś mnie zirytować.

Niegrzecznie jest stawać w pełni sił przed konającym monarchą, lecz cieszę się, widząc cię w dobrym zdrowiu. – Lewą ręką pogłaskał świętą księgę. – Powiedz, co się stanie, kiedy umrę – nakazał mi.

– Twój syn Edward będzie rządził, panie.

Gdy podniósł na mnie wzrok, z jego zapadniętych oczu wyzierała mądrość.

– Nie mów mi tego, co twoim zdaniem chciałbym usłyszeć – odparł z nutą dawnej szorstkości. – Powiedz, co przewidujesz.

– Twój syn Edward będzie rządził, panie – powtórzyłem.

Pokiwał wolno głową, dając wiarę moim słowom.

– To dobry chłopak – rzekł, zupełnie jakby próbował przekonać siebie samego, że to, co mówi, jest prawdą.

– Dobrze walczył pod Beamfleot. Byłbyś z niego dumny, panie.

Król ze zmęczeniem pokiwał głową.

– Tak wiele oczekuje się od monarchy – ciągnął. – Musi być odważny w bitwie, mądry w radzeniu i sprawiedliwy w osądzie.

– Taki właśnie byłeś, panie – zapewniłem go i nie było to pochlebstwo, lecz szczerą prawdą.

– Staralem się. Bóg mi świadkiem, że się starałem. – Powieki mu opadły i

zamilkł na tak długo, że zastanawiałem się, czy nie zasnął i czy nie powinienem wyjść. Nagle jednak otworzył oczy i spojrzał na poczerniałą od dymu powałę. Gdzieś w pałacu zaszczekał pies, zaraz jednak ucichł. Alfred w zamyśleniu zmarszczył czoło i odwrócił głowę, by na mnie spojrzeć. – Ubiegłego lata towarzyszyłeś Edwardowi.

– Tak, panie.

– Czy jest mądry?

– Jest bystry, panie – odparłem.

– Wielu ludzi jest bystrych, lecz tylko nieliczni są mądrzy.

– Uczymy się mądrości poprzez doświadczenia – przypomniałem mu.

– Tylko niektórzy – mruknął cierpko. – Lecz czy Edward się jej nauczy?

– Wzruszyłem ramionami, było to bowiem pytanie, na które nie znałem odpowiedzi. – Obawiam się – ciągnął Alfred – że namiętności wezmą nad nim górę.

– Jak twoje niegdyś wzięły górę nad tobą. – Mówiąc to, zerknąłem na Osfertha.

– *Omnes enim peccaverunt* – szepnął Alfred.

– Wszyscy grzeszymy. – Osferth przetłumaczył słowa ojca, co ten nagroził uśmiechem.

– Boję się, że jest uparty.

Zdumiało mnie, że tak otwarcie mówi o swoim następcy, choć wiedziałem, że u schyłku życia to właśnie nie dawało mu spokoju. Alfred poświęcił całe swoje życie obronie Wessexu i rozpaczliwie pragnął zapewnienia, że jego starania nie pójdą na marne, zniweczone przez jego sukcesora. Tak bardzo się tym gryzł, że nie mówił o niczym innym.

Desperacko potrzebował pewności.

– Będzie miał dobrych doradców, panie – rzekłem, nie dlatego, że w to

wierzyłem, ale dlatego, że to właśnie chciał usłyszeć.

W radzie witanu istotnie zasiadało wielu dobrych doradców, byli jednak i tacy jak Plegmund, których słowom nigdy bym nie zaufał.

– Król może odrzucić wszelkie rady – ciągnął Alfred. – Wszak do niego należy ostateczna decyzja. To na nim spoczywa odpowiedzialność i od niego zależy, czy będzie rządził mądrze, czy też okaże się głupcem. A jeśli okaże się głupcem, co stanie się z królestwem?

– Martwisz się, panie, bo Edward zrobił to, co robią wszyscy młodzi mężczyźni – zauważyłem.

– Edward nie jest taki jak inni młodzi mężczyźni – mruknął srogo Alfred.
– Ma swoje przywileje i obowiązki.

– Jednak uśmiech dziewczki sprawia, że człowiek zapomina o obowiązkach szybciej, niż płomień topi śnieg.

Spojrzał na mnie.

– A zatem wiesz? – spytał po chwili milczenia.

– Tak, panie, wiem.

Alfred westchnął.

– Zarzekał się, że to była namiętność. Miłość. Królowie żenią się nie z miłości, lordzie Uhtredzie, lecz po to, by chronić królestwo. Ona nie była dla niego dobra – dodał stanowczo. – Była bezczelna! I bezwstydną!

– Żałuję więc, że jej nie poznałem, panie – odparłem. Roześmiał się, choć był to dla niego nie lada wysiłek, i chwilę później śmiech przeszedł w jęk.

Osferth nie miał pojęcia, o czym mówimy, a ja niemal niezauważalnie pokręciłem głową, dając mu znać, by nie pytał, i sam zastanawiałem się nad słowami, które dałyby Alfredowi upragniony spokój. – Pod Beamfleot, panie, stałem obok Edwarda w murze tarcz i przekonałem się, że twój syn to dobry człowiek. Wiem to, bo w murze tarcz nie da się ukryć swej prawdziwej natury. Obiecuję, że będziesz z niego dumny. – Po chwili wahania

wskazałem głową Osfertha. – Jak ze wszystkich swoich synów.

Zauważyłem, że dłoń Alfreda zacisnęła się na palcach Osfertha.

– Osferth to dobry człowiek – rzekł król. – I jestem z niego dumny. – Poklepał czule rękę bękarta i spojrzał na mnie. – Co jeszcze się wydarzy? – spytał.

– Aethelwold spróbuje zagrabić tron – odparłem.

– Przysięga, że tego nie zrobi.

– Przysięgi przychodzą mu łatwo, panie. Powinieneś był poderżnąć mu gardło dwadzieścia lat temu.

– Ludzie mówili to samo o tobie, lordzie Uhtredzie.

– Więc może trzeba było ich posłuchać.

Na jego ustach pojawił się cień uśmiechu.

– Aethelwold to żalosna kreatura – oświadczył. – Nie wie, co to dyscyplina ani zdrowy rozsądek. Nie jest niebezpieczny, przypomina nam tylko o naszych niedoskonałościach.

– Rozmawiał z Sigurdem – oznajmiłem. – I znalazł sojuszników z Kentu i Mercji. Dlatego przybyłem do Wintanceasteru, panie. Żeby cię przestrzec.

Alfred spoglądał na mnie przez długą chwilę, po czym westchnął.

– To mój bratanek – stwierdził. – I słaby człowiek. Nie chcę stanąć przed Bogiem z krwią bratanka na rękach.

– A zatem pozwolisz mu żyć?

– Jest zbyt słaby, by stanowić zagrożenie. Nikt w Wessexie nie poprze kogoś takiego jak on.

– Tylko bardzo nieliczni, panie. Dlatego wróci do Sigurda i Kanuta. Ci zaś najadą wpierw Mercję, a po niej Wessex. Dojdzie do bitew. – Zawahałem się. – A w bitwach tych, panie, zginą Kanut, Sigurd i Aethelwold, lecz Edward i Wessex będą bezpieczni.

Przez moment rozważał moje gładkie słowa, po czym westchnął.

– A Mercja? Nie wszyscy w Mercji kochają Wessex.

– Mercyjscy panowie będą musieli wybrać, po czyjej staną stronie – odparłem. – Ci, którzy poprą Wessex, opowiedzą się po stronie zwycięzcy, inni stracą życie. Edward będzie władał Mercją.

Mówiłem mu to, co chciał słyszeć, ale i to, w co sam wierzyłem. Dziwne. Wieszcza Aelfadell zasiała w mojej głowie zamęt, lecz kiedy Alfred poprosił mnie, bym przepowiedział przyszłość, zrobiłem to bez wahania.

– Jak możesz być taki pewny? – spytał król. – Czy właśnie to powiedziała ci wiedźma Aelfadell?

– Nie, panie. Jej przepowiednia była zgoła inna, lecz mówiła tylko to, co jarl Kanut kazał jej mówić.

– Dar wieszczenia – przemówił srogo Alfred – nie będzie dany poganom.

– A jednak prosisz mnie, bym przepowiedział przyszłość? – spytałem przewrotnie, za co zostałem nagrodzony kolejnym widmowym uśmiechem.

– Jak więc możesz być pewien? – odpowiedział pytaniem Alfred.

– Nauczyliśmy się walczyć z ludźmi Północy, panie – odparłem. – Lecz oni nie nauczyli się walczyć z nami. Dzięki burhom obrońcy mają wszelką przewagę. Oni będą atakować, a my bronić. Oni przegrają, a my zwyciężymy.

– Mówisz tak, jakby to było takie proste – zauważył Alfred.

– Walka jest prosta, panie. Może dlatego tak dobrze sobie w niej radzę.

– Myliłem się co do ciebie, lordzie Uhtredzie.

– Nie, panie.

– Nie?

– Kocham Duńczyków.

– Lecz jesteś mieczem Sasów?

– *Wyrð bið ful āræd*, panie – rzekłem.

Na chwilę zamknął oczy. Leżał tak nieruchomo, że przez kilka uderzeń serca zdało mi się, iż umiera, on jednak kolejny raz otworzył oczy i marszcząc brwi, spojrzał na okopcone krokwie. Z jego gardła dobył się jęk, który próbował zdusić, a po twarzy monarchy przemknął grymas bólu.

– To takie trudne – wyszeptał.

– Są napary, które pomagają złagodzić ból, panie – stwierdziłem, ogarnięty nagłą niemocą.

Powoli pokręcił głową.

– Nie o ból chodzi, lordzie Uhtredzie. Jesteśmy stworzeni po to, by cierpieć. To los jest trudny. Świadomość tego, co się wydarzy, to nie to samo co przeznaczenie. Możemy wybierać nasze ścieżki, choć los mówi, że jest inaczej. Jeśli więc istnieje coś takiego jak przeznaczenie, czy mamy jakiś wybór?

Nie odezwałem się, pozwalając, by sam odpowiedział sobie na to pytanie.

Spojrzał na mnie.

– Jakie jest twoje przeznaczenie? – spytał.

– Chcę odbić Bebbanburg, panie, a gdy przyjdzie mój czas, chcę leżeć w tamtejszej izbie i słuchać szumu fal.

– Ja zaś muszę słuchać lamentów brata Johna – rzekł rozbawiony Alfred.

– Powtarza swoim chórzystom, że mają otwierać usta jak maleńkie, głodne ptaszyny, a oni go słuchają. – Na powrót wsunął prawą rękę w dłoń Osfertha.

– Chcą, bym i ja był małym, głodnym ptaszkiem. Karmią mnie chudym kleikiem, lordzie Uhtredzie, i upierają się, że muszę jeść, ale ja nie chcę. – Westchnął. – Mój syn – ciągnął, mając na myśli Osfertha – mówi, że jesteś biedny. Dlaczego? Nie zdobyłeś bogactw w Dunholmie?

– Zdobyłem, panie.

– Roztrwonileś je?

– Na służbę u ciebie, panie. Na ludzi, zbroje i broń. Na strzeżenie granicy z Mercją i wyposażenie armii przed bitwą z Haestenem.

– *Nervi bellorum pecuniae* – rzekł Alfred.

– Kolejny cytat ze świętej księgi, panie?

– To słowa mądrego Rzymianina, lordzie Uhtredzie, według którego pieniądze to machina wojenna.

– Widać znał się na rzeczy, panie.

Alfred zamknął oczy, a na jego twarzy pojawił się grymas bólu. Zacisnął wargi, by stłumić jęk. Odór w komnacie przybrał na sile.

– Mam w brzuchu guz – rzekł król. – Twardy jak kamień. – Urwał, kolejny raz próbując stłumić jęk. Spod przymkniętej powieki spłynęła samotna łza. – Patrzę na świece, którymi odmierzam czas – podjął na nowo – i zastanawiam się, ile nacięć stopnieje, zanim... – Zawiesił głos. – Odmierzam swe życie w calach. Wrócisz tu jutro, lordzie Uhtredzie.

– Tak, panie.

– Przekazałem dowództwo – urwał i poklepał dłoń Osfertha – mojemu synowi. – Otworzył oczy i spojrzał na mnie. – Poleciałem mu, by nawrócił cię na prawdziwą wiarę.

– Tak, panie – rzekłem, nie wiedząc, co innego mógłbym powiedzieć.

Policzki Osfertha były wilgotne od łez.

Alfred utkwiał wzrok w obciągniętej skórą desce, na której namalowano scenę ukrzyżowania.

– Dostrzegasz w tym malowidle coś dziwnego? – zapytał mnie.

Spojrzałem na nie. Jezus wisiał na krzyżu, ciało miał pokrwawione, a ścięgna na jego ramionach wyraźnie rysowały się na tle ciemniejącego nieba.

– Nie, panie – odparłem.

– On umiera – zauważył Alfred. Zdało mi się to tak oczywiste, że nic nie

odrzekłem. – Na wszystkich innych malowidłach przedstawiających jego męczeńską śmierć – ciągnął – nasz Pan uśmiecha się na krzyżu. Ale nie na tym. Na tym głowa zwisa mu bezwładnie i widać, że Chrystus cierpi.

– Tak, panie.

– Arcybiskup Plegmund zrugął malarza, wierzy bowiem, że nasz Pan pokonał ból i uśmiechał się do samego końca. Ja jednak lubię ten obraz.

Przypomina mi, że mój ból jest niczym w porównaniu z jego cierpieniem.

– Wolałbym, żebyś nie cierpiał, panie – odparłem niezręcznie.

Zignorował moje słowa. Utkwił wzrok w umęczonym Chrystusie i skrzywił się.

– Nosił koronę cierniową – dodał w zachwycie. – Ludzie pragną władzy, lecz każda korona ma kolce. Powiedziałem Edwardowi, że królowanie jest trudne, bardzo trudne. Jeszcze jedno... – Odwrócił się od obrazu, a gdy uniósł lewą rękę, zobaczyłem, jak wiele wysiłku kosztowało go zdjęcie żałośnie wychudłej dłoni ze świętej księgi. – Chcę, byś przysiągł wierność Edwardowi. Dzięki temu umrę, wiedząc, że będziesz dla nas walczył.

– Będę walczył za Wessex – oznajmiłem.

– Przysięga – powtórzył surowo.

– Złożę ją – zapewniłem go.

Przez chwilę wiercił mnie wzrokiem.

– Mojej córce? – spytał, a ja zobaczyłem, że Osferth zamarł.

– Twojej córce, panie – przyznałem.

Miałem wrażenie, że wzdrygnął się na te słowa.

– Według mych praw, lordzie Uhtredzie, cudzołóstwo nie jest jedynie grzechem, jest zbrodnią.

– A zatem wszyscy jesteśmy przestępcami, panie.

Jego usta drgnęły w półuśmiechu.

– Kocham Aethelflaed – rzekł. – Zawsze była najbardziej żywym z moich dzieci, ale niezbyt posłusznym. – Jego ręka opadła z powrotem na świętą księgę. – Idź już, lordzie Uhtredzie. Wróc jutro.

Jeśli do tego czasu nie umrze – pomyślałem. Opadłem na kolano, a po mnie Osferth i obaj opuściliśmy komnatę. Szliśmy w milczeniu na otoczony krążankiem dziedziniec, gdzie ostatnie róże lata zrzuciły płatki na wilgotną trawę. Usiedliśmy na kamiennej ławce i słuchaliśmy dobiegających z przejścia żalonych zawodzeń.

– Arcybiskup chciał mojej śmierci – odezwałem się.

– Wiem – wyznał Osferth. – Dlatego poszedłem do ojca.

– Aż dziw, że pozwolili ci się z nim zobaczyć.

– Musiałem wyklócać się z księżmi, którzy go strzegą – odparł z półuśmiechem. – Ojciec usłyszał naszą sprzeczkę.

– I zawezwał cię do siebie?

– Posłał księdza, żeby mnie wezwał.

– A ty mu powiedziałaś, co się ze mną dzieje?

– Tak, panie.

– Dziękuję ci – rzekłem. – I pogodziłeś się z Alfredem?

Osferth wpatrywał się w mrok niewidzącym wzrokiem.

– Powiedział, że przeprasza, panie, że jestem, kim jestem, z jego winy, i że wstawi się za mną w niebie.

– Cieszy mnie to – oświadczyłem, nie wiedząc, jak inaczej miałbym zareagować na te banialuki.

– A ja powiedziałem mu, że jeśli Edward ma rządzić, będzie cię potrzebował.

– Edward będzie rządził – zapewniłem go i opowiedziałem mu o pani Ecgwynn i bliźniętach ukrytych w klasztorze. – Edward zrobił tylko to, co

jego ojciec – zauważyłem. – Ale jego czyn nastreczy kłopotów.

– Kłopotów?

– Czy to dzieci z prawego łóża? – spytałem. – Alfred mówi, że nie, ale gdy Alfred umrze, Edward może zdecydować inaczej.

– Boże – jęknął Osferth, jak gdyby przewidywał nadchodzące problemy.

– Powinni oczywiście udusić bękarty – ciągnąłem.

– Panie! – wykrzyknął zgorszony.

– Ale tego nie zrobią. Twoja rodzina nigdy nie była dość bezwzględna.

Deszcz przybrał na sile, krople bębniły o gont i strzechę pałacowych dachów. Nie było księżycy ni gwiazd, tylko chmury, deszcz i wiatr poszeptujący w obłożonej rusztowaniami wieży imponujących rozmiarów nowego kościoła. Udałem się do Świętego Heddy. Strażnicy zniknęli, uliczka była ciemna. Waliłem w drzwi klasztoru, aż w końcu ktoś mi otworzył.

Nazajutrz król wraz z łóżem został przeniesiony do większej komnaty, gdzie Plegmund i jego poplecznicy zamierzali mnie potępić. Korona leżała na łóżu, a zdobiące ją szmaragdy odbijały blask ognia, który wypełniał izbę dymem i ciepłem. W komnacie panował tłok, przez co cuchnęła ludźmi i chorobą. Był tam biskup Asser, a także Erkenwald, choć arcybiskupa zajmowały najwyraźniej inne sprawy. Wśród zgromadzonych dostrzegłem również zachodniosaskich panów. Jednym z nich był Aethelhelm, którego córka miała poślubić Edwarda. Lubiłem Aethelhelma. Stał teraz za plecami Aelswith, żony Alfreda, której nie wiem, co przeszkadzało bardziej: moja obecność czy przedziwna prawda, że Wessex nie uznawał pozycji królowej.

Spoglądała na mnie nienawistnym wzrokiem. Po obu jej stronach stały jej dzieci. Licząca dwadzieścia dziewięć wiosen Aethelflaed była najstarsza, po niej przyszedł na świat Edward, następnie Aethelgifu, a na końcu Aethelweard, mający ledwie szesnaście wiosen. Wśród zgromadzonych brakowało trzeciej córki Alfreda, która poślubiła władcę zamorskiego

królestwa Franków. Był jednak Steapa, który górował wzrostem nad moim starym, serdecznym przyjacielem ojcem Beocą, teraz zgarbionym i siwym.

Brat John i jego mnisi zawadzili cicho. Nie wszyscy chórzyści byli mnichami, między nimi stali chłopcy w jasnych lnianych szatach i ku swemu przerażeniu rozpoznałem w jednym z nich mojego syna Uhtreda.

Przyznaję, że byłem złym ojcem. Kochałem dwójkę swych najmłodszych dzieci, lecz najstarszy syn, który zgodnie z rodzinną tradycją przyjął moje imię, był dla mnie zagadką. Miał ćwiczyć się we władaniu mieczem i włócznią, został chrześcijaninem. Chrześcijaninem! A teraz, wespół z innymi chłopcami z kościelnego chóru, śpiewał niczym mała ptaszyna.

Spiorunowałem go wzrokiem, on jednak przezornie unikał mego spojrzenia. Dołączyłem do ealdormanów stojących w jednym końcu komnaty. To oni razem ze starszymi klerykami tworzyli radę królewską, witan, i mieli do omówienia rozmaite sprawy, choć żaden z nich nie garnał się do tego. Kawał ziemi został ofiarowany klasztorowi, a kamieniarzom pracującym przy budowie nowego kościoła przyznano wynagrodzenie. Człowiek, który nie zapłacił kary za nierozmyślne spowodowanie śmierci, został ułaskawiony, albowiem walczył pod wodzą Weohstana pod Beamfleot. Na wspomnienie zwycięstwa niektórzy zaczęli popatrywać w moją stronę, jednak nikt nie zapytał mnie, czy pamiętam oskarżonego. Król nie uczestniczył w obradach poza tym, że od czasu do czasu podnosił rękę na znak aprobaty.

Przez cały czas stojący za pulpitem skryba skrzętnie coś spisywał. Z początku myślałem, że notuje przebieg rady, tym jednak zajmowali się dwaj inni mnisi. On tymczasem kopiował treść dokumentu. Czując na sobie ciekawskie spojrzenia, oblał się rumieńcem, choć może stał zbyt blisko płonącego w izbie ognia. Biskup Asser miał nachmurzoną minę, Aelswith rzucała mi wściekłe spojrzenia, tylko ojciec Beocca uśmiechał się

promiennie. Pozdrowił mnie skinieniem głowy, a ja mrugnąłem do niego.

Aethelflaed, pochwywszy moje spojrzenie, posłała mi tak psotny uśmiech, że miałem nadzieję, iż jej ojciec tego nie widział. Jej mąż, stojący nieco dalej, podobnie jak mój syn umyślnie unikał mego wzroku. Nagle, ku swemu zdumieniu, ujrzałem Aethelwolda czającego się na tyłach komnaty. Spojrzał na mnie wyzywająco, szybko jednak spuścił wzrok i zamiast tego zaczął rozmawiać ze swoim towarzyszem. Jakiś człowiek uskarżał się, że jego sąsiad, ealdorman Aethelnoth, zagrabił pola, które nie należały do niego. Król przerwał mu, szepcząc coś do biskupa Assera, który po chwili przekazał decyzję Alfreda.

– Czy zgodzisz się, by sprawę rozstrzygnął opat Osburh? – zapytał mężczyznę.

– Tak.

– A ty, lordzie Aethelnocie?

– Z chęcią.

– A zatem opat ustali granice ziemi na podstawie odpowiednich dokumentów – rzekł Asser, a skrybowie zapisali jego słowa.

W miarę jak rada zajmowała się kolejnymi sprawami, zauważyłem, że Alfred zerka znużonym wzrokiem na stojącego przy pulpicie mnicha. Ten najwyraźniej skończył kopiować dokument, albowiem posypał zwój piaskiem, odczekał chwilę i zdmuchnął ziarnka do ognia. Złożył pergamin, coś na nim zapisał i jeszcze raz posypał inkaust piaskiem, który chwilę później zdmuchnął do paleniska. Drugi skryba przyniósł świecę, wosk i pieczęć. Dokument zanesiono do królewskiego łóża, gdzie Alfred drżącą ręką złożył na nim swój podpis, a następnie przywołał biskupa Erkenwalda i ojca Beocę, którzy podpisali się pod dokumentem, poświadczając w ten sposób jego treść.

Przez cały ten czas w komnacie panowała cisza. Zgadywałem, że ów

dokument to ostatnia wola władcy, jednak kiedy w roztopionym wosku odcisnięto imponującą pieczęć, król przywołał mnie do siebie skinieniem ręki.

Podszedłem do łoża i przyklęknąłem.

– Przed śmiercią rozdaję drobne prezenty – rzekł Alfred.

– Byłeś bardzo hojny, panie – skłamałem, lecz cóż innego mógłbym powiedzieć konającemu?

– Ten jest dla ciebie – dodał. Aelswith gwałtownie wstrzymała oddech, kiedy wyjąłem ze słabowitych rąk jej męża świeżo spisany dokument. – Przeczytaj go – dodał Alfred. – Nadal potrafisz czytać?

– Ojciec Beocca dobrze mnie wyuczył – odparłem.

– Ojciec Beocca wszystko robi dobrze – rzekł król i jęknął z bólu, na co jeden z mnichów podszedł do łoża i przytknął mu do ust kubek.

Król sączył napar, podczas gdy ja czytałem. Skryba musiał często kopiować podobne dokumenty, albowiem edykty królewskie są do siebie podobne. Ten jednak zaparł mi dech w piersi. Przyznawał mi ziemię i nadanie to nie wiązało się z żadnym warunkiem w przeciwieństwie do tego, na którego mocy Alfred podarował mi niegdyś dwór w Fifhaden. Zamiast tego darował ziemię mnie i moim następcom lub temu, komu będę chciał ją ofiarować. Edykt szczegółowo określał granice majątku, a sądząc po długości pisma, domyśliłem się, że był on rozległy. Na darowanych mi ziemiach znajdowały się rzeka, sady, łąki i osady, a także dwór i miejsce zwane Fagranforda. A wszystko to w Mercji.

– Ziemia należała do mego ojca – przemówił Alfred.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, podziękowałem więc tylko.

Gdy słabowita ręka wyciągnęła się w moją stronę, ująłem ją i ucałowałem królewski rubin.

– Wiesz, czego chcę – odezwał się Alfred, gdy skłoniłem przed nim

głowę. – Daruję ci tę ziemię, a ona przyniesie ci bogactwa, znaczne bogactwa.

– Królu – rzekłem łamiącym się głosem.

Jego szkieletowe palce zacisnęły się na mej ręce.

– Daj mi jednak coś w zamian, Uhtredzie – dodał. – Daj mi przed śmiercią pokój.

Zrobiłem więc to, co chciał i przed czym się wzbraniałem. Był umierający, a przed śmiercią okazał mi hojność. Jak można wymierzyć policzek komuś, kogo życie dobiega końca? Tak więc podszedłem do Edwarda, opadłem przed nim na kolana, ująłem w dłonie jego ręce i przysięgłem mu wierność. Niektórzy w komnacie powitali me słowa wiwatami, lecz byli i tacy, którzy zachowali milczenie. Aethelhelm, główny doradca witanu, uśmiechnął się, wiedział bowiem, że od tej chwili będę walczył za Wessex. Mój kuzyn Aethelred wzdrygnął się na myśl, że nie zostanie królem Mercji tak długo, jak długo będę wykonywał polecenia Edwarda, a Aethelwold musiał się zastanawiać, czy kiedykolwiek zasiądzie na Alfredowym tronie strzeżonym teraz przez Oddech Węża. Edward pomógł mi dźwignąć się z kolan i uściskał mnie.

– Dziękuję – szepnął.

Była środa, Dzień Wodana, w październiku, ósmym miesiącu 899 roku. Kolejny dzień należał do Thora. Deszcz nie ustawał, przetaczając się falami przez Wintanceaster.

– Niebiosa płaczą – rzekł Beocca. On również płakał. – Król prosił, bym udzielił mu ostatniego namaszczenia – dodał. – Zrobiłem to, ale ręce mi drżały. – Wyglądało na to, że w ciągu dnia Alfredowi kilkukrotnie udzielano ostatniego namaszczenia, tak bardzo skupiał się na tym, by należycie rozstać się ze światem, a księża i biskupi rywalizowali między sobą o zaszczyt namaszczenia króla i o to, by wsunąć mu do ust kawałek suchego chleba. –

Biskup Asser był gotów udzielić mu *viaticum* – ciągnął Beocca – ale Alfred poprosił o mnie.

– Kocha cię – odparłem. – I dobrze mu służyłeś.

– Służyłem Bogu i królowi – powiedział Beocca i dał się powieść do ławy przy palenisku w wielkiej sali Dwóch Żurawi. – Rano napił się zsiadłego mleka – wyznał z rozbijającą szczerością księżulek – ale niewiele. Ledwie dwie łyżki.

– Nie chce jeść – wyjaśniłem mu.

– Ale musi – upierał się Beocca. Biedny, drogi Beocca. Był kapłanem i skrybą mego ojca i moim nauczycielem w dzieciństwie, choć opuścił Bebbanburg, kiedy mój wuj zajął go podstępem. Był niskiego stanu, a przy tym szpetny, z koszmarnym zezem, krzywym nosem, drżącą lewą ręką i szpotawą stopą. Mój dziad dostrzegł w młodym Beocce potencjał i posłał go na nauki do mnichów na Lindisfarenie. Tak oto Beocca został księdzem, a po zdradzie mego wuja wygnańcem. Jego mądrość i oddanie zwróciły uwagę Alfreda, któremu Beocca służył nieprzerwanie od tamtej pory. Teraz był stary, niemal tak stary jak król. Jego rozwichrzone włosy posiwiały, plecy przygarbiły się, lecz umysł pozostał lotny, a wola silna. Beocca poślubił Dunkę, prawdziwą piękność, siostrę mego drogiego przyjaciela Ragnara.

– Jak się miewa Thyra? – zagadnąłem go.

– Dobrze, Bogu niech będą dzięki. Chłopcy także! Zostaliśmy pobłogosławieni.

– Będziesz błogosławiony i martwy, jeśli dalej będziesz chodził po ulicach w taki deszcz – odparłem. – Staryś, a głupi.

Zachichotał i próbował protestować, gdy zdjąłem mu z ramion mokrą pelerynę i okryłem go nową, suchą.

– Król prosił, bym do ciebie przyszedł – wyznał.

– Powinien był prosić, bym to ja poszedł do ciebie – odparłem.

– Cóż za plucha! – utyskiwał Beocca. – Nie widziałem takiej ulewy, odkąd zmarł arcybiskup Aethelred. Król nie wie, że pada. Biedak. Walczy z bólem. Długo już nie pożyje.

– A przysłał cię, bo...? – przerwałem mu.

– Prosi cię o przysługę – odparł Beocca z nutą dawnej srogości.

– Mów dalej.

– Fagranforda to wspaniały majątek – dodał. – Król był hojny.

– To ja byłem hojny wobec niego – mruknąłem.

Ojczulek zbył moją uwagę machnięciem kalekiej ręki.

– Są tam cztery kościoły i klasztor męski – wyłuszczył rzeczowo. – Król prosił, byś obiecał, że zadbasz o ich utrzymanie zgodnie z tym, co stoi w edykcje, i tak jak przykazują ci obowiązki.

Słyszając to, uśmiechnąłem się.

– A jeśli odmówię?

– Proszę, Uhtredzie – rzekł zmęczonym głosem. – Użeram się z tobą całe swoje życie!

– Każę zarządcy zrobić wszystko, co konieczne – obiecałem.

Spojrzał na mnie zdrowym okiem, jakby oceniał moją szczerłość, a to, co zobaczył, musiało mu się spodobać, bo po chwili dodał: – Król będzie wdzięczny.

– Myślałem, że będziesz prosił, bym porzucił Aethelflaed – zauważyłem psotnie. Tylko z nielicznymi mogłem rozmawiać o Aethelflaed, a Beocca, który znał mnie, odkąd byłem młokosem, był jednym z nich.

Zadrżał, gdy to usłyszał.

– Cudzołóstwo to grzech ciężki – rzekł, choć bez przekonania.

– I zbrodnia – dodałem rozbawiony. – Mówiłeś o tym Edwardowi?

Wzdrygnął się.

- Jest młody, popełnił błąd – odparł. – Bóg ukarał dziewczynę. Umarła.
- Twój bóg jest taki dobry – rzuciłem zjadliwie. – Czemu jednak nie pomyślał i nie zabił królewskich bękartów?
- Zostały zamknięte w klasztorze – obruszył się.
- Z Aethelflaed.
- Przytaknął.
- Trzymają ją z dala od ciebie, wiesz o tym?
- Tak.
- Zamknęli ją u Świętego Heddy.
- Znalazłem klucz – odparłem.
- Boże uchronij nas od niegodziwości – jęknął Beocca i uczynił znak krzyża.
- Aethelflaed jest kochana w Mercji – rzekłem. – Ale jej mąż nie.
- To powszechnie wiadome – odparł chłodno.
- Kiedy Edward zostanie królem, zwróci wzrok ku Mercji.
- Ku Mercji?
- Nadciągną Duńczycy, ojciec – odrzekłem. – I w pierwszej kolejności ruszą na Mercję. Chcesz, by mercyjscy panowie walczyli dla Wessexu?
- Chcesz, by mercyjski fyrd walczył dla Wessexu? Jedyną osobą, która może na nich wpłynąć, jest Aethelflaed.
- Ty również – odparł lojalnie Beocca.
- Zareagowałem na to z należytą pogardą.
- Ty i ja pochodzimy z Northumbrii, ojciec. Jesteśmy dla nich barbarzyńcami, którzy jedzą na śniadanie własne dzieci. Kochają jednak Aethelflaed.
- Wiem – przyznał.
- Niech więc pozostanie grzesznicą, ojciec, jeśli dzięki temu Wessex

będzie bezpieczny.

– Mam to powiedzieć królowi?

Roześmiałem się.

– Powiedz to Edwardowi. To i jeszcze więcej. Każ mu zabić Aethelwolda.

Niech nie okazuje litości, niech nie baczy na więzy krwi ani chrześcijańskie poczucie winy. Niech wyda rozkaz, a ubiję drania.

Beocca pokręcił głową.

– Aethelwold to głupiec – odparł zgodnie z prawdą. – A do tego zapijaczony. Nie da się zaprzeczyć, że układał się z Duńczykami, lecz wyznał królowi wszystkie swoje grzechy i uzyskał przebaczenie.

– Przebaczenie?

– Ubiegłej nocy. Płakał rzewnymi łzami przy królewskim łożu i przysięgł wierność następcy Alfreda.

Roześmiałem się. W odpowiedzi na moje ostrzeżenia Alfred wezwał do siebie bratanka i uwierzył w jego kłamstwa.

– Aethelwold będzie próbował zagarnąć tron dla siebie – rzekłem.

– Przysięgał inaczej – zapewnił mnie solennie Beocca. – Przysięgał na pióro Noego i rękawicę Świętego Cedda.

Miał na myśli pióro gołębia wypuszczonego przez Noego z arki dawno, dawno temu, podczas wielkiej ulewy, niemal takiej jak ta, która bębniła teraz o dach Dwóch Żurawi. Pióro i rękawica świętego były dwoma najcenniejszymi relikwiami Alfreda i król bez wątpienia uwierzyłby we wszystko, co przysięgano w ich obecności.

– Nie wierzcie mu i zabijcie drania. Inaczej narobi kłopotów.

– Ale przysięgał – powtórzył Beocca. – I król mu wierzy.

– Aethelwold to zdradziecki wypierdek – rzuciłem.

- To tylko głupiec – stwierdził Beocca z lekceważeniem.
- Ale ambitny głupiec z prawem do tronu, z którego zrobi użytek.
- Ustąpił, wyznał grzechy, został rozgrzeszony i okazał skruchę.

Jakże wielkimi jesteśmy głupcami. Widzę te same błędy popełniane raz za razem i powtarzane przez kolejne pokolenia, a jednak wciąż wierzymy w to, w co chcemy wierzyć. Tamtej nocy w mokrej ciemności powtórzyłem słowa Beokki.

– Ustąpił – rzekłem. – Wyznał grzechy, został rozgrzeszony i okazał skruchę.

- A oni mu wierzą? – spytała posępnie Aethelflaed.
- Chrześcijanie to głupcy gotowi uwierzyć we wszystko.

Słyszając to, dźgnęła mnie w żebra, aż zachichotałem. Deszcz tłukł o dach Świętego Heddy. Nie powinno mnie tu być, lecz przeorysza, moja droga przyjaciółka Hild, udawała, że o niczym nie wie. Nie przebywałem w tej części klasztoru, w której zakonnice żyły w odosobnieniu, lecz w miejscu, do którego wpuszczano ludzi świeckich. Były tu kuchnie, w których przygotowywano posiłki dla biednych, lazaret, w którym umierali ubodzy, i izba na poddaszu, w której więziono Aethelflaed. Nie była niewygodna, jedynie mała. Zwykle towarzyszyły jej służące, jednak tej nocy kazała im spać w spizarniach na dole.

- Mówili, że układasz się z Duńczykami – odezwała się Aethelflaed.
- To prawda. Używałem po temu Oddechu Węża.
- Z Sigunn też się układałeś?
- Tak – przyznałem. – Ma się całkiem dobrze.
- Bóg jeden wie, dlaczego cię kocham.
- Bóg wie wszystko.

Zbyła moje słowa milczeniem i przez chwilę wierciła się u mego boku,

szczelniej okrywając się owczym runem. Deszcz nie ustawał. Złociste włosy Aethelflaed łaskotały mnie w twarz. Była najstarszym dzieckiem Alfreda.

Patrzyłem, jak staje się kobietą, widziałem, jak radość na jej twarzy zmienia się w gorycz, gdy została poślubiona mojemu kuzynowi, i jak ta sama radość powraca. Jej niebieskie oczy były upstrzone brązowymi plamkami, a mały nos lekko zadarty. Kochałem tę twarz – twarz, na której teraz malowała się troska.

– Powinieneś porozmawiać ze swoim synem – odezwała się. Jej głos, dobywający się spod owczych skór, był stłumiony.

– Chłopak bredzi jak chrześcijanin – odparłem. – Wolałbym porozmawiać z córką.

– Jest bezpieczna w Cippanhamm, podobnie jak twój drugi syn.

– Czemu więc Uhtred tu jest? – spytałem.

– Król chciał mieć go przy sobie.

– Zrobią z niego księdza – burknąłem gniewnie.

– Ze mnie zaś chcą zrobić zakonnice – odrzekła równie rozgniewana.

– Tak?

– Biskup Erkenwald chciał wymóc na mnie przysięgę, lecz splunęłam na niego.

Zsunąłem jej runo z głowy.

– Naprawdę próbowali?

– Biskup Erkenwald i moja matka.

– Co się wydarzyło?

– Przyszli tu – odparła rzeczowo – i upierali się, bym poszła do kaplicy.

Rozjuszony biskup mówił coś po łacinie, a potem wyciągnął księgę, kazał mi położyć na niej dłoń i zobowiązać się, że dotrzymam przysięgi, którą właśnie wyrecytował.

- Zrobiłaś to?
- Powiedziała ci już, co zrobiłam. Splunęłam na niego.
Przez chwilę leżeliśmy w milczeniu.
- Musieli usłuchać podszeptów Aethelreda – bąknąłem.
- Jestem pewna, że chciałby mnie tu zamknąć, ale matka powiedziała, że życzeniem ojca było, bym złożyła śluby.
- Wątpię – odparłem.
- Po wszystkim wrócili do pałacu i ogłosili, że to zrobiłam.
- I ustawili przy bramie strażników – dodałem.
- Żebyś tu nie wszedł – mruknęła. – Ale mówisz, że strażników już nie ma?
- Tak.
- Czyli mogę wyjść?
- Wczoraj wyszłaś.
- Ludzie Steapy eskortowali mnie do pałacu – odparła. – I odprowadzili z powrotem.
- Teraz nie ma strażników.
Zmarszczyła czoło w zamyśleniu.
- Powinnaś była urodzić się mężczyzną.
- Dobrze, że tak się nie stało.
- Byłabym królem – ciągnęła.
- Edward będzie dobrym monarchą.
- Tak – przyznała. – Ale bywa niezdecydowany. Ja byłabym lepszym władcą.
- To prawda. – Nie mogłem się z nią nie zgodzić.
- Biedny Edward – szepnęła.
- Biedny? Wkrótce zasiądzie na tronie.

- Stracił swą miłość.
- Lecz dzieci żyją.
- Tak, dzieci żyją – przyznała.

Myślę, że najbardziej ze wszystkich swoich kobiet kochałem Giselę. Po dziś dzień ją oplakuję. Lecz spośród nich wszystkich to Aethelflaed była mi najbliższa. Myślała tak jak ja. Czasem zaczynałem coś mówić, a ona kończyła zdanie. Bywały chwile, że patrzyliśmy na siebie i wiedzieliśmy, co myśli drugie. Ze wszystkich swoich przyjaciół to właśnie Aethelflaed kochałem najbardziej.

Gdzieś pośród tej mokrej nocy Dzień Thora przeszedł niespodziewanie w Dzień Frei. Freja była żoną Oda, boginią miłości, tymczasem przez cały dzień deszcz lał się strumieniami. Po południu zerwał się wiatr, gwałtowny wichur, który szarpał strzechami Wintanceasteru i sprawiał, że deszcz siekł niemiłosiernie. Tej samej nocy zmarł król Alfred, władca, który rządził Wessexem przez dwadzieścia osiem lat i przeżył pięćdziesiąt wiosen.

Nazajutrz rano deszcz ustał, a wiatr przycichł. Wintanceaster pogrążył się w ciszy, nie licząc świni, które z upodobaniem ryły w błocie, piania kogutów, ujadania i wycia psów i dudnienia butów strażników na mokrych od wody deskach obwarowań. Ludzie wydawali się oszołomieni. W południe rozległ się dźwięk dzwonu, który zdawał się rozbrzmiewać bez końca. Niósł się echem ku rzecznej dolinie, gdzie woda wystąpiła z brzegów, zalewając okoliczne łąki, i wracał ze zdwojoną siłą. Umarł król, niech żyje król.

Aethelflaed pragnęła modlić się w klasztornej kaplicy, tak więc zostawiłem ją u Świętego Heddy i ruszyłem wyludnionymi ulicami do pałacu. Oddając swój miecz przy strażnicy, ujrzałem Steapę, który siedział samotnie na zewnętrznym dziedzińcu. Jego posępna twarz, która napawała strachem tak wielu wrogów Alfreda, była mokra od łez. Usiadłem na ławce przy nim, lecz nie odezwałem się ani słowem. Obok nas przeszła w

pośpiechu kobieta niosąca stos złożonych płócien. Król umiera, lecz prześcieradła muszą być czyste, pokoje wymiecione, popiół wyniesiony, drewno na opał gotowe, a ziarna zmielone. Osiodłane konie stały w drugim końcu dziedzińca.

Zgadywałem, że czekają na posłańców, którzy zaniosą wieść o śmierci króla w każdy zakątek królestwa, tymczasem ujrzałem oddział zbrojnych w kolczugach i hełmach – wyszli z zamku i z pomocą stajennych dosiedli rumaków.

– To twoi ludzie? – spytałem Steapę.

Spojrzał na nich skwaszony.

– Nie – bąknął.

Byli to ludzie Aethelwolda. On sam pojawił się jako ostatni i podobnie jak jego poplecznicy miał na sobie kolczugę i hełm, przez co wyglądał, jakby gotował się do wojny. Chwilę później trzech służących wyniosło ze strażnicy ich miecze i na chwilę zapanowało zamieszanie, kiedy wojownicy szukali swoich ostrzy i je przypasywali. Aethelwold wziął swój długi miecz, zaczekał, aż służący przytroczy mu go do pasa, a następnie pomoże mu dosiąść wielkiego karego rumaka. Wbił piętę w boki konia, podjechał ku mnie i wyciągnął ostrze z pochwy. Kiedy się nie ruszyłem, spiął wodze i cofnął konia o kilka kroków. Rumak uderzył kopytem w bruk, krzesząc iskry.

– Smutny to dzień, lordzie Uhtredzie – przemówił Aethelwold. Trzymał obnażony miecz ostrzem do dołu. Korciło go, by zrobić z niego użytek, brakowało mu jednak odwagi. Miał ambicje, lecz był słaby.

Podniosłem wzrok na jego pociągłą twarz, niegdyś przystojną, a teraz wyniszczoną przez lata pijaństwa, złości i rozczarowań. Jego skronie przyprószyła siwizna.

– Zaiste smutny to dzień, mój książę – odparłem.

Oceniał mnie, szacował odległość, którą musiałby pokonać jego miecz, i

zastanawiał się, czy zadawszy cios, zdoła zbiec przez bramę. Rozejrzał się po dziedzińcu, żeby zobaczyć, ilu ludzi z królewskiej straży kręci się w pobliżu. Dwóch. Mógł zaatakować, mógł nakazać swym ludziom zabić strażników i odjechać. On jednak się wahał. Jeden z jego wojowników podjechał bliżej. Miał hełm z opuszczonymi osłonami na policzki, więc widziałem jedynie jego oczy. Na przewieszanej przez ramię tarczy widniała głowa byka o skrwawionych rogach. Jego wierzchowiec był niespokojny, poklepał go więc po karku. Zobaczyłem blizny na bokach zwierzęcia pozostawione przez ostrogi. Mężczyzna nachylił się w stronę Aethelwolda i mruknął coś pod nosem, przerwał jednak, gdy zobaczył, że Steapa się podnosi. Steapa był potężnym mężczyzną, przerażająco wysokim i barczystym, a jako dowódca królewskiej straży mógł poruszać się po pałacu uzbrojony. Teraz zacisnął dłoń na rękojeści miecza, na co ostrze Aethelwolda w połowie zniknęło w gardzieli pochwy.

– Obawiałem się, że od tej wilgoci stal zardzewieje – bąknął Aethelwold. – Ale chyba nic jej nie jest.

– Smarujesz ostrze owczym tłuszczem? – spytałem.

– Robią to moi służący – odparł nonszalancko. Wsunął miecz do pochwy.

Człowiek z wymalowanymi na tarczy zakrwawionymi rogami byka spoglądał na mnie przez wizury hełmu.

– Wrócisz na pogrzeb? – spytałem Aethelwolda.

– I na koronację – rzucił przebiegle. – Tymczasem obowiązki wzywają mnie do Tweoxnam. – Posłał mi wrogi uśmiech. – Mój majątek nie jest tak rozległy jak twój w Fagranfordzie, lordzie Uhtredzie, lecz dość duży, by w tym smutnym czasie wymagał mojej uwagi. – Ściągnął wodze i wbił koniowi ostrogę.

Jego ludzie ruszyli za nim, a kopyta ich wierzchowców podzwaniały na bruk.

– Kto maluje na tarczach byczą głowę? – spytałem Steapę.

– Sigebriht z Kentu – odparł, odprowadzając wzrokiem konnych przejeżdżających pod łukiem bramnym. – Młody, bogaty głupiec.

– To jego ludzie? Czy Aethelwolda?

– Aethelwold ma ludzi – burknął Steapa. – Stać go na nich. Jest panem majątków po swym ojcu w Tweoxnam i Wimburnan, a to czyni go możliwym człowiekiem.

– Powinien nie żyć.

– To sprawy rodzinne – orzekł Steapa. – Nie moje i nie twoje.

– Ale to my zabijamy dla rodziny królewskiej – upierałem się.

– Robię się na to za stary – mruknął.

– Ile masz wiosen?

– Nie mam pojęcia – odparł. – Czterdzieści?

Poprowadził mnie wąską furtką w pałacowym murze i dalej, przez rozmokłą trawę w stronę dawnego kościoła Alfreda, sąsiadującego z nowo pobudowaną świątynią przyklasztorną. Rusztowania niczym pajęczyny oplatały wielką kamienną wieżę, która choć wciąż nieukończona, pięła się ku niebu. U wrót dawnego kościoła tłoczyli się ludzie. Nie rozmawiali, po prostu stali w milczeniu, przygnębieni. Widząc mnie i Steapę, zaczęli się rozstępować. Niektórzy skłaniali przed nami głowy. Tego dnia wejścia strzegło sześciu ludzi Steapy, którzy rozsunęli włócznie, pozwalając nam przejść.

Wchodząc do kościoła, Steapa uczynił znak krzyża. W środku panował chłód. Kamienne ściany zdobiono malunkami przedstawiającymi sceny z chrześcijańskich świętych ksiąg, podczas gdy ołtarze lśniły od złota, srebra i kryształów. Marzenie Duńczyka – pomyślałem, albowiem było tu dość skarbów, żeby kupić flotę i zapełnić ją mieczami.

– Uważał, że ten kościół jest za mały – rzekł w zdumieniu Steapa,

zadzierając głowę i wpatrując się w belki wieńczące wysokie sklepienie. – Rok temu sokół uwił tam gniazdo – dodał.

Ciało króla przyniesiono już do świątyni i złożono przed ołtarzem głównym. Harfista grał, a chórzyści brata Johna śpiewali ukryci w cieniu.

Zastanawiałem się, czy jest wśród nich mój syn, lecz nie patrzyłem w tamtą stronę. Księża mruczeli coś przed ołtarzami bocznymi albo klęczeli przed trumną, w której spoczywał Alfred. Jego oczy były zamknięte, a głowę obwiązano materiałem, by zapobiec otwieraniu się ust. Na wargach zmarłego dojrzałem okruchy, prawdopodobnie dlatego, że któryś z księży włożył mu do ust kawałek chrześcijańskiego świętego chleba. Alfred był ubrany w białą szatę pokutną, podobną do tej, którą kazał mi kiedyś przywdziać. Było to lata temu, gdy wraz z Aethelwoldem mieliśmy ukorzyć się przed ołtarzem.

Wówczas nie pozostawiono mi wyboru i musiałem się zgodzić, lecz szczęśliwie Aethelwold zmienił całą tę żalosalną ceremonię w farsę. Udawał wielce skruszonego i wznosząc głowę ku niebu, wykrzykiwał o swoich przewinach i żalu za grzechy. „Przyrzekam ci, Boże: już nigdy nie dotknę żadnego biustu! Żadnego biustu! Dopomóż mi w tym i strzeż mnie przed niewieściami biustami!” Pamiętałem też, jak Alfred odwrócił się ze wstrętem.

– Exanceaster – odezwał się Steapa.

– Wspominałeś ten sam dzień – odparłem.

– Lało jak z cebra – ciągnął – a ty musiałeś iść na klęczkach do ołtarza.

Pamiętam to.

Wówczas pierwszy raz ujrzałem Steapę, złowrogię i budzącego grozę. Później stoczyliśmy pojedynek, a jeszcze później zawiązała się między nami przyjaźń. Wszystko to wydarzyło się tak dawno temu i teraz, stojąc przed trumną Alfreda, myślałem o tym, jak ulotny jest czas i że Alfred był obecny niemal w całym moim życiu, tkwiąc w nim niczym punkt orientacyjny. Nie lubiłem go. Walczyłem przeciwko niemu i dla niego, przeklinałem go i

dziękowałem mu, pogardzałem nim i podziwiałem go. Nienawidziłem jego religii i chłodnego, pełnego dezaprobaty spojrzenia, wrogości skrywanej pod udawaną uprzejmością i oddania bogu, który wysysał ze świata całą radość, nazywając ją grzechem. Musiałem jednak przyznać, że religia Alfreda uczyniła z niego dobrego człowieka i dobrego władcę.

Nieszczęśliwa dusza króla okazała się skałą, o którą rozbiły się duńskie statki. Wielokrotnie atakowały i wielokrotnie Alfred okazywał się sprytniejszy, a dzięki niemu Wessex bogacił się i rósł w siłę. W naszym mniemaniu królowie to uprzywilejowani ludzie, rządzący nami, ustanawiający prawa, łamiący je i naginający według własnych potrzeb, jednak Alfred nigdy nie stawiał siebie ponad prawem, które tworzył z takim upodobaniem. Poświęcił swe życie służbie bogu i mieszkańcom Wessexu.

Nie znałem lepszego króla i wątpię, by moi synowie, wnuki i ich dzieci widzieli lepszego władcę niż on. Nie lubiłem go, lecz nigdy nie przestałem go podziwiać. Był moim królem i wszystko, co mam, zawdzięczam jemu.

Strawę, którą jem, dwór, w którym mieszkam, i miecze moich ludzi. Wszystko zaczęło się od Alfreda, który czasami mnie nienawidził, a czasami kochał, i który był wobec mnie hojny. Był rozdawcą złota. Policzki Steapy były mokre od łez. Niektórzy księża klęczący przed trumną otwarcie płakali.

– Dziś wieczór przygotowują grobowiec – rzekł Steapa, wskazując ołtarz główny, na którym piętrzyły się błyszczące relikwiarze umiłowane przez Alfreda.

– Tu go pochowają? – spytałem.

– Jest tam krypta – odparł – ale trzeba ją otworzyć. Zostanie przeniesiony do nowego kościoła, kiedy budowa dobiegnie końca.

– Pogrzeb odbędzie się jutro?

– Może za tydzień. Trzeba czasu, żeby wszyscy się zjechali.

Długo staliśmy w kościele, pozdrawiając ludzi, którzy przychodzili

opłakiwać króla. W południe w świątyni pojawił się nowy król w otoczeniu szlachetnie urodzonych. Edward był wysoki, miał pociągłą twarz, wąskie usta i kruczoczarne włosy, które nosił zaczesane do tyłu. Wydawał się taki młody.

Był odziany w niebieską szatę, spiętą skórzanym pasem ze złotymi płytkami, i czarną pelerynę, która ciągnęła się za nim po podłodze. Nie nosił korony, albowiem nie został jeszcze koronowany – zamiast niej jego głowę zdobiła opaska z brązu.

Rozpoznałem większość towarzyszących mu ealdormanów: Aethelnotha, Wilfritha i rzecz jasna przyszłego teścia Edwarda – Aethelhelma, który siedł obok ojca Coenwulfa, spowiednika Edwarda i jego strażnika. Tuż za nimi szło sześciu młodych mężczyzn, których twarze były mi obce. W pewnej chwili zobaczyłem swojego kuzyna Aethelreda. On również mnie zauważył i zatrzymał się, jednak podążający ku ojcowskiej trumnie Edward skinieniem głowy nakazał mu iść dalej. Steapa i ja opadliśmy na jedno kolano i trwaliśmy tak, podczas gdy Edward przyklęknął przed trumną i złożył ręce do modlitwy. Wszyscy jego towarzysze uczynili to samo. Nikt się nie odzywał. Tylko chór śpiewał nieprzerwanie, podczas gdy dym z kadzidła ulatywał w poprzecinane słonecznymi smugami powietrze.

Aethelred zamknął oczy w udawanej modlitwie. Jego zgorzkniała twarz zdawała się dziwnie stara, może dlatego, że chorował, i podobnie jak Alfred, który był jego teściem, miewał ataki słabości. Przyglądałem się mu z zaciekawieniem. Musiał żywić nadzieję, że śmierć Alfreda rozluźni smycz wiążącą Mercję z Wessexem. Liczył pewnie, że odbędą się dwie koronacje, jedna w Wessexie, a druga w Mercji, i musiał wiedzieć, że Edward zdaje sobie z tego sprawę. Problemem była jego żona, którą Mercjanie szczerze kochali, a której próbował odebrać władzę, zamykając ją w klasztorze Świętego Heddy. Drugą zaś przeszkodą był kochanek jego żony.

– Lordzie Uhtredzie. – Edward otworzył oczy, choć jego palce wciąż pozostały splecione jak do modlitwy.

– Panie? – spytałem.

– Zostaniesz na uroczystości pogrzebowe?

– Jeśli taka jest twoja wola.

– Tak – odparł.

– Potem udasz się do swoich włości, do Fagranfordy – ciągnął. – Jestem pewien, że czeka cię tam wiele pracy.

– Tak, panie.

– Lord Aethelred – Edward mówił głośno i stanowczo – zostanie tu, by doradzać mi przez najbliższe tygodnie. Trzeba mi mądrej porady, a nikt inny mi takiej nie zapewni.

Było to wierutne kłamstwo. Byle dureń byłby lepszym doradcą niż Aethelred, lecz rzecz jasna Edwardowi nie zależało na poradach mojego kuzyna. Pragnął trzymać go blisko siebie i mieć go na oku w miejscu, gdzie Aethelred nie będzie mógł jątrzyć. Mnie zaś posyłał do Mercji, ufał bowiem, że utrzymam ją na smyczy. Wiedział też, że za mną pojedzie tam jego siostra.

Wysłuchałem go, z trudem zachowując powagę.

Pod wysokim sklepieniem kościoła latał wróbel. W pewnym momencie na martwą twarz Alfreda spadły ptasie odchody i spłynęły z królewskiego nosa na lewy policzek. Był to znak tak potworny, że wszyscy stojący przy trumnie wstrzymali oddech. Po chwili do kościoła wszedł jeden z ludzi Steapy, pospieszył nawą główną, lecz nie uklęknął. Zamiast tego patrzył to na Edwarda, to na Aethelreda, to na mnie, jak gdyby nie wiedział, co powiedzieć, dopóki warknięcie Steapy nie wróciło mu przytomności.

– Pani Aethelflaed – wydusił w końcu.

– Co z nią? – spytał Edward.

– Lord Aethelwold zabrał ją siłą z klasztoru. Uprowadził ją i odjechał.
Tak oto rozpoczęła się walka o Wessex.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Aethelred parsknął śmiechem. Możliwe, że była to nerwowa reakcja, lecz w starym kościele dźwięk odbił się echem od niższych kamiennych ścian. Kiedy przebrzmiał, słyszałem tylko kapanie wody, która ściekała z namokniętej strzechy na posadzkę. Edward spojrzał na mnie, na Aethelreda, a w końcu na Aethelhelma.

Wydawał się zakłopotany.

– Dokąd udał się lord Aethelwold? – spytał rzeczowo Steapa.

– Zakonnice mówią, że kierował się do Tweoxnam – odparł posłaniec.

– Ale przecież przysięgał! – oburzył się Edward.

– Zawsze był zakłamanym draniem – warknąłem i spojrzałem na człowieka, który przyniósł wieści. – Powiedział zakonnicom, że udaje się do Tweoxnam?

– Tak, panie.

– Mnie powiedział to samo – rzuciłem.

Edward wziął się w garść.

– Chcę widzieć wszystkich pod bronią i konno – zwrócił się do Steapy. – Gotowych do drogi do Tweoxnam.

– To jego jedyny majątek, panie? – spytałem.

– Ma jeszcze Wimburnan – odparł Edward. – Czemu pytasz?

– Czy to tam pochowano jego ojca?

– Tak.

– A więc to tam się udał – stwierdziłem. – Celowo wspomniał o Tweoxnam, żeby wprowadzić nas w błąd. Jeśli kogoś porywasz, nie mówisz ścigającym cię, dokąd go zabierasz.

– Po co uprowadził Aethelflaed? – Edward znów wyglądał na zagubionego.

– Bo chce mieć po swojej stronie Mercję – wyłuszczyłem. – Czy Aethelflaed jest mu przyjazna?

– Przyjazna? Wszyscy próbowaliśmy – odparł Edward. – To nasz kuzyn.

– Aethelwold myśli, że dzięki niej zdobędzie przychylność Mercji – orzekłem. Nie dodałem jednak, że nie chodzi wyłącznie o Mercję: gdyby Aethelflaed zadeklarowała swe poparcie dla kuzyna, wielu możnych Wessexu poszłoby jej śladem.

– Wyruszamy do Tweoxnam? – spytał niepewnie Steapa.

Edward się zawahał, pokręcił głową i spojrzał na mnie.

– Oba dwory są blisko siebie – rzekł niepewnym głosem, zaraz jednak przypomniał sobie, że teraz to on jest królem i do niego należą wszelkie decyzje. – Jedziemy do Wimburnan – postanowił.

– A ja z wami, panie – odezwałem się.

– Po co? – Pytanie wyrwało się z ust Aethelreda, zanim zyskał na tyle czasu i zdrowego rozsądku, by się nad tym zastanowić. Król i ealdorman wyglądali na szczerze zakłopotanych.

Zaczekałem, aż echo pytania przebrzmi, po czym odparłem z uśmiechem: – Recz jasna po to, by bronić honoru królewskiej siostry.

Jeszcze gdy wyjeżdżaliśmy z pałacu, śmiałem się w głos.

Trzeba było czasu. Jak zawsze. Należało osiodłać konie, przywdziać kolczugi i przynieść sztandary. Podczas gdy królewscy huskarlowie szykowali się do drogi, ja udałem się z Osferthem do Świętego Heddy, gdzie przeorysza Hildegyth tonęła we łzach.

– Powiedział, że ma stawić się w kościele – wyjaśniła. – Że rodzina modli się wspólnie za duszę jej ojca.

– Nie zrobiłaś nic złego – uspokoiłem ją.

– Ale on ją zabrał!

– Nie skrzywdzi jej – zapewniłem Hildegyth.

– Ale... – urwała i wiedziałem, że przypomniała sobie wstyd, który czuła wiele lat temu, kiedy została zgwałcona przez Duńczyków.

– To córka Alfreda – ciągnąłem. – Aethelwold nie chce mieć w niej wroga. Potrzebuje jej pomocy. Jej poparcie da mu prawo do ubiegania się o tron.

– Przecież jest jego zakładniczką – upierała się Hild.

– Tak, lecz ją odbijemy.

– Jak?

Dotknąłem rękojeści Oddechu Węża, pokazując jej wprawiony w głowicę srebrny krzyż – krzyż, który dała mi dawno temu.

– Z pomocą tego – odparłem, mając na myśli miecz, nie błyskotkę.

– Nie powinieneś wnosić miecza do klasztoru – upomniała mnie z udawaną surowością.

– Jest wiele rzeczy, których nie powinienem robić w klasztorze – odparłem. – Lecz większość z nich i tak zrobiłem.

Słyszając to, westchnęła.

– Co Aethelwold ma nadzieję zyskać?

– Ma nadzieję przekonać ją, że to on powinien być królem – rzekł Osferth. – Liczy też, że ona przekona lorda Uhtreda, by udzielił mu swego poparcia. – To powiedziawszy, zerknął na mnie. Przez chwilę był łudzaco podobny do swojego ojca. – Jak mniemam – ciągnął – obieca, że pozwoli lordowi Uhtredowi poślubić panią Aethelflaed, a na zachętę zaproponuje mu

tron Mercji. Nie chodzi mu wyłącznie o poparcie pani Aethelflaed. Chce również przekabacić na swoją stronę lorda Uhtreda.

Do tej pory nie myślałem o tym i słowa Osfertha kompletnie mnie zaskoczyły. Aethelwold i ja przyjaźniliśmy się niegdyś, jednak było to dawno temu, w czasach, gdy obaj byliśmy młodzi i łączyła nas niechęć do Alfreda.

Aethelwold pielęgnował swoją urazę, która z czasem przerodziła się w nienawiść, podczas gdy ja przekułem swoją w niechętny podziw. I tak oto zakończyła się nasza przyjaźń.

– To głupiec – powiedziałem. – Zawsze nim był.

– Zdesperowany głupiec – dodał Osferth. – Który wie, że to jego ostatnia szansa na zdobycie tronu.

– Ja mu w tym nie pomogę – obiecałem Hild.

– Po prostu sprowadź ją z powrotem – odparła, a my wkrótce wyruszyliśmy spełnić jej prośbę.

Niewielka armia kierowała się na zachód. W samym jej sercu jechali Steapa i królewska straż, do których dołączył każdy wojownik konny z Wintanceasteru. Był słoneczny dzień, niebo się przecierało, wolne od chmur, które w ostatnich dniach przyniosły tak wiele deszczu. Droga wiodła nas przez dzikie tereny południowego Wessexu, gdzie w lasach i na wrzosowiskach widzieliśmy jelenie i dzikie konie, a ślady odcisnięte w mokrej ziemi przez konnych Aethelwolda wciąż były świeże i wyraźne.

Edward jechał nieco z tyłu, a razem z nim jeden z wojowników, powiewając białym sztandarem ze smokiem Wessexu. Kapłan Edwarda, ojciec Coenwulf, którego czarna szata spoczywała na końskim zadzie, dotrzymywał tempa młodemu królowi, podobnie jak ealdormani Aethelnoth i Aethelhelm.

Aethelred, który nie mógł nie uczestniczyć w wyprawie mającej na celu uratowanie jego żony, jechał wraz ze swoimi ludźmi na tyłach, byle dalej ode

mnie i od Edwarda. Przyszło mi do głowy, że jest nas zbyt wielu, wystarczyłoby bowiem pół tuzina ludzi, by rozprawić się z głupcem pokroju Aethelwolda.

Z czasem dołączali do nas kolejni panowie, którzy opuszczali swe dwory, by podążać za królewskim sztandarem, gdy więc zostawialiśmy za sobą wrzosowiska, nasz oddział liczył bez mała trzy setki konnych. Steapa wysłał zwiadowców, ci jednak nie przesłali żadnych wieści, co znaczyło, że Aethelwold oczekiwał nas za palisadą swego dworu. W pewnej chwili spałem konia i wjechałem na niewielkie wzniesienie, skąd miałem nadzieję na lepszy widok. Tam dołączył do mnie Edward, który zostawił w tyle swego strażnika.

– Mój ojciec mówił, że mogę ci zaufać – rzekł.

– Wątpisz w jego słowa, królu? – spytałem.

– Tymczasem moja matka twierdzi coś zgoła innego.

Słyszając to, roześmiałem się. Aelswith, żona Alfreda, pałała do mnie nienawiścią, podobnie zresztą jak ja do niej.

– Twoja matka nigdy nie była mi przychylna – odparłem łagodnie.

– A Beocca mówi, że chcesz zabić moje dzieci – dodał z urazą.

– Nie mnie o tym decydować, królu – odrzekłem, a on spojrzał na mnie zdumionym wzrokiem. – Dwadzieścia lat temu twój ojciec powinien był poderżnąć gardło Aethelwoldowi, jednak tego nie zrobił. Nie Duńczycy, panie, są twoimi najgorszymi wrogami, lecz ludzie ci bliscy, którzy pożądamy twojej korony. Twoje dzieci z nieprawego łoża będą problemem dla twych prawowitych synów. Lecz to nie mój kłopot, tylko twój.

Edward pokręcił głową. Pierwszy raz od śmierci jego ojca byliśmy tylko we dwóch. Wiedziałem, że mnie lubi, tak jak wiedziałem, że denerwuje się w mojej obecności. Do tej pory znał mnie wyłącznie jako wojownika i w przeciwieństwie do swej siostry jako dziecko nigdy nie był mi szczególnie

bliski. Milczał przez chwilę, patrząc na widoczną w dole małą armię, która ciągnęła na zachód, i jaśniejące w słońcu sztandary. Ulewne deszcze sprawiły, że niemal wszystko dokoła nas lśniło.

– To nie są dzieci z nieprawego łoża – przemówił w końcu cichym, spokojnym głosem. – Poślubiłem Ecgwynn. Poślubiłem ją w kościele przed obliczem Boga.

– Twój ojciec był temu przeciwny – odparłem.

Edward zadrżał.

– Był zły. Podobnie jak moja matka.

– A ealdorman Aethelhelm, królu? – spytałem. – Pewnie nie cieszy go myśl, że jego wnuki nie będą pierwsze do tronu.

Edward zacisnął zęby.

– Zapewniono go, że ślub się nie odbył – odrzekł z rezerwą.

A zatem Edward ugiął się do woli rodziców. Zgodził się skłamać, że dzieci, które urodziła mu lady Ecgwynn, są bękartami, choć owo kłamstwo najwyraźniej ciążyło mu na duchu.

– Panie, jesteś teraz królem – przypomniałem mu. – Możesz uznać bliźnięta. Jesteś władcą.

– Jeśli to zrobię, obrażę Aethelhelma – odparł żalonym tonem. – Jak długo pozostanę królem? – Aethelhelm był najbogatszym z panów Wessexu, najpotężniejszym głosem w radzie witanu i człowiekiem lubianym w królestwie. – Ojciec powtarzał, że witan może uczynić człowieka królem i odebrać mu koronę – ciągnął Edward. – A matka mówi, że powinienem słuchać jej rad.

– Jesteś najstarszym synem – rzekłem. – I prawo do tronu jest twoje.

– Nie, jeśli Aethelhelm i Plegmund odmówią mi wsparcia – mruknął.

– To prawda. – Niechętnie przyznałem mu rację.

– A zatem bliźnięta muszą być traktowane jak bękarty – dodał przygnębiony. – I pozostaną bękartami, dopóki moja władza nie pozwoli mi zarządzić inaczej. Do tego czasu muszę znaleźć dla nich bezpieczne schronienie, dlatego oddam je pod opiekę siostry.

– Pod moją opiekę – dodałem beznamiętnie.

– Tak – odparł. Przyjrzał mi się badawczo. – Pod warunkiem że przysięgniesz, że ich nie zabijesz.

Roześmiałem się.

– Nie zabijam dzieci, królu. Czekam, aż dorosną.

– Muszą dorosnąć. – To rzekłszy, zmarszczył czoło. – Nie potępiasz mnie za mój grzech, prawda?

– Ja? Jestem poganinem, panie – odparłem. – Cóż mnie obchodzą grzechy?

– W takim razie zadbaj o moje dzieci – poprosił mnie.

– Tak też uczynię – obiecałem.

– I powiedz mi, co mam uczynić z Aethelredem.

Spojrzałem w dół na oddziały swojego kuzyna jadące w tylnej straży.

– Aethelred pragnie być królem Mercji. Wie jednak, że aby przetrwać, będzie potrzebował wsparcia Wessexu. Nie sięgnie więc po koronę bez twojej zgody, a ty mu jej nie udzielisz.

– Nie udzię – powtórzył Edward. – Choć matka mówi, że będę potrzebował jego wsparcia.

Przeklęta kobieta – pomyślałem. Zawsze lubiła Aethelreda i potępiała swą córkę. Jednak to, co powiedziała, było po części prawdą. Aethelred mógł powieść na pole bitwy co najmniej tysiąc zbrojnych, a jeśli Wessex miał kiedykolwiek uderzyć na potężnych duńskich panów na Północy, było to wręcz nieocenione wsparcie. Setki razy powtarzałem jednak Alfredowi, że

Aethelred najpewniej znajdzie dziesiątki wymówek, by zatrzymać swych ludzi w domu.

– Czego zatem żąda Aethelred?

Edward nie odpowiedział od razu. Zamiast tego spojrział w niebo i znowu na zachód.

– Nienawidzi cię.

– Tak jak twojej siostry – rzuciłem beznamiętnie.

Pokiwał głową.

– Chce, żeby Aethelflaed wróciła do... – zaczął i zaraz urwał, naszych uszu dobiegł bowiem dźwięk rogu.

– Chce, żeby Aethelflaed wróciła do dworu, w przeciwnym razie zamknę ją w klasztorze – dokończyłem.

– Tak – przyznał Edward. – Tego właśnie chce. – Spojrział w dół na drogę, gdzie po raz kolejny zabrzmiał dźwięk rogu. – Oni zaś chcą mnie – rzekł, patrząc na ojca Coenwulfa, który machając wściekle rękami, przyzywał nas do siebie. Chwilę później ujrzałem kilku ludzi Steapy galopujących ku straży przedniej. Edward dał koniowi ostrogę i ruszyliśmy ku czołu kolumny, gdzie dwaj zwiadowcy przywieźli księdza, który niemal spadł z konia, by paść na kolana przed królem.

– Panie, panie! Królu! – wydyszał klecha. Brakowało mu tchu.

– Kim jesteś? – spytał Edward.

– Ojciec Edmund, panie.

Przybywał z Wimburnan, gdzie był kapłanem. Podobno Aethelwold wzniósł swój sztandar i obwołał się królem Wessexu.

– Co takiego? – spytał Edward.

– Kazał mi odczytać proklamację, panie, przed świątynią Świętej Cuthbergi.

- Obwołał się królem?
- Twierdzi, że jest królem Wessexu, panie. Żąda, by ludzie przychodzili i składali mu przysięgę wierności.
- Kiedy wyjeżdżałeś, ilu było tam ludzi? – spytałem.
- Nie wiem, panie – przyznał ojciec Edmund.
- Widziałeś kobietę? – wypytywał Edward. – Moją siostrę?
- Panią Aethelflaed? Tak, panie, była z nim.
- Ilu ma ludzi? – chciałem wiedzieć. – Dwudziestu czy dwie setki?
- Nie wiem, panie. Wielu.
- Rozesłał gońców do innych panów?
- Do swoich tanów, panie. Wysłał mnie. Mam mu sprowadzić ludzi.
- A zamiast tego ty odnalazłeś mnie – rzekł ciepło Edward.
- Gromadzi armię – odezwałem się.
- Fyrd – rzucił pogardliwie Steapa.

Aethelwold czynił to, co uważał za mądre, brakowało mu jednak mądrości. Odziedziczył po ojcu rozległe ziemie, a Alfred był na tyle nierozważny, by pozostawić je nietknięte. Teraz Aethelwold żądał, by dzierżawcy chwycili za broń i stworzyli armię, która – jak wierzył – pomaszeruje na Wintanceaster. Liczył na fyrd, pospolite ruszenie, armię złożoną z chłopów, cieśli, dekarzy i oraczy, podczas gdy Edward miał straż królewską, którą tworzyli doświadczeni wojownicy. Fyrd nadawał się do obrony burhu lub po to, by przerazić wroga swoją liczebnością, lecz do walki z uzbrojonym Duńczykiem albo żądnym krwi wikingiem trzeba było wojowników. Aethelwold powinien był zostać w Wintanceasterze, wymordować wszystkie dzieci Alfreda i ogłosić się królem, on jednak, niczym skończony głupiec, wrócił do domu, który my mieliśmy najechać.

Zmierzchało, gdy dojeżdżaliśmy do Wimburnan. Słońce stało nisko na

zachodzie, a długie cienie kładły się na zielonych wzgórzach, na których pasły się owce i bydło Aethelwolda. Nadciągnęliśmy ze wschodu i nikt nie próbował nas zatrzymać, gdy zbliżaliśmy się do małego miasteczka między dwoma rzekami, z kamiennym kościołem, którego wieża górowała nad pociemniałymi strzechami. To w nim spoczywał król Aethelred, brat Alfreda i ojciec Aethelwolda. Za świątynią zaś otoczony wysoką palisadą znajdował się dwór Aethelwolda, nad którym powiewał jego sztandar. Przedstawiał on stojącego dęba białego jelenia z dwoma chrześcijańskimi krzyżami w miejscu poroża. W dogasających promieniach słońca czerwień sztandaru przywodziła na myśl wrzącą krew.

Jechaliśmy na północ i minąwszy miasteczko, przekroczyliśmy węższą z dwóch rzek, po czym ruszyliśmy w górę wąskiego zbocza prowadzącego do jednego z fortów, które dawni ludzie pobudowali na terenie całej Brytanii.

Ten, do którego zmierzaliśmy, został wyrąbany w kredowym szczycie wzgórza. Ojciec Edmund twierdził, że niegdyś nosił nazwę Baddan Byrig, a miejscowi wierzyli, że w zimowe noce tańczy w nim sam diabeł. Były tu trzy wały usypane z kredy i porośnięte trawą i dwa wejścia, w których pasły się owce. Ze wzgórza rozciągał się widok na drogę, którą musiał wyprawić się Aethelwold, jeśli zamierzał ruszyć na północ na spotkanie ze swymi duńskimi przyjaciółmi. Edward w pierwszej chwili chciał zablokować trakt do Wintanceasteru, jednak miasta strzegły mury i stacjonujący w nim garnizon. W końcu przekonałem go, że gorzej będzie, jeśli Aethelwold ucieknie z Wessexu.

Nasza armia rozciągnęła się wzdłuż linii horyzontu pod powiewającymi na wietrze królewskimi chorągwiami. Wimburnan leżało kilka mil na południe, tak więc musieliśmy robić wrażenie na każdym, kto obserwował nas z murów miasta. Promienie zachodzącego słońca odbijały się w naszych zbrojach i broni, a kredowe mury Baddan Byrig bieliły się niczym kości. W

zapadającym zmierzchu trudno było zobaczyć, co dzieje się w miasteczku, dostrzegałem jednak ludzi i konie, ciżbę gromadzącą się na ulicach, choć żaden mur tarcz nie bronił drogi wiodącej do dworu.

– Ilu ma ludzi? – zapytał Edward. Pytał o to dziesiątki razy, odkąd spotkaliśmy ojca Edmunda, a my dziesiątki razy odpowiadaliśmy, że nie wiemy i że może ich być czterdziestu albo cztery setki.

– Nie dość, panie – odparłem.

– Co...? – zaczął, zaraz się jednak pomiarkował. Zamierzał zapytać, co uczynimy, przypomniał sobie jednak, że to on jest królem i sam musi znaleźć odpowiedź na to pytanie.

– Chcesz go panie żywego czy martwego? – spytałem.

Spojrzał na mnie. Wiedział, że musi podjąć decyzję, nie wiedział jednak jaką. Ojciec Coenwulf będący jego nauczycielem zamierzał udzielić mu rady, lecz Edward uciszył go machnięciem ręki.

– Chcę, by stanął przed sądem – rzekł.

– Wspomnij me słowa, panie – przypomniałem mu. – Twój ojciec mógł zaoszczędzić nam licznych kłopotów, zabijając Aethelwolda, pozwól więc, bym tam pojechał i ubił drania.

– Albo ja, panie – zaproponował Steapa.

– Musi stanąć przed radą witanu – zdecydował Edward. – Nie chcę zaczynać swoich rządów od rzezi.

– Amen i Bogu niech będą dzięki. – Ojciec Coenwulf odetchnął z ulgą.

Utkwiłem wzrok w dolinie. Nic nie wskazywało na to, by Aethelwold zgromadził armię. Widziałem tylko garstkę konnych i niezdyscyplinowany motłoch.

– Pozwól mi go zabić, panie – odezwałem się. – I przed zachodem słońca będzie po problemie.

- Pozwól mi z nim porozmawiać – nalegał ojciec Coenwulf.
- Przemów mu do rozsądku – nakazał mu Edward.
- Czy człowiek przemawia do rozsądku osaczonemu szczurowi? – burknąłem.

Edward zignorował moje słowa.

- Powiedz mu, że musi zdać się na naszą łaskę – poinstruował Coenwulfa.

– A co, jeśli zamiast tego zabiją ojca Coenwulfa, królu? – spytałem.

– Mój los jest w rękach Boga – zapewnił mnie klecha.

– Lepiej, żeby spoczywał w rękach lorda Uhtreda – warknął Steapa.

Słońce wisiało tuż nad horyzontem, oślepiająca czerwona kula zawieszona na jesiennym niebie. Edward, wyraźnie zmieszany, chciał sprawiać wrażenie stanowczego.

- Pojedziecie we trzech – zdecydował. – Ale to ojciec Coenwulf będzie mówił.

Księżulo pouczał mnie, kiedy zjeżdżaliśmy ze wzgórza. Miałem nikomu nie grozić, nie odzywać się nieproszony i nie dotykać miecza. Upierał się też, że pani Aethelflaed zostanie oddana pod opiekę męża. Ojciec Coenwulf, blady i posępny, był jednym z tych zgorzkniałych ludzi, których Alfred z lubością mianował nauczycielami i doradcami. Był też bystry – a jakże, wszyscy księża w otoczeniu Alfreda byli bystrzy – a przy tym zbyt chętny do potępiania wszelkich grzechów, to zaś znaczyło, że nie pochwalał tego, co łączyło mnie z Aethelflaed.

- Rozumiesz mnie? – zapytał, gdy wyjechaliśmy na drogę, a właściwie poślubioną koleinami ścieżkę między nieprzyciętymi żywopłotami.

Na polach zbierały się stada pliszek, a w oddali za miastem chmara szpaków wzbija się w niebo i rozpierzchła.

– Mam nikomu nie grozić – powtórzyłem radośnie – nie odzywać się i nie dotykać miecza. Czy nie byłoby łatwiej, gdybym po prostu przestał oddychać?

– A pani Aethelflaed wróci tam, gdzie jej miejsce – dodał stanowczo Coenwulf.

– Czyli? – spytałem.

– O tym zdecyduje jej mąż.

– Lecz on chce ją zamknąć w klasztorze – zauważyłem.

– Jeśli taka jest jego wola, lordzie Uhtredzie – odparł ksiądz – będzie musiała się z nią pogodzić.

– Przekonasz się jeszcze, że pani Aethelflaed sama decyduje o własnym losie – rzekłem łagodnie. – I nie robi tego, czego chcą od niej mężczyźni.

– Posłucha męża – obstawał przy swoim Coenwulf, a mój śmiech wyraźnie go rozjuszył.

Biedny Steapa wyglądał na zagubionego.

Na obrzeżach miasta natrafiliśmy na pół tuzina zbrojnych, ci jednak nie próbowali nas zatrzymać. Nie był to otoczony murami burh i tak wjechaliśmy prosto na ulicę cuchnącą łajnem i dymem drzewnym. Tutejsi ludzie byli strapieni i milczący. Patrzyli na nas, a niektórzy na nasz widok czynili znak krzyża. Słońce zaszło już za horyzont, zapadał zmierzch. Minęliśmy na oko przyjemną tawernę, a siedzący przed drzwiami człowiek uniósł ku nam róg ale. Zauważyłem, że tylko nieliczni mężczyźni byli uzbrojeni. Skoro Aethelwold nie zdołał zwołać fyrdu we własnym mieście, jak mógł przypuszczać, że całe hrabstwo wyprawi się z nim przeciwko Edwardowi?

Wrota do klasztoru Świętej Cuthbergi uchyliły się i stanęła w nich kobieta, która rozejrzawszy się dookoła, zatrzasnęła je z powrotem. Strażnicy strzegący bram klasztoru również nie próbowali nas zatrzymać. Twarze mieli skwaszone i w milczeniu odprowadzili nas wzrokiem.

– Już przegrał – odezwałem się.

– Tak – przyznał Steapa.

– To jego twierdza, a mimo to nikt nie próbuje stanąć nam na drodze.

Tak było do czasu, gdy dotarliśmy do wrót dworzyszczu. Zdobił je sztandar Aethelwolda, a strzegło siedmiu włóczników i godna pożałowania barykada z beczek, na które rzucono dwie kłody. Jeden z włóczników ruszył w naszą stronę i opuścił broń.

– Ani kroku dalej – zagroził.

– Zabierzcie te beczki i otwórzcie wrota – odparłem ze spokojem.

– Coście za jedni? – zapytał. Był siwobrodym mężczyzną w średnim wieku, dobrze zbudowanym i sumiennym.

– To Mateusz – odparłem, wskazując ojca Coenwulfa. – Ja jestem Marek, a to Łukasz. Ten czwarty upił się i został gdzieś z tyłu. Dobrze wiecie, kim jesteśmy, więc radzę wam: otwórzcie wrota.

– Pozwólcie nam wejść – odezwał się posępnie ojciec Coenwulf, spojrzawszy na mnie z przyganą.

– Żadnej broni – uprzedził strażnik.

Spojrzałem na Steapę. W pochwie na lewym biodrze miał swój długi miecz, na prawym krótkiego saksu, a na plecach topór wojenny.

– Steapo – zwróciłem się do niego – ilu ludzi zabiłeś w bitwie?

Zdumiało go moje pytanie, widać było jednak, że zastanawia się nad odpowiedzią. W końcu pokręcił głową i odparł: – Straciłem rachubę.

– Ja też – rzekłem i obejrzałem się na człowieka, który wyszedł nam naprzeciw. – Możecie odebrać nam broń – powiedziałem mu – albo ująć z życiem i pozwolić nam wejść.

Najwyraźniej uznał, że woli przeżyć, bo nakazał swym ludziom uprzątnąć kłody i beczki, a gdy brama stanęła otworem, wjechaliśmy na dziedziniec,

gdzie chwilę temu zapalono pochodnie. Ich płomienie rzucały roztańczone cienie na oczekujące jeźdźców osiodłane wierzchowce. Naliczyłem około trzydziestu ludzi. Tylko nieliczni mieli na sobie kolczugi, lecz wszyscy byli pod bronią. Stali przy koniach, ale żaden z nich nie próbował rzucić nam wyzwania. Wyglądali na zdenerwowanych.

- Szykuje się do ucieczki – mruknąłem.
- Masz milczeć – przypomniał mi zjadliwie ojciec Coenwulf.
- Sam milcz, dumny klecho – warknąłem.

Służący zabrali nasze konie i tak jak się tego spodziewałem, zarządca nakazał Steapie i mnie, byśmy zostawili nasze miecze przed wejściem do halli.

- Nie – odparłem.
- Nie oddam miecza – zaprotestował groźnie Steapa.

Zarządca wyglądał na podenerwowanego, lecz ojciec Coenwulf minął go bez słowa, a my, idąc za jego przykładem, weszliśmy do wielkiej izby oświetlonej płonącym na palenisku ogniem i świecami stojącymi na dwóch stołach, między którymi ustawiono tron. Nie ma lepszego słowa, by opisać masywne krzesło, które górowało nad skupiskiem świec. To na nim siedział Aethelwold, choć zobaczywszy nas, zerwał się na równe nogi i stanął na skraju podniesienia, na którym ustawiono ów stolec. Na podwyższeniu ustawiono też drugie, znacznie mniejsze krzesło, odsunięte nieco na bok.

Siedziała na nim Aethelflaed, strzeżona przez dwóch włóczników. Na mój widok uśmiechnęła się cierpko i uniosła dłoń, bym wiedział, że nic jej nie jest. W izbie było przeszło pięćdziesięciu ludzi. Mimo starań zarządcy większość z nich miała broń, ale i tu nikt nie próbował nam grozić. Nasze przybycie sprawiło, że w izbie zapadła nagła cisza. Ludzie, podobnie jak ci na dziedzińcu, zdawali się podenerwowani. Znałem kilku z nich i wyczuwałem, że zdania w izbie były podzielone. Najmłodszy wojownik,

stojący najbliżej podwyższenia, byli poplecznikami Aethelwolda, starsi zaś, jego tanowie, wyglądali na niezadowolonych z rozwoju wydarzeń. Nawet psy we dworze sprawiały wrażenie zaskoczonych. Jeden zaskomlał na nasz widok i umknął w najdalszy kąt izby, gdzie drżąc, skulił się na podłodze. Aethelwold stał na skraju podniesienia. Skrzyżował ramiona i próbował przyjąć postawę godną króla, jednak wydawał się równie zdenerwowany jak ogary. Tylko stojący u jego boku jasnowłosy młodzik zdawał się pełen energii.

– Uwięź ich, panie – podbechtywał Aethelwolda.

Nawet najbardziej beznadziejna sprawa, najbardziej szalona religia i najbardziej niedorzeczny pomysł znajdą takich, którzy im przyklasną, a jasnowłosemu najwyraźniej spodobały się poczynania Aethelwolda. Był przystojnym młodzieńcem, jasnookim i krzepkim, o silnie zarysowanej szczęce. Długie włosy nosił związane na karku skórzaną wstążką. Drugą wstążkę miał zawiązaną na szyi na podobieństwo cienkiego szala. Wyglądała ona kobieco, albowiem była różowa i utkana z delikatnego jedwabiu, który przywozili do Brytanii handlarze z odległych krain. Końce jedwabnej wstążki opadały na kolczugę najprzedniejszej roboty, wykutą pewnie przez drogich frankijskich kowali. Pas młodzika zdobiły złote płytki, a rękojeść jego miecza wieńczyła głowica z kryształu. Był zamożny, pewny siebie i aż rwał się do walki.

– Kim jesteś? – zwrócił się do niego ojciec Coenwulf.

– Zwę się Sigebriht – odparł dumnie tamten. – Dla ciebie, klecho, lord Sigebriht. – A więc to był młodzik, który nosił wieści między Aethelwoldem a Duńczykami, Sigebriht z Kentu, ten, który pokochał panią Ecgwynn i przegrał rywalizację z Edwardem. – Nie pozwól im mówić – namawiał Aethelwolda. – Zabij ich!

Aethelwold nie wiedział, co czynić.

– Lordzie Uhtredzie – pozdrowił mnie. Powinien był rozkazać swym ludziom, by posiekali nas na kawałki, a następnie powieść swe siły przeciwko Edwardowi, brakowało mu jednak odwagi i musiał wiedzieć, że ledwie garstka obecnych w izbie wojowników pójdzie za jego rozkazem.

– Lordzie Aethelwoldzie – przemówił surowo ojciec Coenwulf – przybyliśmy, by wezwać cię na dwór króla Edwarda.

– Nie ma takiego króla – warknął Sigebriht.

– Zostaniesz potraktowany zgodnie ze swym pochodzeniem. – Duchowny zignorował słowa młodzieńca i zwracał się bezpośrednio do Aethelwolda. – Zakłóciłeś królewski spokój i odpowiesz za to przed królem i witanem.

– Tutaj ja jestem królem – odparł Aethelwold i wyprostował się, chcąc wyglądać po królewsku. – Jestem królem – powtórzył – i będę żył albo umrę tu, w swoim królestwie!

Przez moment prawie mu współczułem. Został podstępem pozbawiony tronu, odepchnięty przez swego wuja Alfreda, a przy tym musiał patrzeć, jak Alfred czyni Wessex najpotężniejszym królestwem Brytanii. Aethelwold znajdował pocieszenie w ale, miodzie i winie, po których mógł się wydawać dobrym towarzyszem, jednak w głębi duszy zawsze miał ambicję, by naprawić wielką niesprawiedliwość, która spotkała go, gdy był dzieckiem.

Teraz robił wszystko, by zachowywać się jak król, choć nawet jego ludzie nie byli gotowi ruszyć za nim w bój, nie licząc garstki młodych głupców takich jak Sigebriht.

– Nie jesteś królem, panie – stwierdził ojciec Coenwulf.

– Właśnie, że jest! – odparł z naciskiem Sigebriht i postąpił krok do przodu, jak gdyby zamierzał powalić kapłana.

Zobaczywszy to, Steapa także zrobił krok w przód.

Widziałem w swym życiu wielu budzących grozę mężów, lecz żaden z nich nie mógł się równać ze Steapą. Ten w istocie łagodny, dobrotliwy i

niepomierne troskliwy człowiek był o głowę wyższy od większości mężczyzn, a przy tym obdarzony kościstą twarzą z naciągniętą na nią gładką skórą i ponurym wejrzeniem pozbawionego skrupułów brutala. Był czas, że ludzie nazywali go Steapa Snotor, czyli Steapa Głupi, lecz minęły lata, odkąd słyszałem podobne drwiny. Steapa urodził się jako niewolny, został jednak dowódcą królewskiej straży i choć nie grzeszył bystrością, był lojalny, sumienny i dokładny. Żaden z wojowników Wessexu nie budził tak wielkiej grozy. Widząc, że Steapa położył dłoń na rękojeści miecza, Sigebriht pomiarkował się, a na jego młodej, butnej twarzy odmalował się strach.

Zobaczyłem, że Aethelflaed się uśmiechnęła.

Aethelwold wiedział, że przegrał, wciąż jednak próbował zachować resztki godności.

– Ojciec Coenwulf, tak? – zapytał.

– Tak, panie.

– Twoja rada z pewnością będzie mądra. Może mógłbyś mi jej udzielić?

– Po to tu jestem – odparł Coenwulf.

– I zmówić modlitwę w mojej kaplicy? – Aethelwold wskazał drzwi za swoimi plecami.

– Będę zaszczycony – rzekł ksiądz.

– Ty również, moja droga. – Aethelwold zwrócił się do Aethelflaed.

Wydawał się pogodzony z losem. Skinął na pół tuzina swoich najbliższych popleczników, w tym wyraźnie zmieszanego Sigebrihta, i wszyscy zniknęli za wąskimi drzwiami na tyłach podniesienia. Aethelflaed spojrzała na mnie pytająco, ja zaś odpowiedziałem skinieniem głowy, zamierzałem jej bowiem towarzyszyć. Widząc to, podążyła za Sigebrihtem, lecz ledwie ruszyliśmy w stronę podniesienia, Aethelwold podniósł rękę.

– Tylko ojciec Coenwulf – rzekł.

– Idziemy wszędzie tam, gdzie on – odparłem.

– Chcesz się pomodlić? – spytał zjadliwie klecha.

– Chcę, żebyś był bezpieczny – burknąłem. – Choć bóg jeden wie dlaczego.

Coenwulf spojrział na Aethelwolda.

– Dajesz, panie, słowo, że będę bezpieczny w twojej kaplicy?

– Jesteś gwarantem mojego bezpieczeństwa, ojciec – zapewnił go pokornie Aethelwold. – Potrzebuję twojej porady i modlitwy. I tak, masz moje słowo, że nic ci się nie stanie.

– Zatem czekajcie tu – warknął do mnie Coenwulf. – Obaj.

– Ufasz bękartowi? – spytałem na tyle głośno, by Aethelwold mnie usłyszał.

– Ufam Bogu Wszechmogącemu – odparł dostojnie, po czym wspiął się na podniesienie i wspólnie z Aethelwoldem opuścił izbę.

Steapa położył mi rękę na ramieniu.

– Niech idzie – rzekł.

Gdy czekaliśmy, podeszło do nas dwóch starszych wojowników, którzy powiedzieli nam, że to nie był ich pomysł i że uwierzyli Aethelwoldowi, gdy zapewnił ich, że witan Wessexu uznał jego prawo do tronu. Odparłem im, że tak długo, jak długo nie podniosą broni przeciwko prawowitemu królowi, nie mają się czego obawiać. Król ten, z tego, co wiedziałem, czekał za kredowymi wałami starego fortu na północ od miasta. Czekał, choć zapadła już noc, a na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy. My także czekaliśmy.

– Ile trwa modlitwa? – spytałem.

– Niektóre nawet dwie godziny – odparł ponuro Steapa. – A kazania jeszcze dłużej.

Odwróciłem się do zarządcy, który wcześniej próbował odebrać nam miecze.

– Gdzie jest kaplica? – zapytałem.

Spojrzał na mnie przerażony, a zaraz potem wydukał: – Nie ma żadnej kaplicy, panie. Zakląłem szpetnie, rzuciłem się ku drzwiom na tyłach dworu, a otworzywszy je, ujrzałem komnatę sypialną. Były tam skóry, wełniane koce, drewniane wiadro i wysoka zgaszona świeca w srebrnym świeczniku. W drugim końcu izby dostrzegłem kolejne drzwi, które wiodły na mniejszy dziedziniec. Nie było na nim żywego ducha, jeśli nie liczyć strzegącego bramy samotnego włócznika.

– Dokąd pojechali?! – ryknąłem na niego, a on drżącą dłonią wskazał na zachód.

Wróciliśmy na większy dziedziniec, gdzie czekały na nas nasze konie.

– Jedź do Edwarda – nakazałem Steapie. – Powiedz, że bękart zbiegł.

– A ty? – spytał, sadowiąc się w siodle.

– Pojadę na zachód.

– Nie sam – rzucił z przyganą.

– Po prostu jedź.

Steapa miał rację. Nierozważnie było jechać samemu w chaos nocy, lecz nie chciałem wracać na kredowe wzgórza Baddan Byrig, gdzie przez kolejne dwie godziny będzie trwała narada. Zastanawiałem się, co się stało z ojcem Coenwulfem – miałem nadzieję, że nadal żyje – i z tą myślą wyjechałem przez bramę, rozpędzając ludzi zgromadzonych na oświetlonych pochodniami ulicach, gdy spiąwszy konia, pognałem drogą na wschód.

Żałosna próba Aethelwolda, by obwołano go królem Wessexu, spełzła na niczym, on jednak się nie poddał. Mieszkańcy jego ziem odmówili mu poparcia. Została mu nieliczna grupa popleczników, z którymi uciekał tam, gdzie miał nadzieję znaleźć miecze, tarcze i włócznie. Zamierzał zbiec na północ, do Duńczyków, i pozostały mu wyłącznie dwa wyjścia. Mógł podróżować łądem, z nadzieją, że ominie niewielką armię, którą Edward

przywiódł do Wimburnan, albo udać się na południe, gdzie czekała na niego łódź. Po chwili zastanowienia odegnałem od siebie tę drugą myśl. Duńczycy nie wiedzieli, kiedy Alfred umrze, a żadna wikińska łódź nie zabawiłaby długo na wschodniosaskich wodach, czyli było niemal pewne, że żaden statek nie czeka na Aethelwolda. Został więc sam, a to znaczyło, że będzie próbował przepłynąć się przez królestwo.

A ja podążałem jego śladem, lub raczej jechałem na oślep. Noc była księżycowa, lecz cienie kładły się czernią na drodze, przez co ani ja, ani mój koń nie widzieliśmy dobrze i jechaliśmy wolno. Miejscami zdawało mi się, że dostrzegam świeże ślady kopyt, lecz nie miałem pewności. Błotnista droga, tu i ówdzie porośnięta kępami trawy, biegła między żywopłotami i wysokimi drzewami. Była to ścieżka wykorzystywana przez poganiaczy bydła, prowadziła wzdłuż rzecznej doliny i skręcała na północ. W środku nocy dotarłem do wioski, gdzie w chacie kowala dojrzałem blask ognia. Chłopak, jeszcze dziecko, pilnował paleniska. Miał zadbać o to, by ogień nie wygasł, i przeląkł się, widząc mnie w pełnym rynsztunku, w hełmie, kolczudze i z pochwą u pasa, w której odbijał się blask płomieni oświetlających błotnistą ulicę.

Zatrzymałem konia i spojrzałem na chłopca.

– Kiedy byłem w twoim wieku – przemówiłem do niego zza opuszczonych osłon na policzki – też pilnowałem ognia. Miałem za zadanie zatykać mchem i błotem dziury, przez które ogień wydostawał się z izby.

Siedziałem tak całymi nocami i wiem, że człowiek czuje się samotny. Pokiwał głową, nadal zbyt przerażony, by cokolwiek powiedzieć.

– Ale była dziewczyna, która razem ze mną pilnowała ognia – ciągnąłem, wspominając Bridę. – Masz taką dziewczynę?

– Nie, panie – odrzekł i upadł na kolana.

– Dziewczęta to najlepsze towarzystwo w samotne noce – dodałem. –

Nawet jeśli mało mówią. Spójrz na mnie, chłopcze. – Złękniiony spuścił głowę. – A teraz powiedz, czy przejeżdżali tędy konni. Była wśród nich kobieta. – Chłopak wgapiał się we mnie w milczeniu. Mojego konia drażnił panujący w kuźni upał albo bijąca ze środka gryząca woń, więc poklepałem go po szyi. – Kazali ci milczeć – dodałem. – Powiedzieli, że musisz dotrzymać tajemnicy. Grozili ci?

– Powiedział, że jest królem, panie. – Słowa zabrzmiały niczym szept.

– Prawdziwy król jest niedaleko stąd – odparłem. – Jak się nazywa to miejsce?

– Blanford, panie.

– Wydaje się miłe. Pojechali na północ?

– Tak, panie.

– Jak dawno temu?

– Niedawno, panie.

– Ta droga prowadzi do Scaftesburi? – spytałem, próbując przypomnieć sobie najważniejsze miejsca w bogatym Wessexie.

– Tak, panie.

– Ilu ich było?

– Tuzin i trzech – odparł chłopak. Był to inny sposób liczenia od tego, do którego nawykłem, i dzieciak musiał się tego domyślić, bo na wszelki wypadek podniósł palce obu rąk, a zaraz potem jednej. Piętnastu.

– Był z nimi ksiądz?

– Nie, panie.

– Dobry z ciebie dzieciak – rzekłem, i istotnie tak było, skoro chłopak potrafił liczyć. Rzuciłem mu kawałek srebra. – Rano – dodałem – powiedz ojcu, że spotkałeś Uhtreda z Bebbanburga i spełniłeś swój obowiązek wobec nowego króla.

Szeroko otwartymi oczami patrzył, jak wjeżdżam w głąb fortu, gdzie napoiłem konia, i pogałem w górę wzgórza. Pamiętam, jak pomyślałem, że tamtej nocy mogłem zginąć. Aethelwold miał ze sobą czternastu ludzi, nie licząc Aethelflaed, i musiał wiedzieć, że będziemy go ścigać. Zakładał pewnie, że cała armia Edwarda ruszy za nim w pogoń. Gdyby wiedział, że jego tropem podąży samotny jeździec, z pewnością zastawiłby pułapkę, a ja zostałbym zrzucony z siodła i zaszlachtowany w blasku księżyca. Pomyślałem, że lepsza taka śmierć niż ta, która spotkała Alfreda. Niż leżenie w cuchnącej komnacie, z guzem w brzuchu twardym jak kamień, ślinienie się, płacz i robienie pod siebie. Ale była jeszcze obietnica życia wiecznego i odrodzenie się w radości.

Chrześcijanie zwą to niebem. Próbują lękiem zagnać nas do niebiańskich marmurowych hal, opowiadając historie o piekle gorętszym niż ogień na palenisku w Blanefordzie. Ja jednak wolałem odejść w rozbłysku światła prosto w ramiona Walkirii do Walhalli, gdzie czekać będą na mnie moi przyjaciele, a także wrogowie, ludzie, których zabiłem w walce. Tam będziemy ucztować, walczyć i obłapiać niewiasty. Oto nasze przeznaczenie, chyba że umrzemy haniebną śmiercią – wówczas po wsze czasy będziemy skazani na chłód królestwa bogini Hel.

Jadąc w noc za Aethelwoldem, pomyślałem, że to dziwne. Chrześcijanie mówią, że naszą karą jest piekło, a Duńczycy, że ci, którzy zginą haniebnie, trafią do krainy, którą włada bogini o tym samym imieniu[*]. Obie te nazwy brzmią podobnie, choć nie są tym samym. Bogini Hel nie jest piekłem. Nie pali ludzi, po prostu skazuje ich na wieczne nieszczęście. Zgiń z mieczem w dłoni, a nigdy nie ujrzysz gnijącego ciała Hel ani nie poczujesz głodu w przepastnych, zimnych jaskiniach jej królestwa. Jednak w podziemnym świecie bogini nie ma kar, tylko trwające wiecznie zwyczajne życie.

Chrześcijanie grożą karą lub obiecują nagrodę, jakbyśmy byli dziećmi,

gdy tak naprawdę to, co przychodzi później, jest tym, co działo się wcześniej.

Aelfadell ostrzegła mnie, że wszystko się zmieni, a zarazem wszystko pozostanie takie, jak było i jakie być powinno. Na wspomnienie więdmy pomyślałem o Erce, jej smukłym ciele kołyszącym się nade mną, gardłowych dźwiękach, które dobywały się z jej ust, i radości, jaką wówczas czułem.

O świcie usłyszałem porykiwania jeleni. Trwał okres rui, kiedy stada szpaków niczym czarne chmury zasnuwają niebo, a liście zaczynają spadać. Zatrzymałem zmęczonego konia na wzgórzu i rozejrzałem się, lecz dookoła nie było żywej duszy. Zdawało mi się, że jestem sam jeden pośród mgieł, zawieszony w złocistożółtym świecie, w którym jedynym dźwiękiem był ryk jeleni. W końcu nawet on ucichł, gdy spoglądałem na wschód i południe, na próżno wypatrując ludzi Edwarda. Spiąłem konia i ruszyłem na północ, ku widocznym w oddali nitkom dymu i leżącemu za wzgórzami miastu Scaftesburi. Był to jeden z burhów, miasto-forteca strzegące królewskiej mennicy i klasztoru, który tak bardzo miłował Alfred. Aethelwold nie ośmieliłby się żądać wstępu do miasta, tak jak nie czekałby, aż jego bramy staną przed nim otworem, by mógł przejechać jego ulicami. Dowódca burhu, kimkolwiek był, z pewnością zadawałby wiele pytań, a to znaczyło, że Aethelwold musiał ominąć Scaftesburi. Tylko którądy? Szukałem śladów, lecz żadne z nich mnie nie przekonały. Kusilo mnie, żeby poniechać pościgu, który od samego początku zdawał mi się nedorzecznym pomysłem. Chciałem odszukać tawernę, posilić się, znaleźć łóżko i dziewczkę, która by je ogrzała, lecz wówczas zając przebiegł mi drogę i odczytałem to jako znak od bogów.

Zjechałem z traktu i ruszyłem na zachód.

Chwilę później mgły się podniosły i zobaczyłem konie na kredowym wzgórzu. Między mną a wzniesieniem znajdowała się szeroka, gęsto zalesiona dolina i choć widziałem, że jeden z konnych mnie zauważył,

wbiłem pięty w boki konia i ruszyłem w ich stronę. Stali w grupie i patrzyli w moją stronę, a gdy jeden z nich wskazał mnie palcem, odwrócili się i pogalopowali na północ. Naliczyłem dziewięciu, lecz byłem pewien, że to Aethelwold. Kiedy jednak wjechałem między drzewa, nie mogłem wyglądać pozostałych jeźdźców, albowiem mgły wciąż były tu gęste, a gałęzie niskie, przez co musiałem jechać pochylony nad końskim karkiem. Paprocie rosły tu gęsto. Wąski strumień przecinał ścieżkę, którą jechałem. Martwe drzewo porastały grzyby i mech. Jeżyny, bluszcz i ostrokrzew rosły w najlepsze po obu stronach dróżki, upstrzonej odcisniętymi w błocie świeżymi śladami kopyt. Wśród drzew panowała cisza i w ciszy tej poczułem lęk, niepokojące przeczucie, świadomość zrodzoną z doświadczenia, które mówiło mi, że niebezpieczeństwo jest tuż-tuż.

Zsiadłem z konia i przywiązałem go do dębu. Przeczucie mówiło mi, że powinienem wskoczyć na siodło, udać się prosto do Scaftesburi i wszcząć alarm. Wziąć świeżego konia i wraz z ludźmi z garnizonu wyruszyć w pościg za Aethelwoldem, lecz by to zrobić, musiałem odwrócić się plecami do tego, co czaiło się pośród drzew. Wyciągnąłem Oddech Węża. Mając pod palcami znajomy chłód rękojeści, poczułem się pewniej.

Powoli ruszyłem przed siebie.

Czyżby konni na wzgórzu dostrzegli mnie, zanim ja dostrzegłem ich? Mogło tak być. Jadąc drogą, zatopiłem się w myślach, ni to marzyłem, ni to rozmyślałem. A jeśli mnie zobaczyli? Wiedzieli, że jestem sam, i pewnie mieli świadomość, kim jestem. Widziałem tylko dziewięciu, a to mogło oznaczać, że pozostali zasadzili się na mnie w lesie. Wracaj – upomniałem się w duchu. – Wracaj i postaw na nogi ludzi stacjonujących w burhu. Z chwilą, gdy uznałem, że to mój obowiązek, a także jedyne rozsądne rozwiązanie, z ukrycia pięćdziesiąt kroków dalej wychynęli dwaj jeźdźcy i ruszyli w moją stronę. Jeden miał włócznię, a drugi miecz. Obaj nosili hełmy

z osłonami na policzki, obaj mieli kolcze koszule, tarcze i obaj byli głupcami.

Nie sposób walczyć konno w gęstym, starym lesie. Zbyt wiele w nim przeszkód. Nie mogli jechać obok siebie, ścieżka bowiem była zbyt wąska, a przydrożne zarośla zbyt gęste. Pierwszy jechał włócznik, który podobnie jak jego towarzysz, był praworęczny, a to znaczyło, że dzierżył włócznie przy prawym boku zmęczonego konia, po mojej lewej stronie. Pozwoliłem im podjechać bliżej, zachodząc w głowę, dlaczego jest ich tylko dwóch. Kiedy byli już wystarczająco blisko, bym zobaczył oczy pierwszego z nich, uskokyłem w prawo w jeżyny i skryłem się za pniem dębu, a gdy jeździec przegalopował obok, wypadłem na ścieżkę i Oddechem Węża ciąłem drugiego konia prosto w pysk, łamiąc mu zęby. Zwierzę zakwiczało, nogi się pod nim ugięły, a zaplątany w lejce i strzemiona jeździec niemal spadł z siodła, podczas gdy włócznik próbował zawrócić.

– Nie! – Usłyszałem dobiegający spomiędzy drzew krzyk. – Nie!

Czy krzyczał do mnie? Nawet jeśli tak było, nie miało to znaczenia. Wojownik z mieczem leżał na plecach i próbował się podźwignąć, gdy tymczasem włócznik dwoił się i troił, by zawrócić konia na wąskiej ścieżynie. Tarcza szermierza była zapętłona na jego lewej ręce, stanąłem więc na wierzbowe drewno, więząc go pod spodem, i opuściłem Oddech Węża.

Mocno. Raz.

Na usłaną liśćmi ziemię spłynęła krew. Szermierz jęknął, jego ciało zadrżało pode mną, a ręka, w której dzierżył miecz, opadła bezwładnie. Zobaczyłem, że włócznik zdołał zawrócić i szarżuje na mnie. Pchnąłem włócznie, lecz z łatwością uchyliłem się przed ciosem, pochwyciłem jesionowe drzewce i szarpnąłem z całych sił, tak że musiał je puścić, inaczej wypadłby z siodła. Jeździec próbował dobyć miecza, gdy spłoszony koń się cofnął. Zobaczywszy to, ciąłem go w prawe udo tuż pod kolczugą. Ostrze

rozplatało skórę, mięśnie, a gdy zatrzymało się na kości, pchnąłem mocniej i wrzasnąłem z całych sił, by go przestraszyć i przydać pchnięciu mocy.

Wbiłem klingę głębiej w jego ciało i obróciłem ją, gdy w głębi lasu znowu rozległ się okrzyk: – Nie!

Nie słuchałem go jednak. Przeciwnik na wpół wyciągnął ostrze, z jego buta i strzemienia ściekała krew. Lewą ręką ucapiłem go za prawe ramię i ściągnąłem z konia.

– Idiota – warknąłem i zabiłem go, tak jak zabiłem jego towarzysza.

Dopiero wówczas odwróciłem się w kierunku, z którego dobiegał głos.

Cisza.

Gdzieś w oddali rozbrzmiał dźwięk rogu, któremu odpowiedział następny. Dobiegały z południa, a to znaczyło, że nadciągały siły Edwarda. Uderzył dzwon, najpewniej z klasztoru w Scaftesburi. Ranny koń zarżał żałością. Drugi z mężczyzn wyzionął ducha, a ja wyszarpnąłem z jego gardła Oddech Węża. Moje buty były ciemne od świeżej posoki. Opadło mnie zmęczenie. Marzyłem o posiłku, łóżku i dziewczce, a zamiast tego ruszyłem ścieżką do miejsca, z którego nadjechali dwaj głupcy. Dróżka skręcała tam, gdzie gęste listowie przesłaniało widok, i otwierała się na polanę otoczoną szerokim strumieniem. Pierwsze promienie słońca przeświecały przez liście, nadając trawie wyjątkowy odcień zieleni. Na polanie wśród bielejących na trawie stokrotek zobaczyłem Sigebrihta i trzech zbrojnych. Była z nimi Aethelflaed, wszyscy na koniach. To jeden z nich krzyczał na swoich towarzyszy, lecz który i dlaczego, nie miałem pojęcia. Wyszedłem z cienia. Osłony na policzki miałem opuszczone, moja kolczuga i buty były schlapane krwią, a ostrze Oddechu Węża czerwone od posoki.

– Kto następny? – spytałem.

Aethelflaed się roześmiała. Za jej plecami czerwono-niebieski zimorodek opadł w dół strumienia i zniknął pośród cieni.

– Lordzie Uhtredzie – przemówiła i wbiwszy pięty w boki konia, podjechała ku mnie.

– Nic ci nie jest? – spytałem.

– Byli wobec mnie bardzo mili – odparła i posłała Sigebrihtowi kpiarskie spojrzenie.

– Jest ich tylko czterech. Którego mam zabić najpierw?

Sigebriht wyciągnął swój zwieńczony kryształem miecz. Byłem gotów cofnąć się między drzewa, gdzie pnie dałyby mi przewagę nad konnymi, jednak ku mojemu zaskoczeniu ostrze upadło na mokrą od rosy trawę kilka kroków ode mnie.

– Błagam o litość – rzekł Sigebriht.

Jego trzech kompani również cisnęli miecze.

– Na ziemię – warknąłem. – Wszyscy. – Patrzyłem, jak zsiadają z koni. – A teraz na kolana. – Ukłękli. – Dajcie mi choć jeden powód, bym was nie zabijał – rzekłem, idąc w ich stronę.

– Zdaliśmy się na twoją łaskę, panie. – Sigebriht spuścił głowę.

– Tak – przyznałem. – Bo tamci dwaj głupcy nie zdołali mnie zabić.

– To nie byli moi ludzie, panie – odparł z pokorą Sigebriht. – Służyli Aethelwoldowi. Ci trzej to moi ludzie.

– Czy nakazał tamtym dwóm głupcom mnie zaatakować? – zwróciłem się do Aethelflaed.

– Nie – odparła.

– Pragnęli chwały, panie – ciągnął Sigebriht. – Chcieli zasłynąć jako zabójcy Uhtreda.

Przytknąłem mu do policzka skrwawione ostrze.

– A czego ty chcesz, Sigebrihcie z Kentu?

– Zawrzeć pokój z królem, panie.

– Którym królem?

– Jest tylko jeden król Wessexu, panie. Król Edward.

Czubkiem miecza uniosłem związane skórzanym rzemieniem jasne włosy i pomyślałem, z jaką łatwością stal pozbawiłaby go głowy. – Czemu chcesz zawrzeć pokój z Edwardem?

– Myliłem się, panie – wyznał skruszony Sigebriht.

– Pani?! – zawołałem, nawet na chwilę nie spuszczać go z oka.

– Widzieli, że podążasz naszym śladem – wyjaśniła Aethelflaed – a ten człowiek – tu wskazała Sigebrihta – zaproponował, że mnie do ciebie odwiezie. Powiedział Aethelwoldowi, że nakłonię cię, byś do niego przystał.

– A on uwierzył?

– Uwierzył mi, gdy powiedziałam, że spróbuję cię przekonać.

– To głupiec – prychnąłem.

– Ja tymczasem nakłoniłam Sigebrihta, by zawarł pokój z królem – ciągnęła Aethelflaed. – Powiedziałam, że dożyje kolejnego dnia, jeśli porzuci Aethelwolda i przysięgnie wierność Edwardowi.

Wsunąłem sztych pod gładką brodę Sigebrihta i zmusiłem go, by na mnie spojrzał. Był przystojnym młodzieńcem o jasnym spojrzeniu. W jego oczach nie dostrzegłem podstępny, jedynie strach. Wiedziałem jednak, że powinienem go zabić. Przytknąłem ostrze do jedwabnej wstążki, którą nosił na szyi.

– Powiedz: czemu miałbym cię oszczędzić? – spytałem.

– Zdałem się na twoją łaskę, panie – odparł. – Błagam o litość.

– Co to za wstążka? – Trąciłem jedwab czubkiem ostrza, zostawiając na nim smugę krwi.

– To podarek od kobiety – odparł.

– Lady Ecgwynn?

Podniósł na mnie wzrok.

– Była piękna – rzekł tęsknie. – Niczym anioł. Przywodziła mężczyzn do szaleństwa.

– I wybrała Edwarda – dodałem.

– A teraz nie żyje, panie – stwierdził. – Myślę, że król Edward żałuje tego równie mocno jak ja.

– Walcz dla kogoś, kto żyje – przemówiła Aethelflaed. – Nie dla umarłych.

– Myliłem się, panie – powtórzył Sigebriht.

Nie miałem pewności, czy mu wierzę, przytknąłem więc ostrze do jego szyi. W niebieskich oczach ujrzałem strach.

– To decyzja mojego brata. – Aethelflaed mówiła łagodnym głosem, wiedząc, co chodzi mi po głowie.

Darowałem mu życie.

Jak dowiedzieliśmy się później, tamtej nocy Aethelwold przekroczył granicę z Mercją i jechał na północ, aż znalazł schronienie na dworze Sigurda. Zbiegł.

[*] *Hell* (ang.) – piekło.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Alfred został pochowany.

W czasie trwających pięć godzin uroczystości modlono się, śpiewano, płakano i wygłaszano kazania. Ciało starego króla złożono w wiązowej trumnie zdobionej malunkami z żywotów świętych, na której wieku namalowano wstępującego do nieba, zdumionego Chrystusa. Zmarłemu władcy włożono do rąk drzazgę z prawdziwego krzyża, a jego głowa spoczęła na świętej księdze. Wiazową trumnę wsadzono do większej, ołowianej, tę zaś zamknięto w trzeciej, z drewna cedrowego rzeźbionego w wizerunki świętych, którzy rzucili wyzwanie śmierci. Jedna z nich, kobieta, została spalona, choć płomienie się jej nie imały, drugą torturowano, ona jednak uśmiechała się pobłaźliwie do swoich oprawców, a trzeci, mężczyzna, stał naszpikowany włóczniami i wciąż nauczał. Ciężką trumnę zniesiono do krypty starego kościoła i zamurowano w kamiennej wnęce, gdzie pozostała do ukończenia nowej świątyni. Wówczas przeniesiono ją do podziemi i tam spoczywa po dziś dzień. Pamiętam Steapę, który płakał jak dziecko. Beocca szlochał. Nawet srogi arcybiskup Plegmund uronił łzę, gdy wygłaszał kazanie. Mówił o drabinie Jakuba, która pojawiła się we śnie opisywanym w chrześcijańskich świętych księgach. Jakub, który leżał na kamiennej poduszce pod drabiną, usłyszał głos Boga.

– „Ziemię, na której leżysz, oddaję tobie i twemu potomstwu”. – Głos Plegmunda załamał się, kiedy czytał owe słowa. – „A potomstwo tve będzie tak liczne jak proch ziemi, ty zaś rozprzestrzenisz się na zachód i na wschód,

na północ i na południe; wszystkie plemiona ziemi otrzymają błogosławieństwo przez ciebie i przez twych potomków”[*]. Sen Jakuba był marzeniem Alfreda – ciągnął Plegmund schrypniętym głosem. – Alfred spoczywa tu teraz, w tym miejscu, a należące do niego ziemie będą przekazywane jego dzieciom i dzieciom jego dzieci, aż po dzień Sądu! I nie tylko ziemie! Alfred marzył, abyśmy to my, Sasi, zanieśli światło ewangelii w każdy zakątek Brytanii i ponieśli je dalej w świat, aż każdy głos na ziemi będzie chwalił Boga Wszechmogącego.

Pamiętam, że uśmiechnąłem się pod nosem. Stałem na tyłach kościoła, patrzyłem, jak dym z kadzielnic zawija się wokół złoconych krokwi, i bawiła mnie wiara Plegmunda, że my, Sasi, powinniśmy niczym pył rozprzestrzeniać się na północ, południe, wschód i zachód. Wiedziałem, że będziemy mieli szczęście, jeśli utrzymamy dotychczasowe ziemie, lecz słowa biskupa najwyraźniej poruszyły wiernych.

– Poganie otaczają nas z każdej strony – grzmiał Plegmund. – Prześladują nas! My jednak będziemy głosić słowo Pana, będziemy się za nich modlić i zobaczymy, jak uginają kolano przed Bogiem Wszechmogącym. Wówczas spełni się sen Alfreda, a w niebiosach nastanie radość! Bóg nas ocali!

Powinienem był słuchać go uważniej, lecz myślałem o Aethelflaed i Fagranfordzie. Poprosiłem Edwarda, bym mógł udać się do Mercji, a on w odpowiedzi przysłał do Dwóch Żurawi ojca Beocę. Mój stary przyjaciel usiadł przy palenisku i złażał mnie za to, że ignoruję swego najstarszego syna.

– Nie ignoruję go – odparłem. – Chciałbym, żeby udał się ze mną do Fagranfordy.

– I cóż niby miałyby tam robić?

– To, co należy – orzekłem. – Ćwiczyć się na wojownika.

– Kiedy on chce być księdzem – powiedział Beocca.

– Więc nie jest moim synem.

– To dobry chłopiec – westchnął. – Bardzo dobry.

– Powiedz mu, żeby zmienił imię – mruknąłem. – Jeśli zostanie księdzem, nie będzie godzien nosić imienia Uhtred.

– Jesteś jak twój ojciec – stwierdził ksiądz. Zdumiały mnie jego słowa, albowiem zawsze obawiałem się swego ojca. – A Uhtred jest taki jak ty! – dodał. – Wygląda jak ty i jest tak samo uparty. – Zachichotał. – Nie znałem bardziej upartego dziecka od ciebie.

Często oskarża się mnie o to, że jestem Uhtredaerwe, niegodziwcem i wrogiem chrześcijaństwa, lecz wielu tych, których kochałem i podziwiałem, było chrześcijanami, a Beocca był mi najbliższy spośród nich. Beocca i jego żona Thyra, Hild, Aethelflaed, drogi ojciec Pyrlig, Osferth, Willibald, a nawet Alfred. Lista nie ma końca. Myślę, że wszyscy byli dobrymi ludźmi, albowiem religia narzucała im pewien sposób zachowania, którego nie nakazuje moja wiara. Thor i Wodan nie wymagają ode mnie niczego poza szacunkiem i ofiarą. Nigdy nie byłiby tacy głupi, by kazać mi miłować swego wroga lub nadstawiać drugi policzek. A jednak najlepsi chrześcijanie, tacy jak Beocca, codziennie toczą walkę o to, by być dobrzy. Nigdy nie próbowałem być dobry, ale i nie uważam się za niegodziwca. Jestem sobą, Uhtredem z Bebbanburga.

– Uhtred – zwróciłem się do Beokki, mając na myśli swojego najstarszego syna – będzie po mnie panem Bebbanburga. Nie utrzyma forticy modlitwą.

Musi nauczyć się walczyć.

Beocca spoglądał w płomienie.

– Miałem nadzieję, że jeszcze kiedyś zobaczę Bebbanburg – wyznał tęsknie. – Jednak teraz w to wątpię. Król mówi, że możesz jechać do Fagranfordy.

– Dobrze – mruknąłem.

- Alfred był wobec ciebie hojny – stwierdził z powagą.
- Nie przeczę.
- Poniekąd miałem na to wpływ – dodał z dumą w głosie.
- Dziękuję.
- Wiesz, dlaczego się zgodził?
- Bo miał wobec mnie dług – odparłem. – Bo gdyby nie Oddech Węża, nie królowałby przez dwadzieścia osiem lat.
- Ponieważ Wessex potrzebuje w Mercji silnego człowieka – odrzekł Beocca, ignorując moje przechwałki.
- Kogoś takiego jak Aethelred? – spytałem złośliwie.
- To dobry człowiek, a ty źle go oceniłeś – zaperzył się księźulo.
- Możliwe – bąknąłem, chcąc uniknąć kłótni.
- Aethelred jest panem Mercji – ciągnął Beocca. – Ma wszelkie powody, by sięgnąć po tamtejszą koronę, jednak tego nie zrobił.
- Bo boi się Wessexu – odparłem.
- Jest lojalny wobec Wessexu – poprawił mnie. – Lecz nie może uchodzić za zbyt służalczego, albowiem wówczas mercyjscy panowie, którzy pragną niezależnego królestwa, odwrócą się od niego.
- Aethelred włada Mercją, bo jest najbogatszy. Za każdym razem, gdy Duńczycy zagrabią któremuś z panów bydło, niewolników czy dwór, Aethelred mu to wynagradza. Płaci za swoją władzę, a zamiast tego powinien walczyć z Duńczykami.
- Strzeże granicy z Walią – odparł Beocca, jak gdyby rozprawianie się z Walińczykami tłumaczyło opieszałość mojego kuzyna względem wikingów – i należy to docenić. – Wymawiając ostatnie słowo, zawahał się, jak gdyby ostrożnie wybrał je spośród innych. – Nie jest urodzonym wojownikiem. Jest za to znakomitym władcą. Jego rządy są godne podziwu – dodał pospiesznie,

jakby spodziewał się, że go wyśmieję – lecz nie ma talentu do wojowania.

– Który mam ja – odparłem.

Beocca się uśmiechnął.

– Tak, Uhtredzie, masz go, lecz nie masz szacunku. Król oczekuje, że będziesz traktował lorda Aethelreda z należyтым poważaniem.

– Z całym, na jaki zasługuje – zapewniłem go.

– A jego żona będzie mogła wrócić do Mercji – ciągnął Beocca – gdzie wspomóżę finansowo budowę klasztoru.

– Ma zostać zakonnica? – spytałem rozjuszony.

– Wspomóżę budowę! – powtórzył Beocca. – To ona zdecyduje, gdzie stanie klasztor.

– Mam mieszkać obok klasztoru? – spytałem ze śmiechem.

Słyszając to, ściągnął brwi.

– Nie wiemy, które miejsce wybierze.

– Nie – przyznałem. – Oczywiście.

A zatem chrześcijanie przełknęli grzech. Domyślałem się, że Edward nauczył się tolerować ludzkie słabości, co wcale nie było złą rzeczą i oznaczało, że Aethelflaed mogła żyć mniej więcej tak, jak tego chciała, gdy tymczasem klasztor miał posłużyć Aethelredowi jako wymówka, by ogłosić światu, że jego żona postanowiła poświęcić swe życie kontemplacji. Prawda była jednak taka, że zarówno Edward, jak i jego doradcy wiedzieli, że potrzebują Aethelflaed w Mercji, tak samo jak potrzebowali mnie. Byliśmy tarczą Wessexu, wszystko wskazywało jednak na to, że nie będziemy mieczem Sasów, albowiem wychodząc z tawerny, Beocca upomniał mnie surowo: – Król żąda kategorycznie, by zostawić Duńczyków w spokoju. Nie wolno ich prowokować! Taki jest rozkaz.

– A jeśli zaatakują? – spytałem poirytowany.

– Naturalnie możesz się bronić, lecz król nie chce wszczynać wojny. Nie przed koronacją.

Mruknięciem wyraziłem zgodę. Rozumiałem, że Edward pragnął pokoju na czas umacniania swej władzy w nowym królestwie, wątpiłem jednak, czy Duńczycy wyświadczą mu tę przysługę. Byłem pewien, że pragną wojny i będą chcieli rozpętać ją przed koronacją Edwarda.

Ceremonia miała się odbyć po Nowym Roku, tak by szacowni goście mieli czas przygotować się do podróży. I tak, w miarę jak jesienne mgły stawały się coraz chłodniejsze, a dni coraz krótsze, w końcu udałem się do Fagranfordy.

Było to urocze miejsce pełne niskich wzgórz, rzek, które leniwie toczyły swe wody, i żyznej ziemi. Alfred zaiste był wobec mnie hojny. Zarządca majątku, posępny Mercjanin imieniem Fulk, niechętnie powitał nowego pana i nic dziwnego, albowiem jako zarządca miał wszystkiego pod dostatkiem, podobnie jak ksiądz, który pomagał mu prowadzić księgi. Ów ksiądz, ojciec Cynric, próbował przekonać mnie, że ostatnie zbiory były marne, a drzewa w lesie wycięto dlatego, że toczyła je choroba, nie ze względu na wartość drewna. Przedłożył dokumenty – odpowiadające tym, które przywiozłem z królewskiego skarbcza w Wintanceasterze – i uśmiechnął się, wyraźnie uradowany tym zbiegiem okoliczności.

– Jak już mówiłem, panie, należycie zarządzaliśmy majątkiem w imieniu króla Alfreda. – To powiedziawszy, uśmiechnął się do mnie promiennie. Był pulchnym człowiekiem z krągłą twarzą, skorym do radości.

– I nikt z Wessexu nie przyjechał, by sprawdzić wasze księgi?

– A po cóż mieliby to robić? – odpowiedział pytaniem, zaskoczony, a zarazem rozbawiony tym pomysłem. – Kościół naucza nas, byśmy byli uczciwymi robotnikami w winnicy Pana.

Wziąłem dokumenty i cisnąłem je do ognia. Ojciec Cynric i Fulk patrzyli

z bezbrzeżnym zdumieniem, jak pergamin zwija się, pęka i czernieje.

– Oszukiwaliście – rzekłem. – Ale dość tego. – Ojciec Cynric otworzył usta, by zaprotestować, ale się rozmyślił. – Czy może powinienem powiesić jednego z was? – spytałem. – Albo obu?

Finan przeszukał ich domy i znalazł część ukrytego srebra. Kupiłem drewno i spłaciłem zarządcę, który pożyczył mi monety. Lubiłem budować, a Faganforda potrzebowała nowego dworu, spichlerzy i palisady. Wysłałem Finana na północ, by patrolował ziemie dzielące Sasów od Duńczyków.

Wyjeżdżając, wziął ze sobą kilku nowych ludzi, którzy przybyli do Faganfordy, słyszeli bowiem, że jestem bogaty i rozdaję srebro. Finan co kilka dni wysyłał wiadomości, z których wynikało, że Duńczycy są dziwnie spokojni. Byłem pewien, że śmierć Alfreda sprowokuje ich do ataku, lecz ten nie nadszedł. Wyglądało na to, że Sigurd zaniemógł, a Kanut nie miał życzenia wyprawiać się na południe bez swego druha. Pomyślałem, że moglibyśmy to wykorzystać i przypuścić atak na Północ. Wysłałem nawet wiadomość do Edwarda, jednak ta pozostała bez odpowiedzi. Docierały do nas plotki, że Aethelwold dotarł do Eoferwicu.

Zmarł brat Giseli, a jego miejsce na tronie Northumbrii zajął Duńczyk, który władał tylko dlatego, że Kanut mu na to pozwolił. Kanut z jakiegoś powodu nie chciał królować – zamiast niego na tronie zasiadał jego człowiek i Aethelwolda posłano do Eoferwicu prawdopodobnie dlatego, że leżący w głębi duńskich ziem i oddalony od Wessexu stanowił bezpieczną przystań.

Kanut musiał obawiać się, że Edward pchnie zbrojnych, by rozprawili się z Aethelwoldem, tak więc ukrył swą cenną zdobycz za solidnymi rzymskimi murami Eoferwicu.

I tak Aethelwold pozostawał w ukryciu, Kanut czekał, a ja budowałem. Wzniosłem dwór, który wysokością dorównywał kościołowi, o solidnych belkach i wysokiej palisadzie. Do wychodzącej na wschód ściany szczytowej

przybiłem czaszki wilków i nająłem ludzi do zrobienia stołów i ław. Miałem nowego zarządcę, człowieka imieniem Heric, który w bitwie pod Beamfleot został ranny w biodro, przez co nie mógł walczyć, był jednak energiczny i niezwykle uczciwy. To on mądrze zaproponował, byśmy zbudowali młyn na strumieniu. Szukałem odpowiedniego miejsca pod budowę młyna, kiedy zjawił się ksiądz. Był chłodny dzień, równie zimny jak ten, gdy ojciec Willibald znalazł mnie w Buccingahamm. Na brzegach strumienia utworzyła się cienka warstewka lodu. Od strony północnych wyżyn dął mroźny wiatr, a od południa nadszedł ksiądz. Jechał na mule, kiedy jednak zbliżył się do mnie, wygramolił się z siodła. Młodziak przewyższał mnie wzrostem. Był chudy jak szczapa, a brzegi jego brudnej czarnej szaty oblepiało zaschnięte błoto. Twarz miał pociągłą, nos haczykowany niczym ptasi dziób, oczy zielone i błyszczące, jasne skołtunione włosy. Cofniętą brodę porastały żałośnie rzadkie, potargane włosy, a na długiej szyi nosił duży srebrny krzyż z brakującym jednym ramieniem.

– Ty jesteś wielki pan Uhtred? – zapytał.

– To ja – odparłem.

– Jestem ojciec Cuthbert – przedstawił się. – Cieszę się niepomniernie, że mogę cię poznać. Mam się pokłonić?

– Możesz nawet paść na kolana, jeśli taka twoja wola.

Ku mojemu zdumieniu upadł na kolana. Skłonił się tak nisko, że niemal dotknął głową oszronionej trawy, po czym się wyprostował.

– Już – rzekł. – Upadłem przed tobą na kolana. Pozdrowienia, panie, od twojego nowego kapelana.

– Kogo?

– Kapelana, twojego własnego księdza – odparł radośnie. – To moja kara.

– Nie trzeba mi kapelana.

– Oczywiście, panie. Wiem, że jestem tu zbędny. Nie jestem potrzebny,

jestem niczym więcej jak tylko skazą na obliczu wiecznego Kościoła.

Cuthbert Zbędny.

– Uśmiechnął się, najwyraźniej zadowolony z przydomka. – Jeśli kiedyś zostanę świętym – ciągnął – będę Świętym Cuthbertem Zbędnym! To odróżni mnie od drugiego Świętego Cuthberta, czyż nie? Ależ tak, tak! – Zatańczył niezdarnie na tyczkowatych nogach. – Święty Cuthbert Zbędny! – zanucił. – Patron wszystkich niepotrzebnych rzeczy. Tak czy siak, panie – mówiąc to, spojrzał na mnie z powagą – jestem twoim kapelanem, ciężarem dla twej kiesy, i domagam się stawy, srebra, ale, a przede wszystkim sera. Wprost uwielbiam ser. Mówisz panie, że jestem ci niepotrzebny, lecz ja i tak zostanę. Twój pokorny sługa. – To powiedziawszy, znów się pokłonił. – Czy chciałbyś się wyspowiadać? Życzysz sobie, bym powitał cię na łonie Kościoła?

– Kto powiedział, że jesteś moim kapelanem? – spytałem.

– Król Edward. Jestem jego darem dla ciebie. – Uśmiechnął się błogo, wyciągnął rękę i uczynił mi przed nosem znak krzyża. – Niech Bóg ci błogosławi, panie.

– Dlaczego Edward cię przysłał?

– Może dlatego, panie, że ma poczucie humoru. Albo – ściągnął brwi w zamyśleniu – może mnie nie lubi. Choć nie sądzę, żeby była to prawda.

Król mnie lubi, nawet bardzo, choć uważa, że powinienem nauczyć się dyskrecji.

– Jesteś niedyskretny?

– Mam wiele talentów, panie! Jestem uczonym, kapłanem, miłośnikiem sera, a teraz także kapelanem lorda Uhtreda, poganina, który wyrzyna księży.

Tak przynajmniej mówią. Byłbym dozgonnie wdzięczny, gdybyś się jednak powstrzymał i nie zabijał mnie. Mogę mieć służącego? Proszę!

– Służącego?

– Kogoś do prania? I sprzątanania? Kto by się mną opiekował? Służka byłaby prawdziwym błogosławieństwem. Młoda z ładnymi piersiami?

Rozciągnąłem usta w uśmiechu. Nie sposób było nie lubić Świętego Cuthberta Zbędnego.

– Z ładnymi piersiami, powiadasz? – spytałem z powagą.

– Jeśli taka twoja wola, panie. Ostrzegano mnie, że najpewniej chętnie byś mnie zarznął, by uczynić ze mnie męczennika, ja jednak wolałbym piersi.

– Naprawdę jesteś księdzem? – powątpiewałem.

– Ależ tak, panie, jestem. Możesz zapytać biskupa Swithwulfa! On uczynił mnie księdzem! Położył na mnie swe dłonie i zmówił wszystkie konieczne modlitwy.

– Swithwulf z Hrofeceastre?

– Ten sam. Jest moim ojcem i szczerze mnie nienawidzi!

– Twoim ojcem?

– Duchowym, nie tym prawdziwym. Mój prawdziwy ojciec był kamieniarzem, niech Bóg błogosławi jego mały młoteczek, ale to biskup Swithwulf, niech będzie błogosławiony, wykształcił mnie i wychował, a teraz mnie nienawidzi.

– Dlaczego? – zapytałem, choć domyślałem się odpowiedzi.

– Nie mogę powiedzieć, panie.

– Powiedz, wszak jesteś niedyskretny.

– Udzieliłem ślubu królowi Edwardowi i córce biskupa Swithwulfa, panie.

A więc bliźnięta, które znajdowały się teraz pod opieką Aethelflaed, w istocie były ślubne, co z pewnością spędzało sen z powiek ealdormanowi Aethelhelmowi. Edward udawał, że jest inaczej, na wypadek gdyby witan Wessexu zdecydował powierzyć władzę komuś innemu. Mnie tymczasem

podesłano żywy dowód na to, że małżeństwo zostało zawarte.

– Boże, ależ z ciebie głupiec – rzuciłem.

– Biskup mówi to samo. Święty Cuthbert Zbędny? Byłem jednak przyjacielem Edwarda. Błagał mnie, a ona była taka urocza. I taka śliczna – westchnął.

– Miała ładne piersi? – spytałem uszczypliwie.

– Były niczym dwa młode jelonki, panie – odparł z powagą.

– Dwa młode jelonki? – zdziwiłem się.

– Święte księgi przyrównują idealne piersi do bliźniaczych młodych jelonków, panie. Przyznam, że szczegółowo zbadałem tę sprawę. – Urwał, jakby rozważał własne słowa, po czym pokiwał głową z uznaniem. – Bardzo szczegółowo! I choć nie widzę podobieństw, kimże jestem, by kwestionować zapiski świętych?

– Wszyscy jednak mówią, że nie doszło do zaślubin – odezwałem się.

– Dlatego nie mogę ci powiedzieć, że w istocie było inaczej – odparł Cuthbert.

– Ale było – rzekłem, na co skwapliwie przytaknął. – Czyli dzieci są prawowite – dodałem, a on znów potwierdził me słowa skinieniem głowy. – Nie wiedziałeś, że Alfred będzie przeciwny? – dopytywałem.

– Edward pragnął tego małżeństwa – odparł z powagą.

– A ty przysiągłeś milczeć?

– Grozili, że wyślą mnie do kraju Franków – rzekł. – Do klasztoru. Ale król Edward wolał, bym udał się do ciebie.

– Z nadzieją, że cię zabiję?

– Z nadzieją, że mnie obronisz, panie.

– Więc, na litość boską, przestań rozpowiadać na prawo i lewo, że Edward miał żonę.

– Będę milczał jak grób – obiecał. – Będę Świętym Cuthbertem Milczącym.

Bliźnięta pozostawały przy Aethelflaed, która budowała klasztor w Cirrenceastre, miasteczku nieopodal mojego nowego dworu. Było to wspaniałe miejsce, kiedy Rzymianie władali Brytanią, a Aethelflaed mieszkała w jednym z rzymskich domów, pięknym budynku z przestronnymi izbami i kolumnowym dziedzińcem. Dom należał niegdyś do starszego Aethelreda, ealdormana Mercji i męża siostry mego ojca. Pamiętałem go z dzieciństwa, kiedy uciekłem na południe po tym, jak mój drugi wuj podstępem zagarnął dla siebie Bebbanburg. Starszy Aethelred rozbudował dom, łącząc saską strzechę z rzymską dachówką, budynek był jednak wygodny i dobrze strzeżony za murami miasta. Aethelflaed nakazała swym ludziom wyburzyć niektóre z rzymskich domostw, a kamienie wykorzystwała do budowy klasztoru.

– Po co tak się kłopotujesz? – zapytałem ją.

– Bo takie było życzenie mojego ojca – odparła. – I dlatego, że dałam słowo. Klasztor będzie poświęcony Świętej Werburdze.

– To ona przestraszyła gęsi?

– Tak.

Dom Aethelflaed pełen był dzieci. Mieszkały tu jej córka Aelfwynn i dwoje moich młodszych pociech: Stiorra i Osbert. Mój najstarszy Uhtred wciąż przebywał w szkole w Wintanceasterze, skąd sumiennie pisał do mnie listy, których nawet nie czytałem, nużyła mnie bowiem ich świętoszkowatość.

Najmłodszymi dziećmi w Cirrenceastre były maleńkie jeszcze bliźnięta Edwarda. Pamiętam, że patrzyłem na leżącego w powijakach Aethelstana i myślałem, jak wiele problemów można było rozwiązać jednym pchnięciem miecza. Miałem rację, a zarazem myliłem się, a mały Aethelstan wyrósł na

młodego mężczyznę, którego szczerze pokochałem.

- Wiesz, że to prawowity syn Edwarda? – spytałem Aethelflaed.
- Edward twierdzi inaczej – rzuciła cierpko.
- W mym dworze przebywa ksiądz, który udzielił im ślubu – rzekłem.
- Powiedz mu więc, by trzymał język za zębami, albo go straci.

Cirrenceastre leżało niedaleko Gleawecestre, gdzie znajdował się dwór Aethelreda. Nienawidził Aethelflaed i obawiałem się, że wynajmie ludzi, by ją uprowadzili, a wówczas zabije ją lub uwięzi w klasztorze. Nie miała już ojcowskiej ochrony i wątpiłem, by Aethelred obawiał się Edwarda, tak jak bał się Alfreda, ale Aethelflaed lekceważyła moje obawy.

- Może nie boi się Edwarda – mówiła – ale na pewno boi się ciebie.
- Obwoła się królem Mercji? – spytałem ją.

Patrzyła na kamieniarza rzeźbiącego w rzymskim posągu przedstawiającym orła. Biedak próbował zrobić z niego gęś, tymczasem efekt przypominał bardziej oburzonego kurczaka.

- Nie – odparła Aethelflaed.
- Dlaczego?
- Zbyt wielu wpływowych ludzi w południowej Mercji pragnie ochrony Wessexu – wyłuszczyła pokrótce. – A Aethelredowi tak naprawdę nie zależy na władzy.
- Nie?
- Już nie. Kiedyś było inaczej. Co kilka miesięcy podupada na zdrowiu i boi się śmierci. Czas, który mu pozostał, wypełnia kobietami. – Spojrzała na mnie wymownie. – Pod pewnymi względami jest taki jak ty.
- Bzdura, kobieto – odparłem. – Sigunn to moja gospodyni.
- Gospodyni... – rzuciła pogardliwie.
- W dodatku się ciebie boi.

Usłyszawszy to, roześmiała się, zaraz jednak westchnęła, gdy kamieniarz nierozważnym uderzeniem młotka ułamał kurczakowi dziób.

– Prosiłam tylko o posąg Werburgi i jedną gęś – powiedziała. – O nic więcej.

– To za dużo – droczyłem się z nią.

– Pragnę jedynie tego, czego chciał mój ojciec – rzekła ze spokojem. – Angelcynn.

W tamtych czasach nazwa ta nieodmiennie mnie zaskakiwała. Znałem Mercję i Wessex, bawiłem w Anglii Wschodniej, a moją ojczyzną była Northumbria. Ale Angelcynn? Wówczas był to sen, marzenie Alfreda, które po jego śmierci stało się mgliste i odległe jak nigdy dotąd. Bardziej prawdopodobne było, że jeśli kiedyś te cztery królestwa się połączą, to nie jako Angelcynn, lecz Dunlandia. Mimo to podzielałem z Aethelflaed marzenie jej ojca.

– Jesteśmy Anglami? – spytałem ją.

– A jakżeby inaczej?

– Ja jestem Northumbryjczykiem.

– Jesteś Anglem – odparła z całą stanowczością. – Któremu Dunka grzeje łoże. – Mówiąc to, dźgnęła mnie łokciem w żebra. – Powiedz Sigunn, że życzę jej dobrych świąt.

W święto Yule wyprawilem w Fagranfordzie ucztę. Sklecieliśmy z drewna wielkie koło, szerokie na ponad dziesięć kroków, opletliśmy je słomą, położyliśmy na dębowym pniu i nasmarowaliśmy łojem, tak by się obracało. Po zmierzchu podpaliliśmy je. Ludzie kręcili nim przy użyciu grabi lub włóczni, aż iskry sypały. Była ze mną dwójka moich młodszych dzieci. Stiorra, uczepiona mojej ręki, patrzyła na wielkie wirujące koło z rozdziawioną buzią.

– Dlaczego je podpaliłeś? – spytała.

– To znak dla bogów – odparłem. – Dzięki temu wiedzą, że o nich pamiętamy i prosimy o nowe życie na nowy rok.

– To znak dla Jezusa? – dopytywała, nie bardzo rozumiejąc.

– Tak – odrzekłem. – I dla innych bogów.

Gdy koło się rozpadło, ludzie poczęli wiwatować, a mężczyźni i kobiety rywalizowali między sobą, skacząc przez płomień. Porwałem swoje dzieci na ręce i razem z nimi przeskoczyłem przez dym i wirujące iskry. Patrzyłem, jak tłące się drobinki ulatują w chłód nocy, i zastanawiałem się, ile podobnych kół płonie na północy, gdzie Duńczycy marzyli o podboju Wessexu.

Bo choć marzyli, nie robili nic, by owo marzenie się ziściło. Zdumiewało mnie to. Zdawało mi się, że śmierć Alfreda będzie sygnałem do ataku, lecz Duńczycy nie mieli wodza, który by ich zjednoczył, a Eohric był rozdarty między chrześcijańskim Południem a duńską Północą, tak więc nie podejmował żadnych działań. Haesten wciąż ukrywał się w Ceasterze, był jednak słaby. Aethelwold pozostawał w Eoferwicu, ale nie mógł zaatakować Wessexu bez zgody Kanuta, tak więc żyliśmy w pokoju, choć byłem pewien, że nie potrwa on długo.

Kusiło mnie, bardzo mnie kusiło, by udać się na północ i kolejny raz zasięgnąć porady Aelfadell, wiedziałem jednak, że to głupota i że nie wiedźmę chcę zobaczyć, lecz Erce, osobliwą, milczącą piękność. Nie pojechałem, otrzymałem jednak wieści, gdy Offa zawitał do Fagranfordy. Usiadłem z nim w swoim nowym dworze i dorzuciłem do ognia, by ogrzać jego stare kości. Offa był Mercjaninem i byłym księdzem, którego wiara osłabła. Porzucił więc życie duchownego i zamiast tego przemierzał Brytanię ze sforą ćwiczonych terierów, które zabawiały ciżbę na jarmarkach, chodząc na tylnych łapach i tańcząc. Pieniądze zarabiane na psach nie wystarczyłyby Offie na piękny dom w Liccelfeld, lecz jego prawdziwym talentem, na

którym się wzbogacił, była umiejętność poznawania ludzkich nadziei, marzeń i zamiarów. Jego psy witano chętnie w każdym dworze, czy to duńskim, czy saskim, Offa zaś lubił nadstawiać ucha, słuchał, zadawał pytania, a to, czego się dowiedział, sprzedawał za godziwą zapłatę. Alfred korzystał z jego usług, podobnie jak Sigurd i Kanut. To Offa powiedział mi o tym, co wydarzyło się na północy.

– Choroba Sigurda nie jest poważna – rzekł. – Po prostu jest bez sił.

Gorączkuje, wraca do zdrowia i znowu gorączkuje.

– A Kanut?

– Nie zaatakuję południa, dopóki nie będzie pewien, że Sigurd go wesprze.

– Eohric?

– Obszczywa się z niepokoju.

– Aethelwold?

– Pije i chędoży dziewczki służebne.

– Haesten?

– Nienawidzi cię, uśmiecha się i marzy o pomście.

– Aelfadell?

– Ach – westchnął i rozciągnął usta w uśmiechu. Offa był smętnym człowiekiem, który rzadko się radował. Jego pociągła, pobrużdżona twarz nie zdradzała żadnych uczuć. Ukroił sobie plaster sera, który warzyłem we dworze. – Słyszałem, że budujesz młyn.

– Dobrze słyszałeś.

– Rozsądnie, panie. To dobre miejsce na młyn. Po co płacić młynarzowi, skoro samemu można mleć pszenicę?

– Co z Aelfadell? – powtórzyłem pytanie, kładąc na stole srebrną monetę.

– Słyszałem, że ją odwiedziłeś.

- Za dużo słyszysz – odparłem.
- Schlebiasz mi, panie – odparł i sięgnął po monetę. – A więc poznałeś jej wnuczkę?
- Erce.
- Tak mówi o niej Aelfadell. Zazdroścę ci.
- Myślałem, że masz nową, młodą żonę.
- To prawda – przyznał. – Ale starcy nie powinni brać młodych żon.
- Jesteś zmęczony? – spytałem ze śmiechem.
- Jestem zbyt stary, by błąkać się po drogach Brytanii.
- Osiądź więc w Liccelfeld – poradziłem mu. – Srebra masz pod dostatkiem.
- Mam młodą żonę – przypomniał mi rozbawiony. – Potrzebuję więc spokoju, a ten dają mi ciągle podróże.
- Co z Aelfadell? – spytałem po raz trzeci.
- Przed laty była kurwą w Eoferwicu – odparł. – To tam znalazł ją Kanut. Wieszczyła i kurwiła się. Musiała powiedzieć Kanutowi coś, co okazało się prawdą, bo wziął ją pod swoją opiekę.
- To on dał jej jaskinię w Buchestanes?
- To jego ziemia, więc tak.
- A ona mówi ludziom to, co on chce, by usłyszeli?
- Offa się zawahał. Był to znak, że za odpowiedź – jakakolwiek by była – trzeba zapłacić. Westchnąłem i położyłem na stole kolejną monetę.
- Przemawia jego słowami – potwierdził po chwili.
- A jak brzmią one teraz? – spytałem, a gdy znów się zawahał, dodałem:
- Posłuchaj, ty pomarszczony, stary capie, dość już zapłaciłem. Gadaj więc.
- Mówi, że nowy król Południa powstanie na Północy.

- Aethelwold?
- Wykorzystają go – rzucił ponuro Offa. – W końcu jest prawowitym królem Wessexu.
- Raczej zapijaczonym durniem.
- Odkąd to zapijaczony dureń nie może być królem?
- Czyli Duńczycy posłużą się nim, żeby udobruchać Sasów? – zgadywałem. – A potem zabiją?
- Nie inaczej.
- Czemu więc zwlekają?
- Bo Sigurd niedomaga, bo Szkoci zagrażają ziemiom Kanuta, bo układ gwiazd nie jest pomyślny.
- Czyli Aelfadell każe ludziom czekać na korzystny układ gwiazd?
- Mówi, że Eohric będzie królem morza, a Aethelwold królem Wessexu, i że wszystkie ziemie na południu trafią do rąk Duńczyków.
- Królem morza?
- Ot, wymyślny sposób, żeby powiedzieć, że Sigurd i Kanut nie odbiorą Eohricowi tronu. Obawiają się, że sprzymierzy się z Wessexem.
- A Erce?
- Jest tak piękna, jak mówią? – spytał.
- Nie widziałeś jej?
- Nie w jaskini.
- Gdzie jest naga – rzekłem, na co on westchnął. – Jest więcej niż piękna – przyznałem.
- Tak słyszałem. Ale to niemota. I ma coś z głową. Nie wiem, czy jest pomyłona, ale zachowuje się jak dziecko. Piękne, nieme, na wpół szalone dziecko, które doprowadza mężczyzn do obłędu.

Przez chwilę rozważałem jego słowa. Z zewnątrz dobiegał szcęk mieczy

i tłuczenie stali o tarcze z lipowego drewna. Moi ludzie ćwiczyli. Każdego dnia wojownicy szkolą się w rzemiośle wojennym. Używając mieczy i tarcz, toporów i tarcz, włóczyli i tarcz, gotują się do dnia, gdy staną naprzeciw równie wyćwiczonych Duńczyków. Wszystko wskazywało na to, że ów dzień został odwleczony z powodu choroby Sigurda. Pomyślałem, że powinniśmy zaatakować, lecz chcąc najechać północną Mercję, potrzebowalem posiłków z Wessexu, a witan doradzał Edwardowi, by starał się zachować panujący w Brytanii kruchy pokój.

– Aelfadell jest niebezpieczna. – Głos Offy wyrwał mnie z zamyślenia.

– Starucha, która powtarza słowa swego pana?

– Ludzie jej wierzą – odparł. – A człowiek, który wierzy, że zna swoje przeznaczenie, nie boi się ryzyka.

Pomyślałem o lekkomyślnym ataku Sigurda na most w Eanulfsbirig i wiedziałem, że Offa ma rację. Duńczycy zwlekali z atakiem, lecz cały czas słuchali magicznych przepowiedni wieszczących ich zwycięstwo. Plotki o owych wieszczbach dotarły na ziemię Sasów. *Wyrd bið ful ãræd*. Przyszedł mi do głowy pewien pomysł i otworzyłem usta, by wypowiedzieć go na głos, lecz się pomiarkowałem. Offa był ostatnim człowiekiem, przy którym należało mówić o swoich planach i tajemnicach, żył bowiem z tego, że handlował sekretami innych.

– Chciałeś coś powiedzieć, panie? – spytał.

– Co słyszałeś o pani Ecgwynn?

Wyglądał na zaskoczonego.

– Myślałem, że wiesz o niej więcej ode mnie.

– Wiem, że nie żyje – odparłem.

– Była frywolna – rzekł z dezaprobatą. – Lecz urocza. Niczym elfka.

– Miała męża?

Wzruszył ramionami.

– Słyszałem, że ksiądz odprawił ceremonię, lecz Edward i ojciec dziewczyny nie spisali kontraktu. Biskup Swithwulf nie jest głupcem! Nie zgodził się na małżeństwo. Czy zatem jest ono ważne?

– Jeśli ceremonię poprowadził ksiądz...

– Małżeństwo wymaga kontraktu – orzekł z powagą Offa. – Nie mówimy o parze wieśniaków chędożących się jak świnie na klepisku, lecz o królu i córce biskupa. To oczywiste, że musiały być kontrakt i wiano! Bez nich? To królewska ruja.

– Czyli dzieci są bękartami?

– Skoro tak orzekł witan Wessexu, musi to być prawda.

Uśmiechnąłem się.

– To chorowite pacholeta – skłamałem. – Nie sądzę, by przeżyły.

– Naprawdę? – Offa nie był w stanie ukryć zainteresowania.

– Aethelflaed nie potrafi przekonać chłopca, by ssał pierś mamki – łągałem dalej. – A dziewczuszka jest słabowita. Zresztą jakie to ma znaczenie, czy przeżyją? Przecież to bękarty.

– Ich śmierć rozwiązałyby wiele problemów – stwierdził Offa.

Tak oto wyświadczyłem Edwardowi jedną małą przysługę, rozsiewając plotkę, która z pewnością uraduje jego teścia Aethelhelma. Tymczasem bliźnięta były zdrowe i wrzaskliwe, a prawdziwe problemy miały dopiero nadejść. Jednak te mogły poczekać, podobnie jak inwazja Kanuta na południową Mercję i Wessex.

W życiu każdego człowieka zdarzają się chwile, gdy z pozoru nic się nie dzieje, gdy żaden dym nie zdradza płonącego miasta czy osady, a łzy, którymi oplakuje się zmarłych, są skąpe. Nauczyłem się nie ufać podobnym chwilom, spokój oznacza bowiem, że ktoś gdzieś gotuje się do wojny.

Nadeszła wiosna, a wraz z nią koronacja Edwarda w Cyninges Tun,

królewskim mieście leżącym na zachód od Londynu. Pomyślałem, że to osobliwy wybór. Wintanceaster był głównym miastem Wessexu, w którym Alfred pobudował wielki nowy kościół i gdzie stał największy z królewskich pałaców, jednak Edward wybrał Cyninges Tun. Co prawda, była to okazała posiadłość, lecz ostatnimi czasy stała zapomniana, albowiem znajdowała się zbyt blisko Londynu i zanim odbiłem miasto z rąk Duńczyków, łupiono ją raz po raz.

– Arcybiskup mówi, że to tam koronowano niektórych dawnych władców – wyjaśnił mi Edward. – I że jest tam kamień.

– Kamień, panie?

Przytaknął.

– Królewski kamień. Dawni królowie stali na nim albo siedzieli, nie jestem pewien. – Wzruszył ramionami, nie wiedząc, jaką rolę odgrywał ów kamień. – Zdaniem Plegmunda to ważne.

Zostałem wezwany na królewski dwór na tydzień przed ceremonią i z rozkazu króla miałem przywieść ze sobą tylu zbrojnych, ilu zdołam. Miałem siedemdziesięciu czterech ludzi, wszystkich konno i w pełnym rynsztunku, a Edward dodał stu swoich i prosił, byśmy chronili Cyninges Tun podczas koronacji, obawiał się bowiem ataku Duńczyków. Chętnie na to przystałem – wolałem siedzieć na koniu pod gołym niebem, niż godzinami wstawać i siadać. Pojechałem więc na pusty dziedziniec, podczas gdy Edward siedział lub stał na królewskim kamieniu, z głową namaszczonej świętymi olejkami i przystrojonej wysadzaną szmaragdami ojcowską koroną.

Duńczycy nie zaatakowali. Byłem pewien, że śmierć Alfreda oznaczać będzie początek wojny, lecz zamiast tego nastąpił jeden z tych dziwnych okresów, kiedy to miecze gnuśniejają w pochwach. Po koronacji Edward udał się do Londynu i zawezwał mnie, bym wziął udział w wielkiej radzie. Na ulicach starego rzymskiego miasta powiewały proporce, ludzie świętowali,

podczas gdy na wałach roilo się od zbrojnych. Spodziewałem się tego, lecz nie przypuszczałem, że zobaczę w Londynie Eohrica.

Król Eohric z Anglii Wschodniej, ten sam, który zawiązał spisek na moje życie, przybył do Londynu na zaproszenie arcybiskupa Plegmunda. Podobno Plegmund posłał dwóch swoich bratanków jako zakładników, by zagwarantować mu bezpieczeństwo. Eohric i jego ludzie przyłynęli Tamizą w trzech łodziach zdobionych rzezanymi w drewnie lwimi głowami i kwaterowali w wielkim mercyjskim pałacu na szczycie wzgórza, w samym środku starego rzymskiego miasta. Eohric był roslym mężem z brzuszyskiem jak prośna maciora, silnym jak wół, o podejrzliwej twarzy i małych oczkach.

Pierwszy raz zobaczyłem go na wałach, gdzie on i jego ludzie przechadzali się wzdłuż starych rzymskich obwarowań. Prowadził na smyczy trzy wilczarze, na których widok psy w mieście wyły i ujadły. Jego przewodnikiem był Weohstan, dowódca garnizonu, który z rozkazu Edwarda miał pokazać królowi Anglów wschodnich to, co ten chciał zobaczyć.

Ja miałem za towarzysza Finana. Weszliśmy na wały po rzymskich schodach prowadzących do jednej z wież bramnych, nazywanej przez ludzi Biskupią Bramą. Był ranek i słońce nagrzewało stare kamienie. Powietrze cuchnęło, albowiem rów za murem zapełniał się odpadkami, wśród których grzebały dzieci.

Tuzin Sasów zachodnich pod bronią torował drogę Eohricowi i jego ludziom. Mnie i Finana zostawili jednak w spokoju, tak więc obaj cierpliwie czekaliśmy, aż Anglowie wschodni podejda bliżej. Weohstan zdawał się niespokojny, może dlatego, że byliśmy uzbrojeni, choć żaden z nas nie miał kolczugi, hełmu ani tarczy. Pokłoniłem się królowi.

– Poznałeś lorda Uhtreda, panie? – spytał Weohstan Eohrica.

Małe oczka zwróciły się w moją stronę. Jeden z wilczarzy wyszczerzył kły i zawarczał, lecz Eohric przywołał go do porządku.

– Podpalacza statków? – spytał, wyraźnie rozbawiony.

– Pali też miasta. – Finan nie mógł się powstrzymać i przypomniał Eohricowi, że spaliłem jego port w Dumnoc.

Król zacisnął usta i puściwszy tę uwagę mimo uszu, spojrzął na południe, w stronę miasta.

– Piękne to miejsce, lordzie Uhtredzie.

– Mogę spytać, co cię tu sprowadza, królu? – podjąłem z szacunkiem.

– Jestem chrześcijaninem – odparł Eohric. Jego niski, głęboki głos brzmiał imponująco. – A Ojciec Święty w Rzymie mówi, że Plegmund jest moim duchowym ojcem. Przybyłem na zaproszenie arcybiskupa.

– Jesteśmy zaszczyceni – rzekłem, bo cóż innego można powiedzieć królowi?

– Weohstan mówi, że zdobyłeś miasto – ciągnął Eohric. Sprawiał wrażenie znudzonego, jak człowiek, który wie, że musi prowadzić rozmowę, lecz nie interesuje go jej przebieg.

– Tak, panie.

– Przez tamtą bramę? – Mówiąc to, wskazał na zachód, w stronę Bramy Ludda.

– Tak, królu.

– Musisz mi o tym opowiedzieć – odrzekł, choć była to z jego strony czysta kurtuazja.

Obaj sililiśmy się na uprzejmość. Eohric próbował mnie zabić, jednak żaden z nas nie wspomniał o tym ani słowem. Zamiast tego prowadziliśmy sztywną rozmowę. Wiedziałem, co myśli. Przypuszczał, że mur przy Biskupiej Bramie jest najsłabszym punktem w ciągnących się na długości trzech mil rzymskich umocnieniach. Stąd najprościej było wdrzeć się do miasta, choć pełen odpadów cuchnący rów stanowił znaczną przeszkodę, lecz

na wschód od bramy skruszone fragmenty muru zastąpiono palisadą z dębowych bali. Część muru, między Biskupią Bramą a Starą Bramą, była w rozsypce. Gdy dowodziłem tutejszym garnizonem, wzniosłem ostrokół, wymagał on jednak naprawy, więc jeśli ktoś chciał zająć Londyn, tu właśnie należało przypuścić atak. Eohric dobrze o tym wiedział.

– To jarl Oscytel. – Wskazał stojącego obok mężczyznę.

Oscytel dowodził ludźmi Eohrica. Był dokładnie taki, jak się tego spodziewałem – potężny i brutalny. Powitałem go skinieniem głowy, a on odpowiedział tym samym.

– Ty również przybyłeś się modlić, panie? – spytałem go.

– Przybyłem, bo tego zażądał ode mnie mój król.

Czemu – pomyślałem – Edward przystał na coś takiego? Eohric i Oscytel równie dobrze mogli się stać wrogami Wessexu, tymczasem zaproszono ich do Londynu i traktowano z honorami. Tego wieczoru we dworze odbyła się wielka uczta, a jeden z harfiarzy Edwarda zaśpiewał pieśń na cześć Eohrica, sławiącą jego bohaterstwo, choć Eohric nigdy nie wsławił się w żadnej bitwie. Był przebiegłym, zmyślnym mężem, który rządził siłą, unikał walki i przetrwał, gdyż jego królestwo leżało na skraju Brytanii, przez co żadne armie nie musiały przechodzić przez jego ziemie, by dotrzeć na teren wroga.

A jednak Eohric nie był bez znaczenia. Mógł poprowadzić na wojnę co najmniej dwa tysiące wojowników, i gdyby Duńczycy kiedykolwiek przypuścili zmasowany atak na Wessex, jego ludzie stanowiliby nie lada wsparcie. Gdyby natomiast chrześcijanie kiedykolwiek poważyli się zaatakować pogan na północy, z chęcią powitaliby w swych szeregach ową dwutysięczną armię. I tak obie strony próbowały uwieść Eohrica rozmaitymi darami, on tymczasem składał obietnice i nic nie robił.

Nie robił nic, lecz odgrywał główną rolę w wielkim zamyśle Plegmunda, by zjednoczyć całą Brytanię. Arcybiskup twierdził, że pomysł ten objawił mu

się we śnie po pogrzebie Alfreda, i wmówił Edwardowi, iż ów sen był znakiem od boga. Jego zdaniem nie miecz, lecz Chrystus zjednoczy Brytanię, a rok dziewięćsetny miał sprzyjać owemu zjednoczeniu. Plegmund wierzył i przekonał Edwarda, że Chrystus powróci w roku tysięcznym i że z woli boga ostatnie sto lat chrześcijańskiego milenium powinno upłynąć pod znakiem nawracania Duńczyków w oczekiwaniu na powtórne przyjście.

– Wojna zawiodła! – grzmiał z ambony Plegmund. – Musimy więc zawierzyć pokojowi!

Wierzył, że nadszedł czas, by nawrócić pogan, i pragnął, by chrześcijańscy Duńczycy Eohrica byli misjonarzami u Sigurda i Kanuta.

– Czego chce? – spytałem Edwarda. Rankiem po uczcie zostałem wezwany przed oblicze króla i słuchałem, jak Edward wyłuszcza mi plany arcybiskupa.

– Chce nawrócić pogan – odparł sztywno Edward.

– A oni pragną Wessexu, panie.

– Chrześcijanie nie będą walczyć z chrześcijanami – stwierdził.

– Powiedz to Walińczykom, królu.

– Przestrzegają pokoju – rzekł, po czym dodał: – Zwykle.

Był już żonaty. Jego żona Aelflaed miała trzynaście–czternaście lat i była już przy nadziei, choć sama ledwie przestała być dzieckiem. Bawiła się ze swoimi towarzyszkami i kocięciem w niewielkim ogrodzie, gdzie tak często spotykałem Aethelflaed. Okno w komnacie króla wychodziło na ów mały ogród i Edward widział, na co patrzę. Westchnął.

– Witan jest zdania, że Eohric sprawdzi się jako sojusznik.

– Twój teść, panie, również w to wierzy?

Edward skinął głową.

– Od trzech pokoleń toczymy wojnę – rzekł srogo – która wciąż nie

przyniosła pokoju. Plegmund mówi, że musimy spróbować modlitwy i nauczania. Moja matka się z nim zgadza.

Zaśmiałem się. A zatem mieliśmy pokonać naszych wrogów modlitwą?

Kanutowi i Sigurdowi z pewnością spodoba się ta strategia.

– A czego chce od nas Eohric? – zapytałem.

– Niczego! – Edward zdawał się zaskoczony tym pytaniem.

– Niczego, panie?

– Pragnie błogosławieństwa arcybiskupa.

W pierwszych latach rządów Edward pozostawał pod wpływem swej matki, teścia i arcybiskupa, oni zaś byli przeciwni łożeniu na wojnę. Wznoszenie burhów i zbrojenie fyrdu pochłaniało znaczne ilości srebra, a posyłanie armii do walki kosztowało jeszcze więcej. Pieniądze pochodziły od kleru i od ealdormanów, a i jedni, i drudzy pragnęli zachować je dla siebie. Wojna jest droga, a modlitwa nic nie kosztuje. Wykpiłem pomysł, jednak Edward uciszył mnie ruchem ręki.

– Opowiedz mi o bliźniętach – rzekł.

– Rosną jak na drożdżach – odparłem.

– Moja siostra mówi to samo, lecz słyszałem, że Aethelstan nie chce ssać piersi – powiedział udręczonym głosem.

– Ssie jak mały byczek – uspokoilem go. – Rozpuściłem plotkę, jakoby był słabowity. To właśnie chcą usłyszeć twoja matka i teść.

– Ach – westchnął Edward. – Muszę zaprzeczać ich prawowitości, lecz są mi bardzo drogie.

– Są bezpieczne i mają się dobrze, panie – zapewniłem.

Dotknął mojego przedramienia.

– I niech tak pozostanie! A, lordzie Uhtredzie... – Zacisnął palce dla podkreślenia wagi kolejnych słów. – Nie chcę prowokować Duńczyków!

Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak, panie.

Uświadomiwszy sobie, że ściska mnie za ramię, pospiesznie cofnął rękę. Domyślałem się, że czuje się niezręcznie w mojej obecności, bo uczynił mnie niańką dla swoich bękartów, albo dlatego, że byłem kochankiem jego siostry, a może dlatego, że kazał mi utrzymać pokój, choć wiedział, że w moim przekonaniu jest on ułudą. Miałem jednak nie prowokować Duńczyków i przysięgałem posłuszeństwo Edwardowi.

Dlatego też wyruszyłem, by wytrącić ich z równowagi.

[*] Biblia Tysiąclecia, Rdz 28, 13–14.

CZEŚĆ TRZECIA
ANIOŁY

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

– Edward chodzi na pasku u księży – mruknąłem do Luddy. – A jego przeklęta matka jest jeszcze gorsza. Głupia suka. – Wróciliśmy do Fagranfordy i razem udaliśmy się na północ, na skraj wzgórz, skąd roztaczał się widok na rzekę Saefern i wzniesienia Walii. Daleko na zachodzie padał deszcz, lecz blade słońce odbijało się niczym srebrna moneta w przepływającej w dole rzece. – Myślą, że dzięki modlitwom unikną wojny – ciągnąłem. – Wszystko przez tego głupca Plegmunda. Wydaje mu się, że bóg wytrzebi Duńczyków.

– Modlitwa może dziać cuda – rzucił radośnie Ludda.

– Nic nie działo – warknąłem. – Gdyby wasz bóg chciał, żeby podziałała, dlaczego nie zrobił tego dwadzieścia lat temu?

Ludda był zbyt rozsądny, by mi odpowiedzieć. Byliśmy tylko we dwóch. Szukałem czegoś i nie chciałem się z tym zdradzać, tak więc towarzyszył mi jedynie Ludda. Szukaliśmy, rozmawialiśmy z niewolnymi na polach i taniami w ich dworach, i tak trzeciego dnia znalazłem to, czego szukałem. Nie były idealne. Na moje oko leżały zbyt blisko Fagranfordy i nie dość blisko ziemi Duńczyków.

– Dalej na północ nie znajdziesz niczego podobnego, panie – rzekł Ludda. – Przynajmniej nic o tym nie wiem. Mnóstwo tam dziwnych kamieni, ale żadnych zagrzebanych.

Dziwne kamienie to kamienne kręgi pobudowane przez dawnych ludzi, prawdopodobnie ku czci ich bogów. Zwykle gdy natrafiamy na podobne

miejsce, rozkopujemy ziemię u podstawy kamieni – niejednokrotnie znalazłem pod jednym czy dwoma zakopany skarb. Niektóre tworzą okrągłe kopce, a inne podłużne grzbiety, lecz jedne i drugie wyznaczają miejsce pochówku dawnych ludzi. Rozkopujemy je, choć niektórzy wierzą, że kości strzegą duchy, a nawet smoki o ognistym oddechu. Raz jednak odkryłem w takim grobie słoje pełne gagatów, bursztynów i złotych ozdób. Kurhan odkryty przez nas tego dnia znajdował się na wysokim wzniesieniu, z którego rozciągał się widok na całą okolicę. Patrząc na północ, widzieliśmy ziemie Duńczyków, i choć znajdowały się one zbyt daleko, pomyślałem, że prastary grobowiec spełni swoje zadanie.

Miejsce to zwane było Natangrafum i należało do mercyjskiego tana imieniem Aelwold, który ucieszył się na wieść, że zamierzam rozgrzebać miejsce pochówku.

– Użyczę ci niewolników – rzekł. – Durnie obijają się aż do żniw.

– Wezmę swoich – odparłem.

Aelwold od razu nabrał podejrzeń, byłem jednak Uhtredem i nie śmiał mi się sprzeciwić.

– Podzielisz się swoją zdobyczą, panie? – spytał z niepokojem.

– Tak – rzekłem i wyłożyłem złoto na stół. – Oto zapłata za twoje milczenie – dodałem. Nikt nie wie, że tu jestem, a ty masz trzymać język za zębami. Jeśli się dowiem, że komuś powiedziałaś, wrócę i pogrzebię cię w tym kurhanie.

– Słówkiem nie pisnę, panie – obiecał. Był starszy ode mnie, miał obwisłe policzki i długie siwe włosy. – Bóg mi świadkiem, że nie chcę kłopotów – ciągnął. – Ostatnie zbiory były marne, a Duńczycy są niedaleko. Modlę się tylko o spokojne życie. – Zgarnął złoto ze stołu. – Nic tam nie znajdziesz, panie. Mój ojciec rozkopał wszystko lata temu i nie znalazł niczego prócz szkieletów. Nawet paciorka.

Na szczycie wzgórza znajdowały się dwie mogiły, jedna na drugiej. Pierwsza okrągła pośrodku, a pod nią druga, podłużna, ciągnąca się z zachodu na wschód, wysoka na dziesięć stóp i długa na sześćdziesiąt kroków. Znaczną część stanowił kopiec usypany z ziemi i kredy, lecz na wschodnim krańcu znaleźliśmy stworzone przez człowieka jaskinie, do których wchodziło się przez zastawiony głazem wjazd skierowany ku wschodzącemu słońcu.

Posłałem Ludkę, by przywiódł z Fagranfordy tuzin niewolnych, którzy wspólnymi siłami przesunęli głaz i oczyścili wejście z ziemi, tak że przygarbieni mogliśmy wejść do długiego wykutego w skale korytarza. Tunel prowadził do czterech komnat, umiejscowionych po dwie z każdej strony.

Oświetliliśmy grobowiec smolnymi pochodniami, a gdy odsunęliśmy ciężkie skały zagradzające wejście do komnat, nie znaleźliśmy – jak przepowiedział Aelwold – nic prócz szkieletów.

– Wystarczą? – spytałem Ludkę.

Z początku nie odpowiedział. Przyglądał się szkieletom, a na jego twarzy malował się strach.

– Wróć, żeby nas prześladować, panie – rzekł szeptem.

– Nie – odparłem, choć sam czułem lęk, który mroził mi krew w żyłach. – Nie – powtórzyłem, sam jednak nie wierzyłem we własne słowa.

– Nie dotykaj ich, panie – zwrócił się do mnie błagalnie.

– Aelwold powiadał, że jego ojciec zakłócił ich spokój – odparłem, próbując przekonać samego siebie – powinniśmy być zatem bezpieczni.

– Zakłócił ich spokój, panie, a to oznacza, że ich obudził. Teraz czekają, by wziąć pomstę.

Szkielety leżały ciśnięte niedbale – dorośli i dzieci razem – a ich czaszki szczyrzyły na nas zęby. Jedna koścista głowa miała duże pęknięcie po lewej stronie, a na drugiej dostrzegłem resztki włosów. Na kolanach jednego ze

szkieletów leżało skulone dziecko. Inny trup wyciągał ku nam ramię, a kości jego palców leżały rozcapierzone na kamiennej podłodze.

– Ich duchy tu są – szepnął Ludda. – Czuję je, panie.

Poczułem lodowaty strach, który pełzał mi po plecach.

– Wracaj do Fagranfordy – rzekłem Luddzie. – Sprowadź ojca Cuthberta i mojego najlepszego charta.

– Najlepszego charta?

– Pioruna. Sprowadź go tu. Do jutra chcę cię widzieć z powrotem.

Wyszliśmy z korytarza, a niewolni na powrót zasłonili wejście głazem, który oddzielał martwych od żywych. Tej nocy niebo rozświetliły kurtyny błękitu i migotliwej bieli, zasnuwające gwiazdy. Już wcześniej widziałem podobne światła, zwykle w środku zimy i zawsze na północnym niebie, lecz nie przypadkiem pojawiły się teraz, kiedy pozwoliłem, by światło dnia padło na pogrzebanych pod ziemią.

Nająłem dom od Aelwolda. Było to popadające w ruinę rzymskie domostwo nieopodal osady Turcandene, na południe od grobowca. Większą część domu wzięły we władanie cierniste krzaki, po kruszejących murach pięły się bluszcze, a dwa największe pomieszczenia, z których Rzymianie władali niegdyś okolicą, przekształcono w oborę o prymitywnych krokwiach i cuchnącej strzesze. Uprzątnęliśmy je i tamtej nocy spałem pod dachem, a następnego ranka wróciliśmy do grobowca. Nad podłużnym kurhanem unosiła się mgła. Czekałem z niewolnikami, siedzącymi w kucki kilka kroków dalej. Kiedy Ludda wrócił przed południem, mgła nadal się nie podniosła. Prowadził na smyczy Pioruna, mojego ulubionego charta, a towarzyszył mu ojciec Cuthbert. Wyjąłem smycz z dłoni Luddy, a gdy pies zaskomlał, pieszczotliwie potarłosłem go za uszy.

– Twoim zadaniem, ojczulku – zwróciłem się do ojca Cuthberta – jest zadbać o to, by duchy pogrzebanych tu ludzi nam nie przeszkadzały.

- Mogę zapytać, panie, co zamierzasz?
- Co powiedział ci Ludda?
- Tylko tyle, że jestem ci potrzebny i że kazałeś wziąć psa.
- A zatem to wszystko, co musisz wiedzieć. I upewnij się, że będziesz trzymał duchy z dala od nas.

Odsunęliśmy kamień zagradzający wejście i Cuthbert wszedł do grobowca, wbił w ziemię krzyż zrobiony naprędce z gałęzi drzewa, odmawiał modlitwy i kropił wodą.

– Musimy poczekać do nocy, panie, żeby mieć pewność, że modlitwy poskutkowały – zwrócił się do mnie. Wyglądał na zrozpaczonego i bezsilnie wymachiwał rękami. W życiu nie widziałem większych dłoni, miałem jednak wrażenie, że nigdy nie wie, co z nimi zrobić. – Czy duchy będą mnie słuchały? – spytał. – Nie wiem! Za dnia śpią, a gdy zbudzą się po zmroku, odkryją, że są spętane i bezradne. Choć może są silniejsze, niż nam się wydaje? Dowiemy się w nocy.

– Dlaczego w nocy? Czemu nie teraz?

– Duchy śpią za dnia, panie – powtórzył. – Gdy obudzą się o zmierzchu, będą zawodziły jak udręczone dusze. A jeśli zerwą łańcuchy? – Zadrżał na samą myśl. – Zostanę tu jednak i wezwę anioły.

– Anioły?

Pokiwał głową z powagą.

– Tak panie, anioły. – Zobaczył moje zdumienie i się rozpromienił. – Och, nie myśl, że aniołowie to ładne dziewczki. Prości ludzie wierzą, że aniołowie to urocze, świetliste istoty z... – urwał, a jego ogromne dłonie nakreśliły w powietrzu bliźniacze łuki – cycuszkami – dodał w końcu. – Lecz po prawdzie to Boży wojownicy. Potężne istoty! – Zamachał rękami niczym skrzydłami, zaraz jednak znieruchomiał pod moim spojrzeniem. Gapiłem się na niego tak długo, że zrobił się nerwowy. – Panie? – spytał drżącym głosem.

– Jesteś bystry, Cuthbercie – rzekłem.

Moje słowa schlebiły mu i wprawiły go w zakłopotanie.

– W rzeczy samej, panie.

– Święty Cuthbert Bystry – powiedziałem z podziwem. – Głupiec – dodałem – ale jakże bystry!

– Dziękuję, panie, bardzoś uprzejmy.

Tej nocy Cuthbert i ja czekaliśmy przy wejściu do grobowca i spoglądaliśmy w usiane gwiazdami niebo. Piorun leżał z łbem na moich kolanach, a ja go głaskałem. Był wspaniałym zwierzęciem – szybkim, niezłomnym jak wojownik i nieuleknionym. Księżyc zawisł nad wzgórzami.

Noc pełna była dźwięków: szelestów zwierząt w pobliskim lesie, upiornego pohukiwania sowy, dobiegającego z oddali poszczekiwania lisicy. Kiedy księżyc stanął w zenicie, ojciec Cuthbert spojrzał na kurhan, opadł na kolana i zaczął modlić się w milczeniu, bezgłośnie poruszając ustami i ściskając w dłoniach połamany krzyż. Jeśli aniołowie przybyli, nie zauważyłem ich, choć może istotnie tam byli – świetlistoskrzydli wojownicy chrześcijańskiego boga.

Zostawiwszy Cuthberta pogrążonego w modlitwie, zabrałem Pioruna na szczyt kurhanu, gdzie ukląknęłam i pogłaskałam psa. Powiedziałem mu, jak bardzo jest dobry, oddany i odważny. Mierziłem palcami jego szorstką sierść, ukryłem w niej twarz i powiedziałem mu, że nie miałem w życiu lepszego i wierniejszego psa. A potem jednym płynnym ruchem noża, który naostrzyłem po południu, poderżnąłem mu gardło. Poczułem, jak jego potężne cielsko napina się i wrywa, gwałtowny skowyt przycichł. Kolczugę i kolana miałem mokre od krwi i płakałem, albowiem zasmuciła mnie śmierć psa. Uniosłem jego drżące ciało i powiedziałem Thorowi, że złożyłem ofiarę.

Nie chciałem tego, lecz tylko ofiara z drogich nam rzeczy może poruszyć bogów. Przeto trzymałem Pioruna w wyciągniętych rękach, dopóki nie

skonał. Na szczęście nie trwało to długo. Błagałem Thora, by przyjął moją ofiarę i sprawił, aby umarli pozostali w swoim grobowcu.

Zaniosłem ciało Pioruna na skraj pobliskiego lasu, po czym używając noża i skalnego odłamka, wykopałem grób. Złożyłem w nim psa i nóż i życzyłem Piorunowi udanych polowań w zaświatach. Zasypałem mogiłę i przykryłem kamieniami, by nie rozkopali jej padlinożercy. Kiedy skończyłem przed świtem, byłem ubłocony, przesiąknięty krwią i nieszczęśliwy.

– Dobry Boże, co się stało? – Ojciec Cuthbert spoglądał na mnie przerażony.

– Modliłem się do Thora – odparłem szorstko.

– Pies? – wyszeptał pytanie.

– Poluje w zaświatach.

Zadrżał. Niektórzy księża zbesztaliby mnie za składanie ofiary fałszywym bogom, lecz Cuthbert uczynił jeno znak krzyża.

– Duchy były spokojne – zapewnił mnie.

– A zatem czyjeś modlitwy pomogły – odparłem. – Twoje albo moje.

– Albo obie, panie – rzekł.

Kiedy po wschodzie słońca przyszli niewolnicy, kazałem im otworzyć właz do grobowca i usunąć kości z jednej z położonych głębiej komnat.

Przenieśli je do jaskini naprzeciwko i wspólnymi siłami zapieczętowaliśmy wejście do niej kamienną płytą. Czaszki złożyliśmy w dwóch komnatach bliżej wejścia, tak by każdy intruz został powitany przez szczerzących zęby zmarłych. Najtrudniej było ukryć wejście do komnaty wysuniętej najbardziej na północ – tej samej, którą oczyściliśmy z kości – albowiem Ludda musiał wejść do niej i z niej wyjść. I tu z pomocą przyszedł Cuthbert. Jego ojciec nauczył go fachu kamieniarskiego i księżulo tak długo niezdarnie ociosywał wapienną płytę, aż zaczęła przypominać ciekłą tarczę.

Trwało to dwa dni, ale udało się, a gdy położyliśmy wapien na płaskiej skale, Ludda odkrył, że z łatwością może ją przechylić. Mógł wypchnąć ją do przodu, przez powstałą szczelinę precyzyjnie się do komnaty, a ktoś inny postawiłby ją z powrotem, tak że Ludda byłby za nią schowany jak za tarczą. Kiedy przemówił zza wapiennej płyty, jego głos był stłumiony, lecz nie sposób było go nie usłyszeć. Na powrót zabezpieczyliśmy wejście do grobowca, przysypaliśmy gładzi ziemią i wróciliśmy do Fagranfordy.

– Teraz udamy się do Londynu – zwróciłem się do Luddy. – Ty, ja i Finan.

– Do Londynu! – Spodobał mu się ten pomysł. – Po co tam jedziemy, panie?

– To jasne: żeby znaleźć dwie dziwki.

– Oczywiście.

– Mogę pomóc! – zaoferował ochoczo ojciec Cuthbert.

– Pomyślałem, że uczynię ojca odpowiedzialnym za zbieranie gęsiego pierza – odparłem.

– Gęsiego pierza? – Spojrzał na mnie oburzony. – Panie, proszę!

Dziewki i gęsie pierze. Plegmund modlił się o pokój, ja zaś czyniłem przygotowania do wojny.

Zabrałem do Londynu trzydziestu ludzi – nie dlatego, że byli mi potrzebni, lecz dlatego, że lord musi podróżować z rozmachem. Znaleźliśmy kwatery dla ludzi i koni w rzymskim forcie na północno-zachodnim krańcu miasta i razem z Finanem i Weohstanem ruszyłem na obchód wzdłuż pozostałości rzymskich murów.

– Kiedy tu dowodziłeś – zapytał Weohstan – żałowali ci pieniędzy?

– Nie – odparłem.

– Ja muszę błagać o każdą monetę – mruknął rozgoryczony. – Budują kościoły, ale nie mogę przemówić im do rozumu, żeby naprawili mury.

A mury bardziej niż kiedykolwiek potrzebowały naprawy. Rozległy odcinek rzymskiego blankowania między Biskupią Bramą a Starą Bramą skruszał i zawalił się do wykopanego za nim cuchnącego rowu. Nie był to nowy problem. W czasach, kiedy dowodziłem garnizonem, zastąpiliśmy brakującą część muru drewnianą palisadą, pnie jednak szerniały, a niektóre z nich gniły. Król Eohric widział ów niszczący odcinek i nie wątpię, że to zauważył. Po jego wizycie w Londynie zaproponowałem, by jak najszybciej rozpocząć naprawy, jednak nic nie zostało zrobione.

– Tylko spójrz! – Weohstan niezdarnie zszedł z gruzowiska na końcu niszczącego muru. Pchnął dębowy pień, a ten zakołysał się niczym martwy ząb. – Nie chcą zapłacić za ich wymianę – rzekł posępnie. Kopnął podstawę pnia i spod jego buta posypały się rozmiękłe, zbutwiałe kawałki ciemnego drewna.

– Mamy pokój – rzuciłem zjadliwie – nie słyszałeś?

– Powiedz to Eohricowi – odparł Weohstan, wspinając się z powrotem, żeby do mnie dołączyć. Wszystkie ziemie, aż do północnego wschodu, należały do Eohrica i Weohstan opowiedział mi o duńskich patrolach, które podjeżdżały pod mury miasta. – Obserwują nas – rzekł – a ja mogę jedynie im pomachać.

– Nie muszą podjeżdżać blisko – stwierdziłem. – Kupcy powiedzą im wszystko, co będą chcieli wiedzieć. – W Londynie zawsze było dużo kupców: duńskich, saskich, frankijskich i fryzyjskich, a wszyscy oni zawozili do swoich krajów najświeższe wieści. Byłem pewien, że Eohric wie, jak kiepskie są umocnienia miasta, widział je przecież na własne oczy. – Ale Eohric to ostrożny drań.

– Nie to, co Sigurd.

– Który wciąż niedomaga.

– Módlmy się, żeby umarł – mruknął Weohstan.

Zasięgnąłem języka w tawernach. Byli tam kapitanowie statków z całego wybrzeża Brytanii, którzy w zamian za ale oferowali plotki, a niektóre z nich okazywały się prawdą. Żadna jednak nie mówiła o wojnie. Aethelwold nadal ukrywał się w Eoferwicu i wciąż twierdził, że jest królem Wessexu, jednak dopóki nie miał żadnej władzy, dopóty Duńczycy nie dawali mu armii. Tylko czemu siedzieli tak cicho? Zastanawiało mnie to. Byłem pewien, że zaatakują na wieść o śmierci Alfreda, oni jednak nic nie uczynili. Biskup Erkenwald znał odpowiedź.

– Taka jest wola Pana – rzekł, kiedy przypadkiem spotkaliśmy się na ulicy. – Bóg przykazał nam, byśmy kochali swych wrogów – wyłuszczył. – Dzięki naszej miłości uczynimy ich chrześcijanami i ludźmi pokoju.

Pamiętam, jak na niego spojrzałem.

– Naprawdę w to wierzysz? – spytałem.

– Musimy mieć wiarę – odparł żarliwie. Uczynił znak krzyża przed kobietą, która się przed nim skłoniła. – A więc – zwrócił się do mnie – co sprowadza cię do Londynu?

– Szukamy dziwek – odparłem. Zamrugał zdumiony. – Znasz jakieś, biskupie?

– Dobry Boże – syknął i czym prędzej się oddalił.

Ostatecznie zarzuciłem pomysł, by szukać dziwek w tawernach Londynu, istniało bowiem ryzyko, że ktoś je rozpozna, i tak powiodłem Finana, Luddę i ojca Cuthberta w górę rzeki do doku niewolników za starym rzymskim mostem. W Londynie nie było dobrze prosperującego targu niewolników, jednak można tu było kupić dziewczki i młodzieńców schwytanych w Irlandii, Walii czy Szkocji. Duńczycy trzymali więcej niewolników niż Sasi, a ci, którzy nam służyli, głównie pracowali w polu. Człowiek, którego nie stać było na wołu, mógł zaprząć do pługą dwóch niewolnych, choć bruzdy nie były wówczas tak głębokie jak te zrobione przez ostrze ciągnięte przez

bydlę. Z wołami było też mniej kłopotu, choć w dawnych czasach właściciel niewolnika mógł go zabić, jeśli ten sprawiał kłopoty, i nie ponosił za to żadnej kary. Zmieniły to prawa ustanowione przez Alfreda. Wielu ludzi zaczęło uwalniać niewolnych, wierząc, że dzięki temu zyskają bożą przychylność, tak więc zapotrzebowanie w Londynie było niewielkie, choć w dokach nad Tamizą nadal dało się kupić niewolnych. Handlarze przybywali z Ratumacos, miasta w kraju Franków, niemal każdy z nich był człowiekiem Północy, albowiem wikingowie podbili wszystkie okoliczne ziemie.

Przybywali, żeby kupować młodzieńców schwytanych podczas przygranicznych utarczek, a niektórzy przywozili niewolników na sprzedaż, wiedząc, że możni Wessexu i Mercji cenią sobie egzotyczne dziewczęta. Kler kręcił nosem, ale handel w dokach i tak miał się dobrze.

Nabrzeże znajdowało się niedaleko za wałem rzeczny, a niewolników trzymano w zawilgoconych drewnianych chatkach. Tego dnia w Londynie było czterech handlarzy, a ich strażnicy, widząc nas, uprzedzili swych panów o naszym nadejściu. Handlarze wylegli na ulicę i kłaniali się nam nisko.

– Wina, panowie? – spytał jeden z nich. – A może ale? Cokolwiek wasze lordowskie mości sobie zażyczą.

– Kobiet – odparł ojciec Cuthbert.

– Milcz – warknąłem na niego.

– Chryste i Święty Józefie – mruknął pod nosem Finan, a ja wiedziałem, że przypomniał sobie długie miesiące, które spędziliśmy w niewoli u Sverriego, przykuci do jego wioseł, z niewolniczym piętnem wypalonym na ramionach.

Sverri zginął, podobnie jak Hakka, jego prawa ręka. Finan zarznął ich obu, zdawałem sobie jednak sprawę, że Irlandczyk wciąż pała nienawiścią do handlarzy niewolników.

– Szukacie kobiet? – spytał jeden z nich. – Czy raczej dziewcząt? Czegóż

młodego i delikatnego? Mam dokładnie to, czego wam trzeba. Nietknięte towary! Soczyste i cenne! Panowie? – Skłonił się i ruchem ręki wskazał prymitywne drzwi wprawione w rzymski łuk.

Zerknąłem na ojca Cuthberta.

– Zetrzyj z twarzy ten uśmieszek – warknąłem na niego i dodałem ściszoneg głosem: – I znajdź Weohstana. Powiedz mu, żeby przyprowadził tuzin ludzi. Spiesz się.

– Ale panie... – zaczął, najwyraźniej chcąc zostać.

– Idź! – krzyknąłem.

– Zawsze lepiej przegnać księży – zauważył handlarz, zakładając, że odesłałem Cuthberta, bo kler patrzył krzywo na handel niewolnymi. Siliłem się na uprzejmość, jednak podobnie jak Finan gotowałem się z wściekłości.

Pamiętałem niedolę i upokorzenia, których doznałem, będąc niewolnikiem. Dawno temu Finan i ja siedzieliśmy skuci w równie zatechłej i zawilgoconej chacie. Kiedy schyliwszy głowę, przechodziłem przez niskie drzwi, miałem wrażenie, że blizna na prawym ramieniu pali mnie żywym ogniem. – Kupiłem za wodą pół tuzina dziewczek – oświadczył handlarz. – Mniemam, że nie szukasz, panie, mleczarek ani podkuchennych.

– Szukamy aniołów – odparł zwięźle Finan.

– A zatem dobrzeście trafili! – rzucił tamten radośnie.

– Jak cię zwa? – spytałem.

– Halfdan – odrzekł. Zgadywałem, że ma nieco ponad trzydzieści wiosen.

Był wysokim, krzepkim mężem z głową łąsą jak jajko i brodą sięgającą do pasa, do którego miał przytroczony miecz ze srebrną rękojeścią. W pomieszczeniu, do którego weszliśmy, było czterech strażników: dwaj z nich mieli pałki, a dwaj pozostali miecze. Pilnowali gromady niewolnych, którzy skuci łańcuchami siedzieli na cuchnącym odchodami klepisku. Tylną ścianę chaty stanowiły nadrzeczne umocnienia. W nitkach światła przeświecającego

przez dziurawą, gnijącą strzechę kamienie zdawały się zielonkawoczarne. Niewolni spoglądali na nas ponurym wzrokiem. – To głównie Walińczycy – rzucił niedbale Halfdan. – Ale jest i kilku Irlandczyków.

– Zabierzecie ich do kraju Franków? – spytał Finan.

– Chyba że ich kupicie – odparł handlarz. Odryglował kolejne drzwi, załomotał w ciemne drewno i po chwili usłyszałem szcęk kolejnego rygła, tym razem od wewnątrz.

Drzwi stanęły otworem i zobaczyliśmy następnego strażnika zbrojnego w miecz. Strzegł najcenniejszego towaru Halfdana – dziewcząt. Kiedy przeszliśmy przez próg, powitał nas uśmiechem. W izbie panował mrok, tak więc trudno było ocenić urodę dziewczek. Kuliły się w kącie, a jedna wyglądała na chorą. Zobaczyłem, że jedna ma ciemną skórę, podczas gdy inne są białe jak mleko.

– Szóstka – rzekłem.

– Widzę, panie, że umiecie liczyć – zażartował Halfdan, ryglując drzwi do większej izby, w której przetrzymywano mężczyzn.

Finan wiedział, co miałem na myśli. Nas było dwóch, a handlarzy sześciu. My jednak byliśmy rozjuszeni i od dawna nie mieliśmy okazji do walki, przez co zrobiliśmy się niespokojni.

– To nic – odparł Finan.

Ludda musiał przeczuwać, co zamierzamy, bo wyglądał na zdenerwowanego.

– Potrzebujecie więcej? – spytał Halfdan. Pchnięciem otworzył okiennicę, by wpuścić do pomieszczenia nieco światła. Oślepione dziewczki zamrugały gwałtownie. – Sześć piękności – rzekł z dumą handlarz.

Piękności były wychudzone, brudne i przerażone. Ciemnoskóra dziewczyna odwróciła twarz, zdążyłem jednak zauważyć, że w istocie była piękna. Włosy dwóch pozostałych były bardzo jasne, niemal białe.

– Skąd pochodzą?

– Głównie z północy kraju Franków – odparł Halfdan. – Ale ta? – Wskazał skuloną dziewczynę. – Ta pochodzi z samego krańca świata.

Bogowie jedni wiedzą, skąd się wzięła. Może nawet spadła z księżyca. Odkupiłem ją od handlarza z południa. Mówi jakimś dziwnym językiem, ale jest wystarczająco ładna, jeśli kto lubi ciemnoskóre.

– A kto ich nie lubi? – spytał Finan.

– Zamierzałem ją zatrzymać – ciągnął Halfdan – ale dziwka nie przestaje płakać, a ja nie znoszę płaczliwych bab.

– Były dziewczynkami? – spytałem.

– Nie są dziewczynkami – odparł rozbawiony handlarz. – Nie będę kłamał, panie, ale jeśli szukacie dziewczyn, mogę je dla was sprowadzić. Jednak to potrwa. Miesiąc, może dwa. Te na pewno nimi nie są. Ciemnoskóra i Fryzyczka przez jakiś czas pracowały w tawernie, ale nie są wysłużone.

I nadal są ładne. – Wyciągnął potężną dłoń i szarpnięciem postawił na nogi ciemnoskórą dziewczynę. Kiedy wrzasnęła, zdzielił ją po głowie. – Przestań beczeć, głupia suko – warknął i odwrócił ją w moją stronę. – I co ty na to, panie? Skórę ma dziwną, ale śliczna z niej dziewczyna.

– To prawda – przyznałem.

– Cała jest taka ciemna – dodał z uśmiechem i na potwierdzenie swych słów szarpnął materiał sukienki, odsłaniając piersi dziewczyny. – Przestań skamleć, suko – burknął i znów zdzielił ją po głowie. Chwycił w dłoń jedną pierś. – Widzisz, panie? Nawet cycki ma brązowe.

– Pozwól – rzekłem. Wyciągnąłem nóż, a Halfdan, błędnie pojmując, że zamierzam nim odciąć resztki sukienki, odsunął się.

– Dobrze się przypatrz, panie – zachęcił.

– Tak zrobię – zapewniłem.

Dziewka nadal pochlipywała, gdy odwróciłem się i wbiłem nóż w brzuch Halfdana. Ten jednak nosił pod tuniką kolczugę, na której zatrzymała się klinga. Usłyszałem szmer, z którym ostrze Luddy wysunęło się z pochwy.

Halfdan próbował uderzyć mnie głową, ja jednak lewą ręką ucapiłem go za brodę i pociągnąłem z całej siły. Trzymałem nóż pionowo i nadziałem głowę handlarza na głównię. Dziewki piszczały, a jeden ze strażników z sąsiedniej izby dobijał się do drzwi. Halfdan ryknął, a zaraz potem zagruchał jak niemowlę, gdy ostrze noża rozplątało mu żuchwę i gardło. Pokój poczerwieniał od krwi. Przeciwnik Finana nie żył, a sam Finan siekł mieczem nogi Halfdana, przecinając mu ścięgna. Kiedy handlarz runął na kolana, poderżnąłem mu gardło i dokończyłem dzieła. Jego długa broda niemal cała nasiąkała krwią.

– Nie spieszyłeś się – rzucił rozbawiony Finan.

– Wyszedłem z wprawy – odparłem. – Luddo, powiedz dziewczkom, żeby były cicho.

– Zostało czterech – przypomniał mi Finan.

Schowałem nóż, wytarłem zakrwawioną rękę w tunikę Halfdana i sięgnąłem po Oddech Węża. Finan odryglował drzwi, które otworzyły się gwałtownie. Strażnik, który jako pierwszy wpadł do środka, zobaczył wymierzone w niego ostrze i próbował się wycofać, lecz Finan wciągnął go do pomieszczenia, a ja zatopiłem grot w jego brzuchu, a gdy nogi się pod nim ugięły, kopnąłem go kolanem w twarz. Strażnik runął na śliskie od krwi klepisko.

– Wykończ go – zwróciłem się do Luddy.

– Chryste – mruknął.

Pozostali strażnicy byli bardziej rozważni. Czaili się w drugim końcu izby i zdążyli już wezwać na pomoc pozostałych handlarzy niewolników. W interesie handlarzy było pomagać sobie nawzajem, tak więc do izby wpadali

kolejni mężczyźni. Czterech, pięciu, wszyscy uzbrojeni i gotowi do walki.

– Osferth powiada, że bezmyślnie rzucamy się do walki – zauważył Finan.

– I pewnie ma rację – odparłem.

Nagle jednak na ulicy rozległy się krzyki. Oto nadciągnął Weohstan ze swoimi ludźmi, którzy wdarli się do chaty i wywlekli handlarzy na ulicę. Dwóch z nich uskarżało się Weohstanowi, że jesteście mordercami, on jednak ryknął na nich, by byli cicho, i sam wszedł do środka. Czując smród w większej izbie, zmarszczył nos, po czym wszedł do drugiego pomieszczenia i spojrzał na dwa ciała.

– Co tu się stało?

– Ci dwaj poróżnili się – odparłem, mając na myśli Halfdana i strażnika ubitego przez Finana. – I pozabijali się nawzajem.

– A ten? – Weohstan wskazał głową mężczyznę, który skamłąc, kulił się na podłodze.

– Mówiłem, żebyś go dobił – warknąłem do Luddy i sam dokończyłem dzieła. – Był tak zdruzgotany śmiercią tych dwóch – wyłuszczyłem Weohstanowi – że próbował się zabić.

Dwaj handlarze, którzy weszli za nami do chaty, obruszyli się i nazwali nas kłamcami i mordercami. Przypomnieli, że handel niewolnikami jest legalny i że są chronieni przez prawo. Zażądali, bym stanął przed sądem za zabójstwo i zapłacił wysoką karę w srebrze. Weohstan wysłuchał ich cierpliwie.

– Zeznacie pod przysięgą, że to, co mówicie, jest prawdą? – zapytał ich.

– Zeznamy – odparł jeden.

– Powiecie, co się wydarzyło, i złożycie przysięgę?

– Musi nam wynagrodzić poniesione straty!

– Lordzie Uhtredzie – Weohstan spojrział na mnie – masz ludzi, którzy poświadczą, że było inaczej?

– Tak – odparłem, jednak na dźwięk mojego imienia handlarze spokornieli.

Gapili się na mnie przez chwilę, po czym jeden z nich bąknął, że Halfdan zawsze był kłótliwym durniem.

– A zatem nie będziecie zeznawać w sądzie? – zwrócił się do handlarzy Weohstan, oni jednak zaczęli się już wycofywać, a chwilę później uciekli.

Widząc to, uśmiechnął się. – I cóż ja mam począć? Aresztować cię za zabójstwo?

– Nic nie zrobiłem – odparłem.

Zerknął na czerwone od krwi ostrze.

– Właśnie widzę, panie – mruknął.

Pochyliłem się nad ciałem Halfdana i rozciąłem jego tunikę. Tak jak się spodziewałem, nosił pod nią kolczugę, a także – czego również się domyśliłem – wiszącą u pasa sakwę. To ona zatrzymała pierwsze pchnięcie nożem. Była pełna monet, także tych złotych.

– Co zrobimy z niewolnikami? – zastanawiał się na głos Weohstan.

– Są moi – odparłem. – Właśnie ich kupiłem. – Wręczyłem mu sakiewkę po tym, jak zatrzymałem dla siebie kilka monet. – To powinno wystarczyć na odbudowę palisady.

Weohstan przeliczył monety i się rozpromienił.

– Jesteś odpowiedzią na modlitwy, panie – rzekł.

Zabraliśmy niewolników do tawerny w nowej części miasta, saskiej osadzie leżącej na zachód od rzymskich zabudowań. Monety, które zabrałem z sakwy Halfdana, wystarczyły na jedzenie, ale i przyodziewek. Zdaniem Finana, który rozmawiał z mężczyznami, pół tuzina nadawało się na

wojowników.

- Jeśli jeszcze kiedyś będziemy potrzebowali wojowników... – burknął.
- Nienawidzę pokoju – rzekłem, a on się roześmiał.
- Co zrobimy z pozostałymi? – spytał.
- Wypuść mężczyzn – odparłem. – Są młodzi, poradzą sobie.

Ludda i ja rozmawialiśmy z dziewczkami, podczas gdy ojciec Cuthbert gapił się na nie w milczeniu. Był zauroczony ciemnoskórą pięknnością, która najwyraźniej miała na imię Mehrasa. Wyglądała na najstarszą z całej szóstki, miała szesnaście, może siedemnaście wiosen, podczas gdy pozostałe były o trzy–cztery lata młodsze. Kiedy zrozumiały, że nic im nie grozi – przynajmniej na razie – zaczęły się uśmiechać. Dwie z nich były Saksonkami uprowadzonymi z Kentu przez frankijskich najeźdźców, a dwie pochodziły z kraju Franków. Była jeszcze tajemnicza Mehrasa i chora dziewczka z Fryzji.

– Kentyjki mogą wracać do domu – powiedziałem. – Pozostałe zabierzcie do Faganfordy – zwróciłem się do Luddy i ojca Cuthberta. – Wybierzcie dwie i nauczcie je wszystkiego, co muszą wiedzieć. Pozostałe dwie mogą pracować w kuchni albo jako młeczarki.

– Z przyjemnością – odparł ojciec Cuthbert.

Spojrzałem na niego.

– Jeśli je skrzywdzicie, zapłacicie za to – ostrzegłem ich.

– Tak, panie – odparł z pokorą.

– A teraz idźcie.

Wysłałem Rypere’a i tuzin ludzi, by strzegli dziewcząt w czasie podróży, a ja razem z Finanem zostałem w Londynie. Zawsze lubiłem to miasto – nie było lepszego miejsca, by zasięgnąć języka o tym, co się dzieje w Brytanii.

Rozmawiałem z kupcami i podróżnikami, wysłuchałem nawet jednego z niekończących się kazań Erkenwalda – nie dlatego, że potrzebowałem jego

rad, ale po to, by usłyszeć, co kościół mówi swoim wyznawcom. Biskup nauczał jak należy, a jego przesłanie brzmiało dokładnie tak, jak chciał tego arcybiskup Plegmund. Kazanie było apelem o pokój i o to, by dać księżom czas na oświecenie pogan.

– Byliśmy ciemieni przez wojny – grzmiał Erkenwald – a nasze ziemie nasiąkły łzami wdów i matek. Każdy, kto zabija drugiego człowieka, łamie matczyne serce. – Wiedział, że byłem w kościele, i uporczywie wbijał wzrok w cienie, gdzie stałem. W końcu wymierzył palec w świeży malunek na ścianie przedstawiający Marię, matkę Chrystusa, płaczącą pod krzyżem. – Jakąż to winę ponosili Rzymianie i jaką ponosimy my, kiedy zabijamy?!

Jesteśmy dziećmi Boga, nie owcami przeznaczonymi na rzeź.

Był czas, gdy Erkenwald zachęcał nas do walki, nakłaniając do rzezi pogańskich Duńczyków, jednak wraz z nadejściem roku dziewięćsetnego kościół zaczął nawoływać do pokoju i wszystko wskazywało na to, że te modlitwy zostały wysłuchane. W rejonach przygranicznych wciąż zdarzały się kradzieże bydła, lecz żadna duńska armia nie próbowała podbić Brytanii.

Latem Finan i ja wyprawiliśmy się za morze na jednym ze statków Weohstana i na wiosłach płynęliśmy w dół rzeki do rozległego estuarium, gdzie spędziłem sporo czasu. Kiedy zbliżyliśmy się do Beamfleot, zobaczyłem, że Duńczycy nie próbują odbudować spalonych fortów, a w zatoce Hothlege nie cumowały żadne statki, choć z wody sterczały poczerńiałe szkielety spalonych przez nas łodzi. Popłynęliśmy dalej na wschód, do miejsca, gdzie Tamiza wpada do morza, i ostrożnie przeprawiliśmy się przez płycizny w Sceobyrig, kolejnym miejscu, gdzie duńskie drużyny lubiły zasadać się na statki kupieckie podróżujące do albo z Londynu, jednak i tu kotwicowisko było puste. To samo zastaliśmy na południowym brzegu estuarium. Nic prócz dzikiego ptactwa i mokrego błota.

Wiosłując, płynęliśmy w górę meandrującej rzeki Medwaeg, aż do burhu

w Hrofeceastre, gdzie drewniana palisada na szczycie wysokich wałów ziemnych gniła jak ta w Londynie, choć wielka sterta świeżo ściętych dębowych pni wskazywała na to, że ktoś jednak zamierza naprawić umocnienia. Finan i ja zeszliśmy z łodzi na nabrzeżu nieopodal rzymskiego mostu i poszliśmy do domu biskupa przy kościele. Zarządca pokłonił się nam, a gdy usłyszał me imię, nie śmiał prosić o mój miecz. Zamiast tego poprowadził nas do wygodnej izby, a chwilę potem służący przynieśli strawę i ale.

Godzinę później przybył biskup Swithwulf z żoną. Był siwym, smutnym człowiekiem o pociągłej twarzy i drżących dłoniach, podczas gdy jego żona okazała się drobną, nerwową kobietą. Zanim usiadła, skłoniła mi się chyba z dziesięć razy.

– Co was tu sprowadza? – spytał Swithwulf.

– Ciekawość – odparłem.

– Ciekawość?

– Zastanawiam się, dlaczego Duńczycy są tacy spokojni – rzekłem.

– To wola Boża – odezwała się nieśmiało żona Swithwulfa.

– Bo coś knują – odrzekł sam biskup. – Nigdy nie ufaj Duńczykowi, który siedzi jak mysz pod miotłą. – Spojrzał na żonę. – Nie jesteś potrzebna w kuchni?

– W kuchni? Och! – Zerwała się, zawahała przez chwilę, po czym wyszła.

– Dlaczego Duńczycy siedzą cicho? – zwrócił się do mnie biskup.

– Sigurd choruje – odparłem. – A Kanut jest zajęty na północnej granicy.

– A Aethelwold?

– Upija się w Eoferwicu.

– Alfred powinien był go udusić – warknął biskup.

Zaczynałem go lubić.

– Nie nawołujesz do pokoju jak pozostali księża? – spytałem.

– Och – zachnął się. – Głoszę to, czego się ode mnie wymaga – odparł. –

A przy okazji pogłębiam rów i odbudowuję umocnienia.

– A ealdorman Sigelf? – dopytywałem.

Sigelf był ealdormanem Kentu, dowódcą tamtejszych sił i najbardziej majątnym spośród tamtejszych panów.

– Co z nim? – Biskup spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Słyszałem, że miał zostać królem Kentu.

Moje słowa wyraźnie go zdumiały. Zmarszczył czoło.

– To był pomysł jego syna – odparł ostrożnie. – Nie wiem, czy sam Sigelf myśli podobnie.

– A Sigebriht paktował z Duńczykami – rzekłem.

Sigebriht, który poddał mi się pod Scaftesburi, był synem Sigelfa.

– Wiesz o tym?

– Wiem – przyznałem. Biskup zamilkł. – Co się dzieje w Kencie? – spytałem, on jednak wciąż milczał. – Jesteś biskupem. Twój księża przynoszą ci różne wieści. Mów więc.

Zawahał się, lecz po chwili słowa wylały się z jego ust wartkim potokiem.

Opowiedział mi o niepokojach w Kencie.

– Niegdyś byliśmy osobnym królestwem – zaczął. – Teraz Wessex traktuje nas jak najsłabszego szczeniaka w miocie. Spójrz tylko, co się stało, kiedy przybyli Haesten i Harald! Czy ktoś nas chronił? Nie!

Haesten przybił do północnego wybrzeża, podczas gdy jarl Harald Krwawowłosa przywiódł ponad dwieście statków na południowy brzeg, gdzie przypuścił szturm na niedokończony burh i wyrznął jego mieszkańców.

Następnie urządził w Kencie krwawą orgię, pałac, mordując, niewoląc i rabując. Wessex posłał armię, ta jednak niczego nie wskórała. Aethelred i Edward rozmieścili swych ludzi na wielkim zalesionym wzniesieniu w samym środku Kentu, a następnie pokłócili się o to, czy uderzyć na północ przeciwko Haestenowi, czy na południe przeciwko Haraldowi, gdy tymczasem Harald nie przestawał palić i mordować.

– Zabiłem Haralda – powiedziałem.

– Tak – odparł biskup – ale dopiero po tym, jak do szczętu złupił Kent!

– A zatem ludzie chcą, by Kent na powrót stał się królestwem? – zapytałem.

Swithwulf długo się wahał, nim w końcu odpowiedział, a nawet wówczas mówił wymijająco.

– Nikt tego nie chciał, dopóki żył Alfred – stwierdził. – Ale teraz?

Wstałem i podszedłem do okna, skąd miałem widok na nabrzeże. Mewy, krzycząc, kołowały na letnim niebie. Pobudowane przy brzegu dwa żurawie przenosiły konie na pokład statku kupieckiego. Ładownię podzielono na dwie przegrody, w których uwiązano przerażone zwierzęta.

– Dokąd posyłacie konie? – spytałem.

– Konie? – zdumiał się Swithwulf. Dopiero po chwili uświadomił sobie, co mam na myśli. – Wysyłają je na targ, do kraju Franków. Hodujemy tu dobre wierzchowce.

– Tak?

– Hoduje je ealdorman Sigelf – wyłuszczył biskup.

– I on jest tu władcą – zauważyłem. – A jego syn układa się z Duńczykami.

Biskup zadrżał.

– Skoro tak twierdzisz – odparł ostrożnie.

Spojrzałem na niego.

– Jego syn kochał się w waszej córce – ciągnąłem. – I z tego powodu nienawidzi Edwarda.

– Dobry Boże – szepnął Swithwulf i uczynił znak krzyża. Łzy napłynęły mu do oczu. – Była głupiutka... głupiutka, ale radosna.

– Przykro mi – rzekłem.

Zamrugnął, by powstrzymać łzy.

– A ty opiekujesz się moimi wnukami?

– Są pod moją opieką – potwierdziłem.

– Słyszałem, że chłopiec jest chorowity. – W jego głosie pobrzmiwała troska.

– To tylko plotki – zapewniłem go. – Oboje są zdrowi, choć dla ich dobra lepiej będzie, jeśli ealdorman Aethelhelm będzie myślał inaczej.

– Aethelhelm nie jest złym człowiekiem – odparł niechętnie biskup.

– Mimo to poderznąłby im gardła, gdyby miał taką sposobność.

Swithwulf pokiwał głową.

– Jakie mają włosy?

– Chłopiec ciemne po ojcu, a dziewczynka jasne.

– Jak moja córka – szepnął.

– Która poślubiła aethelinga Wessexu – odparłem – choć on teraz temu zaprzecza. A Sigebriht, jej wzgardzony kochanek, z nienawiści do Edwarda zwrócił się do Duńczyków.

– Tak – przyznał biskup.

– Przysięgał jednak wierność Edwardowi, kiedy Aethelwold zbiegł na północ.

– Słyszałem. – Swithwulf pokiwał głową.

– Można mu ufać?

Bezpośredniość tego pytania zaniepokoiła biskupa. Ściągnął brwi i zaczął się wiercić. W końcu wyjrzał przez okno, gdzie kruki hałasowały na trawie.

– Ja bym mu nie zaufał – odparł po chwili namysłu.

– Nie dosłyszałem, biskupie.

– Powiedziałem, że ja bym mu nie zaufał – powtórzył nieco głośniej.

– Ale to jego ojciec jest tu ealdormanem, nie Sigebriht.

– Sigelf to trudny człowiek. – Głos biskupa był niewiele głośniejszy od szeptu. – Lecz nie jest głupcem. – Spojrzał na mnie zbolalym wzrokiem. – W razie czego wyprę się tej rozmowy – dodał.

– Słyszałeś, żebyśmy rozmawiali? – zwróciłem się do Finana.

– Gdzieżby – odparł.

Tę noc spędziliśmy w Hrofeceastre, a nazajutrz wraz z przyływem wróciliśmy do Londynu. Od wody ciągnęło chłodem – był to pierwszy zwiastun jesieni. Musiałem poganiać swoich ludzi, by opuścili tawerny w nowej części miasta i siodłali konie. Celowo zwlekałem z powrotem do Fagranfordy, bo niedaleko było stamtąd do Natangrafum, tak więc powiodłem swój niewielki oddział znajomymi drogami na południe i dalej na zachód, aż do Wintanceasteru.

Edward był zaskoczony, ale i ucieszony moim widokiem. Wiedział, że przez większą część lata nie było mnie w Fagranfordzie, nie pytał więc o bliźniaki. Zamiast tego poinformował mnie, iż dostał wieści od siostry.

– Bliźniaki mają się dobrze – rzekł i zaprosił mnie na ucztę. – Nie podajemy jadła, które zwykł jadać mój ojciec – zapewnił.

– To prawdziwe błogosławieństwo, panie – odparłem.

Alfred raczył swych gości wyłącznie mdłymi bulionami i przywiedłymi warzywami, podczas gdy Edward znał przynajmniej zalety mięsiwa. Była z nim jego nowa żona, pulchna i brzemienna, a jej ojciec ealdorman Aethelhelm został najwyraźniej najbardziej zaufanym doradcą młodego

króla.

W zamku nie było tylu księży, co za panowania Alfreda, lecz co najmniej dwunastu zasiadło z nami do wspólnej uczyty, a wśród nich mój drogi, stary przyjaciel ojciec Willibald.

Aethelhelm powitał mnie radośnie.

– Obawialiśmy się, że będziesz prowokował Duńczyków – rzekł.

– Kto? Ja?

– Siedzą cicho – ciągnął ealdorman – i lepiej zostawić ich w spokoju.

Edward spojrzał na mnie.

– Zostawiłbyś ich w spokoju? – zapytał.

– Na twoim miejscu, panie – odparłem – posłałbym do Kentu stu najlepszych wojowników. A kolejne dwie–trzy setki do Mercji i pobudowałbym tam burhy.

– Do Kentu? – spytał Aethelhelm.

– Ludność Kentu robi się niespokojna – odparłem.

– Z nimi zawsze były kłopoty – bąknął lekceważąco Aethelhelm. – Ale nienawidzą Duńczyków, tak jak my wszyscy.

– Kent musi ochraniać kentyjski fyrd – orzekł Edward.

– A lord Aethelred może budować burhy – skwitował Aethelhelm. – Jeśli nadejdą Duńczycy, będziemy gotowi, ale nie ma sensu ich prowokować.

Ojcze Willibaldzie!

– Panie? – Willibald dźwignął się od jednego z niższych stołów.

– Mieliśmy jakieś wieści od naszych misjonarzy?

– Cierpliwości, panie! – odparł. – Jestem pewien, że wkrótce nadejdą.

– Misjonarzy? – spytałem.

– Wśród Duńczyków – wyjaśnił Edward. – Nawrócimy ich.

– Przekujemy duńskie miecze na lemieszce – oświadczył Willibald.

Ledwie wypowiedział te pełne nadziei słowa, nadjechał goniec. Był nim ubłocony ksiądz, który przybył do Wessexu z Mercji, wysłany przez Werfertha, biskupa Wygraceasteru. Widać było, że gnał co koń wyskoczy, i wraz z jego pojawieniem się na sali zapadła cisza. Na znak Edwarda harfista przestał grać.

– Panie. – Posłaniec padł na kolana przed podniesieniem, na którym stał oświetlony świecami królewski stół. – Dobre wieści, królu.

– Aethelwold nie żyje? – spytał Edward.

– Bóg jest wielki! – rzekł ksiądz. – Wiek cudów jeszcze się nie skończył!

– Cudów? – spytałem.

– W Mercji, panie, znajduje się pewien pradawny grobowiec – wyłuszczył klecha, patrząc na Edwarda. – Pojawiły się w nim anioły, które wieszczą przyszłość. Brytania będzie chrześcijańska! Będziesz rządził, panie, od morza do morza! Widziano anioły! Anioły, które przyniosły niebiańską przepowiednię!

W sali podniósł się zgiełk, który Edward uciszył. Razem z Aethelhelmem przesłuchali gońca i dowiedzieli się, że biskup Werferth posłał do starego grobowca zaufanych księży, którzy potwierdzili prawdziwość plotek o aniołach. Posłaniec nie posiadał się z radości.

– Aniołowie mówią, że Duńczycy nawrócą się na wiarę Chrystusową, a ty, panie, będziesz władał jednym królestwem Angelcynnu!

– Widzicie? – Ojciec Coenwulf, który uszedł z życiem po tym, jak zamknięto go w stajni tamtej nocy, kiedy udał się na modlitwę z Aethelwoldem, nie mógł się powstrzymać. – Widzisz, lordzie Uhtredzie?!

Wiek cudów jeszcze się nie skończył!

– Bogu niech będą dzięki! – orzekł Edward.

Gęsie pierze i karczemne dziwki. Bogu niech będą dzięki.

Natangrafum stało się miejscem pielgrzymek. Przybywały tam setki

ludzi, jednak większość odchodziła rozczarowana, albowiem anioły nie ukazywały się każdej nocy i bywało, że mijały tygodnie, a w grobowcu nie widziano światła, tak jak nie słyszano dziwnych śpiewów dobiegających z jego kamiennych trzewi. W końcu jednak anioły wracały i dolina u stóp mogiły rozbrzmiewała modlitwami ludzi szukających pomocy.

Tylko nieliczni mogli wejść do grobowca. Wybierał ich ojciec Cuthbert, który następnie prowadził ich obok zbrojnych strzegących starego grobowca. Byli to moi ludzie pod wodzą Rypere'a, choć porzecz zatknięty na szczycie wzgórza nieopodal wejścia do grobowca należał do Aethelflaed. Przedstawiał on pokracczną gęś, która w jednej błoniastej nóżce trzymała krzyż, a w drugiej miecz. Aethelflaed była przekonana, że chroni ją Święta Werburga, ta sama, która niegdyś ochroniła pole pszenicy, przepędzając stado głodnych gęsi.

Miał to być cud, a to znaczyło, że ja również umiałem czynić cuda. Byłem jednak zbyt rozsądny, by jej o tym mówić. Sztandar z gęsią oznaczał, że strażnicy należą do Aethelflaed, i każdy, kto wchodził do grobowca, zakładał, że znajduje się on pod jej opieką. Zresztą nietrudno było w to uwierzyć, albowiem nikt nie dałby wiary, że Uhtred Niegodziwy może strzec miejsca, do którego pielgrzymują chrześcijanie. Minąwszy strażników, odwiedzający podchodził do grobowca – nocą oświetlanego przez świece z knotami z sitowia – i bliźniaczych stosów czaszek ustawionych po obu stronach niskiego wejścia do jaskini. Cuthbert klękał z nim i modlił się, a następnie kazał mu pozbyć się broni i kolczugi.

– Anielska obecność nakazuje pozbyć się wszelkiej broni – dodawał posępnie i częstował go naparem ze srebrnego kubka. – Wypij wszystko – mówił.

Nigdy nie próbowałem tego naparu przygotowywanego przez Ludę. Wystarczyło, że pamiętałem miksturę podaną mi przez Aelfadell.

– Zsyła im sny, panie – wyjaśnił mi Ludda przy okazji jednej z moich

nielicznych wizyt w Turcandene.

Towarzysząca mi Aethelflaed uparła się, by powąchać ów napar.

– Sny? – spytała.

– Zdarza się też, że niektórzy wymiotują, pani – odparł Ludda. – Ale tak, sny.

Nie, żeby potrzebowali snów – kiedy wypili napar i wzrok im się zamglił, Cuthbert prowadził ich w głąb długiego przejścia. W środku widzieli kamienne ściany, po obu stronach wykute w skale komnaty pełne kości, a wszystko to skąpane w blasku świec. Tymczasem przed nimi były anioły. Trzy, nie dwa, kuliły się razem na końcu korytarza otoczone białymi piórami skrzydeł.

– Wybrałem trzy, bo trzy to święta liczba – wyjaśnił Cuthbert. – Każdy z nich symbolizuje jednego członka Trójcy Świętej.

Gęsie pióra przyklejono do skały. Tworzyły wachlarze, które w wąłym świetle nietrudno było pomylić ze skrzydłami. Ludda potrzebował całego dnia, żeby tego dokonać, a następnie przez większą część miesiąca uczył dziewczęta ich obowiązków. Kiedy ktoś wchodził, śpiewały łagodnie.

Cuthbert nauczył je onirycznej melodii, niewiele głośniejszej od nucenia i pozbawionej słów, która odbijała się echem od kamiennych ścian.

Mehrasa była głównym aniołem. Jej ciemna skóra, czarne włosy i oczy przydawały jej tajemniczości – aby ją podkreślić, Ludda umieścił pośród gęsich piór kilka czarnych, kruczych. Dziewczęta były odziane w proste szaty z białego płótna, a ciemnoskóra Mehrasa nosiła na szyi ciężki złoty łańcuch.

Mężczyźni patrzyli z bezbrzeżnym podziwem i nic dziwnego, albowiem wszystkie trzy były wyjątkowej urody. Obie Frankijki miały bardzo jasne włosy i duże niebieskie oczy. W mrokach grobowca wydawały się nierealne, choć Ludda mówił, że często chichotały w chwilach, gdy powinny zachować najwyższą powagę.

Żaden z odwiedzających prawdopodobnie nie zwrócił na to uwagi. Należący do Luddy dziwny głos zdawał się dobiegać zza litej skały. Mówił im, że oto stoją przed aniołem śmierci i dwoma aniołami życia, że powinni adresować swe pytania do wszystkich trzech i cierpliwie czekać na odpowiedź. Pytania były ważne, świadczyły bowiem o tym, czego ludzie chcą się dowiedzieć, choć w większości przypadków dotyczyły one rzeczy błahych. Czy dostaną spadek po krewnym? Jakie będą żniwa? Niektóre były rozdzierającymi serce błaganiami o życie dziecka albo żony, inne modlitwami o pomyślny wyrok sądu w sprawie sąsiedzkiej kłótni. Ze wszystkimi Ludda radził sobie najlepiej, jak mógł, podczas gdy trzy dziewczki nuciły swą tęskną, smutną melodię. Następnie przychodził czas na poważniejsze pytania. Kto będzie rządził Mercją? Czy dojdzie do wojny? Czy Duńczycy ruszą na południe i wydrą ziemię Sasom? Dziwki, pióra i grobowiec były siecią, w którą złapaliśmy kilka interesujących ryb. Beortsig, którego ojciec płacił pieniądze Sigurdowi, przybył do grobowca, bo chciał się dowiedzieć, czy Duńczycy podbiją Mercję i posadzą na tronie uległego Mercjanina. Co ciekawsze, do wykutej w skale jaskini przesiąkniętej wonią płonących kadzideł ściągnął Sigebriht z Kentu, który pytał o los Aethelwolda.

– I co mu powiedziałeś? – spytałem Luddę.

– To, co kazałeś mi powiedzieć, panie: że wszystkie jego marzenia i nadzieje się spełnią.

– I spełniły się tamtej nocy?

– Seffa wypełniła swój obowiązek – zapewnił mnie z powagą.

Seffa była jedną z Frankijek.

Aethelflaed zerknęła na dziewczynę. Ludda, ojciec Cuthbert i trzy anioły mieszkali w rzymskim domu w Turcandene.

– Lubię to miejsce – powitał mnie tymi słowami ojciec Cuthbert. – Myślę,

że powinienem mieszkać w większym domu.

– Święty Cuthbert Wygodny?

– Święty Cuthbert Ukontentowany – odparł.

– A Mehrasa?

Posłał jej pełne uwielbienia spojrzenie.

– Prawdziwy anioł, panie.

– Wygląda na szczęśliwą – zauważyłem i rzeczywiście tak było.

Wątpiłem, by w pełni rozumiała dziwne rzeczy, o które ją proszono, ale szybko uczyła się języka i była pojętna. – Mógłbym jej znaleźć bogatego męża – droczyłem się z Cuthbertem.

– Panie! – Wyglądał na urażonego, a zaraz potem się nachmurzył. – Jeśli się zgodzisz, panie, chciałbym wziąć ją za żonę.

– Czy ona tego chce?

Zachichotał, naprawdę zachichotał, i przytaknął skwapliwie.

– Tak, panie.

– A zatem nie jest tak bystra, jak mogłoby się wydawać – mruknąłem kwaśno. – Jednak najpierw musi wykonać swoje zadanie. A jeśli będzie brzemienna, zamuruję cię żywcem razem z innymi kośćmi.

Grobowiec spełniał swoje zadanie. Pytania zadawane przez ludzi świadczyły o tym, co chodziło im po głowie, i tak pełne niepokoju zapytania Sigebrihta o Aethelwolda utwierdziły mnie w przekonaniu, że nie porzucił on swoich ambicji zostania królem Kentu, jeśli Aethelwold pozbawi Edwarda tronu. Drugim zadaniem aniołów było zaprzeczanie napływającym z południa plotkom i przepowiedniom Aelfadell, według których Duńczycy już wkrótce mieli zapanować nad całą Brytanią. Plotki te przygnębiały ludzi zarówno w Mercji, jak i w Wessexie. Teraz jednak ci sami ludzie słyszeli inne proroctwo, które mówiło, że to Sasi zwyciężą, i wiedziałem, że

wiadomość ta tchnie ducha walki w Sasów i zaintryguje i rozjuszy Duńczyków. Chciałem ich sprowokować. Chciałem ich pokonać.

Mniemam, iż pewnego dnia, długo po mojej śmierci, Duńczycy znajdą przywódcę, który ich zjednoczy, a wówczas świat stanie w płomieniach, a hale Walhalli zapełnią się uczującymi wojownikami, ale Duńczycy, których znałem, których kochałem i przeciwko którym walczyłem, byli kłótniwi i podzieleni. Kapłan mojej obecnej małżonki, idiota, mówi, że to dlatego, iż Bóg zasiał wśród nich ziarno niezgodny, jednak moim zdaniem Duńczycy to uparci, dumni i niezależni ludzie, którzy niechętnie gną kolana przed człowiekiem tylko dlatego, że nosi on koronę. Podążą za kimś, kto dzierży w dłoni miecz, lecz gdy ten zawiedzie, równie ochoczo rozpierchną się, by szukać kolejnego wodza. I tak oto ich armie jednoczą się, rozpadają i znowu jednoczą. Znałem Duńczyków, którym niemal udało się utrzymać potężną armię i poprowadzić ją ku zwycięstwu. Byli wśród nich Ubba, Guthrum, a nawet Haesten. Wszyscy próbowali i koniec końców wszyscy zawodzili. Duńczycy nie walczyli za sprawę ani nawet za kraj, a już z pewnością nie za wiarę – walczyli za siebie, a kiedy ponosili porażkę, ich armie znikwały, a ludzie zaczęli szukać innego pana, który da im srebro, kobiety i ziemię. Moje anioły były przynętą, która miała przekonać ich, że dzięki wojnie można zyskać sławę.

– Czy grobowiec odwiedzali jacyś Duńczycy? – spytałem Ludde.

– Dwóch, panie – odparł. – Obaj byli kupcami.

– I co im powiedziałaś?

Ludda się zawahał, zerknął na Aethelflaed i znowu na mnie.

– Powiedziałem im to, co kazałeś, panie.

– Tak?

Przytaknął i uczynił znak krzyża.

– Powiedziałem, że umrzesz, panie, a Duńczyk zdobędzie wielką sławę

za zabicie Uhtreda z Bebbanburga.

Aethelflaed gwałtownie wciągnęła powietrze i podobnie jak Ludda uczyniła znak krzyża.

– Co im powiedziałaś? – spytała.

– To, co kazał lord Uhtred, pani – odparł nerwowo Ludda.

– Kuisz los – zbeształa mnie.

– Chcę sprowokować Duńczyków – rzuciłem. – Potrzebuję przynęty.

Plegmund bowiem się mylił, podobnie jak Aethelhelm i Edward. Pokój to piękna rzecz, lecz możemy o nim mówić tylko wtedy, gdy nasi wrogowie są zbyt przerażeni, by wszczynać wojnę. Duńczycy siedzieli cicho nie dlatego, że uciszył ich chrześcijański bóg, ale dlatego, że byli zajęci innymi rzeczami.

Edward chciał wierzyć, że porzucili swe marzenia o podbiciu Wessexu, ja jednak wiedziałem, że wcześniej czy później nadciągną. Aethelwold również nie porzucił swego marzenia. On także wróci, a wraz z nim dzika horda Duńczyków zbrojnych w miecze i włócznie. Ja tymczasem wyczekiwałem ich powrotu. Chciałem mieć to za sobą. Chciałem być mieczem Sasów.

Oni jednak nie nadciągali.

Nigdy nie pojmę, dlaczego Duńczycy tak długo zwlekali, by wykorzystać śmierć Alfreda. Przypuszczam, że gdyby Aethelwold był bardziej charyzmatycznym przywódcą, a nie tylko słabym człowiekiem, nadeszliby szybciej, oni jednak czekali tak długo, aż mieszkańcy Wessexu uwierzyli, że bóg wysłuchał ich modlitw i sprawił, że ludzie Północy spokornieli.

Tymczasem moje anioły nuciły swe dwie melodie – jedną przeznaczoną dla uszu Sasów i drugą, dla Duńczyków – i może to one zdecydowały o biegu wydarzeń. Wielu wikingów chciało przybić moją czaszkę do ściany szczytowej, a pieśń dziewcząt miała ich do tego zachęcić.

Mimo to się wahali.

Arcybiskup Plegmund triumfował. Dwa lata po koronacji Edwarda

zostałem wezwany do Wintanceasteru, gdzie musiałem wysłuchać kazania w nowo wybudowanym imponujących rozmiarów kościele. Plegmund, surowy i gwałtowny, twierdził, że bóg pokonał Duńczyków tam, gdzie zawiedli ludzie i miecze.

– Nadchodzi kres dni – grzmiał – i wkrótce ujrzymy nadejście królestwa Chrystusowego.

Pamiętam tamtą wizytę, bo wówczas ostatni raz widziałem Aelswith, wdowę po Alfredzie. Udawała się do klasztoru, na co, jak słyszałem, nalegał sam Plegmund. Dowiedziałem się tego od Offy.

– Aelswith popiera arcybiskupa – rzekł Offa – ale ten jej nie znosi!

Podobno bez ustanku suszy mu głowę.

– Współczuję zakonnicom – odparłem.

– Boże drogi, będą tańczyły, jak im zagra – przyznał Offa z uśmiechem.

Był już stary. Nadal miał swoje psy, ale nie szkolił nowych. – Są mi teraz druhami – wyznał, drapiąc teriera po głowie. – Razem się starzejemy. – Siedział ze mną w Dwóch Żurawiach. – Cierpię, panie – dodał.

– Przykro mi.

– Wkrótce Bóg zawezwie mnie do siebie – rzekł. I się nie mylił.

– Podróżowałeś tego lata?

– Nie było łatwo – odparł – ale tak. Udałem się na północ i na wschód.

Teraz wracam do domu.

Położyłem pieniądze na stole.

– Opowiedz mi, co się dzieje.

– Szykują się do ataku – powiedział.

– Wiem.

– Jarl Sigurd wrócił do zdrowia, a zza morza przybywają kolejne łodzie.

– Łodzie zawsze przepływają się przez morze – zauważyłem.

– Sigurd rozesłał wici, że będzie ziemia do podziału.

– Wessex.

Pokiwał głową.

– I tak oto do Brytanii ściągają kolejne załogi.

– Gdzie dokładnie?

– Zbierają się w Eoferwicu – rzekł Offa. To samo słyszałem od kupców, którzy wracali z Northumbrii. Wciąż przyływały nowe statki pełne ambitnych, głodnych wojaczki wojowników, jednak kupcy, wszyscy co do jednego, twierdzili, że armia gromadzi się, by uderzyć na Szkotów. – Chcą, żebyście tak myśleli – rzekł Offa. Dotknął jednej z monet leżących na stole i przez chwilę wodził palcem po odcisniętej w srebrze głowie Alfreda. – Pomysł z Natangrafum był sprytny. – Uśmiechnął się przebiegle.

Nie odpowiedziałem od razu. Obok tawerny przechodziło stado gęsi i widząc je, jeden z psów zaczął ujadać.

– Nie wiem, o czym mówisz – odparłem w końcu bez przekonania.

– Nikomu nie mówiłem – zapewnił mnie Offa.

– Coś ci się zdaje, Offo.

Spojrzał na mnie i uczynił znak krzyża na kościstej piersi.

– Przysięgam, panie, że nikomu nie mówiłem. Ale trzeba ci oddać, że sprytnie postąpiłeś. Rozjuszylesz jarla Sigurda! – Zachichotał i kościaną rękojeścią noża rozłupał orzech laskowy. – Co mówił jeden z twoich aniołów? Że Sigurd jest nic nieznaczącym, kiepsko wyposażonym mężem? – Znów zachichotał i pokręcił głową. – Rozzłościło go to, panie. Może dlatego Sigurd daje Eohricowi pieniądze... mnóstwo pieniędzy. Eohric dołączy do pozostałych Duńczyków.

– Edward mówi, że Eohric przysięgał mu pokój – zauważyłem.

– Sam wiesz, panie, ile są warte przysięgi Eohrica – prychnął Offa. –

Szykują się do tego, co powinni byli zrobić dwadzieścia lat temu. Zjednoczą siły przeciwko Wessexowi. Wszyscy Duńczycy i wszyscy Sasi, którzy nienawidzą Edwarda.

– Ragnar? – spytałem.

Ragnar był moim starym druhem, człowiekiem, którego uważałem za brata i którego nie widziałem od siedmiu lat.

– Nie czuje się dobrze – odparł łagodnie Offa. – Nie na tyle dobrze, żeby maszerować.

Zasmuciło mnie to. Gdy rozlałem ale, jedna z karczemych dziewczek podeszła, by sprawdzić, czy dzban jest pusty, ale odprawiłem ją machnięciem ręki.

– A Kent? – spytałem Offę.

– O co pytacie, panie?

– Sigebriht nienawidzi Edwarda i chce własnego królestwa.

Offa pokręcił głową.

– Sigebriht to młody głupiec, panie, ale jego ojciec trzyma go w ryzach.

Kent pozostanie lojalny – dodał z przekonaniem.

– Sigebriht nie rozmawia z Duńczykami?

– Jeśli tak, nic mi o tym nie wiadomo – rzekł starzec. – Nie, panie, Kent jest lojalny. Sigelf wie, że sam go nie utrzyma, a Wessex jest dla niego lepszym sojusznikiem niż Duńczycy.

– Powiedziałeś to wszystko Edwardowi?

– Powiedziałem ojcu Coenwulfowi. – Coenwulf był najbliższym doradcą Edwarda i nie odstępował go na krok. – Powiedziałem mu nawet, gdzie nastąpi atak.

– Czyli?

W milczeniu spojrział na monety. Westchnąłem i położyłem na blacie

dwie kolejne. Offa zgarnął monety na swoją stronę stołu i ułożył z nich równą linię.

– Chcą, żebyście myśleli, że zaatakują z Anglii Wschodniej – odparł – ale to nieprawda. Zaatakują z Ceasteru.

– Skąd możesz to wiedzieć? – spytałem.

– Od Brunny – odparł.

– Żony Haestena?

– To prawdziwa chrześcijanka.

– Naprawdę? – Zawsze wierzyłem, że chrzest żony Haestena był cyniczną sztuczką, która miała na celu zwieść Alfreda.

– Widziała światło – rzucił kpiąco Offa. – Tak, panie, naprawdę.

Zwierzyła mi się. – Spojrzał na mnie smutnym wzrokiem. – Byłem nigdyś księdzem. Możliwe, że kto raz był księdzem, nigdy nie przestaje nim być. Chciała się wypowiedzieć i otrzymać sakrament, więc, Boże dopomóż, dałem jej to, czego chciała, i teraz, Boże dopomóż, zdradziłem sekret, który mi powierzyła.

– Duńczycy zgromadzą armię w Anglii Wschodniej?

– Zobaczysz, panie, jestem tego pewien, ale nie zobaczysz armii, którą gromadzą w Ceasterze, a to właśnie ona pomaszeruje na południe.

– Kiedy?

– Po zniwach. – Offa przemawiał pewnym cichym głosem, który tylko ja byłem w stanie usłyszeć. – Sigurd i Kanut gromadzą największą armię w dziejach Brytanii. Powiadają, że już czas raz na zawsze zakończyć tę wojnę. Nadejdą po zniwach, kiedy będą mieli czym wykarmić swoich ludzi.

Chcą najechać Wessex w sile, jakiej nikt jeszcze nie widział.

– Wierzysz Brunnie?

– Żywi urazę do męża, więc tak, wierzę jej.

– A co na ten temat mówi Aelfadell? – dopytywałem.

– Mówi to, co Kanut każe jej mówić. Że atak nadejdzie ze wschodu i Wessex upadnie. – Westchnął. – Chciałbym dożyć czasów, gdy to wszystko się skończy, panie.

– Przeżyjesz spokojnie kolejnych dziesięć lat – zapewniłem go.

On jednak pokręcił głową.

– Nie, panie, czuję, że anioł śmierci depta mi po piętach. – Zawahał się.
– Zawsze byłeś dla mnie dobry, panie. – Skłonił głowę. – Jestem twoim dłużnikiem.

– Niczego nie jesteś mi winien.

– Jestem, panie – upierał się. Podniósł wzrok i ze zdumieniem ujrzałem w jego oczach łzy. – Nie każdy był dla mnie dobry, lecz ty, panie, zawsze byłeś wobec mnie hojny.

Zawstydziły mnie jego słowa.

– Miałem z ciebie wiele pożytku – bąknąłem zakłopotany.

– A więc z szacunku do ciebie i wdzięczności ofiaruję ci ostatnią radę. – Urwał i, ku memu zaskoczeniu, przesunął monety w moją stronę.

– Nie – rzekłem.

– Proszę, panie – obstawał przy swoim. – Chcę ci podziękować. – Przesunął monety jeszcze bliżej mnie. Otarł wierzchem dłoni łzę, która spłynęła mu po policzku. – Nikomu nie ufaj, panie – szepnął. – Strzeż się Haestena i armii na zachodzie. – Podniósł wzrok i ośmielił się dotknąć mojej ręki. – Uważaj na armię w Ceasterze i nie pozwól, panie, by poganie nas wygubili.

Umarł tego lata.

Potem nadeszły żniwa.

A po nich nadciągnęli poganie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pojałem to później, choć wiedza ta była dla mnie niewielkim pocieszeniem. Drużyna zbrojnych przyjechała do Natangrafum, a ponieważ pośród nich było wielu Sasów, ich obecność nikogo nie zdziwiła. Nadjechali pewnego wieczoru, kiedy grobowiec był pusty, pokój trwał już bowiem tak długo, że trzy anioły pojawiały się coraz rzadziej, jednak jeźdźcy dokładnie wiedzieli, dokąd się udać. Pojechali prosto do rzymskiego domu nieopodal Turcandene, gdzie zaskoczyli garstkę strażników. Zabijali szybko i wprawnie.

Kiedy przybyłem nazajutrz, zobaczyłem krew, mnóstwo krwi.

Ludda nie żył. Zakładałem, że próbował bronić domu. Jego wypatroszone zwłoki leżały rozciągnięte w progu. Twarz miał wykrzywioną bólem. Oprócz niego nie żyło ośmiu moich ludzi, a ich ciała ograbiono z kolczug, bransolet i wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Na ścianie, w miejscu, gdzie rzymski tynk nadal trzymał się cegieł, ktoś namalował krwią prymitywny rysunek kruka w locie. Strużki krwi ściekły po ścianie, a pod zakrzywionym złowróźnie kruczym dziobem widniał odcisk dłoni.

– Sigurd – rzuciłem gorzko.

– To jego symbol, panie? – spytał Sihtric.

– Tak.

Dziewczęta zniknęły. Domyślałem się, że uprowadzili je najeźdźcy, lecz jeśli tak było, nie udało im się znaleźć ciemnoskórej Mehrasy. Razem z ojcem Cuthbertem ukryli się w pobliskich lasach i wyszli dopiero wtedy,

kiedy mieli pewność, że moi ludzie otoczyli dom pierścieniem. Cuthbert płakał.

– Panie, panie – powtarzał w kółko. Padł przede mną na kolana, wyłamując swoje wielkie ręce.

Mehrasa była bardziej opanowana, choć uparła się, że nie przejdzie przez zakrwawiony próg, gdzie nad rozplatanym brzuchem Luddy klębiły się roje much.

– Co się stało? – spytałem Cuthberta.

– Boże, panie – odparł drżącym głosem.

Wymierzyłem mu siarczysty policzek.

– Co się stało? – powtórzyłem.

– Przyjechali o zmierzchu, panie – wyznał, próbując spleść drżące dłonie.

– Było ich wielu! Naliczyłem dwudziestu czterech ludzi. – Musiał przerwać, tak bardzo się trząśł, a gdy znów przemówił, z jego gardła dobyło się żałosne miauknięcie. Chwilę później zobaczył gniew malujący się na mojej twarzy i wziął głęboki wdech. – Szukali nas, panie.

– Co masz na myśli?

– Szukali wokół domu. I w starym sadzie przy stawie.

– Ukryliście się.

– Tak, panie. – Płakał, a jego głos był tylko trochę głośniejszy od szeptu.

– Święty Cuthbert Tchórzliwy, panie.

– Nie bądź głupcem – warknąłem. – Co mogłeś poradzić przeciwko tak wielu?

– Zabrali dziewczęta, a resztę pozabijali. Lubilem Ludę.

– Ja też go lubilem – odparłem – ale teraz musimy go pogrzebać. – Naprawdę lubilem Ludę. Był bystrym draniem i dobrze mi służył. Co gorsza, zaufał mi, a teraz leżał rozplatanym od pachwiny po żebra, a nad jego

ciałem brzęczały muchy. – Co robiliście, kiedy ich wyrzynali? – spytałem Cuthberta.

– Oglądaliśmy zachód słońca ze wzgórza – odparł.

Roześmiałem się bez humoru.

– Oglądaliście zachód słońca!

– Tak, panie – rzekł urażony.

– I od tego czasu siedzieliście w ukryciu?

Powiódł wzrokiem po trupach i przesiąkniętej krwią ziemi, zadrżał gwałtownie i zwymiotował. Pomyślałem, że do tego czasu anielice wyznały Duńczykom całą prawdę o podstępie, a ci się z nas śmieją. Spojrzałem na północ i wschód, wypatrując na niebie nitek dymu zwiastujących początek wojny, lecz niczego takiego nie zobaczyłem. Chciałem wierzyć, że zabójcy, wzięwszy pomstę, wrócili w bezpieczne miejsce, ale czy o to im chodziło? O statki w Snotengaham?

A jeśli szukali zemsty, skąd wiedzieli, że to ja wpadłem na pomysł z aniołami? Czy pokój Plegmunda roztrzaskał się na tysiąc krwawych kawałków? Najeźdźcy nie podpalili domu, co sugerowało, że nie chcieli ściągać na siebie uwagi.

– Mówisz, że byli wśród nich Sasi? – spytałem Cuthberta.

– Słyszałem, jak rozmawiali, panie – odparł. – Tak, byli wśród nich Sasi.

Ludzie Aethelwolda? Jeśli tak, oznaczało to wojnę, a to z kolei znaczyło, że jeśli Offa miał rację, Duńczycy zaatakują z Ceasteru.

– Wykopcie mogiły – nakazałem swoim ludziom. Musieliśmy pogrzebać ciała, posłałem jednak Sihtrica i trzech wojów z powrotem do Fagranfordy.

Nieśli rozkazy, by wszyscy mieszkańcy udali się do Cirrenceastre i zabrali ze sobą żywy inwentarz. – Powiedz pani Aethelflaed, że ma wyruszyć na południe do Wessexu – przykazałem mu. – Niech przekaże wieści Aethelredowi i swojemu bratu. Król Edward musi się o wszystkim

dowiedzieć! Powiedz jej, że potrzebuję ludzi i że wyruszyłem na północ w stronę Ceasteru. Niech Finan sprowadzi tu wszystkich wojowników.

Trzeba było dnia, by zebrać moich wojów. Pochowaliśmy Ludę i pozostałych na cmentarzu w Turcandene, a ojciec Cuthbert zmówił modlitwy nad świeżymi mogiłami. Wciąż wpatrywałem się w niebo, nigdzie jednak nie zauważyłem śladów dymu. Była pełnia lata, po błękitnym niebie płynęły obłoki, my tymczasem kierowaliśmy się na północ, nie wiedząc, czy jedziemy na wojnę, czy też nie.

Wiodłem ze sobą ledwie stu czterdziestu trzech ludzi, jeśli zaś Duńczycy w istocie zamierzali uderzyć, spodziewałem się, że będą ich tysiące. Najpierw pojechaliśmy do Wygraceasteru, najbardziej wysuniętego na północ burhu w saskiej Mercji. Tamtejszy zarządca był wyraźnie zaskoczony naszym przyjazdem.

– Nic nie słyszałem o ataku Duńczyków, panie – zwrócił się do mnie.

Na ulicy przed imponujących rozmiarów domem biskupa odbywał się targ, choć sam biskup przebywał w Wessexie.

– Upewnij się, że wasze spichlerze są pełne – poradziłem zarządcy, który skłonił się wprawdzie, ale nie wyglądał na przekonanego. – Kto dowodzi tutejszym garnizonem?

Dowodził nim człowiek imieniem Wlenca, jeden z popleczników Aethelreda. Kiedy powiedziałem mu, że należy gotować się do wojny, zachnął się. Wszedł na wały, spojrzął na północ i nie zobaczył dymu.

– Wiedzielibyśmy, gdyby doszło do wojny – rzucił opryskliwie, a ja zauważyłem, że nie zwracał się do mnie „panie”.

– Nie wiem, czy już się zaczęła czy nie, ale należy założyć, że tak.

– Lord Aethelred wysłałby gońca, gdyby Duńczycy zaatakowali – upierał się.

– Aethelred drapie się po tyłku w Gleawecestre – mruknąłem gniewnie. –

To właśnie robiliście ostatnim razem, gdy Haesten i jego ludzie zaatakowali?
– Zmierzył mnie wściekłym spojrzeniem, ale nic nie powiedział. – Jak dotrzeć stąd do Ceasteru? – spytałem.

– Trzeba jechać rzymskim traktem – odparł, wskazując drogę.

– Trzeba jechać rzymskim traktem, panie – poprawiłem go.

Zawahał się, najwyraźniej chcąc mi się przeciwstawić, jednak zdrowy rozsądek wziął górę nad butą.

– Tak, panie – dodał.

– A teraz powiedz, czy dzień jazdy stąd jest jakieś miejsce zdatne do obrony.

Wzruszył ramionami.

– Możesz spróbować w Scrobbesburh, panie.

– Zwołaj fyrd – rozkazałem. – I wystaw warty na murach.

– Znam swoje obowiązki, panie – odparł, choć po jego zadziorności można było sądzić, że nie miał zamiaru wystawiać na mury dodatkowych ludzi prócz tych, którzy lenili się na warcie. Puste, niewinnie wyglądające niebo nie zwiastowało żadnych niebezpieczeństw i nie wątpiłem, że z chwilą, gdy wyjadę, wyśle gońca do Aethelreda z wiadomością, że niepotrzebnie panikuję.

I może rzeczywiście panikowałem. Jedyne dowody nadciągającej wojny były rzeź w Turcandene i szósty zmysł wojownika. Wojna musiała nadejść, zbyt długo czaiła się w ukryciu, i byłem pewien, że atak, w którym zginął Ludda, to jedynie iskra, z której już wkrótce wybuchnie wielki pożar.

Jechaliśmy na północ, podążając rzymskim traktem, który prowadził przez dolinę rzeki Saefern. Brakowało mi Luddy i jego zdumiewającej wiedzy na temat ścieżek Brytanii. Musieliśmy pytać o drogę, a i tak większość napotkanych ludzi była w stanie pokierować nas nie dalej jak do najbliższej wioski czy miejsciny. Scrobbesburh leżał na zachód od najkrótszej

drogi prowadzącej na północ, dlatego nie pojechaliśmy tam. Zamiast tego spędziliśmy noc pośród rzymskich ruin w miejscu zwanym Rochecestre, niemal tak dużym jak Londyn, jednak pełnym kruszejących ścian, spękanego bruku, przewracanych kolumn i potrzaskanego marmuru. Nieliczni mieszkańcy żyli w chatkach z plecionki z prętów i gałązek, które tuliły się do tego, co zostało z rzymskich domów, a ich owce i kozy pasły się pośród ruin dawnej chwały. Jedynym rozsądnym człowiekiem okazał się wymizerowany ksiądz. Na wieść o tym, że obawiam się ataku Duńczyków, pokiwał w osłupieniu głową.

– Dokąd pójdziecie, jeśli nadejdą? – spytałem go.

– Ja, panie, udałbym się do Scrobbesburhu.

– A więc idź już teraz – nakazałem mu. – I powiedz innym, by poszli z tobą. Jest tam jakiś garnizon?

– Złożony z mieszkańców, panie. Nie ma tam tana. Ostatniego zabili Walijczycy.

– A gdybym chciał dostać się stąd do Ceasteru? Którą drogę mam wybrać?

– Nie wiem, panie.

Miejsca takie jak Rochecestre przepełniają mnie rozpaczą. Uwielbiam budować, a jednak patrzę na to, co zrobili Rzymianie, i wiem, że nie jesteśmy w stanie stworzyć niczego nawet w połowie tak pięknego. Stawiamy solidne dębowe dwory, wznosimy mury z kamienia, sprowadzamy z kraju Franków kamieniarzy, którzy budują kościoły albo sale biesiadne z prymitywnymi kamiennymi kolumnami, gdy tymczasem Rzymianie wznosili budowle godne bogów. W całej Brytanii wciąż stoją domy, mosty, dwory i świątynie pobudowane przez nich setki lat temu. Ich dachy się zapadły, a tynk złuszczył, wciąż jednak stoją, a ja zachodzę w głowę, jak to możliwe, że ludzie, którzy stworzyli owe cuda, zostali pokonani. Chrześcijanie

powtarzają, że nieubłagane podążamy ku lepszym czasom, ku bożemu królestwu na ziemi, jednak moi bogowie obiecują tylko chaos końca świata i wystarczy rozejrzeć się dookoła, by zobaczyć, że wszystko niszczy i obraca się w perzynę, zwiastując nadejście chaosu. Nie pniemy się po drabinie Jakubowej do niebiańskiej perfekcji, lecz staczamy się w dół, w kierunku ragnaröku.

Nazajutrz nadciągnęły chmury, które zasnuły niebo, kiedy wjechawszy na niewielkie wzgórza, zostawiliśmy za sobą dolinę Saefern. Jeśli gdzieś były w niebo kłęby dymu, nie widzieliśmy żadnych jego źródeł, tylko znad wiejskich chat unosiły się cienkie jego smugi. Na zachodzie szczyty walijskich wzgórz niknęły w chmurach. Pomyślałem, że gdyby doszło do ataku, wiedzielibyśmy o tym. Spotkalibyśmy gońców gnających na złamanie karku albo uchodźców uciekających przed najeźdźcami. Zamiast tego przejeżdżaliśmy przez sielskie osady i pola – na których pierwsi żniwiarze machali sierpami – wciąż podążając rzymskim traktem ze stojącymi przy nim słupkami milowymi. Tereny opadały na północ w kierunku rzeki Dee.

Z upływem dnia zaczęło padać i tego wieczoru znaleźliśmy schronienie w przydrożnym dworze. Było to skromne miejsce z dębowymi ścianami osmalonymi przez ogień, który najwyraźniej nie zdołał strawić budynku.

– Próbowali – powiedziała nam właścicielka domu, wdowa, której mąż zginął z rąk ludzi Haestena – ale Bóg zesłał deszcz i on ugasił ogień. Mimo to ucierpiałam. – Duńczycy, powiedziała, zawsze byli w pobliżu. – A jeśli nie Duńczycy, to Walijczycy – dodała gorzko.

– Po co więc tu tkwić? – zapytał Finan.

– A dokąd miałabym pójść? Żyję tu od ponad czterdziestu lat. Miałabym zacząć wszystko od nowa? Kupicie ode mnie tę ziemię?

Całą noc deszcz przeciekał przez strzechę, ale rano przyniósł chłodny wiatr, który przegnał chmury. Byliśmy głodni, bo wdowa nie miała jedzenia

dla wszystkich moich ludzi, chyba że zabiłaby koguciki i świnie, które pognąła do pobliskiego lasu, kiedy siodłaliśmy konie. Oswi, mój sługa, zapinał popręg mojego rumaka, podczas gdy ja podszedłem do rowu wykopanego od północnej strony domu. Sikając, wpatrywałem się przed siebie. Chmury były niskie i ciemne, ale czy wzrok mnie mylił, czy daleko na horyzoncie zobaczyłem ciemniejszą smugę?

– Finanie! – zawołałem. – Czy to dym?!

– Bóg jeden wie, panie. Miejmy nadzieję, że tak.

Roześmiałem się.

– Miejmy nadzieję?

– Jeśli pokój potrwa dłużej, oszaleję.

– Jeśli potrwa do jesieni, wyprawimy się do Irlandii – obiecałem. – I rozłupiemy czaszki niektórym z twoich wrogów.

– Nie do Bebbanburga? – zapytał.

– Do tego będę potrzebował co najmniej tysiąca ludzi więcej, a żeby ich nająć, muszę wzbogacić się na wojnie.

– Wszyscy cierpimy z powodu mrzonek – rzekł tęsknie i spojrzał na północ. – Myślę, że to dym, panie. – Ściągnął brwi. – A może tylko chmura burzowa.

Wtedy nadjechali konni.

Było ich trzech. Jechali od północy co koń wyskoczy. Zobaczywszy nas, zjechali z drogi i pognali spienione, ubłocone konie w stronę dworu. Byli to ludzie Merewalha wysłani na południe, by ostrzec Aethelreda, że Duńczycy zaatakowali.

– Są ich tysiące, panie – powiedział jeden z nich podekscytowanym głosem.

– Tysiące?

– Nie sposób ich zliczyć.

– Gdzie są?

– W Westune, panie.

Nazwa ta nic mi nie mówiła.

– Gdzie to?

– Niedaleko stąd.

– Dwie godziny jazdy – dodał pomocnie drugi.

– A Merewalh?

– Wycofuje się, panie.

Przekazali mi wiadomość, z którą jechali do Aethelreda: armia Duńczyków wyruszyła z Ceasteru, zbyt liczna, by skromne siły Merewalha mogły stawić jej czoło. Duńczycy szli na południe, a Merewalh, mając w pamięci taktykę, którą posłużyłem się przeciwko Sigurdowi, wycofywał się w kierunku granicy z Walią w nadziei, że dzikie plemiona zejdą ze wzgórz, by zaatakować najeźdźców.

– Kiedy uderzyli? – spytałem.

– Ubiegłej nocy, panie. O zmierzchu.

Dziwna pora – pomyślałem – choć swoją drogą pewnie w ten sposób chciano zaskoczyć ludzi Merewalha. Jeśli tak, fortel się nie udał. Merewalh spodziewał się ataku – ostrzegli go zwiadowcy – i zdołał zbiec.

– Ilu ludzi ma teraz? – dopytywałem.

– Osiemdziesięciu trzech, panie.

– A kto przewodzi Duńczykom? Jakie proporce widzieliście?

– Kruka, panie, drugi z toporem wbitym w krzyż i jeszcze jeden z czaszką.

– Były i takie ze smokami – wtrącił drugi.

– I dwa z wilkami – dodał trzeci.

– I jeleni z krzyżami na łbie – rzucił pierwszy. Wydał mi się inteligentny i spostrzegawczy. Powiedział mi wszystko, co chciałem wiedzieć.

– Kruk w locie? – spytałem.

– Tak, panie.

– To Sigurd. Topór to znak Kanuta, a czaszka Haestena.

– A jeleni? – spytał.

– Aethelwolda – odparłem gorzko. Wyglądało więc na to, że Offa miał rację i Duńczycy zaatakowali z Ceasteru, a to oznaczało, że kierują się na południe, rzekomo pod wodzą Aethelwolda. Spojrzałem na północ i pomyślałem, że Duńczycy nie mogą być daleko stąd. – Lord Aethelred – zwróciłem się do pierwszego – pośle was pewnie do króla Edwarda.

– Pewnie tak, panie.

– Bo widzieliście Duńczyków – rzekłem. – Powiedzcie zatem królowi Edwardowi, że potrzebuję ludzi. Powiedzcie mu... – Zawiesiłem głos, próbując podjąć decyzję, której z czasem nie będę musiał zmieniać. – Powiedzcie mu, że spotkamy się w Wygraceasterze. A jeśli Wygraceaster będzie oblężony, niech szukają mnie w Cirrenceastre. – Już wówczas wiedziałem, że będziemy musieli się wycofać i zanim Edward wyśle posiłki, jeśli w ogóle je wyśle, możemy zostać zepchnięci na południe od Tamizy.

Trzej gońcy ruszyli na południe, my tymczasem parliśmy na północ ze zwiadowcami z przodu i po bokach. Zobaczyłem, że ciemność na porannym niebie nie była burzową chmurą, lecz dymem unoszącym się znad płonących strzech.

Jakże często widywałem na niebie smugi dymu zwiastującego wojnę, ciemne i skłębione, unoszące się zza drzew albo znad doliny, i wiedziałem, że kolejna osada albo dwór obraca się w popiół. Powoli jechaliśmy na północ.

Zobaczyłem wówczas na własne oczy, że pokój, o którym mówił

Plegmund, legł w gruzach, i pomyślałem, że był to pokój, który wykraczał poza ludzkie zrozumienie. Pokój Plegmunda był pojęciem z chrześcijańskiej świętej księgi i przekraczał wszelkie zrozumienie. Ponieważ Duńczycy długo siedzieli jak myszy pod miotłą, arcybiskup uwierzył, że jego bóg wytrzebił naszych wrogów, oni jednak złamali niezrozumiały pokój, a osady, gospodarstwa i młyny stały w ogniu.

Minęła godzina, zanim ujrzelśmy Duńczyków. Zwiadowcy wrócili, żeby powiedzieć nam, gdzie jest wróg, choć wystarczyło spojrzeć na bijący w niebo dym i drogę, na której tłoczyli się ludzie próbujący umknąć przed najeźdźcami. Wjechaliśmy na szczyt zalesionego wzgórza i patrzyliśmy na płonące wsie. Pod nami w dole znajdował się dwór ze stodołami i spichlerzami. Pełno było w nim ludzi, którzy uwijali się jak w ukropie, ładując na stojący przy dworze wóz świeżo zebrane plony.

– Ilu? – spytałem Finana.

– Trzy setki – odparł. – Co najmniej trzy setki.

W rozległej dolinie za dworem było ich jeszcze więcej. Drużyny Duńczyków przeczesywały łąki, szukając zbiegów albo kolejnych miejsc, które można by splądrować. Dostrzegłem grupę kobiet i dzieci, które oszczędzono i których strzegli uzbrojeni w miecze Duńczycy. Domyślałem się, że trafią oni na zamorski targ niewolników. Kolejny wóz wypełniony po brzegi garnkami, rożnami, krosnami, grabiami, motykami i wszystkim, co mogło okazać się przydatne, toczył się na północ. Tuż za nim szły pojmane kobiety i dzieci, a także wielkie stado bydła. Zamykający pochód mężczyzna cisnął na kryty strzechą dach dworu płonąca pochodnię. Gdzieś w dolinie rozległ się dźwięk rogu, stopniowo Duńczycy odpowiedzieli na jego wezwanie i dosiadłszy koni, ruszyli w stronę drogi.

– Chryste – jęknął Finan. – Są ich setki.

– Widzisz czaszkę? – spytałem, spoglądając na ludzki czerep zatknięty na

kiju.

– Haesten – mruknął Finan.

Wypatrywałem Haestena, jednak konnych było zbyt wielu. Nie widziałem innych sztandarów, przynajmniej żadnych, które bym rozpoznawał. Przez chwilę kusił mnie, żeby ruszyć ze swoimi ludźmi na wschód, zjechać ze wzgórza i odciąć drogę duńskim maruderom, powstrzymałem się jednak.

Większe drużyny wikińskich wojowników jechały nieco z przodu, tak więc konni z pewnością ruszyliby za nami w pościg, a ich przewaga liczebna była miażdżąca. Duńczycy nie jechali szybko, ich konie były wypoczęte i dobrze odżywione, ja zaś miałem jechać przed nimi, patrzeć, co robią i dokąd zmierzają.

Wróciliśmy na drogę. Cały dzień cofaliśmy się, mając za plecami Duńczyków. Widziałem, jak płonie dwór wdowy, smugi dymu na wschodzie i zachodzie, a bijące w niebo słupy ognia sugerowały, że trzy wikińskie drużyny pustoszą kraj. Duńczycy nie zadali sobie nawet trudu, by wysłać zwiadowców, wiedzieli, że ich armia jest wystarczająco liczna, by nas rozgromić. Tymczasem ja i moi ludzie wciąż musieliśmy się cofać. Teraz, gdy to wspominam, myślę, że byłem ślepy. Nie miałem pojęcia, z iloma Duńczykami przyjdzie nam się zmierzyć. Wiedziałem tylko, że są ich setki, patrzyłem na dym zasnuwający niebo i byłem wściekły, tak wściekły, że większość moich ludzi unikała mojego wzroku. Ale nie Finan.

– Potrzebujemy jeńca – rzekł, lecz Duńczycy byli ostrożni. Trzymali się w grupach, te zaś były zbyt liczne, byśmy mogli się z nimi rozprawić. – Nie spieszą się – zauważył. – Dziwne. W ogóle się nie spieszą.

Staliśmy na kolejnym wzgórzu i obserwowaliśmy przemarsz duńskiej armii. Zjechaliśmy z drogi, bo Duńczycy deptali nam po piętach, a zbiegła ludność garnęła się do nas, przez co byliśmy widoczni jak na dłoni. Kazałem

uciekinierom iść na południe, podczas gdy my przyglądaliśmy się Duńczykom ze wzgórz na wschód od traktu i z upływem dnia byłem coraz bardziej zdumiony. Tak jak mówił Finan – Duńczycy nigdzie się nie spieszyli. Byli jak szczury w niestrzeżonym spichlerzu, przetrząsali każdą chatę, każdy dwór i każde gospodarstwo, brali wszystko, co mogło okazać się przydatne, jednak tę część kraju łupiono już wcześniej – stanowiła część niebezpiecznych ziem między saską a duńską Mercją – tak więc łupy były znikome. Prawdziwa grabież czekała ich na południu, czemu więc nie było im spieszno? Dym ostrzegał mieszkańców okolicznych wsi o ich nadejściu i ludzie mieli czas zakopać kosztowności albo je wynieść. Nie miało to sensu. Duńczycy zbierali ochłapy, podczas gdy prawdziwa ucza dopiero ich czekała, co więc robili?

Wiedzieli, że ich obserwujemy. Nie sposób ukryć stu czterdziestu trzech ludzi nawet wśród drzew. Musieli nas zobaczyć, choć nie byli świadomi, z kim mają do czynienia, albowiem celowo nie rozwinąłem swego sztandaru. Gdyby wiedzieli, że Uhtred z Bebbanburga jest tak blisko, a jego oddział tak niewielki, mogliby zadać sobie więcej trudu, jednak dopiero późnym popołudniem próbowali sprowokować nas do walki, a i wtedy niespecjalnie się wysilili. Siedmiu konnych ruszyło na południe pustą już teraz drogą. Jechali niespiesznie, widziałem jednak, że nerwowo zerkają w kierunku lasu, w którym się ukrywaliśmy.

– Zgubili się. – Sihtric uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Wcale nie – rzucił cierpko Finan.

– To pułapka – wyjaśniłem.

Ich plan był zbyt oczywisty. Chcieli, żebyśmy zaatakowali, a wówczas pogalopowaliby na północ i powiedli nas prosto w zasadzkę.

– Nie baczcie na nich – nakazałem i ruszyliśmy dalej na południe, przekraczając dział wodny, tak że przed nami w zwodniczo spokojnych

cieniach wieczoru widziałem migotliwe wody rzeki Saefern.

Było mi spieszno, chciałem znaleźć miejsce, w którym moglibyśmy w miarę bezpiecznie przeczekać noc z dala od Duńczyków. Jakiś czas potem zobaczyłem kolejne migotanie, ledwie błysk pośród wydłużających się cieni. Wyteżając wzrok, spojrzałem w lewo, gdzie dostrzegłem ów rozbłysk, i zastanawiałem się, czy mi się zdawało, czy istotnie coś tam było. Wtedy znów coś błysnęło.

– Dranie – syknąłem, wiedziałem już bowiem, dlaczego Duńczycy zwlekali z pościgiem. Wysłali ludzi, którzy mieli zająć nas od wschodniej flanki, jednak promienie zachodzącego słońca odbiły się od hełmu albo ostrza włóczni i teraz widziałem ich, czających się pośród drzew uzbrojonych wojowników. – Jazda! – krzyknąłem na swoich ludzi.

Ostrogi i strach. Szalona galopada w dół zbocza, tętent kopyt, tarcza objająca się o moje plecy, pochwa tłukąca o siodło. Po lewej stronie zoczyłem Duńczyków, którzy wypadli na nas spomiędzy drzew, zbyt wielu Duńczyków. Poganiali konie z nadzieją, że odetną nam drogę ucieczki.

Mogłem skrócić na zachód, obawiałem się jednak, że i tam czekają na nas wrogowie, a wówczas wjechalibyśmy wprost na ich miecze. Tak więc jedyną nadzieją była karkołomna ucieczka na południe, byle dalej od duńskich szczęk, które się na nas zaciskały.

Gnałem w kierunku rzeki. Nie mogliśmy jechać szybciej niż nasze najwolniejsze konie – nie bez strat w ludziach. Tymczasem Duńczycy mknęli jak strzały. Wiedziałem, że jeśli uda nam się dotrzeć do rzeki, może ujdziemy z życiem. Musieliśmy wjechać konno do wody, a jeśli przeżyjemy ową szaloną przeprawę, stawimy czoło Duńczykom na drugim brzegu.

Powiedziałem zatem Finanowi, by jechał w kierunku, gdzie ostatni raz widzieliśmy słońce odbite od powierzchni wody. Sam jechałem ostatni, zasypywany grudkami wilgotnej ziemi wyrywanych przez końskie kopyta.

Chwilę później zaalarmowany krzykiem Finana podniosłem wzrok i zobaczyłem konnych. Zakląłem, ale gnałem dalej przed siebie. Nie zwalniając, sięgnąłem po Oddech Węża.

– Szarżujcie na nich! – wrzasnąłem.

Nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Znaleźliśmy się w pułapce i naszą jedyną nadzieją było przedrzeć się przez jadący ku nam wrogi oddział, nad którym, jak mi się zdawało, mieliśmy przewagę liczebną.

– Zabijajcie i jedźcie dalej! – krzyknąłem do swoich ludzi i spiąłem konia, chcąc wysforować się naprzód. Byliśmy teraz blisko drogi, której błotnistą powierzchnię żłobiły ślady kopyt i koleiny. W galopie mijaliśmy chaty, poletka obsadzone warzywami, sterty gnoju i chlewy. – Nie zbaczajcie z drogi! – zawołałem, wysuwając się na czoło naszej małej kolumny. – Zabijcie drani i nie zwalniajcie!

– To nasi! – ryknął Finan. – To nasi, panie! To nasi!

W istocie był to Merewalh, który wyjechał nam na spotkanie.

– Tędy, panie! – zakrzyknął do mnie, wskazując drogę, a jego ludzie dołączyli do moich.

Kopyta zadudniły na ubitej ziemi po obu stronach splekanego rzymskiego traktu. Obejrzałem się przez lewe ramię i zobaczyłem Duńczyków, którzy prawie nas doganiali, jednak my mieliśmy przed sobą niskie wzgórce zwieńczone palisadą. Fort – stary i zrujnowany, ale był naszą jedyną nadzieją. Skręciłem gwałtownie, a gdy znowu się obejrzałem, zobaczyłem, że sześciu Duńczyków wysforowało się naprzód, zostawiając swoich towarzyszy daleko w tyle.

– Finanie! – krzyknąłem, ściągnąłem wodze i zawróciłem rumaka.

Tuzin moich ludzi, widząc, co robię, również zawróciło, wyrzucając w powietrze grudki błota. Spiąłem konia, uderzyłem go w zad płazem miecza, jednak w tej samej chwili Duńczycy również zawrócili. Jeden z ich koni

poślizgnął się i runął na ziemię. Jego jeździec podniósł się niezdarnie, chwycił strzemień stojącego obok rumaka, wskoczył na siodło za plecami towarzysza i odjechali.

– Stać! – krzyknąłem, nie do Duńczyków, lecz do swoich ludzi, albowiem z naprzeciwka nadjeżdżał ku nam pokaźny wrogi oddział. – Wracajcie! – ryknąłem. – Wracajcie i kierujcie się do fortu!

Wzgórze i stojący na nim niszczący fort znajdowały się w przesmyku utworzonym przez szerokie zakole rzeki Saefern. Mieściła się tam osada z kościołem i kilkoma chatami, choć ziemia w znacznej mierze była tu bagnista, a roślinność skarłowaciała. Przybyli tu również uciekinierzy, a ich bydło, świnie, gęsi i owce pałętały się wśród małych, krytych strzechą chatynek.

– Co to za miejsce?! – zawołałem do Merewalha.

– Nazywa się Scrobbesburh, panie! – odkrzyknął.

Zbudowano je dla ochrony. Przesmyk miał trzysta kroków szerokości, a do jego obrony miałem swoich stu czterdziestu trzech ludzi, do których dołączyli teraz zbrojni Merewalha. Jednak znaczną część uchodźców stanowili mężczyźni, którzy brali udział w pospolitym ruszeniu i mieli topory, włócznie, łuki łowieckie, a nawet kilka mieczy. Merewalh rozstawił ich na całej długości przesmyku.

– Ilu masz ludzi? – spytałem go.

– Trzy setki, panie, oprócz swoich osiemdziesięciu trzech wojowników.

Duńczycy nas obserwowali. Było ich teraz około stu pięćdziesięciu, a od północy nadciągali kolejni.

– Zostaw w forcie stu ludzi – nakazałem Merewalhowi.

Fort mieścił się w południowej części przesmyku, a to znaczyło, że trzeba będzie bronić dłuższego północnego stoku wzgórza. Blisko rzeki grunt był bagnisty i wątpiłem, by Duńczycy przedarli się tamtędy, ustawiłem więc mur

tarcz u podnóża wzniesienia, na skraju bagien. Słońce staczało się za horyzont. Pomyślałem, że Duńczycy powinni zaatakować właśnie teraz, oni jednak czekali, a ich oddziały rosły w siłę. Nasza śmierć musiała zatem poczekać do rana.

Tamtej nocy prawie nie zmrużyliśmy oka. Rozpaliłem ogniska na całej długości przesmyku, na wypadek gdyby wróg postanowił zaatakować w środku nocy, i patrzyliśmy, jak coraz więcej duńskich ognisk płonie na północy. Ich blask, odbity od wiszących nisko chmur, zmieniał niebo w ognistą łunę. Przykazałem Rypere'owi, by udał się do wioski i poszukał jedzenia. W Scrobbesburhu utknęło co najmniej osiem setek ludzi i nie miałem pojęcia, jak ich wszystkich wyżywić, choć przypuszczałem, że jedzenia wystarczy na ledwie kilka dni, nawet gdybyśmy zarżnęli całą trzodę. Finan wraz z tuzinem ludzi poczęli rozbierać chaty – z otrzymanego drewna zamierzaliśmy ustawić barykadę.

– Rozsądniej byłoby przepłynąć konno rzekę i jechać dalej na południe – uznał Merewalh.

– Czemu więc tego nie zrobisz? – spytałem.

Uśmiechnął się i wskazał głową śpiące na ziemi dzieci.

– Miałbym je zostawić na pastwę Duńczyków, panie?

– Nie wiem, jak długo zdołamy się tu utrzymać – ostrzegłem go.

– Lord Aethelred wyśle armię – odparł.

– Wierzysz w to?

– A może król Edward. – Uśmiechnął się półgębkiem.

– Może – przyznałem. – Ale miną dwa–trzy dni, zanim twoi posłańcy dotrą do Wessexu, kolejne dwa, zanim zapadną jakieś decyzje, a my do tego czasu zdążymy tu zginąć.

Słyszając to, Merewalh się wzdrygnął, lecz prawda była taka, że jeśli pomoc jeszcze nie wyruszyła, nasz los był przesądzony. Fort przedstawiał

sobą żaloszny widok – był pozostałością po zamierchłej wojnie przeciwko Walijczykom, którzy od zawsze łupili zachodnie tereny Mercji. Wykopany wokół niego rów nie zatrzymałby kaleki, a palisada okazała się tak przegniła, że dałoby się ją przewrócić jedną ręką. Barykada, którą wznieśliśmy, była śmiechu warta – ot, rzucone na kupę belki stropowe, które mogły zatrzymać pojedynczego człowieka, ale nie zmasowany atak. Wiedziałem, że Merewahl ma rację: powinniśmy byli przekroczyć rzekę i jechać na południe do miejsca, gdzie będzie można zebrać armię, lecz chcąc to zrobić, musieliśmy porzucić ludzi, którzy szukali schronienia w zakolu rzeki.

Zresztą Duńczycy pewnie już przeprawili się przez rzekę. Na zachodzie były brody, zgadywałem więc, że zechcą otoczyć Scrobbesburh, by odciąć drogę ewentualnym posiłkom. Prawdę mówiąc, miałem nadzieję, że Duńczycy będą chcieli przeć dalej na południe, zamiast tracić ludzi w potyczce z nami. Była to marna nadzieja i późną nocą, niedługo przed tym, jak niebo na wschodzie poczęło szarzeć, poczułem rozpacz człowieka, którego los jest przesądzony. Trzy Norny nie zostawiły mi wyboru, jak tylko zatknąć swój sztandar na szczycie wzgórza i chwycić za miecz. Pomyślałem o Stiorze, swojej córce, i zapragnąłem zobaczyć ją raz jeszcze. Niedługo potem nadszedł świt, a wraz z nim mgła. Od zachodu napłynęły wiszące nisko chmury, z których począł siąpić deszcz.

W oparach mgieł widziałem duńskie proporce. Pośrodku dostrzegłem znak Haestena – ludzką czaszkę zatknietą na długim kij. Wiatr był zbyt słaby, by łopotać sztandarami, nie widziałem więc, czy malunki na nich przedstawiają orły, kruki, czy może dziki. Policzyłem proporce. Było ich co najmniej trzydzieści, choć mgła ukryła niektóre z nich, a pod wilgotnymi sztandarami Duńczycy ustawiali mur tarcz.

My mieliśmy dwa sztandary. Merewalh jechał pod proporcem Aethelreda – przedstawiającym stojącego dęba białego rumaka – który zatkniety na

szczyt fortu, zwisał teraz smętnie z wysokich drzewców. Mój porzecz z głową wilka stał nieco niżej na północ. Rozkazałem Oswiemu, swojemu słudze, by ściął młode drzewko i wyciosał drugie drzewce, tak bym mógł rozpiąć sztandar i pokazać Duńczykom, z kim mają do czynienia.

– To mi wygląda na zaproszenie – rzekł Finan. Tupnął nogami w wilgotną ziemię. – Pamiętaj, że anioły wieszczły twoją śmierć. Ci tam, w dole, chcą przybić twoją czaszkę do ściany szczytowej.

– Nie zamierzam się przed nimi ukrywać – odparłem.

Finan uczynił znak krzyża i powiódł posępnym wzrokiem po szeregach wroga.

– Przynajmniej zginiemy szybką śmiercią – dodał.

Mgły powoli się podnosiły, choć nadal nie przestawało mżyć. Pół mili dalej, między dwoma młodnikami, Duńczycy uformowali szereg. Był on gęsty od malowanych tarcz, szczelnie wypełniał przestrzeń między drzewami i miałem wrażenie, że ciągnie się dalej w głąb lasu. Dziwne – pomyślałem, ale w tej nagłej wojnie niczego nie dało się przewidzieć.

– Siedmiuset ludzi? – zgadywałem.

– Może dranie chcą, żebyśmy to my ich zaatakowali? – mruknął Finan. – A wtedy zajdą nas z obu stron?

– Wiedzą, że nie zaatakujemy – odparłem.

Mieli nad nami przewagę liczebną, a większość naszych ludzi nie była wyszkolonymi wojownikami. Duńczycy wiedzieli o tym choćby dlatego, że ludzie biorący udział w pospolitym ruszeniu rzadko byli wyposażeni w tarcze.

Widzieli mur tarcz ustawiony przez moich zbrojnych w środku naszego szeregu, tak jak widzieli, że po obu jego stronach stoją pozbawieni tarcz prości ludzie. Łatwy łup – pomyślałem i nie miałem wątpliwości, że pod naporem Duńczyków fyrd złamie się jak gałązka.

Tyle że ci stali między drzewami, mimo iż mgła się podniosła, a deszcz przybrał na sile. Od czasu do czasu uderzali mieczami w tarcze i wywrzaskiwali coś, choć byli zbyt daleko, bym mógł zrozumieć słowa.

– Czemu nie atakują? – Głos Finana brzmiał żałośnie.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, nie miałem bowiem pojęcia, co robią Duńczycy. Byliśmy zdani na ich łaskę, oni jednak czaili się między drzewami, zamiast atakować. Poprzedniego dnia ruszali się jak muchy w smole, a dziś stali nieruchomo. Czy tak miała wyglądać ich wielka inwazja? Pamiętam, że patrzyłem na nich w zamyśleniu, gdy nad naszymi głowami przeleciały dwa łabędzie. Poczytałem to za znak, lecz cóż mógł on oznaczać?

– Ilu zdołamy zabić, zanim wyrzną nas wszystkich? – spytałem Finana.

– Dwie setki? – odparł.

– Dlatego nie atakują – rzekłem, a on spojrzał na mnie pytająco. – Kryją się między drzewami nie dlatego, że mają nadzieję, że zaatakujemy, ale po to, żebyśmy nie wiedzieli, jak wielu ich jest. – Urwałem, czując, jak w mojej głowie kiełkuje pewien pomysł. – Albo raczej jak niewielu – dodałem.

– Niewielu? – spytał Finan.

– To nie jest ich wielka armia – rzekłem z nagłą pewnością siebie. – To pozorowany atak. Nie ma tu Sigurda ani Kanuta. – Zgadywałem, ale tylko takie wytłumaczenie przychodziło mi do głowy.

Ktokolwiek dowodził tymi Duńczykami, miał pod sobą mniej niż tysiąc ludzi i nie zamierzał tracić dwóch–trzech setek w последней potyczce. Miał za zadanie zatrzymać nas tu i ściągnąć do doliny Saefern resztę saskiej armii, kiedy nadejdzie prawdziwy atak. Tylko skąd? Z morza?

– Myślałem, że Offa mówił... – zaczął Finan.

– Drań płakał – rzuciłem wściekle. – Ronił łzy, żeby przekonać mnie, że to, co mówi, jest prawdą. Zapewniał, że odpłaca mi za moją dobroć, tyle że ja nigdy nie byłem dla niego szczególnie dobry. Płaciłem mu jak każdy.

Najwyraźniej Duńczycy musieli zapłacić więcej, skoro naopowiadał mi takich bzdur. – I tym razem mogłem tylko snuć domysły, jednak nie widziałem innego powodu, dla którego Duńczycy jeszcze nas nie wyróżnili.

Nagle w samym środku ich szyku zrobiło się poruszenie, tarcze rozstąpiły się, by przepuścić trzech konnych. Jeden z nich trzymał w dłoni ulistnioną gałązkę, znak, że chcą rozmawiać, podczas gdy drugi miał na głowie wysoki, wykończony srebrem hełm, na którego szczycie zatknięto krucze pióra.

Zawołałem na Merewalha i przeszedłem wraz z nim i Finanem przez naszą pożałowania godną barykadę i dalej, przez wilgotne trawy, w stronę Duńczyków.

Człowiekiem w hełmie z kruczymi piórami okazał się Haesten. Hełm był przedniej roboty, jego koronę zdobił rzeźbiony wąż Midgardu. Ogon bestii chronił kark Haestena, a jego paszcza tworzyła grzebień, w który zatknięto kruczoczarne pióra. Na osłonach policzkowych wryto wizerunki smoków, pomiędzy których szczyrzyła się do mnie znajoma gęba.

– Lord Uhtred – powitał mnie radośnie.

– Pożyczyłeś czepek od żony? – zakpiłem.

– To dar od jarla Kanuta – odparł. – Który dotrze tu o zmierzchu.

– Zastanawiałem się, na co czekacie – odparłem. – Teraz już wiem.

Potrzebna wam pomoc.

Haesten uśmiechnął się pobłaźliwie. Mężczyzna z gałązką stał kilka kroków za nim, obok zaś drugi, w równie bogato zdobionym hełmie. Osłony policzków miał opuszczone, tak więc nie byłem w stanie dojrzeć jego twarzy.

Zbroję miał kosztowną, siodło i pas dekorowane srebrem, a na ramionach grube bransolety. Jego rumak wyraźnie się denerwował, a gdy jeździec poklepał go po szyi, zwierzę zatańczyło na mokrej ziemi. Haesten nachylił się i pogłaskał spłoszonego wierzchowca.

– Jarl Kanut przybędzie z Lodową Furią – oświadczył.

– Z Lodową Furią?

– To jego miecz – wyłuszczył Haesten. – On i ty, lordzie Uhtredzie, będziecie walczyć pośród gałązek leszczyny. Oto mój dar dla niego.

Mówiono, że żaden Duńczyk nie włada mieczem tak jak Kanut Ranulfson, walczył jak natchniony, był człowiekiem, który zabijał z uśmiechem na ustach i szczyił się swoją reputacją. Przyznam, że usłyszawszy słowa Haestena, przeląknęłam się. Walka w kręgu z gałązek leszczyny była zawsze walką na śmierć i życie. W ten sposób Kanut chciał zademonstrować swoje umiejętności.

– Z chęcią go zabiję – odparłam.

– Lecz czy twoje anioły nie przepowiedziały twej rychłej śmierci? – spytał rozbawiony Haesten.

– Moje anioły?

– Doskonały pomysł – rzucił. – Młody Sigurd sprowadził je do nas. Dwie piękności! Ależ sobie z nimi poużywał! Jak większość naszych.

A zatem jeźdźcem, który towarzyszył Haestenowi, był syn Sigurda, szczeniak, który chciał walczyć ze mną w Ceasterze. To on dowodził atakiem na Turcandene, choć nie wątpiłam, że jego ojciec posłał starszych i mądrzejszych ludzi, by mieć pewność, że jego syn nie popełni żadnych fatalnych w skutkach błędów. Przypomniałam sobie roje much latające nad ciałem Luddy i prymitywny malunek kruka na ścianie chaty.

– Kiedy będziesz zdychał, szczeniaku – zwróciłam się do niego – dopilnuję, żebyś nie miał w dłoni miecza. Podaruję twoje gnijące ścierwo bogini Hel. Zobaczymy, czy wtedy będziesz taki zadowolony, ty kupo nietoperzego łajna.

Sigurd Sigurdson wyciągnął miecz, ale zrobił to powoli, na znak, że nie zamierza mnie atakować.

– To Ognisty Smok – rzekł, trzymając ostrze pionowo.

– Zabawka godna szczeniaka – prychnąłem.

– Chcę, żebyś wiedział, jak brzmi nazwa miecza, który cię zabije – odparł i szarpnął końskim łbem, jak gdyby chciał mnie stratować, jednak rumak stanął dęba i Sigurd musiał pochwycić się grzywy, żeby nie wypaść z siodła.

Widząc to, Haesten nachylił się w jego stronę i chwycił za uzdę.

– Odłóż miecz, panie – zwrócił się do chłopaka i uśmiechnął się do mnie.
– Masz czas do wieczora, żeby się poddać – oznajmił. – W przeciwnym razie – jego głos brzmiał teraz ostrzej – wszyscy zginiecie. Jeśli zaś się poddasz, lordzie Uhtredzie, oszczędzimy twoich ludzi. Do wieczora! – Zawrócił konia i powlókł za sobą młodego Sigurda. – Do wieczora! – zawołał raz jeszcze, odjeżdżając.

To wojna, która wykracza poza ludzkie zrozumienie – pomyślałem. Po co zwlekali? Chyba że Haesten obawiał się, że straci jedną czwartą albo jedną trzecią swoich ludzi. Lecz jeśli rzeczywiście była to straż przednia wielkiej duńskiej armii, po co trwoniła czas w Scrobbesburhu? Zamiast marudzić tutaj, powinni maszerować szparko w kierunku saskiej Mercji, a następnie przeprowić się przez Tamizę i złupić Wessex. Każdy dzień zwłoki Duńczyków dawał Sasom czas na zwołanie fyrdu i zebranie armii, jeśli się nie myliłem, i był to pozorowany atak, a prawdziwe uderzenie miało nastąpić gdzieś indziej.

Tymczasem Duńczyków przybywało. Późnym rankiem, kiedy deszcz w końcu ustał, a zza chmur wyjrzało blade słońce, na wschodnim niebie zobaczyliśmy kolejne nitki dymu. Z początku cienkie. Szybko pęczniały i puchły, i w ciągu kolejnej godziny ujrzyliśmy dwie kolejne. A zatem wikingowie łupili okoliczne wsie. Następny duński oddział przeprowił się przez rzekę i patrolował jej zakole, w którym byliśmy uwięzieni. Osferth znalazł dwie łodzie – ledwie skóry naciągnięte na wierzbinowe szkielety – i wpadł na pomysł, by uczynić z nich tratwę, taką jak ta, na której

przeprawialiśmy się przez rzekę Use, jednak obecność duńskich jeźdźców wybiła mu z głowy podobne myśli. Nakazałem swoim ludziom wzmocnić barykadę dźwigarami i krokwiemi, by chronić fyrd i skierować atak na nasz mur tarcz. Szanse na to, że ujdziemy z życiem, były marne, ale musiałem zająć czymś ludzi, więc kazałem im rozebrać sześć chałup i znieść drewno do przesmyku, gdzie ustawiliśmy barykadę. Ksiądz, który schronił się w Scrobbesburhu, chodził wzdłuż linii umocnień i rozdawał moim ludziom kawałki chleba. Widziałem, jak klękali przed nim, a on kładł im okruchy na językach i sypał na nie grudki ziemi.

- Czemu to robi? – spytałem Osfertha.
- Pochodzimy z ziemi, panie, i do niej wracamy.
- Nigdzie nie pójdziemy, jeśli Haesten nie zaatakuje.
- Boi się nas?

Pokręciłem głową.

- To pułapka – odparłem.

Zastawiono wiele pułapek, odkąd próbowano mnie zabić w Dzień Świętego Alnotha, od fałszywego sojuszu z Eohrikiem, przez spalone przeze mnie statki Sigurda, aż po fortel z aniołami, jednak teraz Duńczycy zastawili największą z nich i wszystko wskazywało na to, że podziałała, albowiem po południu na drugim brzegu rzeki wybuchła panika, kiedy patrolujący go Duńczycy spięli konie i pognali na zachód. Coś ich przestraszyło. Wkrótce potem zobaczyliśmy większy oddział konnych. Ci jechali pod dwoma sztandarami – na jednym widniał krzyż, na drugim zaś smok. Nadciągali Sasi zachodni. Haesten ściągał ludzi do Scrobbesburhu, a ja nie miałem wątpliwości, że wszyscy jesteśmy potrzebni gdzieś indziej, gdzieś daleko stąd, w miejscu, gdzie uderzą Duńczycy.

Nowo przybyłymi dowodził Steapa. Zeskoczył z konia, stanął nad wodą na błotnistym cyplu i przystawiwszy dłonie do ust, krzyknął: – Gdzie

możemy się przeprawić?!

– Na zachodzie! – odkrzyknąłem. – Ilu was jest?!

– Dwustu dwudziestu!

– Mamy tu siedem setek Duńczyków – zawołałem – ale to chyba nie jest ich wielka armia!

– Nasi nadciągają! – krzyknął, nie bacząc na moje ostatnie słowa, i zaczął z powrotem gramolić się na brzeg.

Chwilę później ruszył na zachód i zniknął między drzewami, szukając mostu lub brodu. Ja tymczasem wróciłem na przesmyk i zobaczyłem, że Duńczycy wciąż stoją w szeregu. Musieli być znudzeni, nie próbowali nas jednak prowokować, choć niebawem zaczęło zmierzchać. Haesten musiał wiedzieć, że nie zamierzam się poddać, nie uczynił jednak nic, by spełnić swoje poranne groźby. Kolejny raz patrzyliśmy na rozświetlające mrok duńskie ogniska i wypatrywaliśmy Steapy. Patrzyliśmy i czekaliśmy, a dookoła nas gęstniała noc.

O świcie Duńczycy zniknęli.

Aethelflaed przybyła godzinę po wschodzie słońca. Towarzyszyło jej prawie stu pięćdziesięciu zbrojnych. Podobnie jak Steapa, ona również pojechała na zachód szukać brodu, i minęło południe, zanim spotkaliśmy się wszyscy razem.

– Myślałem, że jedziesz na południe – powitałem ją.

– Ktoś musi z nimi walczyć – prychnęła.

– Tyle że już ich nie ma – zauważyłem. Ziemia na północ od przesmyku upstrzona była dogasającymi ogniskami, jednak po Duńczykach zostały tylko wiodące na wschód ślady kopyt. Zgromadziliśmy armię, lecz nie mieliśmy z kim walczyć. – Haesten nie zamierzał stawać ze mną do walki – rzekłem. – Chciał nas tu tylko ściągnąć.

Steapa spojrział na mnie pytająco, jednak Aethelflaed wiedziała, co mam

na myśli.

– Gdzie więc są?

– Skoro my jesteśmy na zachodzie – odparłem – oni muszą być na wschodzie.

– I Haesten wyruszył, by do nich dołączyć?

– Tak sędzę – przytaknąłem.

Rzecz jasna nie mogliśmy być niczego pewni poza tym, że ludzie Haestena nadciągnęli od południa, od strony Ceasteru, a później, nie wiedząc czemu, odjechali na wschód. Edward, podobnie jak Aethelflaed, odpowiedział na moje pierwsze ostrzeżenie i posłał ludzi na północ, by donieśli mu o ewentualnym ataku. Steapa miał potwierdzić prawdziwość mojej wiadomości i wracać do Wintanceasteru. Aethelflaed zignorowała mój rozkaz, by schronić się w Cirrenceastre, i zamiast tego przybyła na północ ze swoją drużyną. Mówiła, że inne mercyjskie oddziały wezwano do Gleawecestre.

– To mi dopiero niespodzianka – rzuciłem zjadliwie.

Aethelred, tak jak ostatnim razem, gdy Haesten najechał Mercję, wolał chronić własne ziemie i zostawił resztę kraju na pastwę losu.

– Powiniennem wracać do króla – oświadczył Steapa.

– Jakie masz rozkazy? – spytałem. – Dowiedzieć się, gdzie zaatakują Duńczycy?

– Tak, panie.

– I wiesz już?

– Nie. – Pokręcił głową.

– W takim razie ty i twoi ludzie pojedziecie ze mną – odparłem. – A ty – dodałem, patrząc na Aethelflaed – powinnaś udać się do Cirrenceastre albo dołączyć do brata.

– A ty – Aethelflaed wskazała na mnie – nie rozkazuj mi, bo i tak zrobię to, co będę chciała. – Spojrzała na mnie wyzywająco, ja jednak milczałem. – Czemu nie rozprawimy się z Haestenem? – spytała.

– Bo nie mamy dość ludzi – odparłem cierpliwie. – I dlatego, że nie wiemy, gdzie podziewa się reszta Duńczyków. Chcesz ruszyć do walki przeciwko Haestenowi i odkryć, że masz za plecami trzy tysiące pijanych miodem, żądnych krwi wikingów?

– Więc co mamy robić? – spytała.

– Rób, co ci każę – odparłem.

I tak oto wyruszyliśmy na wschód po śladach zostawionych przez armię Haestena. Niebawem zauważyliśmy, że najeźdźcy przestali łupić i palić osady. To znaczyło, że Haestenowi było spieszno. Ignorował sposobności do szybkiego wzbogacenia się, bo – jak mniemałem – miał jak najszybciej dołączyć do wielkiej duńskiej armii, gdziekolwiek się ona znajdowała.

My również się spieszyliśmy, jednak drugiego dnia dotarliśmy w pobliże Liccelfeld, a ja miałem tam coś do załatwienia. Wjechaliśmy do miasteczka, które choć nie miało murów, mogło pochwalić się wielkim kościołem, dwoma młynami, klasztorem i imponującym dworem zamieszkałym przez biskupa. Wielu ludzi zbiegło na południe, szukając schronienia za ostrokołem burhu, i nasz przyjazd wywołał panikę. Ujrzelśmy ludzi uciekających w stronę pobliskiego lasu, myśleli bowiem, że jesteśmy Duńczykami.

Napoiwszy konie w dwóch strumieniach przepływających przez miejscinę, posłałem Osfertha i Finana, by kupili jedzenie. Tymczasem ja, Aethelflaed i trzydziestu zbrojnych udaliśmy się do drugiego największego budynku w mieście, imponującego nowo pobudowanego dworu w północnej części Liccelfeld. Wdowa, która w nim mieszkała, nie uciekła na nasz widok.

Zamiast tego czekała we dworze, a towarzyszył jej tuzin służących. Nosła imię Edith. Była młoda, ładna i twarda, choć sprawiała wrażenie

kruchej. Miała okrągłą twarz, sprężyste rude loki i pełne kształty. Nosiła zabarwioną na złoto lnianą suknię, a na szyi ciężki złoty łańcuch.

– Jesteś wdową po Offie – zwróciłem się do niej, na co skinęła głową. – Gdzie jego psy?

– Utopiłam je – odparła.

– Ile jarl Sigurd zapłacił twojemu mężowi, żeby nas okłamał?

– Nie wiem, o czym mówisz – rzekła.

Odwróciłem się do Sihtrica.

– Przeszukajcie dom – nakazałem. – Zabierzcie tyle jedzenia, ile będziecie potrzebować.

– Nie możesz... – zaczęła Edith.

– Mogę robić, co mi się żywnie podoba! – warknąłem na nią. – Twój mąż sprzedał Wessex i Mercję Duńczykom.

Była uparta i do niczego się nie przyznała, jednak liczne zbytki w nowo wybudowanym dworze mówiły same za siebie. Wdowa krzyczała na nas, podrapała mnie, kiedy zdjąłem jej z szyi złoty łańcuch, a gdy wychodziliśmy, przeklinała nas i złorzeczyła. Nie od razu opuściłem Liccelfeld. Zamiast tego udałem się na przykościelny cmentarz, gdzie moi ludzie wykopali ciało Offy.

Łajdak zapłacił księżom, by pochowano go w pobliżu relikwii Świętego Chada, wierzył bowiem, że owa bliskość przyspieszy jego wstąpienie do nieba, kiedy Chrystus powróci na ziemię. Ja jednak uczyniłem, co w mojej mocy, by strącić jego plugawą duszę wprost do chrześcijańskiego piekła.

Zanieśliśmy owinięte całunem gnijące ciało na skraj miasta i wrzuciliśmy je do strumienia. Dopiero wówczas ruszyliśmy na wschód, by odkryć, czy jego zdrada przesądziła o losach Wessexu.

CZEŚĆ CZWARTA
ŚMIERĆ ZIMĄ

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Wioska przestała istnieć. Chaty obróciły się w kopcące sterty osmalonych belek i popiołu, truchła czterech zarżniętych psów leżały na błotnistej ulicy, a smród zwęglonych ciał mieszał się z kłębami dymu. Na powierzchni stawu unosiło się nagie i opuchnięte kobiece ciało. Przycupnięte na ramionach kobiety kruki darły je dziobami. Na nadbrzeżnym kamieniu do prania zaschły czarne strużki krwi. Nad wioską górował wysoki wiąz. Jego gałęzie od południowej strony zajęły się ogniem od dachu kościoła i spłonęły, przez co drzewo wyglądało jak rażone piorunem – z jedną połową zieloną od liści, a drugą wyschniętą i łamliwą. Ruiny kościoła wciąż płonęły. Nikt nie uszedł z życiem, by zdradzić nam nazwę osady, choć bijące w niebo smugi dymu świadczyły o tym, że nie ona jedna została obrócona w kopcące zgliszcza.

Jechaliśmy na wschód po śladach drużyny Haestena. Wkrótce ślady kopyt skręciły na południe, na bardziej ubitą ścieżkę. Wydeptały ją setki koni, może nawet tysiące, a unoszące się znad ziemi kłęby dymu sugerowały, że Duńczycy kierują się na południe, w stronę doliny Tamizy i leżących nad nią bogatych ziem Wessexu.

– W kościele znaleźliśmy ciała – poinformował mnie Osferth. Głos miał spokojny, choć wyczuwałem jego gniew. – Mnóstwo ciał – dodał. – Musieli zamknąć ich w środku i podpalić świątynię.

– To jak podpalić dwór – odparłem, mając w pamięci dworzyszczce Ragnara Starszego, które spłonęło nocą, i krzyki uwieczonych w nim ludzi.

– Są wśród nich dzieci – ciągnął gniewnie. – Ich zwęglone ciała zdają

się wyschnięte na wiór!

– Ich dusze są teraz u Boga – próbowała go pocieszać Aethelflaed.

– Nie ma litości – orzekł Osferth, patrząc w niebo, na którym szare chmury mieszały się z ciemnym dymem.

Steapa również podniósł wzrok ku niebu.

– Idą na południe – mruknął. Myślał o swoich rozkazach, by powrócić do Wessexu, i martwił się, że zatrzymuję go w Mercji, podczas gdy duńska horda zagraża jego ojczyźnie.

– Albo do Londynu? – zgadywała Aethelflaed. – Może kierują się na południe w stronę Tamizy, a później ruszą w dół rzeki w kierunku Londynu?

Myślała to, co ja. Przypomniałem sobie niszczące mury miasta i zwiadowców Eohrica, którzy się im przyglądali. Alfred wiedział, jak ważny jest Londyn, i dlatego prosił mnie, bym go zdobył, ale czy Duńczycy również to wiedzieli? Ktokolwiek stacjonował w mieście, sprawował kontrolę nad Tamizą, ta zaś wpływała daleko w głąb Mercji i Wessexu. Londyn był miastem handlowym, do którego wiodły liczne drogi, i ten, do kogo należał, trzymał w dłoniach klucz do południowej Brytanii. Spojrzałem na południe i bijące w niebo smugi dymu. Duńska armia przechodziła tędy nie dalej jak dzień wcześniej, lecz czy było to ich jedyne wojsko? Może kolejne oblegało Londyn? Albo już go zajęło? Kusiło mnie, by udać się prosto do miasta i upewnić, że będzie dobrze strzeżone, ale żeby to zrobić, musiałbym zjechać ze szlaku zgliszczy, które pozostawiała po sobie wielka wikińska armia.

Aethelflaed patrzyła na mnie, czekając na odpowiedź, ja jednak milczałem. Siedzieliśmy w siodłach pośrodku spalonej osady, podczas gdy moi ludzie poili konie w stawie, w którym pływał trup. Aethelflaed, Steapa, Finan, Merewalh i Osferth patrzyli na mnie, ja tymczasem próbowałem postawić się w sytuacji tego, kto dowodził Duńczykami. Kanuta? Sigurda?

Eohrica? Nawet tego nie wiedzieliśmy.

– Pojedziemy za Duńczykami – orzekłem w końcu, wskazując głową widoczny na południu dym.

– Powiniennem dołączyć do swego pana – rzekł nieszczęśliwie Merewalh. Aethelflaed się uśmiechnęła.

– Pozwólcie, że powiem wam, co uczyni mój mąż – odparła, wymawiając słowo „mąż” z pogardą. – Otóż zatrzyma swe oddziały w Gleawecestre – ciągnęła – tak jak uczynił to podczas ostatniego najazdu Duńczyków. – Ujrzała wahanie na twarzy Merewalha. Był dobrym człowiekiem i jak wszyscy dobrzy ludzie chciał dotrzymać danego słowa i walczyć u boku swego pana, wiedział jednak, że Aethelflaed mówi prawdę. Ona tymczasem wyprostowała się w siodle. – Mój mąż – tym razem w jej głosie nie było pogardy – dał mi pozwolenie, bym mogła wydawać rozkazy jego ludziom. Rozkazuję ci więc, byś został ze mną. Merewalh wiedział, że Aethelflaed kłamie. Spoglądał na nią przez chwilę, po czym skinął głową.

– Tak więc uczynię, pani.

– Co ze zmarłymi? – spytał Osferth, wpatrując się w zgliszcza kościoła. Aethelflaed pochyliła się do przodu i delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Umarli muszą pogrzebać swoich umarłych – powiedziała.

Osferth wiedział, że nie ma czasu, by zapewnić zmarłym chrześcijański pochówek. Trzeba ich było zostawić. Wściekły zeskoczył z siodła i podszedł do dymiących ruin kościoła, gdzie przygasające płomienie lizały poczerniałe belki. Wyciągnął ze zgliszczy dwie osmalone deski. Jedna mierzyła mniej więcej pięć stóp, druga zaś znacznie mniej. Tak długo przetrząsał ruiny domów, aż znalazł kawałek rzemienia – może resztki skórzanego pasa – którym związał kawałki drewna i uczynił z nich krzyż.

– Za twoim pozwoleniem, panie – zwrócił się do mnie – chciałbym mieć własny sztandar.

– Syn króla winien mieć sztandar – odparłem.

Uderzył koślawym krzyżem w ziemię, strząsając zeń płatki popiołu. Przyznam, że ubawiłby mnie ten widok, gdyby nie wściekłość, która malowała się na jego twarzy.

– Oto mój sztandar – oświadczył, po czym przywołał swego sługę, głuchego niemowę imieniem Hwit, każąc mu nieść krzyż.

Podążaliśmy wydeptaną przez konie ścieżką na południe, mijając po drodze kolejne spalone wioski, dworzyszczce, z którego nie zostało nic prócz popiołów i osmalonych belek, i pola z żałośnie ryczącymi niewydojnymi krowami. Jeśli Duńczycy je zostawili, znaczyło to, że sami mają liczne stado – zbyt liczne, by je powiększać. Musieli też zabierać kobiety i dzieci, które chcieli sprzedać na targu niewolników. Już teraz byli zbyt liczni i zamiast szybkiej niebezpiecznej konnicy stali się powolnym pochodem jeńców, wozów i bydła. Wiedziałem, że ich oddziały nie przestaną grabić i mordować, a każdy z nich będzie wracał z łupami, które jeszcze bardziej spowolnią wielką duńską armię.

Przeprawili się przez Tamizę. Przekonaliśmy się o tym nazajutrz, gdy dotarliśmy do Cracgelad, gdzie zabiłem Aldhelma, człowieka Aethelreda. Mała miejscina była teraz burhem, a otaczający ją mur zbudowano nie z ziemi i drewna, lecz z kamienia. Umocnienia były dziełem Aethelflaed, która nakazała ich budowę nie dlatego, że miasteczko strzegło przejścia przez rzekę, ale dlatego, że była tu świadkiem drobnego cudu i wierzyła, że miejsce to zostało namaszczone przez nieżyjącą świętą. Cracgelad było teraz okazałych rozmiarów fortem z fosą okalającą nowe kamienne mury, nic więc dziwnego, że Duńczycy zignorowali garnizon i zamiast tego skierowali się ku drodze na grobli, wiodącej przez bagna na północnym brzegu Tamizy do rzymskiego mostu, który naprawiono w tym samym czasie, gdy odbudowano mury Cracgelad. My również podążyliśmy drogą na grobli, zatrzymaliśmy się na popas na północnym brzegu rzeki i spoglądaliśmy w

płonące niebo nad Wessexem, gdzie duńska armia plądrowała królestwo Edwarda.

Choć Aethelflaed przekształciła Cracgelad w burh, nad południową bramą miast pokracznej gęsi nadal powiewał sztandar jej męża ze stojącym dęba białym rumakiem. Niebawem przy bramie pojawił się tuzin mężczyzn, którzy ruszyli w naszą stronę. Jednym z nich był ksiądz, ojciec Kynhelm, i to on przekazał nam pierwsze wiarygodne wieści. Twierdził, że Aethelwold dołączył do Duńczyków.

– Stanął przed bramą, panie, i zażądał, byśmy się poddali.

– Rozpoznałeś go?

– Nigdy wcześniej go nie widziałem, panie, ale przedstawił się i zakładam, że mówił prawdę. Towarzyszyli mu Sasi.

– Nie Duńczycy?

Ojciec Kynhelm pokręcił głową.

– Duńczycy trzymali się z tyłu. Widzieliśmy ich, ale na moje oko ci, którzy podjechali pod bramę, byli Sasami. Wielu z nich krzyczało do nas, byśmy się poddali. Naliczyłem dwustu dwudziestu.

– Była wśród nich kobieta – dodał drugi.

Zignorowałem jego słowa.

– Ilu było Duńczyków? – zwróciłem się do ojca Kynhelma.

Ten wzruszył ramionami.

– Setki, panie, na polach zrobiło się od nich czarno.

– Aethelwold ma na sztandarze jelenia z krzyżami zamiast rogów – rzekłem. – To jedyny sztandar, jaki widzieliście?

– Widzieliśmy też czarny krzyż, panie, i proporzec z dzikiem.

– Dzikiem? – powtórzyłem.

– Miał wielkie kły, panie.

A więc Beortsig dołączył do swych panów. Oznaczało to, że armia, która plądrowała Wessex, była po części saska.

– Co odpowiedzieliście Aethelwoldowi? – spytałem ojca Kynhelma.

– Że służymy lordowi Aethelredowi, panie.

– Macie od niego jakieś wieści?

– Nie, panie.

– A jedzenie?

– Dość, by przetrwać zimę. Zbiory były obfite, Bogu niech będą dzięki.

– Ilu macie zbrojnych?

– Dwudziestu dwóch wojowników i fyrd.

– Ilu ludzi jest w fyrdzie?

– Czterystu dwudziestu, panie.

– Niech tu zostaną – nakazałem – bo Duńczycy pewnie wrócą.

Kiedy Alfred leżał na łożu śmierci, powiedziałem mu, że ludzie Północy wciąż nie nauczyli się, jak z nami walczyć, za to my nauczyliśmy się walczyć z nimi, i mówiłem prawdę. Duńczycy nie zadali sobie trudu, by zdobyć Cracgelad, zażądali jedynie, by jego mieszkańcy się poddali. A skoro idąca w tysiące duńska armia nie była w stanie zdobyć jednego małego burhu – choćby nie wiem, jak solidne były jego mury – nie miała szans zdobyć większych garnizonów Wessexu. Jeśli zaś Duńczycy nie byli w stanie podbić większych burhów, a co za tym szło, zniszczyć oddziałów Edwarda, w końcu musieli się wycofać.

– Jakie duńskie sztandary widzieliście? – spytałem Kynhelma.

– Żadnego nie widzieliśmy dość wyraźnie, panie.

– Co ma na sztandarze Eohric? – spytałem tych, którzy stali na tyle blisko, by mnie usłyszeć.

– Lwa i krzyż – odparł Osferth.

– Czymkolwiek jest lew – rzuciłem tylko. Chciałem wiedzieć, czy Anglowie wschodni Eohrica dołączyli do duńskiej hordy, jednak ojciec Kynhelm nie znał odpowiedzi.

Nazajutrz znów zaczęło padać. Krople deszczu tworzyły bańki na powierzchni Tamizy, przepływającej tuż za murami burhu. Wśród niskich chmur trudno było rozpoznać smugi dymu, miałem jednak wrażenie, że pożary płoną niedaleko na południe od rzeki. Aethelflaed udała się do klasztoru Świętej Werburgi na modlitwę, Osferth odszukał w miasteczku cieślę, który z pomocą gwoździ zrobił mu krzyż z prawdziwego zdarzenia, tymczasem ja wezwałem do siebie dwóch ludzi Merewalha i dwóch z oddziału Steapy. Posłałem Mercjan do Gleawecestre z wiadomością dla Aethelreda. Wiedziałem, że wieści ode mnie puści mimo uszu, dlatego też kazałem im powiedzieć, że przybywają z rozkazu króla Edwarda, który nakazuje, by powiódł wszystkich swoich ludzi do Cracgelad. Wyjaśniłem, że wielka duńska armia przekroczyła Tamizę nieopodal burhu i najpewniej tędy będzie się wycofywać. Rzecz jasna Duńczycy mogli przepłynąć się przez inny bród albo most, jednak ludzie mają w zwyczaju wybierać drogi i trakty, które zdążyli już poznać. Gdyby mercyjska armia zgromadziła się na północnym brzegu rzeki, a Edward przywiódłby z południa Sasów zachodnich, wzięlibyśmy Duńczyków w kleszcze. Ludzie Steapy zawieźli te same wieści Edwardowi, z tą jednak różnicą, że król miał wiedzieć, iż pochodzą one ode mnie i że sugeruję, by zgromadził armię i podążył za wycofującymi się Duńczykami, lecz by wstrzymał się z atakiem do czasu, aż przepłyną się przez rzekę.

Późnym rankiem powiedziałem swym ludziom, by osiedłali konie i byli gotowi do drogi, choć nie zdradziłem, dokąd się udajemy. Tuż przed naszym wyjazdem przybyli dwaj posłańcy od biskupa Erkenwalda z Londynu.

Nigdy nie lubiłem Erkenwalda, a Aethelflaed znienawidziła go po tym,

jak wygłaszając kazanie na temat cudzołóstwa, przez cały czas patrzył na nią, jednak biskup wiedział, co robi. Rozesłał gońców wzdłuż każdej rzymskiej drogi wychodzącej z Londynu i nakazał im, by szukali mercyjskich i zachodniosaskich oddziałów.

– Kazał nam cię wyglądać, panie – rzekł jeden z posłańców. Należał do garnizonu Weohstana i przynosił wieści, że Duńczycy wystają pod murami Londynu, choć nie ma ich zbyt wielu. – Jeśli im zagrozimy, panie, wycofają się.

– Czyi to ludzie?

– Króla Eohrica, panie. Jest też kilku pod sztandarem Sigurda.

A zatem Eohric dołączył do Duńczyków, nie do chrześcijan. Posłańcy Erkenwalda mówili, że słyszeli, że Duńczycy zgromadzili siły w Eoferwicu i stamtąd przeprawili się na statkach do Anglii Wschodniej, a kiedy zwabiono mnie do Ceasteru, wielka armia wsparta przez wojowników Eohrica przeprowiła się przez Use i ruszyła w głąb kraju, pozostawiając po sobie śmierć i pożogę.

– Co ludzie Eohrica robią w Londynie? – spytałem.

– Tylko patrzą, panie. Jest ich nie dość wielu, by mogli przypuścić atak.

– Ale wystarczająco wielu, by utrzymać oddziały wewnątrz murów – odparłem. – Czego więc chce biskup Erkenwald?

– Miał nadzieję, że udasz się do Londynu, panie.

– Powiedz mu, by zamiast tego wysłał mi połowę ludzi Weohstana – odparłem.

Prośba biskupa Erkenwalda, a raczej rozkaz ubrany przez gońców w nieco łagodniejsze słowa, była według mnie pozbawiona sensu. To prawda, że należało bronić Londynu, lecz armia, która zagrażała miastu, stacjonowała tutaj, na południe od Tamizy, więc gdybyśmy się pospieszyli, moglibyśmy ją tu osaczyć. Wrogi oddział pod Londynem miał zatrzymać tamtejszy garnizon

wewnątrz miasta i nie dopuścić do tego, by wyprawił się przeciwko wielkiej duńskiej armii. Spodziewałem się, że Duńczycy zaczną łupić i palić, w końcu jednak będą zmuszeni oblegać burh albo zostaną zaatakowani przez zachodniosaską armię, ważniejsze więc było dowiedzieć się, gdzie są i co planują, niż wyruszać do dalekiego Londynu. Żeby ich pokonać, musieliśmy zetrzeć się z nimi w otwartej walce i stanąć naprzeciw nich w murze tarcz.

Burhy mogły oddalić klęskę, lecz zwycięstwo zależało od walki twarzą w twarz, dlatego zamierzałem doprowadzić do niej, gdy Duńczycy będą ponownie przekraczać Tamizę. Wiedziałem tylko, że to my musimy wybrać pole bitwy, a Cracgelad, z pobliską rzeką, drogą na grobli i mostem, wydawał się miejscem dobrym jak każde inne. A na pewno równie dobrym jak most pod Fearnhamme, gdzie wyróżniliśmy armię Haralda Krwawowłosego po tym, jak schwytaliśmy ją w pułapkę, pozwalając tylko połowie jego wojska przepłynąć przez rzekę.

Dałem gońcom Erkenwalda świeże konie i odesłałem ich do Londynu. Nie liczyłem na to, że biskup wyśle posiłki, skoro rozkaz nie pochodził bezpośrednio od Edwarda. Dopiero wówczas przeprowiłem się z większością naszych ludzi przez rzekę. Merewalh został w Cracgelad. Przykazałem Aethelflaed, by została razem z nim, ona jednak zignorowała moje słowa i jechała u mego boku.

– Walka – warknąłem – to nie zajęcie dla kobiet.

– A co jest zajęciem dla kobiet, lordzie Uhtredzie? – spytała z udawaną słodyczą. – Proszę, proszę! Powiedz mi!

Szukałem pułapki ukrytej w pytaniu, wiedziałem bowiem, że jest jakaś pułapka, choć nie potrafiłem jej dostrzec.

– Kobięcym zajęciem – odparłem sztywno – jest dbanie o dom.

– Sprzątanie? Zamiatanie? Przędzenie? Gotowanie?

– Nadzorowanie służby, tak.

– I wychowywanie dzieci?

– To też – przyznałem.

– Innymi słowy – rzuciła zgryźliwie – kobiety powinny robić wszystko to, czego nie potrafią robić mężczyźni. Teraz wygląda na to, że mężczyźni nie potrafią walczyć, lepiej więc będzie, jeśli i tym się zajmę. – Uśmiechnęła się triumfalnie i roześmiała, widząc moją skwaszoną minę.

Po prawdzie cieszyło mnie jej towarzystwo. Nie chodziło tylko o to, że ją kochałem – obecność Aethelflaed zawsze inspirowała mężczyzn. Mercjanie ją uwielbiali. Może była Saksonką zachodnią, ale jej matka pochodziła z Mercji i Aethelflaed traktowała jej ojczyznę jak własną. Słyszała ze swej szczodrości – wspomagała niemal wszystkie klasztory żeńskie w Mercji, przeznaczając część dochodów z rozlicznych odziedziczonych majątków na pomoc wdowom i sierotom.

Przeprawiwszy się przez Tamizę, znaleźliśmy się na ziemiach Wessexu. Ta sama ubita końskimi kopytami ścieżka zdradzała miejsce, w którym wielka armia rozproszyła się w drodze na południe. Pierwsze mijane przez nas wioski zostały spalone do gołej ziemi, a deszcz, który spadł w nocy, zmienił ich popioły w szarawą breję. Wysłałem Finana i pięćdziesięciu ludzi przodem na zwiad i ostrzegłem ich, że widoczne na niebie smugi dymu są znacznie bliżej, niż można sądzić.

– Czego się spodziewałeś? – spytała mnie Aethelflaed.

– Że Duńczycy ruszą prosto na Wintanceaster – odparłem.

– I zaatakują?

– Tak myślałem – rzekłem. – Albo spustoszą okolice miasta w nadziei, że skłonią Edwarda do walki.

– Jeśli Edward tam jest – rzekła niepewnie.

Tymczasem Duńczycy, zamiast atakować Wintanceaster, plądrowali obszary na południe od Tamizy. Były to żyzne ziemie z dobrze

prosperującymi gospodarstwami i bogatymi osadami, choć znaczną część tych bogactw wywieziono do pobliskich burhów.

– Będą musieli oblegać burh albo odjechać – wyłuszczyłem – a zwykle brak im cierpliwości potrzebnej przy oblężeniu.

– Po co więc tu przyszli?

Wzruszyłem ramionami.

– Może Aethelwold myślał, że ludzie go poprą? Może liczą, że Edward wystawi przeciwko nim armię, a oni go pokonają?

– A zrobi to?

– Nie, dopóki nie będzie miał dość ludzi – odparłem z nadzieją, że tak właśnie się stanie. – Tymczasem – dodałem – Duńczyków spowalniają jeńcy i liczne łupy, część z nich odsyłają do Anglii Wschodniej.

Tak postępował Haesten, kiedy ostatnim razem plądrował Mercję. Jego armia poruszała się szybko, lecz bez przerwy wysyłał niewielkie oddziały, by eskortowały niewolnych i objuczone łupami muły do Beamfleot. Jeśli moje podejrzenia okazałyby się słuszne, Duńczycy będą odsyłali ludzi tą samą drogą, którą przyszli. Dlatego właśnie jechałem na południe, wypatrując jednego z duńskich oddziałów wiozącego łupy z powrotem do Anglii Wschodniej.

– Postąpiliby rozsądniej, wybierając inną drogę – zauważyła Aethelflaed.

– Żeby to zrobić, trzeba znać kraj. Znacznie prościej wracać do domu po własnych śladach.

Nie musieliśmy odjeżdżać daleko od mostu, gdyż Duńczycy byli zaskakująco blisko – naprawdę bardzo blisko. Niespełna godzinę później Finan wrócił z wieściami, że na okolicznych ziemiach grasują duże rozproszone grupy Duńczyków. Teren wznosił się tu stopniowo na południe i niszczycielskie pożary płonęły na horyzoncie, podczas gdy wojownicy znosili łupy i zaganiali niewolnych i bydło na niziny.

– Niedaleko stąd przy drodze jest wioska – rzekł Finan. – Albo raczej była. Gromadzą tam łupy. Drani jest nie więcej jak trzy setki.

Martwiłem się, że Duńczycy nie strzegli mostu w Cracgelad, znaczyło to bowiem, że nie obawiają się żadnego ataku ze strony Mercji. Wysłałem zwiadowców na wschód i zachód wzdłuż rzeki, żaden jednak nie napotkał Duńczyków. Wszystko wskazywało na to, że wróg był skupiony na płądrowaniu i nie spodziewał się ataku z drugiego brzegu Tamizy.

Poczytywałem to za beztroskę albo przemyślną zasadzkę.

Nasz oddział liczył niemal sześć setek ludzi. Gdyby istotnie była to pułapka, bylibyśmy godnym przeciwnikiem, zdecydowałem więc, że i my zasadzimy się na Duńczyków. Zaczynałem wierzyć, że Duńczycy byli nieostrożni albo zbyt pewni swej druzgocącej przewagi, my zaś znajdowaliśmy się za nimi i w każdej chwili mogliśmy zbiec, okazja wydawała się więc aż nazbyt dobra.

– Damy radę ukryć się wśród tych drzew? – spytałem Finana, wskazując głową las na południu.

– Można by tam ukryć i tysięczną armię – odparł.

– Zaczekamy w lesie – zdecydowałem. – Poprowadzisz wszystkich naszych ludzi – zwróciłem się do niego, mając na myśli wszystkich, którzy przysięgali mi wierność – i zaatakujecie suchych synów. A potem powiedzicie ich ku reszcie naszego oddziału.

Była to prosta zasadzka, tak prosta, że nie wierzyłem, iż może się powieść, jednak cała ta wojna wykraczała poza ludzkie zrozumienie. Przede wszystkim rozpoczęła się o trzy lata za późno i teraz, po tym, jak próbowali zwabić mnie do Ceasteru, Duńczycy zdawali się o mnie zapomnieć.

– Mają zbyt wielu przywódców – orzekła Aethelflaed, kiedy prowadziliśmy konie na południe rzymskim traktem wiodącym od mostu – i wszyscy są mężczyznami, więc żaden z nich nie ustąpi. Kłóć się między

sobą.

– Miejmy nadzieję, że nadal będą się kłócić – odparłem.

Wszedłszy między drzewa, rozproszyliśmy się. Ludzie Aethelflaed odeszli na prawo – posłałem z nimi Osfertha, by ją chronił. Wojownicy Steapy stanęli na lewo, ja zaś ustawiłem się pośrodku. Zsiadłem z konia, podałem lejce Oswiemu i poszedłem z Finanem na południowy skraj lasu.

Nasze przybycie spłoszyło gołębie, które rozpierzchnęły się między gałęziami, jednak Duńczycy nie zwracali na nas uwagi. Najbliżej stali dwieście–trzysta kroków od nas, nieopodal stada owiec i kóz. Jeszcze dalej dostrzegłem gospodarstwo i zgromadzony przed nim tłum ludzi.

– Jeńcy – szepnął Finan. – Kobiety i dzieci.

Byli i Duńczycy – ich obecność zdradzało duże stado osiodłanych koni pasących się na obsadzonym żywopłotem poletku. Trudno powiedzieć, ile ich było, ale naliczyłem co najmniej setkę. Gospodarstwo stanowiły niewielki dwór i dwie stodoły kryte błyszczącą w słońcu świeżą strzechą. Kolejni Duńczycy stali za dworem na polach, gdzie – jak się domyślałem – zaganiali bydło.

– Pojedziecie do dworu – zwróciłem się do Finana – zabijecie tyłu, ilu zdołacie, przywieziecie jeńca i zabierzecie ich konie.

– Najwyższy czas chwycić za miecze – skwitował radośnie.

– Poprowadź ich na nas – powiedziałem. – A my wygubimy psich synów do ostatniego. – Odwrócił się, ja jednak położyłem mu dłoń na ramieniu.

Nadal spoglądałem na południe. – To nie pułapka, prawda?

Finan podążył za moim wzrokiem.

– Dotarli aż tutaj bez walki – odparł. – Wydaje im się, że nikt nie śmie stawić im czoła.

Poczułem chwilową frustrację. Gdybym miał pod Cracgelad mercyjską armię i gdyby Edward sprowadził z południa wojowników Wessexu,

moglibyśmy zmiażdżyć Duńczyków, lecz z tego, co wiedziałem, byliśmy jedynym saskim oddziałem w pobliżu.

– Chcę ich tutaj zatrzymać – powiedziałem.

– Zatrzymać ich tutaj? – powtórzył Finan.

– Niedaleko mostu, żebyśmy mogli ich zmiażdżyć, gdy przybędzie król Edward. – Mieliśmy dość ludzi, by utrzymać most, niezależnie od tego, ile ataków przypuszczą Duńczycy. Nie potrzebowaliśmy nawet Mercjan Aethelreda, by nasza pułapka się powiodła. Właśnie takiego pola walki było mi trzeba! – Sihtricu!

Wybór tego miejsca był tak oczywisty, tak kuszący i tak dla nas korzystny, że nie chciałem czekać, aż Edward pozna moje zamysły.

– Wybacz, że cię odsyłam – zwróciłem się do Sihtrica – ale to pilne. – Posyłałem jego i trzech konnych, by jechali na zachód, a następnie na południe. Mieli udać się w ślad za pierwszymi gońcami, powiadomić króla, gdzie są Duńczycy i jak można ich pokonać. – Powiedz mu, że wróg czeka na śmierć. Powiedz, że to może być jego pierwsze wielkie zwycięstwo, że bardowie będą śpiewać o nim przez całe stulecia, i przede wszystkim powiedz mu, żeby się pospieszył! – Zaczekałem, aż odjedzie, po czym ponownie spojrzałem na wroga. – Przyprawdźcie tyle koni, ile zdołacie – nakazałem Finanowi.

Finan poprowadził moich ludzi na południe, trzymając się lasów na wschód od drogi. Ja tymczasem wezwałem do siebie pozostałych konnych. Dosiadłem rumaka, przeparadowałem przed nimi, chyląc głowę pod gałęziami, i powiedziałem im, by nie zabijali wrogów, lecz ich okaleczali.

Ranni spowalniają armię. Jeśli Sigurd, Kanut i Eohric będą mieli w swych oddziałach ciężko rannych, nie będą mogli posuwać się szybko. Chciałem spowolnić Duńczyków, zagnać ich w pułapkę i zatrzymać na miejscu do czasu, aż z południa nadejdą wojska Wessexu, by się z nimi

rozprawić.

Patrzyłem na spłoszone ptaki podrywające się do lotu z drzew, pośród których Finan wiódł moich ludzi. Ich widok nie zatrwożył żadnego z Duńczyków. Kiedy tak czekałem u boku Aethelflaed, poczułem nagłą radość. Duńczycy byli w pułapce. Nie mieli o tym pojęcia, lecz ich los został przesądzony. Biskup Erkenwald miał rację – wojna to straszna rzecz, ale bywa też przyjemna, a nie ma przyjemniejszej rzeczy, niż naginać wroga do swojej woli. Ten wróg był tam, gdzie chciałem, żeby był, w miejscu, w którym zginie. Myśl o tym sprawiła, że poczułem nagłą wesołość, a gdy się roześmiałem, Aethelflaed spojrzała na mnie.

– Co cię bawi? – spytała, ja jednak nie odpowiedziałem, albowiem w tej samej chwili ludzie Finana wypadli spomiędzy drzew.

Gnali od wschodu co koń wyskoczy i przez chwilę Duńczycy patrzyli na nich w osłupieniu. Grudki ziemi tryskały spod końskich kopyt, widziałem światło odbite w ostrzach mieczy i patrzyłem na Duńczyków, którzy umykali w stronę dworu. Chwilę później drużynnicy Finana wpadli między nich, siekąc ich i tratując. Wierzchowce tańczyły między niewolnymi, ostrza cięły powietrze, krew zabarwiła dzień szkarłatem, przerażeni ludzie padali i krwawili, podczas gdy Finan gnał w stronę poletka, na którym wypasano duńskie konie.

Usłyszałem dźwięk rogu. Ludzie gromadzili się we dworze i w pośpiechu chwyтали tarcze, lecz Finan na nich nie baczył. Wejście do obsadzonej żywopłotem zagrody blokował niski płotek, zobaczyłem, jak Cerdic pochyla się w siodle i odsuwa go na bok. Chwilę później konie Duńczyków wypadły z poletka i pognały za moimi ludźmi. Z południa nadciągali kolejni Duńczycy, tymczasem Finan prowadził stado luzaków w kierunku drzew.

Ścieżka, którą galopowałem, usłana była ciałami – naliczyłem ich dwadzieścia trzy. Nie wszyscy zginęli, niektórzy byli ranni – ci wili się z

bólu, a ich krew ściekała na trawę. Spłoszone owce biegały bezładnie, mecząc żałośnie. Do pierwszego rogu dołączył drugi, jego dźwięk zabrzmiał donośnie w popołudniowym powietrzu. Duńczycy gromadzili się, lecz wciąż nie widzieli reszty naszego oddziału ukrytego pośród drzew. Ujrawszy stado koni gnane na północ, założyli, że Finan stacjonuje w Cracgelad i zamierza powieść skradzione rumaki przez rzekę do otoczonego kamiennym murem burhu. Niektórzy z nich rzucili się w pościg. Poganiali konie, gdy tymczasem Finan zniknął między drzewami. Dobyłem Oddech Węża. Na dźwięk ostrza wysuwanego z wyłożonej runem pochwy mój rumak zastrzygł uszami. Drżał i nerwowo rozgrzebywał ziemię ciężkim kopytem. Zwał się Broga i widok koni wypadających spomiędzy drzew wyraźnie go pobudził. Słyszając, jak rży, popuściłem lejce.

– Zabijajcie i rańcie! – krzychałem. – Zabijajcie i rańcie!

Broga, którego imię znaczyło „postrach”, skoczył do przodu. Na skraju lasu pojawili się konni, błysnęły ostrza. Rycząc, ruszyliśmy na rozproszonych Duńczyków, a świat wypełnił się tętentem kopyt. Większość Duńczyków rzuciła się do ucieczki, jednak ci bardziej rozsądni pędzili ku nam, upatrując szans na przeżycie, jeśli przedrą się przez nasze szyki i zbiegną na tyły. Tarcza obijała mi się o plecy, uniosłem Oddech Węża, skręciłem gwałtownie i ruszyłem na człowieka dosiadającego siwka. Ten był gotów ciąć mnie mieczem, lecz jeden z ludzi Aethelflaed przeszył go włócznią. Duńczyk zachwiał się w siodle i wypuścił miecz. Kątem oka zobaczyłem jeszcze, jak spada z konia, a chwilę później ciąłem w plecy i w szyję kolejnego, który uciekał pieszo. Gdy się zatoczył, rozplątałem mu głowę, aż krew trysnęła na włosy.

Stojący przed dworem spieszeni Duńczycy ustawili mur tarcz. Było ich czterdziestu, może pięćdziesięciu, a ich okrągłe tarcze zachodziły na siebie. Finan zawrócił, powiódł swych ludzi z powrotem po usłanej trupami drodze i

zajechał Duńczyków od tyłu. Ryknął coś po irlandzku i choć słowa te nic dla nas nie znaczyły, ich dźwięk mroził krew w żyłach. Widząc konnych, którzy zajechali ich z obu stron, stojący w murze tarcz Duńczycy rozpierzchli się. Niewolni – kobiety i dzieci – kulili się na dziedzińcu, więc krzyknąłem do nich, by uciekali na północ, w stronę rzeki.

– Szybciej, szybciej! – wrzasnąłem.

Broga natarł na dwóch wojów. Jeden z nich zamachnął się na niego mieczem, ale mój rumak, nawykły do walki i dobrze wyszkolony, stanął dęba i zamłócił kopytami, aż tamten się cofnął. Przywarłem do końskiego karku i odczekałem chwilę, a gdy opadł na ziemię, ciąłem drugiego Duńczyka w głowę. Cios był tak silny, że rozplatał hełm i czaszkę. Usłyszałem krzyk i zobaczyłem, że Broga ugryzł tamtego w twarz, wyrywając z niej kawał mięsa. Spiąłem konia. Wszędzie dookoła wyły psy, dzieci krzyczały, a Oddech Węża karmił się krwią wroga. Z dworu, potykając się, wybiegła naga kobieta. Włosy miała potargane, twarz umazaną krwią.

– Tędy! – wrzasnąłem do niej, zakrwawionym ostrzem wskazując północ.

– Moje dzieci! – zawodziła.

– Znajdź je i uciekajcie!

W drzwiach stanął Duńczyk z mieczem w dłoni, powiódł dookoła przerażonym wzrokiem i zawrócił, lecz Rypere dostrzegł go, podjechał do niego, pochwycił za włosy i wywłókł na zewnątrz. Chwilę później w brzuchu Duńczyka utkwily dwie włócznie, koń stratował go i gdy odjeżdżaliśmy, leżał na ziemi, jęcząc i brocząc krwią.

– Oswi! – ryknąłem na swego sługę. – Róg!

Z południa nadciągali kolejni Duńczycy, uznałem więc, że najwyższy czas się wycofać. Zadaliśmy im dotkliwe rany, jednak nie było to miejsce na starcie z tak liczną hordą. Chciałem tylko zatrzymać ich nad rzeką, tak by Edward ze swoją armią powiódł ich prosto na nasze miecze. Oswi nie

przestawał dąć w róg, którego dźwięk brzmiał dziwnie rozpaczliwie.

– Zawracajcie! – krzyknąłem. – Wszyscy! Zawracajcie!

Wycofywaliśmy się powoli. Podczas szaleńczej szarży ubiliśmy i raniliśmy co najmniej setkę ludzi, tak więc małe poletka usłane były ciałami.

Ranni leżeli w rowach albo kulili się przy żywopłotach i tam ich zostawiliśmy. Steapa rozciągnął usta w upiornym uśmiechu, obnażając wielkie zębiska. Ostrze jego miecza było czerwone od krwi.

– Niech twoi ludzie jadą na tyłach – powiedziałem mu, na co skinął

głową. Szukałem wzrokiem Aethelflaed i odetchnąłem z ulgą, gdy zobaczyłem, że nic jej nie jest. – Zaopiekuj się jeńcami – przykazałem jej, bo trzeba ich było zagnać w jedno miejsce. Dostrzegłem wśród nich nagą kobietę, która prowadziła za rękę dwójkę małych dzieci.

Ustawiłem swoich ludzi na skraju lasu, skąd rozpoczęliśmy naszą szarżę. Czekaliśmy tam z tarczami na ramionach i mieczami mokrymi od krwi wroga. Rzucaliśmy Duńczykom wyzwanie, by na nas natarli, oni jednak byli w rozsypce i opatrywali swych rannych, wiedziałem więc, że nie zaatakują, dopóki nie zgromadzą większych sił, gdy zatem zobaczyłem, że jeńcy są bezpieczni, wraz ze swoim oddziałem ruszyłem na północ. Straciliśmy pięciu ludzi, dwóch Mercjan i trzech Sasów zachodnich, ale zadaliśmy Duńczykom dotkliwy cios. Finan przywiódł dwóch jeńców, których odesłałem razem ze zbiegami. Konie i ludzie tłoczyli się na moście, ja zaś zostałem ze Steapą, strzegąc południowego brzegu, aż zyskaliśmy pewność, że ostatni z naszych ludzi przekroczyli rzekę.

Zabezpieczyliśmy most od północy, blokując drogę stertą kłód. Zachęcaliśmy Duńczyków, by zbliżyli się i dali się zabić między rzymskimi balustradami, jednak żaden z nich nie skorzystał z naszego zaproszenia. Przyglądali się nam, coraz liczniej gromadząc się na zachodniosaskim brzegu rzeki, lecz nie szukali pomsty. Zostawiłem Steapę i jego ludzi, by

strzegli barykady, przekonany, że pod jego obecność żaden z Duńczyków nie zechce przekroczyć mostu.

Sam zaś poszedłem przepytac jeńców.

Sześciu ludzi Aethelflaed strzegło dwóch Duńczyków przed gniewem tłumu, który zgromadził się przed klasztorem Świętej Werburgi. Kiedy przybyłem, ciżba zamilkła, może przerażona widokiem Brogi, którego pysk nadal umazany był krwią. Zeskoczyłem z siodła i podałem lejce Oswiemu.

Wciąż trzymałem w dłoni skrwawiony Oddech Węża.

Nieopodal klasztoru znajdowała się tawerna z namalowaną na szyldzie gęsią i to na jej podwórzec kazałem zaprowadzić jeńców. Zwali się Leif i Hakon, obaj byli młodzi i przerażeni, choć starali się tego nie okazywać. Poleciałem swym ludziom, by zamknęli i zaryglowali za nami bramę. Duńczycy stanęli na środku podwórza. Leif, który wyglądał na mniej niż szesnaście wiosen, nie mógł oderwać wzroku od oblepionego zaschniętą krwią Oddechu Węża.

– Możecie wybierać – zwróciłem się do nich. – Odpowiedzcie na moje pytania i zginiecie z mieczem w dłoni albo będziecie milczeć, a wówczas każę was rozebrać i rzucę na pastwę tłumu. Kto jest waszym panem?

– Ja służę jarlowi Kanutowi – odparł pośpiesznie Leif.

– A ja królowi Eohricowi – rzekł Hakon głosem tak cichym, że ledwie go usłyszałem. Był krzepkim chłopakiem o pociągłej twarzy i włosach koloru słomy. Miał na sobie potarganą na łokciach, przydużą starą kolczugę, która, jak się domyślałem, należała niegdyś do jego ojca. Na szyi nosił krzyż, podczas gdy Leif miał zawieszony na rzemieniu młot Thora.

– Kto dowodzi waszą armią? – dopytywałem.

Obaj się zawahali.

– Król Eohric? – odparł bez przekonania Hakon.

– Jarl Sigurd i jarl Kanut – rzekł niemal równocześnie i równie niepewnie

Leif.

To wiele wyjaśniało.

– Nie Aethelwold? – spytałem.

– On także, panie – przyznał Leif. Cały się trząsł.

– Jest z wami Beortsig?

– Tak, panie, ale on służy jarlowi Sigurdowi.

– A jarl Haesten służy jarlowi Kanutowi?

– Tak, panie – odparł Hakon.

A zatem Aethelflaed miała rację. Zbyt wielu panów i nikogo, kto dowodziłby całą armią. Eohric był słaby, lecz dumny, nie zamierzał więc służyć Sigurdowi ani Kanutowi. Ci dwaj zaś najpewniej nim pogardzali, choć chcąc mieć w nim sojusznika, musieli traktować go po królewsku.

– Jak liczna jest wasza armia?

Na to pytanie żaden z nich nie potrafił odpowiedzieć. Leif był przekonany, że jest ich dziesięć tysięcy – co było śmiechu warte – podczas gdy Hakon wiedział tylko, że są najliczniejszą armią, z którą do tej pory przyszło mierzyć się Sasom.

– I dokąd zmierza? – dopytywałem.

Tego również nie wiedzieli. Mówiono im, że uczynią Aethelwolda królem Wessexu, a Beortsigę królem Mercji, ci zaś w nagrodę oddadzą im ziemie. Kiedy jednak spytałem, czy zmierzają do Wintanceasteru, popatrzyli na mnie tępym wzrokiem, jakby pierwszy raz słyszeli tę nazwę. Pozwoliłem Finanowi zabić Leifa. Zginął mężnie, choć szybko, z mieczem w dłoni. Hakon tymczasem błagał, by przed śmiercią mógł porozmawiać z księdzem.

– Jesteś Duńczykiem – powiedziałem mu.

– I chrześcijaninem, panie.

– Czy w Anglii Wschodniej nikt już nie czci Odyna?

– Niektórzy tak, panie, ale jest ich niewielu.

Zmartwiły mnie jego słowa. Wiedziałem, że niektórzy Duńczycy przeszli na chrześcijaństwo, bo tak było wygodnie. Haesten uparł się, by jego żona i synowie zostali ochrzczeni, albowiem tylko w ten sposób mógł układać się z Alfredem, choć jeśli wierzyć temu, co mówił przed śmiercią Offa, żona Haestena była gorliwą chrześcijanką. Teraz, kiedy sam jestem bliski śmierci, a mój sędziwy wiek przyćmiewa cuda tego świata, nie widzę niczego prócz chrześcijan. Może na dalekiej Północy, gdzie nawet latem lód skuwa ziemię, żyją jeszcze ludzie, którzy składają ofiary Thorowi, Odynowi i Frei, jednak w Brytanii nie znam nikogo takiego. Staczamy się w mrok, ku ostatecznemu chaosowi ragnaröku, kiedy to wody mórz zakotłują się i wystąpią z brzegów, ziemia się rozpęknie i nawet bogowie umrą. Hakon nie dbał o to, czy zginie z mieczem w ręku, chciał tylko zmówić swe modlitwy, a gdy to zrobił, skróciliśmy go o głowę.

Pchnąłem do Edwarda kolejnych gońców, a wśród nich Finana, wiedziałem bowiem, że król wysłucha Irlandczyka. Towarzyszyło mu siedmiu ludzi. Poleciałem im, by jechali na zachód, przeprawili się przez Tamizę, a następnie gnali co koń wyskoczy do Wintanceasteru czy gdzie tam obecnie przebywał król. Wieźli wiadomość, którą skreśliłem własnoręcznie.

Ludzie dziwią się, że potrafię czytać i pisać, lecz nigdy nie zapomniałem tego, czego ojciec Beocca nauczył mnie w dzieciństwie. Alfred, rzecz jasna, upierał się, by wszyscy lordowie umieli czytać, głównie po to, by mógł rugać nas w listach, lecz od jego śmierci tylko nieliczni przykładali się do nauki.

Napisałem, że przekleństwem Duńczyków jest nadmiar przywódców, że zbyt długo pozostają na południe od Tamizy, że spowolniłem ich, kradnąc im konie i pozostawiając w ich szeregach wielu rannych. „Przybywaj do Cracgelad, Panie – ponaglałem króla. – Zbierz wojowników, zwołaj fyrd i najedź Duńczyków od południa. Ja będę kowadłem, na którym zmiądzymy

ich kości i wytoczymy z nich krew, a po wszystkim nakarmimy nimi kruki.

Jeśli ruszą – pisałem – zaskoczę ich na północnym brzegu Tamizy i odetnę im drogę ucieczki. – Wątpiłem jednak, by zdołali odejść daleko. – Mamy ich w garści, królu. Wystarczy zacisnąć ją w pięść”.

Czekałem więc. Duńczycy ani myśleli się ruszać. Widzieliśmy kłęby dymu na południu, znak, że zapuszczali się w głąb Wessexu, by grabić i palić, jednak ich główny obóz nadal znajdował się na południe od mostu w Cracgelad, który z czasem zmienił się w fortecę. Nikt nie mógł przeprowadzić się przez most bez naszej zgody. Codziennie zapuszczałem się na drugi brzeg, brałem ze sobą pięćdziesięciu–sześćdziesięciu ludzi i wspólnie patrolowaliśmy krótki odcinek, by mieć pewność, że Duńczycy nigdzie się nie ruszają. Codziennie też wracałem do Cracgelad zdumiony tym, jak bardzo nasi wrogowie ułatwiają nam zadanie. Nocami łuny ich ognisk rozświetlały niebo na południu, a za dnia widzieliśmy smugi dymu. Minęły cztery dni, w ciągu których nie zmieniało się nic prócz pogody. Deszcz padał z przerwami, wiatr mącił powierzchnię wody, a pewnego ranka wczesnojesienne mgły przesłoniły umocnienia. Kiedy jednak mgły się podniosły, Duńczycy wciąż tkwili w tym samym miejscu.

- Czemu nie jadą dalej? – pytała Aethelflaed.
- Bo nie mogą się zgodzić co do tego, gdzie jechać.
- A gdybyś to ty nimi dowodził? – spytała. – Dokąd byś się udał?
- Do Wintanceasteru – odparłem.
- I oblegałbyś miasto?
- Zdobyłbym je – odrzekłem. I na tym polegał problem Duńczyków.

Wiedzieli, że ludzie zginą w fosie burhu i na jego wysokich murach, lecz mimo wszystko powinni byli zaatakować. Pobudowane przez Alfreda burhy stanowiły dla nich zagadkę, której nie potrafili rozwikłać, ja zaś musiałem znaleźć rozwiązanie, jeśli chciałem odbić Bebbanburg, fortecę większą niż

jakikolwiek burh. – Pojechałbym do Wintanceasteru – ciągnąłem – i tak długo forsowałem mury, aż by upadły. Potem uczyniłem Aethelwolda królem i zażądałem, aby Sasi zachodni podążyli za mną. Wówczas ruszyłem na Londyn.

Tymczasem Duńczycy nic nie robili. Zamiast tego kłócili się między sobą. Słyszeliśmy później, że Eohric chciał, by armia pomaszerowała na Londyn, Aethelwold uznał, że powinna uderzyć na Wintanceaster, a Kanut i Sigurd byli zdania, że należało przeprowić się przez rzekę i zająć Gleawecestre. I tak Eohric chciał włączyć Londyn do swojego królestwa, Aethelwold pragnął tego, co jego zdaniem należało mu się z urodzenia, a Kanut i Sigurd chcieli zdobywać ziemie na południe od Tamizy. Podczas gdy ich spory i niezdecydowanie wstrzymywały marsz wielkiej armii, ja wyobrażałem sobie gońców Edwarda jeżdżących od burhu do burhu, zwołujących wojowników i gromadzących saską armię, która raz na zawsze przegna Duńczyków z Brytanii.

Niedługo potem wrócił Finan wraz z posłańcami, których pchnąłem do Wintanceasteru. Przekroczyli rzekę daleko na zachodzie, ominęli Duńczyków szerokim łukiem i wrócili do Cracgelad na spienionych, pokrytych kurzem koniach. Przywieźli list od króla. Sporządził go któryś z królewskich mnichów, lecz u dołu widniał podpis Edwarda, a dokument nosił jego pieczęć. Król pozdrawiał mnie w imieniu chrześcijańskiego boga, dziękował wylewnie za wieści i nakazywał niezwłocznie opuścić Cracgelad i wraz ze wszystkimi ludźmi udać się do Londynu. Czytałem to i nie wierzyłem własnym oczom.

– Powiedzieliście królowi, że uwięziliśmy Duńczyków nad rzeką? – spytałem Finana.

W odpowiedzi pokiwał głową.

– Tak, panie, on jednak chce widzieć nas w Londynie.

– Nie rozumiem, co to za okazja.

– Król udaje się do Londynu i chce, byś do niego dołączył – odparł beznamiętnie Finan.

– Po co? – Było to pytanie, na które nikt nie potrafił odpowiedzieć.

Sam nie mogłem nic wskórać. Miałem ludzi, to prawda, ale nie dość wielu. Potrzebowałem dwóch–trzech tysięcy wojowników, którzy wsparliby nas od południa, jednak król zdecydował inaczej. Najwyraźniej zamierzał powieść swą armię do Londynu i obrał drogę, na której – jak się domyślał – nie napotka duńskich zwiadowców. Zakląłem szpetnie, przysięgałem jednak Edwardowi, on zaś wydał mi polecenie.

I tak oto porzuciliśmy pułapkę, zostawiliśmy Duńczyków w spokoju i wyruszyliśmy do Londynu. Król Edward był już w mieście i na ulicach Londynu tłoczyli się wojownicy, dziedzińce zmieniły się w stajnie i nawet rzymski amfiteatr pełen był koni.

Edward rezydował w dawnym mercyjskim pałacu królewskim. Londyn należał do Mercji, choć odkąd zdobyłem go dla Alfreda, pozostawał pod rządami Sasów zachodnich. Zastałem króla w wielkiej rzymskiej komnacie z kolumnami, sklepieniem sufitem, spękany tynkiem i niszczącą wykładaną płytkami podłogą. Po bokach Edwarda stali arcybiskup Plegmund i biskup Erkenwald, a naprzeciw nich w półkoło ustawionym z krzeseł i ław siedzieli duchowni i pół tuzina ealdormanów. Na tyłach komnaty oparte o ścianę stały sztandary Wessexu. Kiedy wszedłem, wśród zgromadzonych trwała ożywiona dyskusja, jednak na odgłos moich kroków wszyscy zamilkli. Odłamki kafli zachręściły mi pod stopami. Płytki na podłodze tworzyły niegdyś obraz, który z czasem się zatarł.

– Lord Uhtred! – Edward powitał mnie ciepło, wyczułem jednak w jego głosie pewną nerwowość.

– Królu. – Uklęknąłem przed nim.

– Witaj – rzekł. – Dołącz do nas.

Nie wyczyściłem kolczugi. Między kółkami wciąż widać było krew. Ealdorman Aethelhelm nakazał postawić obok siebie krzesło i zaprosił mnie, bym usiadł.

– Z iloma ludźmi przybywasz, lordzie Uhtredzie? – zapytał Edward.

– Jest ze mną Steapa – odparłem. – Razem mamy pięciuset sześćdziesięciu trzech ludzi. – Kilku straciłem pod Cracgelad, inni zostali w tyle, bo w drodze do Londynu ich konie okulały.

– To daje w sumie? – Edward zwrócił się do księdza, który siedział przy stoliku w kącie komnaty.

– Trzy tysiące czterystu dwudziestu trzech ludzi, panie.

Rzecz jasna miał na myśli wojowników, nie fyrd, i musiałem przyznać, że była to pokaźna armia.

– A wróg? – dopytywał Edward.

– Zgadujemy, że duńska armia liczy cztery–pięć tysięcy ludzi, panie.

Rozmowa ta była przeznaczona dla moich uszu. Arcybiskup Plegmund, z twarzą pomarszczoną jak zwiędłe jabłko, przyglądał mi się z uwagą.

– Widzisz więc, lordzie Uhtredzie – Edward spoglądał na mnie – że nie mieliśmy dość ludzi, by zetrzeć się z nimi nad brzegiem Tamizy.

– Mercjanie dołączyliby do ciebie, królu – odparłem. – Gleawecestre jest niedaleko.

– Z Irlandii przypłynął Sigismund – wtrącił arcybiskup Plegmund – i oblega Ceaster. Lord Aethelred musi mieć go na oku.

– Z Gleawecestre? – spytałem.

– Z miejsca, które sam uzna za stosowne – mruknął cierpko Plegmund.

– Sigismund – odparłem – to wiking, który został wygnany z Irlandii przez tamtejszych dzikusów i nie stanowi dla Mercji żadnego zagrożenia. –

Nigdy dotąd o nim nie słyszałem i nie miałem pojęcia, dlaczego zdecydował się oblegać Ceaster, ale takie wyjaśnienie zdało mi się wielce prawdopodobne.

– Przywiódł ze sobą pogan – obruszył się Plegmund. – Całe mnóstwo!

– To nie on jest naszym zmartwieniem – rzekł pospiesznie Edward, najwyraźniej niezadowolony z tonu owej rozmowy. – Musimy pokonać mojego kuzyna Aethelwolda. Lordzie Uhtredzie – spojrzał na mnie – zgodzisz się, że nasze burhy są dobrze strzeżone?

– Mam taką nadzieję, panie.

– My zaś mamy nadzieję – ciągnął Edward – że wróg, nie zdobywszy żadnego z nich, wkrótce się wycofa.

– A wówczas zaatakujemy – dokończył Plegmund.

– Dlaczego więc nie walczyć z nimi na południe od Cracgelad? – spytałem.

– Bo armia Kentu nie dotarłaby tam na czas – wyłuszczył Plegmund, wyraźnie poirytowany moim pytaniem. – A ealdorman Sigelf obiecał nam siedmuset wojowników. Kiedy do nas dołączą – ciągnął – będziemy gotowi stawić czoło Duńczykom.

Edward spojrzał na mnie wyczekująco, najwyraźniej licząc na moją aprobatę.

– Chyba rozsądnie będzie – przemówił, kiedy nie doczekał się odpowiedzi – zaczekać na armię Kentu? Jej liczebność bardzo się nam przysłuży.

– Mam propozycję, królu – przemówiłem z szacunkiem.

– Chętnie wysłucham wszystkich twoich propozycji, lordzie Uhtredzie – odparł Edward.

– Myślę, że zamiast chleba i wina kościół powinien raczyć ludzi ale i starym serem. Myślę też, że kazania winny być wygłaszane na początku

mszy, nie na końcu, a w trakcie nabożeństw księży powinni być nadzy...

– Milcz! – wykrzyknął Plegmund.

– Jeśli księży mają prowadzić twoje wojny, panie – ciągnąłem – dlaczego twoi wojownicy nie mieliby przewodzić kościołowi?

W sali rozległ się nerwowy śmiech, lecz im dłużej trwała narada, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że w kwestii przywódcy jesteśmy tak samo podzieleni jak Duńczycy. Chrześcijanie mówią o ślepcach prowadzących ślepców, a teraz ślepcy walczyli ze ślepcami. Alfred wiedziałby, co uczynić, lecz Edward zdał się na swych doradców, tymczasem ludzie pokroju Aethelhelma byli ostrożni. Woleli czekać, aż dołączy do nas kentyjska armia Sigelfa.

– Gdzie zatem podziewa się armia Kentu? – spytałem.

Kent znajdował się blisko Londynu i podczas gdy ja i moi ludzie dwukrotnie przemierzyliśmy połowę saskiej Brytanii, Sigelf i jego ludzie nie pokonali drogi, do której przebycia potrzebowali ledwie dwóch dni.

– Przybędą – zapewnił mnie Edward. – Mam słowo ealdormana Sigelfa.

– Co zatem ich zatrzymuje? – Nie dawałem za wygraną.

– Wróg przybył do Anglii Wschodniej na statkach – odparł arcybiskup Plegmund – i obawialiśmy się, że może je wykorzystać, by przybić do wybrzeży Kentu. Ealdorman Sigelf wolał zaczekać, aż będziemy mieć pewność, że tak się nie stanie.

– A kto dowodzi naszą armią? – Moje pytanie wprowadziło obecnych w zakłopotanie.

Na chwilę zapanowała cisza, aż w końcu arcybiskup Plegmund odparł z chmurną miną:

– To oczywiste, że armią dowodzi nasz król.

A kto dowodzi królem? – zastanawiałem się w myślach, jednak przezornie zachowałem pytanie dla siebie. Tego wieczoru Edward posłał po

mnie. Było już po zmroku, kiedy się z nim spotkałem. Odprowadził służących, tak więc byliśmy sami.

– Arcybiskup Plegmund nie dowodzi armią – zbeształ mnie, najwyraźniej pamiętając moje ostatnie pytanie – lecz uważam, że ma rację.

– A zatem mamy siedzieć beczynie, panie?

– Najpierw musimy zgromadzić armię. Co do tego rada jest zgodna. – Byliśmy w dużej komnacie na piętrze, z wielkim łóżem stojącym między dwoma świecznikami. Edward stał przy oknie z widokiem na stare miasto, tym samym, przy którym tak często stałem z Aethelflaed. W widocznej na zachodzie nowej części miasta płonęły ogniska, a jeszcze dalej panował nieprzenikniony mrok. – Bliźnięta są bezpieczne? – zapytał Edward.

– Są w Cirrenceastre, panie – odparłem. – A zatem tak, są bezpieczne.

Bliźnięta Aethelstan i Eadgyth wychowywały się z moją córką i młodszym synem w Cirrenceastre, burhu równie dobrze strzeżonym jak Cracgelad. Tak jak się spodziewałem, dwór w Fagranfordzie został spalony, ale wszyscy moi ludzie znaleźli schronienie w murach Cirrenceastre.

– Chłopiec jest zdrowy? – dopytywał Edward.

– Aethelstan to okaz zdrowia – zapewniłem go.

– Chciałbym móc je zobaczyć – powiedział tęsknie.

– Opiekują się nimi ojciec Cuthbert i jego żona – rzekłem.

– Cuthbert ma żonę? – spytał zdumiony.

– Do tego piękną.

– Biedna kobieta – mruknął Edward. – Zagada ją na śmierć. – Uśmiechnął się, a gdy nie odwzajemniłem uśmiechu, wyglądał na urażonego.

– A moja siostra jest tutaj?

– Tak, panie.

– Powinna opiekować się dziećmi – odparł surowo.

– Sam jej to powiedz, królu – rzekłem. – Przywiodła ci prawie stu pięćdziesięciu mercyjskich wojowników – dodałem. – Dlaczego Aethelred nie posłał ani jednego?

– Obawia się wikingów z Irlandii – wyjaśnił, a słysząc moje pogardliwe prychnięcie, wzruszył ramionami. – Dlaczego Aethelwold nie pojechał dalej, w głąb Wessexu? – zapytał.

– Bo nie mają przywódcy – wyłuszczyłem. – I dlatego, że nie ma nikogo pod swym sztandarem. – Edward wyglądał na zdumionego. – Myślę, że zamierzali dotrzeć do Wessexu, obwołać Aethelwolda królem i zaczekać, aż ludzie do niego dołączą, ale tak się nie stało.

– I co teraz zrobią?

– Jeśli nie zdobędą burhu, wrócą tam, skąd przybyli.

Edward odwrócił się do okna. W ciemnościach śmigwały nietoperze, od czasu do czasu widzieliśmy je w blasku świec rozwidniających komnatę.

– Jest ich zbyt wielu, lordzie Uhtredzie – odezwał się, mając na myśli Duńczyków. – Po prostu zbyt wielu. Musimy być pewni, nim zaatakujemy.

– Jeśli wojując, czekasz na pewność, panie – odparłem – prędzej umrzesz, niż się jej doczekasz.

– Ojciec radził mi bronić Londynu – rzekł Edward. – Mówił, że nie możemy poddać miasta.

– Mamy zatem pozwolić, by Aethelwold zagarnął resztę? – rzuciłem kwaśno.

– Aethelwold zginie, wpierw jednak potrzebujemy ludzi ealdormana Sigelfa.

– Siedmiu setek wojów?

– Tylu obiecał – odparł Edward. – To da nam ponad cztery tysiące ludzi. – Widziałem, że liczba ta przynosi mu pocieszenie. – Oczywiście – ciągnął – mamy teraz twoich ludzi i Mercjan. Powinniśmy być dość silni.

– A kto będzie nami dowodził? – spytałem szorstko.

Był wyraźnie zdumiony moim pytaniem.

– Ja, rzecz jasna.

– Nie arcybiskup Plegmund?

Edward zeszywniał.

– Mam doradców, lordzie Uhtredzie – odparł. – A król, który nie słucha swych doradców, jest głupcem.

– Głupcem jest król, który nie wie, którym doradcom ufać – odparłem. – A arcybiskup radził ci, byś mi nie ufał. Uważa, że jestem przychylny Duńczykom.

Edward się zawahał, ale po chwili pokiwał głową.

– Rzeczywiście, obawia się tego.

– A jednak do tej pory ja jeden z twoich ludzi ubijałem drani. Przyznasz, panie, że jak na człowieka, któremu nie można ufać, to dziwne zachowanie.

Edward spojrzał na mnie i wzdrygnął się, gdy duża ćma przeleciała mu tuż przy twarzy. Zawołał na służących, by pozamykali okiennice. Gdzieś w mroku słyszałem śpiew. Sługa ściągnął pelerynę z ramion Edwarda i zdjął mu z szyi złoty łańcuch. Pod sklepionym przejściem, w cieniu za otwartymi drzwiami stała dziewczyna. Nie była to żona Edwarda.

– Dziękuję, że przyszedłeś – odprawił mnie.

Pokłoniłem mu się i wyszedłem.

Następnego dnia przybył ealdorman Sigelf.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Walka rozpoczęła się na ulicy na południe od wielkiego kościoła, nieopodal dawnego mercyjskiego pałacu zajmowanego przez Edwarda i jego świtę. Przybyli rankiem wojownicy z Kentu ciągnęli do miasta przez rzymski most i dalej, pod pękniętym łukiem prowadzącym przez nadrzeczny wał.

Sześciuset osiemdziesięciu sześciu ludzi wiedzionych przez ealdormana Sigelfa i jego syna Sigebrihta jechało pod sztandarami, na których widniały skrzyżowane miecze Sigelfa i głowa byka z zakrwawionymi rogami Sigebrihta. Mieli też dziesiątki innych proporców, w większości zdobionych krzyżami lub wizerunkami świętych, a jeźdnym towarzyszyli mnisi, księża i wozy pełne zapasów. Nie wszyscy wojownicy Sigelfa jechali konno – co najmniej setka była spieszona, i ci dotarli do miasta długo po tym, jak wjechał do niego ostatni jeździec.

Edward nakazał nowo przybyłym, by szukali kwater we wschodniej części miasta, oni jednak pragnęli odkrywać uroki Londynu. Do bójki doszło, gdy tuzin ludzi Sigelfa zażądał ale w tawernie Pod Czerwoną Świnia, którą upodobali sobie wojownicy Aethelhelma. Poszło o karczemną dziwkę i wkrótce awantura przeniosła się z tawerny na ulicę. Po słownych przepychankach Mercjanie, Sasi Zachodni i mieszkańcy Kentu sięgnęli po miecze i noże.

– Co się dzieje? – Edward przerwał obrady i zaniepokojony wyjrzał przez pałacowe okno. Słyszał wrzaski i szczęk stali, widział rannych i zabitych na brukowanym kamieniem wzgórzu. – Czy to Duńczycy? – spytał przerażony.

– Steapa! – zawołałem, ignorując słowa króla, a zaraz potem zbiegłem po schodach i ryknąłem na zarządcę, by przyniósł mi Oddech Węża. Steapa zwoływał swoich ludzi. – Ty! – Chwyciłem jednego z królewskich strażników. – Znajdź linę. Długą.

– Linę, panie?

– Kamieniarze naprawiają pałacowy dach. Na pewno mają linę! Przynies ją! Szybko! I znajdź kogoś, kto potrafi dąć w róg!

Wyszliśmy we dwunastu na ulicę, jednak w bójce brało udział co najmniej stu ludzi, a kolejnych dwustu przyglądało się im, okrzykami zachęcając ich do walki. Jednego zszedłem w głowę płazem miecza, drugiego kopniakiem posłałem na ziemię i krzyknąłem, by zaprzestali walk, lecz nikt nie zwracał na mnie uwagi. Jeden, rycząc, rzucił się na mnie z uniesionym mieczem, a gdy zrozumiał swój błąd, umknął w bok.

Człowiek, którego posłałem po linę, przyniósł konopny zwój z zawiązanym na końcu ciężkim drewnianym wiadrem. Dzięki temu z łatwością przerzuciłem linę przez wystający sztyld z namalowaną na nim czerwoną świnią.

– Znajdź mi człowieka, któregokolwiek z walczących – poleciłem Steapie.

Kiedy odszedł, zawiązałem pętlę. Ranny wojownik z trzewiami wylewającymi się z rozprutego brzucha pełzył w dół zbocza. Gdzieś obok krzyczała kobieta. Rynsztok spływał krwią rozcieńczoną ale. Jeden z ludzi króla przybył z rogiem.

– Zadmij weń – nakazałem mu – i nie przestawaj.

Steapa przywłókł człowieka. Nie mieliśmy pojęcia, czy jest z Wessexu, czy z Mercji, lecz było to bez znaczenia. Zarzuciłem mu pętlę na szyję i zacisnąłem ją, a gdy błagał o litość, spoliczkowałem go. Chwilę później podciągnąłem go do góry, gdzie zawisł, wierzgając nogami. Dźwięk rogu nie

ustawał, uparty i niedający się zignorować. Podałem koniec liny Oswiemu, swojemu służącemu.

– Przywiąż ją do czegoś – poleciłem mu, a sam odwróciłem się i ryknąłem na walczących: – Ktoś jeszcze chce umrzeć?!

Widok człowieka podrygującego na linie w przedśmiertnych drgawkach działa na tłum uspokajająco. Na ulicy zapadła cisza. Gdy w pałacowych drzwiach pojawił się król wraz z tuzinem ludzi, prostaczkowie padali na kolana lub kornie skłaniali głowy.

– Jeszcze jedna bójka – wrzasnąłem – i wszyscy zginiecie! – Spojrzałem na jednego ze swoich wojów. – Pociągnij drania za kostki – nakazałem mu, wskazując wisielca.

– Właśnie zabiłeś jednego z moich ludzi. – Usłyszałem czyjś głos, a gdy się odwróciłem, ujrzałem drobnego człowieczka z ostrą lisią twarzą i splecionymi w warkoczyki długimi rudymi wąsami. Nie był już młody, zbliżał się do pięćdziesiątki, a jego rude włosy siwiały na skroniach. – Zabiłeś go bez procesu! – rzucił oskarżycielsko.

Byłem od niego wyższy, on jednak patrzył na mnie wyzywająco.

– Powieszę kolejnych dwunastu, jeśli będą się awanturować na ulicach – odparłem. – Zresztą coś ty za jeden?

– Ealdorman Sigelf – odparł. – I masz zwracać się do mnie „panie”.

– Jestem Uhtred z Bebbanburga – odparłem i ucieszyłem się, widząc, że zamrugął zaskoczony. – I możesz zwracać się do mnie „panie”.

Sigelf najwyraźniej uznał, że nie chce się ze mną potykać.

– Nie powinni byli wszczynać bijatyki – przyznał niechętnie i ściągnął brwi. – Poznałeś już mojego syna?

– Owszem – odparłem.

– Był głupcem. – Głos Sigelfa był równie ostry jak jego twarz. – Młodym głupcem. Dostał nauczkę.

– Nauczył się, czym jest lojalność? – spytałem, patrząc na drugą stronę ulicy, gdzie Sigebriht kłaniał się nisko królowi.

– Cóż, obu spodobała się ta sama suka – mruknął Sigelf. – Tyle że Edward był księciem, a księżęta zawsze dostają to, czego chcą.

– Podobnie jak królowie – dodałem nieco łagodniej.

Sigelf pojął, o co mi chodzi, i spojrzał na mnie surowo.

– Kent nie potrzebuje króla – odparł, najwidoczniej próbując uciąć plotkę, jakoby chciał tronu dla siebie.

– Kent ma króla – zauważyłem.

– Tak słyszeliśmy – rzucił sarkastycznie. – Ale Wessex musi lepiej o nas zadbać. Każdy przekłety wiking, którego wykopią z kraju Franków, przybija do naszych brzegów. I co robi Wessex? Drapie się po tyłku i wacha swoje paluchy, podczas gdy my cierpimy. – Widząc, że jego syn po raz drugi skłania głowę, splunął, nie wiedziałem jednak, czy to reakcja na służalczość Sigebrihta, czy na obojętność Wessexu. – Spójrz, co się stało, kiedy przybyli Harald i Haesten! – zwrócił się do mnie.

– Pokonałem ich obu – odparłem.

– Przedtem jednak złupili połowę Kentu i puścili z dymem przeszło pięćdziesiąt wsi. Potrzebujemy lepszej ochrony. – Spojrzał na mnie wściekłym wzrokiem. – Potrzebujemy pomocy!

– Przynajmniej przybyliście – rzuciłem pojednawczo.

– Pomożemy Wessexowi – rzekł Sigelf – nawet jeśli Wessex nie pomaga nam.

Miałem nadzieję, że nadejście Kentyjczyków zmusi Edwarda do działania, on jednak wciąż zwlekał. Każdego dnia odbywały się narady wojenne, nie zapadały jednak żadne decyzje poza tym, że mamy czekać. Zwiadowcy obserwowali Duńczyków i codziennie przysyłali raporty, te zaś mówiły, że wróg nadal tkwi w tym samym miejscu. Nakłaniałem króla, by

zaatakował, lecz równie dobrze mogłem go błagać, by poleciał na Księżyc. Prosiłem, bym wraz z moimi ludźmi mógł opuścić Londyn i udać się na zwiad, lecz odmówił.

– Myśli, że ich zaatakujesz – powiedziała Aethelflaed.

– Dlaczego sam nie zaatakuje? – spytałem poirytowany.

– Bo się boi – odparła. – Bo zbyt wielu ludzi udziela mu rad, bo martwi się, że popełni błąd i wystarczy, że przegra jedną bitwę, i przestanie być królem.

Byliśmy na najwyższej kondygnacji rzymskiego domu, jednego z tych zdumiewających budynków ze schodami, które biegły od dołu na samą górę. Księżyc świecił przez okno i przez dziury w dachu w miejscach, gdzie dachówki łupkowe popękały i spadły. Noc była zimna, więc leżeliśmy otuleni owczymi skórami.

– Król nie powinien się bać – rzekłem.

– Edward wie, że ludzie porównują go do ojca. Zastanawia się, co w tej sytuacji zrobiłby król Alfred.

– Posłałby po mnie – odparłem. – Pouczałby mnie przez dziesięć minut, a w końcu dałby mi armię.

Leżała w moich ramionach i patrzyła na upstrzony księżycowym światłem dach.

– Myślisz, że kiedyś zapanuje pokój? – zapytała.

– Nie.

– Marzę o dniu, kiedy będziemy mogli zamieszkać w wielkim dworze, polować, słuchać pieśni, spacerować brzegiem rzeki i nie obawiać się wroga.

– Ty i ja?

– Tylko my dwoje. – Odwróciła głowę, tak że kosmyki włosów przesłoniły jej oczy. – Tylko my dwoje – powtórzyła.

Nazajutrz rano Edward polecił Aethelflaed, by wróciła do Cirrenceastre, który to rozkaz ostentacyjnie zignorowała.

– Powiedziałałam mu, żeby dał ci armię – wyznała.

– I co on na to?

– Odparł, że jest królem i że to on poprowadzi wojska.

Jej mąż wezwał Merewalha z powrotem do Gleawecestre, lecz Aethelflaed przekonała Mercjanina, by pozostał w Londynie.

– Trzeba nam każdego dobrego wojownika – powiedziała mu, i w istocie tak było, choć nie po to, by jak my wszyscy gnuśniał w Londynie.

Mieliśmy tu całą armię, przeszło cztery i pół tysiąca ludzi, ci jednak tylko strzegli murów i wgapiali się w widoczny za nimi niezmienny krajobraz. Siedzieliśmy beczynn timer, podczas gdy Duńczycy plądrowali wsie Wessexu. Nadal jednak nie próbowali zdobyć burhu. Jesienne dni kurczyły się, tymczasem my trwaliśmy niezdecydowani w Londynie. Arcybiskup Plegmund wrócił do Contwaraburga. Myślałem, że jego wyjazd doda Edwardowi odwagi, jednak biskup Erkenwald pozostał przy królu i zalecał mu ostrożność. Podobnie jak ojciec Coenwulf, spowiednik Edwarda i jego najbliższy doradca.

– Taka bierność jest niepodobna do Duńczyków – tłumaczył Edwardowi.

– Obawiam się, że to pułapka. Niech uczynią pierwszy krok, panie. W końcu nie mogą tak siedzieć całą wieczność. – Przynajmniej tu miał rację, albowiem w miarę jak jesień ustępowała miejsca zimie, Duńczycy w końcu postanowili się ruszyć.

Byli równie niezdecydowani jak my, teraz jednak przeprawili się z powrotem przez rzekę i wrócili tam, skąd przyszli. O ich odwrocie dowiedzieliśmy się od zwiadowców Steapy i z każdym kolejnym dniem docierały do nas wieści o tym, że Duńczycy wracają do Anglii Wschodniej razem z niewolnikami, bydłem i łupami.

– Kiedy tam dotrą – poinformowałem radę – Duńczycy z Northumbrii wrócą na statkach do domu.

Nie zyskali niczego poza tym, że zdobyli liczne łupy, ale my również nic nie zrobiliśmy.

– Król Eohric złamał traktat – oburzył się biskup Erkenwald, choć nie wiedziałem, po co o tym wspomina.

– Obiecał nam pokój – przypomniał Edward.

– Należy go ukarać, panie – upierał się Erkenwald. – Traktat został usankcjonowany przez Kościół!

Edward zerknął na mnie.

– A jeśli Northumbryjczycy wrócą do domów, Eohric stanie się łatwym łupem – stwierdził.

– Kiedy wrócą do domu, panie – zauważyłem – mogą zaczekać do wiosny.

– Eohric nie wykarmi tak licznych wojska – wtrącił ealdorman Aethelhelm. – Szybko opuść jego królestwo! Wystarczy spojrzeć na nasze problemy z wyżywieniem armii.

– Czyli zaatakujecie zimą? – spytałem z pogardą. – Kiedy rzeki wylewają, pada rześisty deszcz, a ludzie brodzą w zimnym błocie?

– Bóg jest po naszej stronie! – ogłosił Erkenwald.

Armia stacjonowała w Londynie od prawie trzech miesięcy i zapasy jedzenia zaczynały się kurczyć. U bram nie czaił się żaden wróg, więc do spichlerzy zwożono kolejne worki z prowiantem, do tego potrzeba było jednak licznych wozów, wołów, ludzi i koni. Tymczasem wojownicy gnuśnieli z nudy. Niektórzy winili Kentyjczyków za ich późne przybycie i mimo iż powiesiłem jednego z nich, w mieście nadal często wybuchały awantury, w których traciły życie dziesiątki ludzi. Armia Edwarda była zrzedliwa, znudzona i głodna, lecz oburzenie Erkenwalda na złamanie przez

Eohrica świętego traktatu ożywiło nieco królewską radę i zmusiło władcę do podjęcia decyzji. Przez wiele tygodni Duńczycy byli zdani na naszą łaskę, a my ją im okazaliśmy, jednak teraz, kiedy wycofali się z Wessexu, królewska rada nagle zdobyła się na odwagę.

– Powinniśmy ruszyć za wrogiem – oświadczył Edward. – Odebrać Duńczykom, co nam ukradli, i zemścić się na królu Eohricu.

– Jeśli mamy ich ścigać – odparłem, zerkając na Sigelfa – będziemy potrzebowali koni.

– Mamy konie – zauważył Edward.

– Niektórzy Kentyjczycy ich nie mają – rzekłem.

Sigelf się zachnął. Sprawiał wrażenie człowieka, którego łatwo obrazić, wiedział jednak, że mam rację. Duńczycy jechali konno, a armia spowalniana przez piechurów nigdy nie zdoła ich dogonić ani zareagować szybko na jakikolwiek ruch ze strony wroga. Spiorunował mnie wzrokiem, lecz powściągnął język i zamiast tego spojrzał na króla.

– A konie w tutejszym garnizonie?

– Weohstanowi to się nie spodoba – odparł ze smutkiem Edward.

Ludzie traktowali konie jak swój najcenniejszy dobytek i niechętnie użyczali ich obcym, zwłaszcza gdy ci wyprawiali się na wojnę. Na chwilę zapadła cisza, po czym Sigelf wzruszył ramionami.

– Niech więc setka moich ludzi zostanie w mieście, a ten wasz... Jak mu tam było? Weohstan niech pośle zamiast nich setkę konnych.

Tak też postanowiono. Garnizon w Londynie miał zasilić armię setką konnych, a ludzie Sigelfa mieli zająć ich miejsce na murach miasta. W końcu mogliśmy wymaszerować – nazajutrz armia wyszła z Londynu przez Biskupią Bramę i Starą Bramę. Jechaliśmy rzymskim traktem na północny wschód, trudno było jednak nazwać to pościgiem. Niektórzy z wojowników – ci bardziej doświadczeni – zabrali ze sobą tylko to, co najpotrzebniejsze, lecz

wiele oddziałów wyruszyło w drogę, wlokąc wozy, niewolnych i luzaki, mieliśmy więc szczęście, jeśli w ciągu godziny udało nam się pokonać trzy mile. Steapa i połowa królewskiej straży jechali na przedzie. Przykazano im, by trzymali się w zasięgu wzroku, i poczciwy olbrzym utyskiwał, że musi jechać tak wolno. Edward rozkazał mi, bym jechał z tyłu kolumny, sprzeciwiłem mu się jednak i dołączyłem do Steapy i jego ludzi. Razem z nami jechała Aethelflaed i jej Mercjanie.

– Myślałem, że brat kazał ci zostać w Londynie – zwróciłem się do niej.

– Nie – odparła. – Kazał mi wracać do Cirrenceastre.

– Czemu więc go nie słuchasz?

– Słucham go – zapewniła mnie. – Nie powiedział mi, którą drogę mam wybrać. – Uśmiechnęła się do mnie, jakby rzucała mi wyzwanie, żebym ją odesłał.

– Po prostu nie daj się zabić, kobieto – warknąłem.

– Tak, panie – odparła z udawaną pokorą.

Posłałem swoich zwiadowców daleko naprzód, nie odkryli jednak niczego poza śladami końskich kopyt pozostawionymi przez wycofujących się Duńczyków. Nic – pomyślałem – nie ma sensu. Duńczycy zgromadzili armię liczącą przeszło pięć tysięcy ludzi, przebyli Brytanię, najechali Wessex i ograniczyli się do grabieży. Teraz się wycofywali, lecz nie sądziłem, by byli zadowoleni ze swych łupów. Burhy Alfreda spełniły swoje zadanie i obroniły większość bogactw Wessexu, lecz powstrzymać Duńczyków to nie to samo, co ich pokonać.

– Dlaczego więc nie zaatakowali Wintanceasteru? – zapytała Aethelflaed.

– Bo jest zbyt dobrze strzeżony – odparłem.

– I tak po prostu odjechali?

– Mieli zbyt wielu przywódców. Pewnie radzili tak samo jak my. Każdy miał inny pomysł, mełli ozorami, zamiast atakować, a teraz wracają do domu,

bo nie potrafili podjąć decyzji.

Londyn leży na granicy z Anglią Wschodnią, więc drugiego dnia zapuściliśmy się głęboko na ziemie Eohrica i Edward pozwolił ludziom szukać pomsty. Nasze oddziały rozproszyły się, plądrując gospodarstwa, zaganiając bydło i paląc oboje. Nasz już i tak powolny marsz zwolnił do pełzania, a naszą obecność znaczyły bijące w niebo słupy dymu. Duńczycy nie robili nic. Cofnęli się daleko poza granicę, podczas gdy my podążaliśmy ich śladem, schodząc z niskich wzgórz na rozległe równiny Anglii Wschodniej. Była to kraina podmokłych pól, bagien, długich grobli i rzek leniwie toczących swe wody, trzcin i dzikich ptaków, porannych mgieł i wiecznego błota, deszczu i wiejących od morza zimnych wiatrów. Dróg było tu niewiele, a i te bywały zdradliwe. Wielokrotnie powtarzałem Edwardowi, by nakazał ludziom zewrzeć szeregi, lecz on aż się palił, by pustoszyć ziemie Eohrica, tak więc nasze oddziały rozpraszały się coraz bardziej, a moi ludzie, którzy wciąż wypuszczali się na zwiady, tracili z oczu tych, którzy oddalali się najbardziej. Dnia ubywało, noce stawały się coraz chłodniejsze, a w pobliżu nigdy nie było dość drzew, żeby rozpalić wystarczająco dużo ognisk. Zamiast tego ludzie używali belek i strzech ze zrujnowanych chat.

Nocami na szerokim pasie ziemi płonęły ogniska, lecz Duńczycy wciąż nie próbowali wykorzystać rozproszenia naszej armii. Zapuszczaliśmy się coraz głębiej w to królestwo wody i błota, nigdzie jednak nie widzieliśmy śladu wroga. Okrążyliśmy Grantaceaster, kierując się w stronę Eleg, i na wyżynach natrafiliśmy na ogromne dworzyszczka kryte grubą warstwą trzciny, która zająwszy się ogniem, płonęła z głośnym trzaskiem, lecz ich mieszkańcy zdążyli przed nami umknąć.

Czwartego dnia dotarło do mnie, gdzie jesteśmy. Jechaliśmy dawnym rzymskim traktem biegnącym prosto jak włócznia przez niziny, a gdy wypuściłem się na zachód, natrafiłem na most w Eanulfsbirig. Odbudowano

go z pomocą długich belek nieociosanego drewna, położonych w poprzek na poczerniałych od ognia kamiennych rzymskich filarach. Byłem na zachodnim brzegu rzeki Use, gdzie Sigurd rzucił mi wyzwanie. Droga za mostem biegła w stronę Huntandon. Pamiętałem, jak Ludda mówił, że na drugim brzegu znajduje się wzniesienie, gdzie ludzie Eohrica zamierzali się na mnie zasadzić, i było całkiem prawdopodobne, że i tym razem przysła im do głowy ta myśl. Wysłałem więc Finana i pięćdziesięciu ludzi na zwiad.

Wrócili po południu.

– Setki Duńczyków – rzucił zdawkowo Finan. – Cała flota. Czekają na nas.

– Setki?

– Nie mogłem przeprowić się przez rzekę, żeby dokładnie ich zliczyć – odparł. – Zabiliby mnie. Ale widziałem sto czterdzieści trzy statki.

– Czyli są ich tysiące – mruknąłem.

– Czekają na nas, panie.

Znalazłem Edwarda w klasztorze na południu. Byli z nim ealdormani Aethelhelm i Sigelf, i chcąc przekazać wieści, przeszkodziłem im w wieczery. Noc była zimna, a wilgotny wicher grzechotał okiennicami klasztoru.

– Chcą walczyć? – spytał Edward.

– Liczą, panie, że będziemy dość głupi, by wyzwąć ich do walki – odparłem.

Spojrzał na mnie zdumiony.

– Ale skoro ich znaleźliśmy... – zaczął.

– Musimy ich wygubić – orzekł biskup Erkenwald.

– Obozują na drugim brzegu rzeki. Nie sposób jej przekroczyć inaczej, jak tylko przez most, którego bronią – wyjaśniłem. – Będą wycinać nas

jednego po drugim, aż się wycofamy, a wówczas ruszą za nami jak wilki za stadem owiec. Tego właśnie chcą, panie. To oni wybrali pole bitwy i będziemy głupcami, jeśli na to przystaniemy.

– Lord Uhtred ma rację – warknął ealdorman Sigelf.

Byłem tak zaskoczony, że zapomniałem języka w gębie.

– Tak – zgodził się Aethelhelm.

Edward najwyraźniej zamierzał zapytać, co powinniśmy zrobić, wiedział jednak, że zadając to pytanie, wyjdzie na słabeusza. Widziałem, że bierze pod rozwagę różne rozwiązania, i ucieszyłem się, słysząc, że wybrał to właściwe.

– Ten most, o którym mówiłeś, w Eanulfsbirig?

– Tak, panie?

– Możemy go przekroczyć?

– Tak, panie.

– A gdy go przekroczymy, będziemy mogli go zniszczyć?

– Przekroczyłbym go, panie – odparłem – i ruszyłbym na Bedanford.

Zachęciłbym Duńczyków, by tam nas zaatakowali. W ten sposób to my zdecydujemy, gdzie odbędzie się bitwa, nie oni.

– Brzmi rozsądnie – odparł z wahaniem Edward, popatrując na biskupa Erkenwalda i ojca Coenwulfa, jakby liczył na ich wsparcie. Obaj pokiwali głowami. – A zatem tak uczynimy – zdecydował nieco bardziej stanowczo.

– Chciałem prosić cię, panie, o przysługę – przemówił ze zdumiewającą pokorą Sigelf.

– Proś, o co tylko chcesz – odparł uprzejmie Edward.

– Pozwól, by moi ludzie jechali w tylnej straży. Jeśli Duńczycy zaatakują, chcę, by tarcze Kentu przyjęły na siebie siłę ich natarcia i ochraniały naszą armię.

Jego prośba zdumiała i wyraźnie ucieszyła Edwarda.

– Naturalnie – odparł. – Dziękuję, lordzie Sigelfie.

Rozesłano więc wieści do naszych rozproszonych oddziałów, wzywając je na most w Eanulfsbirig. Mieli wymaszerować z nastaniem świtu, w czasie, gdy Kentyjczycy Sigelfa wyruszą w górę traktu i zetną się z Duńczykami na południe od Huntandon. Robiliśmy dokładnie to, co wcześniej Duńczycy.

Najechaliśmy ich ziemie, splądrowaliśmy je, a teraz wycofywaliśmy się, jednak nasz odwrót był chaotyczny. Świt nadszedł mroźny. Szron pobielł pola, a przydrożne rowy pokryły się cienką warstwą lodu. Dobrze pamiętam ten dzień, albowiem połowa nieba była czysta i błękitna, podczas gdy wschodnią połowę zasnuwały gęste szare chmury. Zupełnie jakby bogowie okryli świat kocem, który dzielił niebo na pół. Granica chmur była prosta jak ostrze miecza. Jej krawędzie osrebrzało słońce, a ziemię pod nią spowijał mrok. W tym mroku jechali na zachód Edward i jego ludzie. Wielu wiozło ze sobą łupy i ci chcieli jechać rzymskim traktem, tym samym, którym podróżowali Sigelf i jego armia. Zobaczyłem unieruchomiony wóz z załadowanym na nim kamieniem młyńskim. Jakiś wojownik krzyczał na swoich ludzi, by go naprawili, i okładał batem dwa bezsilne woły. Byli ze mną Rollo i dwudziestu dwóch zbrojnych. Przecieliśmy uprzęż, uwolniliśmy zwierzęta i zepchnęliśmy wóz wraz z ładunkiem do rowu.

– To mój kamień! – ryknął wściekle tamten.

– A to mój miecz – warknąłem. – A teraz zabieraj swoich ludzi i ruszajcie na zachód.

Finan powiodł większość moich ludzi do Huntandon, podczas gdy ja nakazałem Osferthowi, by wziął dwudziestu konnych i eskortował Aethelflaed na zachód od rzeki. O dziwo, usłuchała mnie, co niepomierne mnie zdumiało. Pamiętałem, jak Ludda mówił, że za zakolem rzeki jest jeszcze jedna droga, która prowadzi z Huntandon do Eanulfsbirig, powiedziałem więc o niej Edwardowi i wysłałem Merewalha i jego Mercjan,

by jej strzegli.

– Duńczycy mogą próbować odciąć nam drogę odwrotu – uprzedziłem króla. – Mogą posłać statki w górę rzeki albo pojechać węższą drogą, ale tak czy inaczej, ludzie Merewalha powinni ich zobaczyć.

Edward wysłuchał mnie i pokiwał głową. Nie miałem pewności, czy aby na pewno zrozumiał, co do niego mówię, ale był tak wdzięczny za moją radę, że prawdopodobnie przytaknąłby, nawet gdybym kazał mu posłać ludzi, by strzegli ciemnej połowy Księżyca.

– Nie jestem pewien, panie, czy będą chcieli odciąć nam drogę ucieczki – dodałem – ale kiedy twoja armia przekroczy most, zatrzymaj ją tam. Nikt nie ma prawa ruszać do Bedanfordu, dopóki wszyscy nie przeprawimy się przez rzekę! Musimy być gotowi do walki. Kiedy już wszyscy będziemy bezpieczni na drugim brzegu, wówczas razem pomaszerujemy na Bedanford. Nie możemy dopuścić, by armia szła rozproszona wzdłuż całej drogi.

Powinniśmy byli przeprawić się przez rzekę do południa, jednak w nasze szyki wkradł się chaos. Niektóre oddziały zgubiły się, inne wiozły ze sobą tyle łupów, że poruszały się w ślimaczym tempie, a ludzie Sigelfa mieszały się z tymi, którzy szli w przeciwną stronę. Duńczycy powinni byli przejść rzekę i zaatakować, lecz zamiast tego pozostali w Huntandon i Finan obserwował ich z południa. Sigelf dołączył do niego po południu, rozmieścił swoich ludzi w poprzek drogi niespełna pół mili na południe od rzeki. Było to starannie wybrane miejsce. Część jego ludzi ukryła się pośród drzew. Z dwóch stron chroniły ich bagna, z przodu zaś wypełniony wodą rów. Gdyby Duńczycy przekroczyli most, mogli utworzyć mur tarcz, lecz chcąc zaatakować Sigelfa, musieliby przeprawić się przez głęboki rów z wodą, za którym czekały na nich kentyjskie tarcze, miecze, topory i włócznie.

– Mogą spróbować obejść bagna i zająć was od tyłu – ostrzegłem Sigelfa.

– Walczyłem już wcześniej – warknął na mnie.

Nie dbałem o to, czy go obraziłem.

– Więc nie siedźcie tu, jeśli przejdą przez most – dodałem. – Cofnijcie się.

Jeśli się nie przeprawią, dam wam znać, kiedy macie do nas dołączyć.

– Ty tu dowodzisz? – spytał. – Czy Edward?

– Ja – odparłem, wprawiając go w osłupienie.

Jego syn Sigebriht przysłuchiwał się naszej rozmowie i razem ze mną udał się na północ, by rzucić okiem na obóz Duńczyków.

– Zaatakują, panie? – zapytał mnie.

– Nie rozumiem tej wojny – odparłem. – Dranie powinni byli zaatakować tygodnie temu.

– Może się nas boją – rzucił i się roześmiał. Zdziwiło mnie to, lecz zrzuciłem jego zachowanie na karb młodzieńczej głupoty. Nadal nosił długie włosy związane na karku rzemieniem, a na szyi różową jedwabną wstążkę z wyblakłą plamą krwi, pamiątką spod Scaftesburi. Drogą kolczugę miał wypolerowaną, zdobiony płytkami złota pas błyszczał w słońcu, a miecz z wprawionym w głowicę kryształem spoczywał w pochwie ozdobionej wizerunkami smoków wykonanymi z cienkiego złotego drutu. Miał wydatne kości policzkowe, jasne spojrzenie i twarz rumianą z zimna. – A zatem powinni byli nas zaatakować. A co my powinniśmy byli zrobić? – zapytał.

– Najechać ich w Cracgelad – odparłem.

– Czemu więc tego nie zrobiliśmy?

– Bo Edward obawiał się, że straci Londyn. I czekał na twojego ojca.

– Potrzebuje nas – zauważył Sigebriht z satysfakcją.

– Potrzebował zapewnienia o kentyjskiej lojalności – odparłem.

– Nie ufa nam? – dopytywał nieszczerze.

– A niby czemu miałby wam ufać? – burknąłem. – Poparliście

Aethelwolda i pchnęliście gońców do Sigurda. To oczywiste, że wam nie ufał.

– Przysięgałem wierność Edwardowi, panie – odparł z pokorą. Zerknął na mnie i uznał, że nie musi dodawać nic więcej. – Masz rację, panie, lecz młodość ma w sobie coś z szaleństwa, czyż nie?

– Szaleństwa?

– Ojciec mawia, że młodzi ludzie dają się porwać szaleństwu. – Zamilkł na chwilę. – Kochałem Ecgwynn – wyznał tęsknie. – Spotkałeś ją kiedyś?

– Nie.

– Była drobna, panie, niczym elfka i piękna jak poranek. Na jej widok mężczyznom krew zaczynała wrzeć.

– Szaleństwo – orzekłem.

– Wybrała jednak Edwarda – powiedział. – To mnie rozgniewało.

– A teraz? – spytałem.

– Czas leczy rany – odparł ze współczuciem. – Pozostają blizny, ale nie jestem już zły ani głupi.

– Poza tym są inne kobiety – dodałem.

– Bogu niech będą dzięki – odparł i się roześmiał.

Lubiłem go w tamtej chwili. Nigdy mu nie ufałem, ale miał rację, mówiąc, że kobiety odbierają nam rozum i doprowadzają nas do szaleństwa, że czas leczy rany, choć na sercu pozostają blizny. Nasza rozmowa dobiegła końca, gdy ujrzeliśmy galopującego ku nam Finana. Przed nami biegła rzeka, a my zobaczyliśmy Duńczyków.

Use była w tym miejscu szeroka. Chmury powoli zasnuły bezwietrzne niebo, przez co rzeka zdawała się szara i gładka. Na leniwych wodach płynął powoli tuzin łabędzi. Zdało mi się, że świat stanął w miejscu. Nie słyszałem Duńczyków, choć były ich setki, tysiące, a ich sztandary jaśniały pod

zaciągniętym popielatymi chmurami niebem.

– Ilu? – spytałem Finana.

– Zbyt wielu, panie – odparł.

Była to słuszna odpowiedź, albowiem nie dało się zliczyć wroga, który czaił się za domami małego miasteczka. Duńskie oddziały stały rozciągnięte wzdłuż brzegów rzeki po obu stronach osady. Dostrzegłem kruczy sztandar Sigurda zatknięty na wzniesieniu w samym centrum miejsciny i proporzec Kanuta z toporem i złamanym krzyżem po drugiej stronie mostu. Byli wśród nich także Sasi, bo nieopodal Aethelwoldowego jelenia dostrzegłem dzika Beortsiga. W dole rzeki na jej drugim brzegu cumowała duńska flota. Tylko siedem łodzi nie miało masztów i te przeprowadzono pod mostem, a to znaczyło, że Duńczycy nie zamierzali płynąć w górę rzeki do Eanulfsbirig.

– Czemu więc nie atakują? – zastanawiałem się na głos.

Nikt nie przekroczył mostu pobudowanego w dawnych czasach przez Rzymian. Czasem myślę, że gdyby Rzymianie nie najechali Brytanii, nigdy nie zdołalibyśmy przepłynąć się przez rzekę. Na południowym brzegu, nieopodal miejsca, w którym zostawiliśmy nasze konie, stały niszczący rzymski dom i garstka krytych strzechą chat. Było to idealne miejsce dla duńskiej straży przedniej, lecz oni z jakiegoś powodu woleli czekać na północnym brzegu.

Zaczął padać drobny rześisty deszcz, a towarzyszący mu wiatr marszczył powierzchnię wody wokół płynących łabędzi. Słońce wisiało nisko na zachodzie, gdzie niebo wciąż jeszcze było wolne od chmur, przez co miałem wrażenie, że tereny za rzeką i duńskie tarcze lśnią w świetle skąpanym w szarości cieni. Dalej na północ dostrzegłem bijącą w niebo smugę dymu.

Zaniepokoiło mnie to, bo cokolwiek płonęło, znajdowało się na ziemiach Eohrica, a nasi ludzie nie zapuszczali się tak daleko na północ. Może – pomyślałem – to tylko złudzenie, a może pożar wybuchł przypadkiem.

– Czy twój ojciec cię słucha? – spytałem Sigebrihta.

– Tak, panie.

– Przekaż mu, że pošlemy gońca, kiedy będzie mógł zacząć się wycofywać.

– Do tego czasu mamy czekać?

– Tak, chyba że Duńczycy zaatakują – odparłem. – Jeszcze jedno – dodałem po chwili. – Obserwujcie ich. – Mówiąc to, wskazałem wysunięte najbardziej na zachód duńskie oddziały. – Za zakolem rzeki jest droga. Jeśli zobaczycie, że jadą tamtędy, dajcie nam znać.

Zmarszczył czoło w zamyśleniu.

– Bo mogą odciąć nam drogę odwrotu?

– Nie inaczej – odparłem, zadowolony, że zrozumiał. – A jeśli odetną drogę do Bedanfordu, znajdziemy się w potrzasku.

– To tam zmierzamy? – zapytał. – Do Bedanfordu?

– Tak.

– To na zachód stąd?

– Na zachód stąd – potwierdziłem. – Ale nie musicie iść tam sami.

Wróćcie przed wieczorem z armią. – Nie powiedziałem mu, że zamierzam zostawić większość swoich ludzi nieco dalej na tyłach kentyjskich oddziałów. Ojciec Sigebrihta Sigelf był człowiekiem tak dumnym i trudnym, że gdyby się o tym zwiedziało, od razu oskarżyłby mnie o brak zaufania. Ja tymczasem potrzebowałem kogoś, by miał na oku Huntandon, a nie znałem człowieka o bystrzejszym wzroku niż Finan.

Zostawiłem go na drodze pół mili na południe od Sigelfa, a sam powiodłem pół tuzina zbrojnych do Eanulfsbirig. Kiedy o zmroku dotarłem na miejsce, sytuacja zdążyła się już uspokoić. Biskup Erkenwald przykazał maruderom, by porzucili najcięższe i najwolniejsze wozy, i armia Edwarda

gromadziła się na polach po drugiej stronie rzeki. Gdyby Duńczycy zaatakowali, byłiby zmuszeni przekroczyć most i stawić nam czoło, w przeciwnym razie musieliby nadłożyć drogi i obejść zakole rzeki.

– Czy Merewalh nadal strzeże tamtej drogi, panie? – spytałem Edwarda.

– Tak, podobno nigdzie nie widać ani śladu wroga.

– To dobrze. Gdzie twoja siostra?

– Odesłałem ją do Bedanfordu.

– I pojechała?

– Tak! – Uśmiechnął się.

Było jasne, że cała armia z wyjątkiem moich ludzi i tylnej straży Sigelfa jeszcze przed zmrokiem przeprawi się przez Use. Posłałem więc Sihtrica z wiadomością, by oba oddziały wycofały się jak najszybciej.

– Niech dotrą do mostu i bezzwłocznie przeprawią się na drugi brzeg. – Dopiero wtedy, pod warunkiem że Duńczycy nie będą próbowali nas oflankować, mogliśmy zdecydować o tym, gdzie odbędzie się bitwa. – I powiedz Finanowi, by puścił ludzi Sigelfa przodem – przykazałem Sihtricowi. Wolałem, by to Finan zamykał tyły, bo nikomu nie ufałem tak jak jemu.

– Wydajesz się zmęczony, panie – rzekł współczująco Edward.

– Bo jestem zmęczony, królu – przyznałem.

– Minie co najmniej godzina, zanim ealdorman Sigelf do nas dołączy – zauważył. – Możesz więc odpocząć.

Upewniłem się, że tuzin moich ludzi i ich konie mają się dobrze, i zjadłem skromny posiłek z czerstwego chleba i tłuczonej fasoli. Deszcz przybrał na sile, a wiejący od wschodu wiatr potęgował uczucie chłodu. Król kwaterował w jednej z chat, które zniszczyliśmy do połowy, by spalić most, lecz jego słudzy znaleźli gdzieś płótno żaglowe i narzucili je na belki stropu. Na palenisku płonął ogień, pod prowizorycznym dachem kołował dym.

Dwóch księży sprzeczało się po cichu, kiedy przysiadłem przy ogniu. W drugim końcu izby pod ścianą piętrzyły się złote, srebrne i kryształowe relikwiarze, które król zabrał ze sobą, by zyskać przychylność swego boga. Księża kłócili się o to, czy jeden z relikwiarzy zawiera drzazgę z arki Noego, czy może paznokieć u nogi Świętego Patryka. Szybko straciłem zainteresowanie ich sprzeczką.

Zamknąłem oczy i w półśnie zastanawiałem się, jakie to dziwne, że wszyscy ludzie, którzy wpływali na moje życie przez ostatnie trzy lata, nagle znaleźli się w jednym miejscu. Sigurd, Beortsig, Edward, Kanut, Aethelwold, Aethelflaed, Sigebriht – wszyscy przybyli do tego zimnego zakątka w Anglii Wschodniej, i przyszło mi do głowy, że to ważne. Trzy Norny spletały ciasno nić życia i nie robiły tego bez powodu. Wypatrywałem w splocie wzoru, ale go nie ujrzałem, i moje myśli uleciały, gdy zapadłem w sen. Zbudziłem się, kiedy Edward, pochylając głowę, przeszedł przez niskie drzwi. Na zewnątrz panował mrok.

– Sigelf się nie wycofuje – mówił płaczącym głosem do dwóch księży.

– Królu? – spytał jeden z nich.

– Jest uparty – kontynuował Edward, wyciągając ręce w stronę ognia. – Ani myśli się ruszyć! Kazałem mu się wycofać, ale mnie nie słucha.

– Jak to? – spytałem, nagle całkowicie rozbudzony.

Spojrzał na mnie, jakby zdziwił go mój widok.

– Chodzi o Sigelfa – rzekł. – Ignoruje moich posłańców! Wysłałeś do niego gońca, prawda? A ja kolejnych pięciu! Pięciu! Wszyscy jednak wrócili z wiadomością, że nie chce się wycofać! Mówi, że jest zbyt ciemno i zaczeka do świtu, ale Bóg jeden wie, że ryzykuje bezpieczeństwo swoich ludzi.

Duńczycy obudzą się o brzasku. – Westchnął. – Chwilę temu wysłałem do niego kolejnego gońca z rozkazem natychmiastowego odwrotu. – Urwał i zmarszczył czoło. – Mam rację, prawda? – zapytał, jakby liczył, że dodam

mu otuchy.

Nie odpowiedziałem. Milczałem, bo oto przejrzałem plan Norn i w końcu pojąłem wojnę, która wykraczała poza ludzkie zrozumienie. Moja twarz musiała wyrażać bezbrzeżne zdumienie, albowiem Edward gapił się na mnie oniemiały.

– Królu – odezwałem się w końcu – każ ludziom wrócić przez most i dołączyć do armii Sigelfa. Rozumiesz?

– Chcesz, żebym... – zaczął zdezorientowany.

– Wszystkim! – ryknąłem. – Co do jednego! Poprowadź ich do Sigelfa! – krzyczałem na niego, jak gdyby był moim podwładnym, nie królem, wiedziałem bowiem, że jeśli teraz mnie nie posłucha, wkrótce przestanie nim być. Może już było za późno, ale nie miałem czasu, by cokolwiek mu tłumaczyć. Trzeba było ratować królestwo. – Ruszajcie natychmiast – warknąłem. – Tą samą drogą, którą tu przyszliśmy, z powrotem do Sigelfa.

I pospieszcie się!

Ja tymczasem pobiegłem po konia.

Wziąłem swoich dwunastu ludzi. Przeprowadziliśmy konie przez most, wskoczyliśmy na siodła i ruszyliśmy drogą w stronę Huntandon. Noc była ciemna, ciemna i zimna, deszcz siekł nas w twarze, więc nie mogliśmy jechać szybko. Pamiętam, że dręczyły mnie wątpliwości. A jeśli się myliłem? Jeżeli tak było, prowadziłem armię Edwarda z powrotem na pole bitwy wybrane przez Duńczyków. Zostawiłem ich samych sobie w zakolu rzeki, gdzie z każdej strony mogli czaić się na nich wrogowie. Odeгнаłem od siebie czarne myśli. Jeszcze do niedawna nic nie miało sensu, lecz teraz nagle wszystko zaczęło się układać w logiczną całość, wszystko oprócz ogni płonących daleko na północy. Po południu zauważyłem jedną smugę dymu, teraz widziałem trzy słupy ognia, których blask rozświetlał od dołu wiszące nisko chmury. Po co Duńczycy mieliby palić dwory czy wioski na ziemiach króla

Eohrica? Jeszcze jedna zagadka, lecz się nią nie przejmowałem, albowiem ognie płonęły daleko, daleko za Huntandon.

Dopiero godzinę później natknęliśmy się na wartownika. Był to jeden z moich ludzi, który powiódł nas do Finana ukrywającego się w kępie drzew.

– Nie wycofałem się – wyjaśnił Finan – bo Sigelf ani myśli się stąd ruszać. Bóg jeden wie czemu.

– Pamiętasz, jak w Hrofeceastre rozmawialiśmy z biskupem Swithwulfem? – zapytałem go.

– Pamiętam.

– Co ładowali na łodzie?

Minęła chwila, nim zrozumiał, co mam na myśli.

– Konie – wyszeptał.

– Konie płyną do kraju Franków – odparłem. – A Sigelf przybywa do Londynu i twierdzi, że nie ma dość koni dla swoich ludzi.

– A teraz setka jego ludzi stacjonuje w Londynie – dodał.

– I są gotowi otworzyć dla Duńczyków bramy miasta – ciągnąłem – bo Sigelf przysiągł wierność Aethelwoldowi, Sigurdowi czy komukolwiek innemu, kto obiecał mu tron Kentu.

– Jezu Chryste i Święty Józefie – jęknął Finan.

– Duńczycy nie byli niezdecydowani – dodałem. – Czekali, aż Sigelf opowie się po ich stronie. Teraz wiedzą, że mogą na niego liczyć, a kentyjski sukinsyn nie wycofuje się, bo wierzy, że Duńczycy do niego dołączą. Może nawet już dołączyli. Myślą, że zmierzamy na zachód, oni tymczasem pomaszerują na południe, do Londynu, a gdy ludzie Sigelfa otworzą bramy, miasto upadnie, podczas gdy my nadal będziemy czekać na drani w Bedanfordzie.

– Co więc zrobimy? – zapytał Finan.

– Powstrzymamy ich, rzecz jasna.

– Jak?

– Zmieniając strony – odparłem.

Jak inaczej moglibyśmy ich powstrzymać?

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wątpliwości osłabiają wolę. Przyjmijmy, że się myliłem. Przyjmijmy, że Sigelf był po prostu upartym, starym głupcem i rzeczywiście uznał, że jest za ciemno, by się wycofać. Lecz chociaż dopadły mnie wątpliwości, wciąż prowadziłem swych ludzi na wschód, okrążając bagna zabezpieczające prawą flankę oddziału Sigelfa.

Padał rześisty deszcz, dał przejmujący wiatr, a noc była zimna i ciemna choć oko wykol, i gdyby nie kentyjskie ogniska, z pewnością zgubilibyśmy drogę. Liczne łuny zdradzały pozycję Sigelfa. Na północy było ich jeszcze więcej, wiedziałem więc, że przynajmniej niektórzy Duńczycy przeprawili się przez rzekę i szukali schronienia w zrujnowanych chatkach wokół starego rzymskiego domu. Jeszcze dalej na północ biły w niebo słupy ognia z trzech płonących dworów, jednak dla nich nie znajdowałem wyjaśnienia.

Zresztą nie tylko one stanowiły dla mnie zagadkę. Niektórzy Duńczycy przekroczyli rzekę, lecz łuna na północnym brzegu mówiła mi, że większość z nich wciąż jeszcze stacjonowała w Huntandon, co było dziwne, jeśli rzeczywiście zamierzali ruszyć na południe. Ludzie Sigelfa nadal tkwili tam, gdzie ich zostawiłem, a to oznaczało, że między nimi a najbliższymi Duńczykami była wolna przestrzeń, i ją właśnie zamierzałem wykorzystać.

Uwiązaliśmy konie do drzew i ruszyliśmy, niosąc tarcze i broń. Prowadził nas blask ognisk, jednak przez większość czasu byliśmy tak daleko od najbliższego z nich, że nie widzieliśmy ziemi pod stopami, tak więc potykaliśmy się, przewracaliśmy, brnęliśmy przez błoto i po omacku

przedzieraliśmy się przez moczary. Co najmniej raz wpadłem po pas w wodę, błoto lepiło mi się do butów i co rusz potykałem się o kępy traw, podczas gdy spłoszone ptaki podrywały się do lotu. Obawiałem się, że ich wrzaski zaalarmują naszych wrogów, ci jednak nie zwracali na nie uwagi.

Teraz, gdy jestem już stary, bywa, że nocami leżę rozbudzony w łożu i myślę o wszystkich szalonych rzeczach, które zrobiłem, ryzyku, jakie podejmowałem, i igraniu z wolą bogów. Pamiętam, jak przypuściłem atak na fort w Beamfleot, jak stawiłem czoło Ubbie, jak czołgałem się w górę zbocza w Dunholmie. Nic jednak nie mogło się równać szaleństwu tamtej zimnej, deszczowej nocy w Anglii Wschodniej. Wiodłem stu trzydziestu czterech ludzi przez zimową noc, przemykając między dwoma wrogimi oddziałami, które w sumie liczyły przeszło cztery tysiące zbrojnych. Gdyby nas schwytano, gdyby rzucono nam wyzwanie, gdyby nas pokonano, nie mielibyśmy dokąd uciec ani gdzie się skryć, chyba że we własnych grobach.

Przykazałem wszystkim swoim Duńczykom, by zabezpieczali tyły. Ludziom takim jak Sihtric i Rollo – których językiem ojczystym był duński, którzy przybyli mi służyć po tym, jak stracili swych panów, i którzy mi przysięgali, choć walczyliśmy przeciwko innym Duńczykom. Miałem ich siedemnastu, a do tego dwunastu Fryzyjczyków.

– Kiedy zaatakujemy – powiedziałem – krzykniecie „Sigurd”.

– Sigurd – powtórzył jeden z nich.

– Sigurd! – potwierdziłem. – Ludzie Sigelfa muszą myśleć, że jesteśmy Duńczykami. – To samo oznajmiłem Sasom. – Krzyczycie „Sigurd”! To wasz okrzyk bojowy, dopóki nie usłyszycie rogu. Krzyczycie i zabijacie, ale na dźwięk rogu bądźcie gotowi się wycofać.

To miał być taniec ze śmiercią. Z jakiegoś powodu pomyślałem o biednym Luddzie, który zginął, służąc pod moim sztandarem, i przypomniałem sobie, jak mówił, że cała magia polega na tym, by przekonać

kogoś, że coś jest prawdą, podczas gdy w rzeczywistości dzieje się coś innego. „Spraw, by patrzyli na twoją prawą rękę, panie – powiedział mi raz – a lewą sięgaj po ich sakiewki”.

Teraz więc musiałem przekonać Kentyjczyków, że zostali zdradzeni przez swoich sprzymierzeńców. Jeśli mój plan się powiedzie, miałem nadzieję oddać ich w ręce dobrych ludzi Wessexu, jeśli zaś zawiedzie, przepowiednia Aelfadell dopełni się i Uhtred z Bebbanburga zginie zimą na bagnach i pociągnie za sobą większość swoich ludzi. Ach, jakże ich kochałem! Tamtej nieszczęsnej mroźnej nocy nawet w obliczu desperackiej walki pełni byli entuzjazmu. Oni ufali mnie, a ja im. Razem mogliśmy okryć się sławą i sprawić, że bardowie w całej Brytanii będą snuć opowieści o naszych wyczynach. Albo o naszej śmierci. Byli mi przyjaciółmi, łączyła nas przysięga, byli młodzi i byli wojownikami. Z takimi jak oni mogłem sforsować wrota Asgardu.

Zdawało nam się, że ta krótka przeprawa przez bagna trwa całe wieki. Niecierpliwie spoglądałem na wschód z nadzieją, że nie zacznie świtać, i na północ z nadzieją, że Duńczycy nie dołączą do ludzi Sigelfa. W miarę jak się zbliżaliśmy, dostrzegłem na drodze konnych i widok ten sprawił, że opuściły mnie resztki wątpliwości. Byli to gońcy, którzy jeździli między obozami.

Duńczycy, jak mniemałem, czekali, aż zacznie się rozwidniać, by opuścić swą kryjówkę w Huntandon i ruszyć na południe. Gdy zaś wyruszą, niebawem dotrą do Londynu – chyba że ich powstrzymamy.

W końcu zbliżyliśmy się do ognisk Sigelfa. Jego ludzie spali albo grzali się przy ogniu. Zapomniałem o chroniącym ich wypełnionym wodą rowie i wpadłem do niego. Moja tarcza zagrzechotała, lód załamał się pode mną.

Gdzieś w kentyjskich szeregach zaszczekał pies. Jeden z ludzi Sigelfa spojrział w naszą stronę, lecz nie zobaczył nic niepokojącego. Drugi uderzył psa, a jeszcze inny się roześmiał. Warknąłem na czterech swoich ludzi, by

weszli za mną do rowu. Usłuchali mnie, ustawili się w poprzek i pomogli pozostałym zejść ze zdradziecko śliskiego brzegu, przeprowić się przez wodę i wyjść na drugi brzeg. Gdy sam wychodziłem, chlupotało mi w butach. Przykucnięty czekałem, aż pozostali przeprowią się na drugą stronę i uformują szyk.

– Mur tarcz! – syknąłem do Duńczyków i Fryzyjczyków w tylnej straży.
– Osfercie?

– Tak, panie?

– Wiesz, co robić.

– Tak, panie.

– Więc zrób to.

Dałem mu niemal połowę swoich ludzi i dokładnie wszystko wyjaśniłem.

Zawahał się.

– Modliłem się za ciebie, panie – rzekł.

– Miejmy więc nadzieję, że twoje przeklęte modlitwy na coś się przydadzą – szepnąłem i dotknąłem młota, który nosiłem na szyi.

Moi ludzie ustawiali się w murze tarcz. Pomyślałem, że w każdej chwili ktoś może nas zobaczyć i wróg – albowiem wojownicy Sigelfa byli teraz naszym wrogiem – który miał nad nami cztero-lub pięciokrotną przewagę, również sformuje mur tarcz. Ale zwycięstwo nie jest pisane tym, którzy słuchają swoich lęków. Gdy krawędź mojej tarczy zaszła na tarczę Rolla, sięgnąłem po Oddech Węża. Jego długie ostrze z westchnieniem wyślizgnęło się z gardzieli pochwy.

– Sigurd! – syknąłem, a zaraz potem dodałem nieco głośniejsze: – Do ataku!

Natarliśmy. Biegając, wykrzykiwaliśmy imię wroga.

– Sigurd! – krzyczeliśmy. – Sigurd! Sigurd!

– Zabijajcie! – ryknąłem w duńskiej mowie. – Zabijajcie!

I zabijaliśmy. Zabijaliśmy Sasów, mieszkańców Wessexu, albowiem tej nocy zostali zdradzeni przez swojego ealdormana, który uczynił z nich duńskich sługusów. Zabijaliśmy ich i od tamtej pory krążą plotki o tym, co wydarzyło się owej nocy. Rzecz jasna zaprzeczam im, jednak tylko nieliczni wierzą moim zaprzeczeniom. Z początku zabijanie przychodziło nam łatwo.

Zaskoczeni Kentyjczycy byli na pół uśpieni, ich strażnicy spoglądali na południe, zamiast wypatrywać ataku z północy, i tak, siekąc i dżgając, przedarliśmy się w głąb ich obozu.

– Sigurd! – ryknąłem. Pchnąłem ostrzem budzącego się mężczyznę i kopniakiem posłałem go do ogniska, a gdy usłyszałem jego wrzask, wywinąłem mieczem w tył, w stronę nadbiegającego młodzika.

Nie traciliśmy czasu na dobijanie rannych, zostawialiśmy ich za sobą. Okaleczaliśmy Kentyjczyków, raniliśmy ich i powalaliśmy na ziemię, a ci, którzy szli za nami, przebijali ich mieczem lub włócznią. Słyszałem rozpaczliwe wrzaski ludzi, którzy błagali o litość i zarzekali się, że są po naszej stronie, ja jednak parłem do przodu, krzycząc coraz głośniejsze: „Sigurd! Sigurd!”.

Pierwsza szarża zawiodła nas w głąb kentyjskiego obozowiska. Ludzie pierzchali na nasz widok. Ktoś krzychał, by ustawili się w murze tarcz, ale w szeregach Sigelfa zapanowała panika. Widziałem człowieka, który próbował znaleźć swoją tarczę w stosie innych i szarpiąc pętlę, spoglądał na nas przerażonym wzrokiem. W końcu odwrócił się na pięcie i uciekł.

Włócznia zatoczyła łuk nad jednym z ognisk i przemknęła ponad moim ramieniem. Nasz mur tarcz poszedł w rozsypkę, lecz nie musieliśmy zwierać szyków, albowiem nasi wrogowie umykali przed nami, choć wiedziałem, że już niebawem pojną, jak niewielki jest nasz oddział. Wówczas bogowie pokazali, że są po naszej stronie, bo oto ealdorman Sigelf we własnej osobie galopował w naszą stronę.

– Jesteśmy z wami! – krzyczał. – Na litość boską, przekłęci głupcy, jesteśmy z wami!

Osłony na policzki miałem opuszczone. Nie nieśliśmy sztandaru, bo ten zabrali ludzie Osfertha. Sigelf nie wiedział, kim jestem, choć z całą pewnością dostrzegł bogate zdobienia mojego hełmu i misterną plecionkę zbryzganej błotem kolczugi. Podniosłem miecz, dając swym ludziom znak, by się zatrzymali.

Sigelf trzął się z wściekłości.

– Przekłęci głupcy! – warknął. – Co z was za jedni?

– Jesteście po naszej stronie? – spytałem.

– Sprzymierzyliśmy się z jarlem Sigurdem, durniu. Zapłacisz za to głową!

Uśmiechnąłem się, choć nie mógł tego zobaczyć za błyszczącą stałą zakrywającą policzki.

– Panie – rzekłem pokornie, po czym zamachnąłem się mieczem i ciąłem ostrzem pysk jego rumaka.

Zwierzę kwiknęło przeraźliwie i stanęło dęba, tocząc krwawą pianę. Gdy Sigelf zachwiał się w siodle, szarpnięciem ściągnąłem go w błoto. Płazem miecza uderzyłem konia w zad i spłoszony rumak umknął między rozproszonych ludzi ealdormana. Kiedy ten próbował się podnieść, kopniakiem w twarz posłałem go z powrotem na ziemię. Postawiłem prawą stopę na jego kościstej piersi, tak że nie mógł się ruszyć.

– Jestem Uhtred – rzekłem ściszym głosem, tak że tylko Sigelf mógł mnie usłyszeć. – Słyszysz mnie zdrajco? Jestem Uhtred.

Jego oczy rozwarły się ze zdumienia, podczas gdy ja wbiłem mu miecz w wychudłe gardło. Jego wrzask przeszedł w bulgotanie, a krew rozlała się po ziemi szeroką kałużą, gdy drżąc i miotając się, konał w męczarniach.

– Róg! – krzyknąłem do Oswiego. – Teraz!

Rozbrzmiał dźwięk rogu. Moi ludzie tylko na to czekali. Zawrócili w stronę bagien, wycofując się w mrok z dala od blasku ognisk, a wówczas zabrzmiał drugi róg i ujrzałem Osfertha, który dowodził idącym od strony lasu murem tarcz. Górowały nad nim mój sztandar z głową wilka i osmalony krzyż Osfertha.

– Wojownicy Kentu! – krzyczał Osferth. – Wojownicy Kentu, wasz król nadchodzi was uratować! Do mnie! Do mnie! Stańcie wraz ze mną w murze tarcz!

Osferth był synem króla i dziedzictwo to pobrzmiwało w jego głosie. W noc chłodu, chaosu i śmierci tchnął pewnością siebie. Wojownicy, którzy byli świadkami śmierci swojego ealdormana i widzieli jego krew przelaną w blasku ognia, ruszyli ku Osferthowi i stanęli z nim w murze tarcz, albowiem obiecywał im bezpieczeństwo. Tymczasem moi ludzie wycofywali się między cienie i skręcali na południe, by dołączyć do prawej flanki Osferthowego oddziału. Zdjąłem hełm i rzuciłem go Oswiemu, a sam ruszyłem wzdłuż rosnącego muru tarcz.

– Wysłał nas Edward, byśmy was ocalili! – krzyknąłem do Kentyjczyków. – Duńczycy was zdradzili! Król nadciąga wraz z całą armią!

Formujcie szereg! Tarcze w górę!

Niebo na wschodzie poczynęło szarzeć. Siapawica nie ustawała, ale świt był już blisko. Zerknąłem na północ i ujrzałem konnych. Duńczyków musiały zaniepokoić odgłosy walki i dźwięk rogów, bo niektórzy z nich nadjeżdżali, by zobaczyć, co się wydarzyło, gdy tymczasem na ich oczach rósł mur tarcz.

Ujrzeni mój sztandar, osmalony krzyż Osfertha i ludzi leżących pośród resztek ognisk. Pozbawieni przywódcy wojowie Sigelfa nadal pogrążeni byli w chaosie i podobnie jak Duńczycy nie mieli pojęcia, co się dzieje, lecz nasz mur tarcz zapewniał im bezpieczeństwo, więc łapali za tarcze, hełmy i broń i biegli ku nam, by wzmocnić nasze szyki. Finan i Osferth ustawiali ich w

szeregu. Wysoki mąż bez hełmu, za to z obnażonym mieczem, biegł ku mnie, wołając: – Co się dzieje?

– Ktoś ty? – rzuciłem.

– Wulferth – odparł.

– A kimże jest Wulferth? – spytałem ze spokojem. Był tanem, jednym z bogatszych popleczników Sigelfa, który przywiódł do Anglii Wschodniej czterdziestu trzech wojowników. – Wasz pan nie żyje – oświadczyłem – a wkrótce zaatakują nas Duńczycy.

– Coś ty za jeden?

– Uhtred z Bebbanburga – odparłem. – Nadciąga Edward. Musimy zatrzymać Duńczyków do przyjazdu króla. – Chwyciłem go za łokieć i powiodłem ku bagnom na zachodzie, na lewo od muru tarcz. – Ustaw tu swoich ludzi – nakazałem mu – i walczcie za swój kraj, za Kent, za Wessex.

– Za Boga! – zakrzyknął stojący nieopodal Osferth.

– Nawet za niego – przytaknąłem.

– Ale... – zaczął Wulferth, wciąż zaskoczony ostatnimi wydarzeniami.

Spojrzałem mu w oczy.

– Dla kogo chcesz walczyć? Dla Wessexu czy dla Duńczyków?

Zawahał się, lecz nie dlatego, że nie był pewny odpowiedzi, ale dlatego, że wszystko się odmieniło i nadal próbował zrozumieć, co właściwie się stało. Spodziewał się, że pomaszeruje na południe, do Londynu, a tymczasem miał wziąć udział w bitwie.

– No i? – naciskałem.

– Dla Wessexu, panie.

– Więc walcz najlepiej, jak potrafisz – odparłem. – Dowodzisz tą flanką – dodałem. – Ustaw swoich ludzi i powiedz im, że nadjeżdża król.

Do tej pory nie widziałem śladu Sigebrihta, ale w szarym świetle poranka

ujrzałem go jadącego ku nam od północy. Musiał spędzić noc w obozie Duńczyków, korzystając z ciepła i wygod, jakie oferowało Huntandon. Teraz jednak dosiadał rumaka, a biegnący za nim człowiek niósł sztandar z głową byka.

– Oswi! – krzyknąłem. – Znajdź mi konia! Finanie! Sześciu ludzi, sześć koni! Wulfercie! – zwróciłem się do tana.

– Panie?

– Znajdź sztandar Sigelfa, niech któryś z twoich ludzi wzniesie go obok mojego.

W lesie za naszymi plecami stały przywiązane do drzew konie Kentyjczyków. Oswi przyprowadził mi jednego z nich, osiodłanego i gotowego do drogi, dosiadłem go więc i pogałem ku Sigebrihtowi, który zatrzymał się jakieś pięćdziesiąt–sześćdziesiąt kroków dalej. Prócz chorążego, który dzierżył jego sztandar, było z nim pięciu innych ludzi, jednak nie znałem żadnego z nich. Nie chciałem, by wojownicy Kentu odpowiedzieli na widok proporca z głową byka, ale na szczęście deszcz sprawił, że ciężki od wody zwisał smętnie z drzewców.

Ściągnąłem wodze i osadziłem konia tuż obok Sigebrihta.

– Chcesz zdobyć rozgłos, chłopcze? – spytałem. – To zabij mnie teraz.

Spojrzał ponad moim ramieniem na oddziały swego ojca gotujące się do walki.

– Gdzie mój ojciec? – zapytał.

– Martwy – odparłem. – Oto, co go zabiło – dodałem i dobyłem miecza.

– A zatem jestem ealdormanem – rzekł. Wziął głęboki oddech i wiedziałem, że zamierza przemówić do ludzi swego ojca i zażądać od nich lojalności, zanim jednak zdołał to zrobić, spiąłem konia i podniosłem ostrze.

– Porozmawiaj ze mną, chłopcze – powiedziałem, przystawiając mu miecz do twarzy – nie z nimi.

Dołączył do mnie Finan, a pięciu moich ludzi stało kilka kroków dalej. Sigebriht był przerażony, patrzył jednak na mnie z udawaną odwagą.

– Wszyscy zginiecie – warknął.

– Może – zgodziłem się – ale jeśli tak się stanie, zabierzemy cię ze sobą.

Jego rumak się cofnął. Pozwoliłem mu stanąć poza zasięgiem miecza. Spojrzałem ponad jego ramieniem i ujrzałem Duńczyków przekraczających most. Czemu zwlekali? Gdyby poprzedniego wieczoru przeprawili się przez rzekę, dołączyliby do Sigelfa i w tej chwili maszerowaliby na południe. Coś jednak ich wstrzymywało. Nagle przypomniałem sobie płonące w nocy tajemnicze ognie – trzy wielkie łuny gorejące od płonących dworów lub osad.

Czyżby ktoś zaatakował duńskie tyły? Nie znajdowałem innego wyjaśnienia, tak jak nie wiedziałem, kto to mógł być. A jednak Duńczycy przeprawiali się przez rzekę i tysiącami przewalali się przez most. Byli wśród nich ludzie Aethelwolda i Mercjanie Beortsiga, i widziałem, że ich siły są co najmniej osiem razy większe od naszych.

– Dam ci trzy możliwości, szczeniaku – zwróciłem się do Sigebrihta. – Możesz przyłączyć się do nas i walczyć dla prawowitego króla, tu i teraz stoczyć ze mną pojedynek albo podkulić ogon i uciec do swoich duńskich panów.

Wbił we mnie wzrok, lecz nie był w stanie wytrzymać mojego spojrzenia.

– Nakarmię twoim ścierwem psy – wycedził przez zaciśnięte zęby, siląc się na pogardę.

Patrzyłem w milczeniu, jak zawraca konia. On i jego ludzie odjechali do Duńczyków i dopiero gdy straciłem ich z oczu pośród gęstniejących oddziałów wroga, wróciłem do muru tarcz.

– Wojownicy Kentu! – Osadziłem konia w miejscu. – Wasz ealdorman zdradził wasz kraj i boga! Duńczycy obiecali, że uczynią go królem, ale czy

kiedykolwiek dotrzymali obietnicy?! Chcieli, byście dla nich walczyli, a po wszystkim planowali odebrać wam żony i córki i pokładać się z nimi!

Obiecali Aethelwoldowi tron Wessexu, ale czy ktokolwiek z was wierzy, że utrzymałby go dłużej niż przez miesiąc?! Duńczycy chcą Wessexu! Chcą Kentu! Chcą naszych pól, naszych kobiet, bydła i naszych dzieci! Tej nocy zaatakowali was podstępnie! Dlaczego?! Bo uznali, że nie jesteście im już potrzebni! Postanowili was zabić, bo i bez was mają dość ludzi!

Większość z tego, co im powiedziałem, była prawdą. Powiodłem wzrokiem po kentyjskich szeregach, po tarczach, włóczniach, toporach i mieczach. Ujrzałem pełne niepokoju, przerażone twarze.

– Jestem Uhtred z Bebbanburga! – krzyknąłem. – Słyszeliście o mnie i wiecie, kogo zabiłem! Będziecie walczyć u mojego boku! Naszym zadaniem jest zatrzymać zdradzieckiego wroga do czasu, aż przybędzie król! A on nadciąga! – Miałem nadzieję, że to, co mówię, jest prawdą, bo jeśli nie, ten dzień miał być moim ostatnim. – Jest już blisko! – zawołałem. – A gdy do nas dołączy, wyrzniemy Duńczyków jak owce! Ty! – Mówiąc to, wskazałem na księdza. – Za co walczymy?!

– Za krzyż, panie! – odparł.

– Głośniej!

– Za krzyż!

– Osfercie! Gdzie twój sztandar?!

– Mam go, panie! – wykrzyknął Osferth.

– Więc pokaż go nam! – Odczekałem, aż krzyż Osfertha znajdzie się przed naszymi szeregami, na samym ich środku. – Oto nasz sztandar! – ryknąłem, wskazując Oddech Węża osmalony krucyfiks i mając nadzieję, że moi bogowie wybaczą mi te słowa. – Dziś walczymy w imię waszego boga, za wasz kraj, za wasze żony i rodziny, bo jeśli przegramy... – Kolejny raz zawiesiłem głos. – Jeśli przegramy, wszystko to przepadnie na zawsze!

Gdzieś z tyłu, od strony nadrzecznych chat, dobiegł grzmot. Duńczycy tłukli włóczniami i mieczami w tarcze. Dźwięk, który temu towarzyszył, miał złamać naszego ducha, uznałem więc, że czas, bym zsiadł z konia i stanął w murze tarcz.

Mur tarcz.

Przeraża. Nie ma straszniejszego miejsca niż mur tarcz. W nim umieramy, w nim zwyciężamy i w nim zyskujemy sławę. Dotknąłem młota Thora i modląc się, by Edward rzeczywiście nadciągał, przygotowałem się do walki.

W murze tarcz.

Wiedziałem, że Duńczycy będą próbowali zejść nas od tyłu, na to jednak potrzebowali czasu. Musieli obejść mokradła albo znaleźć drogę przez bagna, a to zajmie im godzinę, jeśli nie dwie. Pchnąłem umyślnego z rozkazami, by odszukał Edwarda i wymógł na nim pośpiech, albowiem tylko jego oddziały mogły powstrzymać Duńczyków przed okrążeniem nas. Gdyby spróbowali nas osaczyć, chcieliby również zatrzymać mnie na miejscu, a to oznaczało, że mogę się spodziewać frontального ataku, który odwróci moją uwagę, podczas gdy część ich armii będzie szukała drogi, by uderzyć na nasze tyły.

A jeśli Edward nie nadjedzie?

Wówczas zginę w tym miejscu, w miejscu, w którym dopełni się wieszczba Aelfadell i w którym ktoś będzie się szczycił, że ubił Uhtreda z Bebbanburga.

Duńczycy nacierali powoli. Ludziom niespieszno do walki w murze tarcz. Niespieszno im, by umierać. Patrzysz przed siebie i widzisz nakładające się na siebie tarcze, hełmy, błysk toporów, włóczni i mieczy, i wiesz, że musisz wejść w zasięg ich ostrzy, tam, gdzie króluje śmierć. Trzeba czasu, by znaleźć w sobie odwagę, rozgrzać krew i pozwolić, by szaleństwo wzięło górę nad rozważą i ostrożnością. Dlatego ludzie piją przed bitwą. Moi nie

wzięli miodu ani ale, lecz Kentyjczycy mieli ich aż nadto. Widziałem też, jak skórzane bukłaki przechodzą w szeregach Duńczyków z rąk do rąk. Wciąż tłukli bronią w wierzbinowe tarcze, a światło dnia kładło długie cienie na oszronionej ziemi. Widziałem konnych jadących na wschód i wiedziałem, że szukają drogi, by zająć nas od flanki, jednak nie zaprzętałem sobie nimi głowy, miałem bowiem dość ludzi, by stawić im czoło. Musiałem zatrzymać tych z przodu do czasu, aż Edward przybędzie i rozprawi się z tymi, którzy gromadzili się na tyłach. Wzdłuż naszych oddziałów przechadzali się księża. Ludzie padali na kolana, ci zaś błogosławili ich i kładli im na językach grudki błota.

– To Dzień Świętej Łucji! – obwieścił wojownikom jeden z nich. – Ona oślepi naszych wrogów! Ochroni nas! Błogosławiona Święta Łucja! Módlcie się do niej!

Deszcz ustał, choć większą część zimowego nieba nadal zasnuwały chmury, pod którymi sztandary wroga mieniły się kolorami. Sigurdowy kruk w locie, strzaskany krzyż Kanuta, jelen Aethelwolda i dzik Beortsiga, czaszka Haestena i dziwaczna bestia Eohrica. W szeregach wroga byli też pomniejsi jarlowie, oni również mieli własne sztandary, a na nich wilki i topory, byki i jastrzębie. Ich ludzie obrzucali nas obelgami, tłukli drzewcami w tarcze i krok po kroku, powoli posuwali się naprzód. Walczących u ich boku Sasów i Anglów wschodnich zagrzewali do walki księża, podczas gdy Duńczycy przyzywali Thora albo Odyna. Moi ludzie milczeli, choć niektórzy z nich żartowali, by nie okazywać, jak bardzo są przerażeni. W pośpiechu opróżniali pęcherze, ich serca biły szybciej, mięśnie drżały. Tak wyglądał mur tarcz.

– Pamiętajcie! – krzyczał kentyjski ksiądz. – Święta Łucja była tak przepełniona Duchem Świętym, że dwudziestu mężczyzn nie zdołało jej ruszyć! Zaprzęgli do niej woły, lecz i te nic nie wskórały! Kiedy nadejdą

poganie, musicie być jak ona! Niezłomni! Przepelnieni Duchem Świętym!

Walczcie w imię Świętej Łucji!

Ludzie, których widziałem na wschodzie, zniknęli w porannej mgłę wznoszącej się znad bagien. Oddziały wroga były niezliczone, szły na nas hordą, zabójczą hordą. Byli niespełna sto kroków dalej, więc dostrzegłem konnych, którzy galopowali przed ustawionym ciasno murem tarcz, dodając im odwagi. Jeden z jeźdźców odwrócił się ku nam. Nosił lśniącą kolczugę i równie lśniący hełm, masywne ramiona przyozdobił licznymi bransoletami, a koń, którego dosiadał, był wspaniałym zwierzęciem, świeżo oporzędzonym, z uprzężą ociekającą srebrem.

– Umrzecie! – zawołał do nas.

– Jeśli chcesz pierdnąć – odkrzyknąłem – idź na stronę i ulżyj sobie!

– Wychędożymy wasze żony! – krzyczał tamten w anglosaskiej mowie. – I wasze córki!

Cieszyło mnie, że to mówił, albowiem jego słowa budziły w moich ludziach jeszcze większą żądzę mordy.

– Kim była twoja matka?! – zawołał jeden z Kentyjczyków. – Lochą?!

– Jeśli złożycie broń – zawołał jeździec – oszczędzimy was! – Obrócił konia i dopiero teraz go rozpoznałem. Zwał się Oscytel, był dowódcą Eohrica, budzącym grozę wojownikiem, którego poznałem na murach Londynu.

– Oscytelu! – krzyknąłem.

– Słyszę beczenie jagnięcia! – odkrzyknął.

– Zejdz z konia – ciągnąłem i postąpiłem krok do przodu – i walcz ze mną!

Oparł dłonie na łąku siodła i spojrzał na mnie, na zalany wodą rów i unoszącą się na powierzchni cienką warstwę lodu. Wiedziałem, że po to przybył – nie po to, by nas lżyć, lecz żeby przekonać się, z jakimi

przeszkodami przyjdzie się zmierzyć szarżującym Duńczykom. Jeszcze raz spojrział na mnie i wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie walczę ze starcami! – rzucił.

Zdumiało mnie to. Do tej pory nikt nigdy nie nazwał mnie starcem.

Pamiętam, że się roześmiałem, jednak śmiech ten podszyty był zdziwieniem. Kilka tygodni wcześniej rozmawiając z Aethelflaed, wyśmiałem ją, kiedy oglądała swoją twarz w srebrnym półmisku. Martwiła się, bo wokół oczu pojawiły jej się zmarszczki, i w odpowiedzi na moje kpiny cisnęła we mnie naczyniem. Kiedy się w nim przejrzałem, zobaczyłem, że brodę mam siwą. Pamiętam, że spoglądałem na swoje odbicie, podczas gdy ona śmiała się ze mnie. Nie czułem się stary, choć ranna noga potrafiła być zdradziecko sztywna. Czy tak właśnie widzieli mnie ludzie? Jako starca? A przecież liczyłem sobie czterdzieści pięć wiosen, więc tak, byłem już stary.

– Ten starzec rozpląta cię od kutasa aż po gardło! – zagroziłem Oscytelowi.

– Tego dnia Uhtred umrze! – ryknął do moich ludzi. – A wy zginiecie razem z nim! – Po tych słowach zawrócił konia i pognął w stronę duńskiego muru tarcz.

Dzieliło nas od niego już tylko osiemdziesiąt kroków. Widziałem twarze wrogów, ich wykrzywione w paskudnym grymasie usta. Widziałem jarla Sigurda dostojnego w swej kolczudze i ze skórą czarnego niedźwiedzia zarzuconą na plecy. Jego hełm wieńczyło krucze skrzydło, czarne jak noc w szarawym świetle poranka. Widziałem Kanuta, odzianego w białą pelerynę męża o szybkim mieczu i chudej, bladej twarzy, który na sztandarze miał połamany chrześcijański krzyż. Sigebriht stał obok Eohrica, który z kolei stał obok Aethelwolda. Razem z nimi byli najstraszliwsi, najsilniejsi wojownicy, ludzie, którzy czuwali nad bezpieczeństwem królów i jarłów. Mężowie dotykali krzyży lub młotów. Krzyczeli, nie słyszałem jednak ich słów,

albowiem miałem wrażenie, że w tamtej chwili świat pogrzył się w ciszy.

Patrzyłem na wrogów, starając się zgadnąć, który przyjdzie mnie zabić, i co zrobić, bym to ja zabił go pierwszy. Wiedziałem, że sztandar, który miałem za plecami, przyciągnie tych najbardziej ambitnych. Ci będą chcieli uczynić z mojej czaszki kielich i wykorzystają moje imię jako trofeum. Obserwowali mnie, tak jak ja obserwowałem ich, i choć patrzyli na ubłoconego męża, widzieli pana wojny w hełmie zwieńczonym wilczą kitą, ze złotymi bransoletami, w kolczudze najprzedniejszej roboty, obrębionym złotą nicią granatowym płaszczu i z mieczem, o którym mówiło się w całej Brytanii. Oddech Węża był słynny, ale wsunąłem go do pochwy, albowiem w ścisku muru tarcz długie ostrze na nic się nie przydaje. Zamiast niego dobytek Żądło Osy, krótkie i zabójcze. Ucałowałem je i wykrzychałem wyzwanie, które poderwał i poniósł zimowy wiatr.

– No dalej, zabijcie mnie! Chodźcie i spróbujcie mnie zabić!

No i przyszli.

Najpierw nadleciały włócznie ciskane przez ludzi w trzecim–czwartym szeregu, my zaś przyjęliśmy je na nasze tarcze. Ostrza zadudniły w wierzbinę, a Duńczycy natarli na nas z rykiem. Musieli wiedzieć o rowie z wodą, lecz wielu z nich utknęło w nim, gdy próbując go przeskoczyć, ślizgali się na błotnistym gruncie, gdzie dosięgały ich nasze topory o długich drzewcach.

Ćwicząc walkę w murze tarcz, zawsze ustawiam wojowników rąbiących toporami obok tych, którzy walczą mieczem. Zadaniem tych pierwszych jest zaczepić ostrzem o brzeg tarczy i ściągnąć ją w dół na tyle, by ostrze miecza dosięgło twarzy przeciwnika, ale teraz topory rozłupywały hełmy i czaszki, i nagle świat wokół mnie eksplodował zgiełkiem, wrzaskami i dźwiękiem czaszek pękających pod naporem ostrzy, a ludzie za pierwszym szeregiem Duńczyków przepawali się przez rów, dźgając nasze tarcze długimi

włóczyniami.

– Zewrzeć szyki! – ryknąłem. – Zazębić tarcze! Zazębić tarcze! Naprzód!

Nasze tarcze zachodziły na siebie. Ćwiczyliśmy to godzinami. Tworzyły mur, za którym ukrywaliśmy się, prac przed siebie na skraj rowu, gdzie stromość śliskiego brzegu ułatwiała zabijanie. Jeden z leżących na ziemi ludzi próbował dźgnąć mnie mieczem pod kolczugę, kopnąłem go jednak w twarz, a gdy mój wzmocniony płytkami żelaza but rozkwaślił mu nos i człowiek ów osunął się do rowu, pchnąłem Żądłem Osy. Znalazłem szczelinę między dwoma tarczami i chwilę później krótkie ostrze przebiło kolczugę i dosięgło ciała, ja zaś krzychałem, patrząc wrogowi prosto w oczy. Widziałem ostrze topora, które spadło na tarczę stojącego za mną Cerdica. Siła ciosu sprawiła, że jego tarcza opadła na mój hełm i przez moment byłem ogłuszony, wciąż jednak dźgałem na oślepie krótkim ostrzem. Stojący obok mnie Rollo zaczepił toporem o tarczę wroga i ściągnął ją w dół, a gdy odzyskałem jasność widzenia, dostrzegłem wąską lukę i wrażliem w nią Żądło Osy, zobaczyłem, jak czubek ostrza dosięga oka, i pchnąłem mocniej. Potężny cios spadł na moją tarczę, rozszczępiając wierzbiniową deskę.

Kanut próbował mnie dosięgnąć, ryczał na swoich ludzi, by zrobili mu miejsce, co było głupotą, znaczyło bowiem, że będą zmuszeni rozluźnić szyki. Jarla i jego wojowników opanował bitewny szał. Pragnęli przełamać naszą formację, ich tarcze nie zachodziły na siebie, a do tego utknęli w rowie. Widząc to, dwóch moich ludzi zaczęło dźgać włóczyniami nadciągających Duńczyków. Kanut potknął się o ciało jednego z nich i ześlizgnął się do rowu. Żeleźce topora Rypere'a spadły na jego hełm. Cios nie był mocny, wystarczył jednak, by go ogłuszyć, bo jarł się nie podnosił.

– Umierają! – krzyknąłem. – Wyrznicie psych synów, wszystkich, co do jednego!

Kanut nie był martwy, jego ludzie odciągnęli go na bok, a jego miejsce

zajął Sigurd Sigurdson, szczeniak, który poprzysiągł, że mnie zabije. Wodząc dookoła oszalałym wzrokiem z bitewnym okrzykiem na ustach, rzucił się na mnie, szukając oparcia dla stóp ślizgających się w błocie. Wyrzuciłem do przodu tarczę, a on uchwycił się jej niczym głupiec, jednocześnie próbując rozplatać mi brzuch ostrzem Ognistego Smoka, wówczas pospiesznie ją cofnąłem, a gdy ostrze odchyliło się, więznąc między mną a Rollem, zrobiłem błyskawiczny półobrót i ciąłem go Żądłem Osy w szyję. Sigurd zapomniał o moich naukach, zapomniał zasłonić się tarczą i krótkie ostrze rozplatało mu szyję i wyszło ustami, łamiąc zęby, przebijając język, miażdżąc drobne kości nosa i tak głęboko wchodząc w jego czaszkę, że na chwilę uniosłem go nad ziemię, a jego krew ściekała mi po ręce, wlewając się do rękawa kolczej koszuli. Zrzuciłem go z ostrza i zamachnąłem się w tył na Duńczyka, który uskoczył i upadł. Pozwoliłem go zabić komuś innemu, albowiem ujrzałem Oscytela, który krzyczał, że jestem starcem. Poczułem wówczas bitewną radość.

Tę radość. To szaleństwo. Bogowie muszą czuć się tak w każdym momencie, każdego dnia. Jest tak, jak gdyby świat spowalniał. Widzisz przeciwnika, wiesz, że coś krzyczy, ale go nie słyszysz, wiesz, co zaraz uczyni. Jego ruchy są powolne, podczas gdy ty jesteś tak bardzo szybki i wiesz, że nie popełnisz żadnego błędu, że będziesz żył wiecznie, a twoje imię zostanie wymalowane na niebiosach w chwale białego ognia, bo jesteś bogiem wojny.

Oscytel natarł na mnie ze swoim mieczem. Towarzyszył mu człowiek, który chciał ściągnąć moją tarczę w dół żelźcem topora, lecz w ostatniej chwili przyciągnąłem ją do siebie i topór rozminął się z malowanym drewnem. Oscytel, trzymając oburącz miecz, zamierzył się na moje gardło, ale sztych zaczepił o żelazny otok tarczy. Widząc to, pchnąłem do przodu, a gdy się zachwiał, Żądłem Osy zadałem zdradziecki cios z dołu, wkładając

weń całą starczą siłę. Poczułem, że ostrze zachrobotło o kość udową, rozerwało skórę i mięśnie i dosięgło pachwiny. Wtedy go usłyszałem. Wściekły ryk, który wypełniał niebo, podczas gdy utoczona krew spływała do wypełnionego lodowatą wodą rowu. Eohric zobaczył, że jego druh padł, i widok ten zatrzymał go na przeciwległym brzegu. Jego ludzie również się zatrzymali.

– Tarcze! – ryknąłem i moi wojowie zwarli szyki. – Jesteś tchórzem, Eohricu! – zawołałem. – Tłustym tchórzem, świnią zrodzoną w łajnie, najślabszym warchlakiem w miocie, słabeuszem! Chodź i zgiń, ty tłusty draniu!

Nie chciał tego, ale Duńczycy zwyciężali. Może nie w środku szeregu, gdzie powiewał mój sztandar, ale ci na naszej lewej flance przedarli się przez rów, ustawili mur tarcz i spychali w tył ludzi Wulfertha. Zostawiłem w rezerwie Finana i trzydziestu ludzi i wysłałem ich, by wzmocnili naszą flankę, zostali jednak zepchnięci przez zbyt liczne go wroga. Wiedziałem, że jeśli Duńczycy staną między naszym skrzydłem a bagnem na zachodzie, zamkną się wokół nas i wygubią ze szczętem. Oni również o tym wiedzieli i myśl ta dodawała im odwagi. Tymczasem kolejni wojownicy próbowali mnie zabić, wiedząc, że jeśli to zrobią, zdobędą rozgłos, a bardowie po wsze czasy będą śpiewać o nich pieśni. Napierający od tyłu Duńczycy zepchnęli Eohrica i jego ludzi do rowu, gdzie potykali się o ciała poległych, ślizgali w błocie, tratowali trupy swoich pobratymców, my zaś z bitewnym okrzykiem na ustach siekliśmy toporami, pchaliśmy włóczniami i cięliśmy mieczami. Moja sieczona ostrzami tarcza przedstawiała sobą żalosny widok.

Twarz miałem posiniaczoną, czułem krew spływającą po lewym uchu, wciąż jednak walczyliśmy i zabijaliśmy. Tymczasem Eohric, zgrzytając zębami, zamachnął się swoim potężnym mieczem na Cerdica, który walczył teraz po mojej lewej ręce.

– Zahacz go – warknąłem do Cerdica, na co ten zamachnął się toporem.

Gdy brodate żeleźce zaczepiło o kolczugę Eohrica, Cerdic pociągnął go ku sobie, ja zaś wrażliem mu w jego tłusty królewski kark. Żądło Osy i patrzyłem, jak krzycząc, pada nam do stóp. Jego ludzie próbowali go ocalić, a on sam podniósł na mnie rozpaczliwe spojrzenie i zacisnął zęby tak mocno, że się połamały. Tak oto zabiliśmy króla Eohrica z Anglii Wschodniej w rowie cuchnącym krwią i gównem. Zadźgaliśmy go, zaszlachtowaliśmy i zdeptaliśmy. Ryczeliśmy jak demony. Ludzie wzywali Jezusa, przyzywali swoje matki, wyli z bólu, a król Eohric zginął z ustami pełnymi połamanych zębów w rowie czerwonym od krwi. Anglowie wschodni próbowali odciągnąć jego ciało, ale Cerdic uczeplił się go, podczas gdy ja ciąłem go w szyję i ryknąłem na nich, że ich król nie żyje, że został zabity i że zwyciężamy.

Tyle że wcale nie zwyciężaliśmy. Walczyliśmy jak demony, tworząc historię, o której bardowie będą śpiewać przez nadchodzące lata. Lecz pieśń miała zakończyć się naszą śmiercią, albowiem lewa flanką poszła w rozsypkę. Nasi ludzie nadal walczyli, choć Duńczycy przedarli się przez ich szyki. Ci, którzy nadjechali, by zaskoczyć nas od tyłu, nie musieli tego robić, zostaliśmy bowiem osaczeni i musieliśmy uformować mur tarcz zwrócony w każdą stronę, mur, który będzie się kurczył, aż ostatni z nas polegną.

Zobaczyłem Aethelwolda. Jechał konno za Duńczykami, poganiając ich. Obok niego biegł chorąży, wymachując sztandarem, na którym widniał smok Wessexu. Aethelwold wiedział, że jeśli wygrają tę bitwę, zostanie królem, porzucił więc swój sztandar z białym jeleniem i zastąpił go chorągwią Alfreda. Nie przeprawił się przez rów i najwyraźniej nie miał zamiaru brać udziału w walce, zachęcał jednak Duńczyków, by nas wygubili.

Wkrótce zapomniałem o nim, bo nasza lewa flanką została zepchnięta do tyłu i byliśmy teraz niewielkim oddziałem Sasów osaczonych przez duńską

horde. Utworzyliśmy koło, otoczeni tarczami i trupami. Duńczycy utworzyli nowy mur tarcz, gotowi uratować rannych i cieszyć się zwycięstwem.

– Ubiłem tego drania, Beortsiga. – Finan stanął u mego boku.

– I dobrze. Mam nadzieję, że cierpiał.

– Kwiczał jak zarzynane prosię – odparł. Miecz miał skrwawiony, a uśmiechniętą twarz usmarowaną krwią. – Nie jest dobrze, co?

– Nie – przyznałem. Znowu zaczął siąpić deszcz. Staliśmy w kręgu nieopodal wschodniego bagna. – Możemy powiedzieć ludziom, żeby uciekli na bagna i dalej, na południe. Niektórzy zdołają zbiec.

– Tylko nieliczni – zauważył Finan. Widzieliśmy Duńczyków zaganiających kentyjskie konie. Odzierali trupy naszych z kolczug, zabierali ich broń i wszystko, co udało im się znaleźć. Pośrodku naszego kręgu klęczał ksiądz i się modlił. – Będą ścigać nas jak szczury na bagnach – orzekł Finan.

– A więc zostaniemy, by walczyć z nimi tutaj – odparłem, bo i nie mieliśmy wyboru.

Zraniliśmy ich. Eohric nie żył, podobnie jak Oscytel i Beortsig, Kanut był ranny, jednak Aethelwold, Sigurd i Haesten nadal dychali. Widziałem ich, jak dosiadając koni, ustawiają ludzi w szyku i przygotowują swe oddziały do rzezi.

– Sigurdzie! – ryknąłem, a on odwrócił się w moją stronę. – Ubiłem twego szczeniaka!

– Umrzesz powolną śmiercią! – odkrzyknął.

Chciałem sprowokować go do dzikiej szarży i zabić na oczach jego ludzi.

– Konając, kwilił jak dziecko! – wrzasnąłem. – Piszczął jak tchórz, którym był! Jak szczenię!

Sigurd, z warkoczami oplatającymi mu szyję, splunął w moją stronę. Nienawidził mnie i chciał mnie zabić, ale we właściwym czasie i na własnych warunkach.

– Zewrzyjcie tarcze! – krzyknąłem do swoich ludzi. – Trzymajcie je ciasno, by nie zdołali nas złamać! Pokażcie naszym synom, jak walczą Sasi!

Było oczywiste, że Duńczycy mogą złamać nasze szeregi, lecz ludziom, którzy lada chwila zginą, nie trzeba tego przypominać – wiedzą o tym aż nadto dobrze. Niektórzy trzęśli się ze strachu, lecz nawet oni pozostali w szeregu.

– Walcz u mego boku – rzekłem Finanowi.

– Zginiemy razem, panie – odparł.

– Z mieczem w ręku.

Rypere nie żył. Nie widziałem, jak zginął, ale dojrzałem Duńczyka, który zdejmował kolczugę z jego chudego ciała.

– Był dobrym człowiekiem – orzekłem.

Znalazł nas Osferth. Zwykle był czysty i nienagannie odziany, jednak teraz kolczugę miał potarganą, płaszcz w strzępach, a wzrok oszalały. Otok jego hełmu był wgnieciony, choć on sam nie wydawał się ranny.

– Pozwól mi walczyć razem z tobą, panie – zwrócił się do mnie.

– Zawsze – odparłem.

Jego krzyż stał pośrodku naszego kręgu, a klęczący przed nim klecha wzywał boga i Świętą Łucję, by uczynili cud, błagał, byśmy zwyciężyli i przeżyli. Pozwoliłem mu na to, albowiem mówił to, co ludzie chcieli usłyszeć.

Jarl Sigurd stanął w duńskim murze tarcz naprzeciw mnie. Dzierżył w dłoni ciężki topór wojenny z szerokim ostrzem, a po obu stronach miał włóczników. To oni mieli mnie trzymać, kiedy on zarąbie mnie toporem. Ścisnąłem nową tarczę zdobioną skrzyżowanymi mieczami ealdormana Sigelfa.

– Ktoś widział Sigebrihta? – spytałem.

– Nie żyje – odparł Osferth.

– Jesteś pewien?

– Sam go zabiłem, panie.

Roześmiałem się. Zabiliśmy tak wielu wrogich wodzów, a jednak Sigurd i Aethelwold nadal żyli i mieli dość sił, by zmiażdżyć nas, pokonać armię Edwarda i posadzić Aethelwolda na tronie Alfreda.

– Pamiętasz, co mówił Beornnoth? – spytałem Finana.

– A powinienem, panie?

– Chciał wiedzieć, jak zakończy się opowieść – odparłem. – Ja też chciałbym to wiedzieć.

– Nasza opowieść kończy się w tym miejscu – rzekł Finan i rękojeścią miecza uczynił znak krzyża.

Niedługo potem Duńczycy natarli kolejny raz.

Nadchodzili powoli. Ludziom niespieszno do śmierci w chwili zwycięstwa. Chcą cieszyć się triumfem, dzielić między siebie łupy, tak więc zwarłszy tarcze, posuwali się miarowo. Ktoś w naszych szeregach począł śpiewać. Była to chrześcijańska pieśń, może psalm, i większość moich ludzi zawtórowała, przez co pomyślałem o swoim najstarszym synu i o tym, jakim fatalnym byłem ojcem. Zastanawiałem się, czy będzie dumny z mojej śmierci. Duńczycy tłukli ostrzami i drzewcami włóczni w tarcze. Większość tych tarcz była połamana i porozłupywana żeleźcami toporów. Ludzie ociekali krwią swoich wrogów.

Bitwa o poranku. Byłem zmęczony i patrząc w niebo na ciężkie deszczowe chmury, pomyślałem, że to kiepskie miejsce na śmierć. Nie my jednak decydujemy o tym, jak i gdzie umrzemy. Decydują o tym Norny siedzące wśród korzeni Yggdrasilu. Wyobraziłem sobie jedną z trzech prządek, jak unosi nożyce nad nicią mojego życia. Była gotowa ją przeciąć i w tej chwili liczyło się tylko to, abym zginął z mieczem w dłoni, tak by jedna

ze skrzydlatych kobiet poniosła mnie do biesiadnych izb Walhalli. Patrzyłem na Duńczyków, którzy krzyczeli coś do nas, ale ich nie słyszałem. Nie dlatego, że odległość między nami była zbyt wielka, ale dlatego, że świat wokół mnie znowu pogrążył się w osobliwej ciszy. Spomiędzy mgieł wyfrunęła czapla. Słyszałem ciężki łopot jej skrzydeł, lecz nie słyszałem obelg, którymi obrzucali nas wrogowie. Wbij pięty w ziemię, zazęb tarczę o tarczę sąsiada, obserwuj ostrze wroga i bądź gotów do kontrataku. Dopiero teraz poczułem ból w lewym biodrze. Czyżbym był ranny? Bałem się spojrzeć, bo Duńczycy byli już blisko i musiałem baczyć na ostrza dwóch włócznie, wiedząc, że uderzą w prawą stronę mojej tarczy, by odchylić ją i pozwolić Sigurdowi uderzyć z lewej. Spojrzałem mu w oczy i przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Potem nadleciały włócznie.

Z tylnych duńskich szeregów wystrzeliły ku nam dziesiątki ciężkich włócznie, które zatoczyły łuk nad ich głowami i z łoskotem wbiły się w nasze tarcze. Gdy tak się dzieje, ludzie w pierwszych szeregach muszą przykucnąć, by skryć się za tarczami, a widząc to, Duńczycy rzucili się do ataku.

– Wstawać! – krzyknąłem i dźwignąłem tarczę ciężką od tkwiących w niej dwóch włócznie.

Moi ludzie ryczeli wściekle. Duńczycy nacierali na nas, wydając przeraźliwe okrzyki wojenne i rąbiąc toporami, my zaś próbowaliśmy zepchnąć ich do tyłu. Trwała między nami przepychanka, lecz nasz mur tarcz liczył ledwie trzy szeregi, a Duńczyków co najmniej sześć, i to oni spychali nas w tył. Dźgnąłem na oślepa Żądłem Osy, jednak ostrze zatrzymało się na tarczy. Sigurd, rycząc i przeklinając, próbował dobrać mi się do skóry, tymczasem napór ludzi oddalił go ode mnie. Duńczyk z rozdziawioną gębą i brodą mokrą od krwi, próbował zaczepić żelźcem topora o tarczę Finana, ja zaś chciałem zadać mu cios z góry i ugodzić go w twarz, ale inne ostrze zatrzymało mój atak. Spychano nas w tył, a nasi wrogowie byli tak blisko, że

czuliśmy ich oddechy cuchnące ale. Niedługo potem nadeszła kolejna szarża.

Nadjechali z lewej flanki od południa. Konni galopujący rzymskim traktem pod smoczym sztandarem, dzierżący w dłoniach uniesione włócznie. Konni, którzy wyłonili się z mgły i z bojowym okrzykiem wdarli się między tylne szeregi wroga.

– Za Wessex! – krzyczeli. – Za Edwarda i Wessex!

Duńczycy zatrzymali się, siła ataku wstrząsnęła ich oddziałami. Jeźdźcy w drugim szeregu mieli miecze, którymi cięli wrogów, a gdy ci zobaczyli w świetle poranka kolejnych jezdnych w lśniących kolczugach i nowe proporce z krzyżami, wizerunkami świętych i smokami, rozpierzchli się, szukając schronienia po drugiej stronie rowu.

– Naprzód! – zawołałem, czując, że napór Duńczyków topnieje, i krzyknąłem na swoich ludzi, żeby wpadli między nich i wyróżnili drani.

Ruszyliśmy do ataku, wrzeszcząc niczym gromada potępieńców. Sigurd zniknął, chroniony przez swoich ludzi. Zamierzyłem się Żądłem Osy na Duńczyka z zakrwawioną brodą, jednak nie zdołałem go dosięgnąć, albowiem napierający ludzie pchnęli go w prawo. Duńskie szyki z przodu szły w rozsypkę, konni cięli mieczami i pchali włócznie, był pośród nich Steapa, wielki i wściekły, szczyrzył zęby i wywijał mieczem jak tasakiem rzeźnickim, a jego rumak wierzgał i gryzł, przewracając i tratując wrogów.

Zgadywałem, że oddział Steapy jest niewielki, liczył nie więcej niż cztery– pięć setek ludzi, przeraził jednak Duńczyków, kiedy zaatakował ich tyły, i było kwestią czasu, zanim odzyskają dawny rezon i rzucą się do powtórnego ataku.

– Cofnijcie się! – ryknął na mnie Steapa, wskazując skrwawionym mieczem na południe. – Wracajcie!

– Zbierzcie rannych! – krzyknąłem na swoich ludzi.

Wciąż nadciągali kolejni jeźdźcy. Ich hełmy lśniły w szarawym świetle

poranka, a ostrza niczym srebrna śmierć opadały na uciekających Duńczyków. Nasi ludzie nieśli rannych na południe, z dala od pola bitwy, a przed nami leżały ciała martwych i konających. Wojownicy Steapy przegrupowywali się, wszyscy prócz jednego. Ten wbił pięty w boki konia i puścił się galopem przez nasze szeregi na czołe. Widziałem, jak pochyła się nad czarną grzywą, rozpoznałem go i zostawiłem Żądło Osy, by podnieść porzuconą włócznię. Była ciężka, lecz cisnąłem nią z całej siły, tak że przeleciała między końskimi nogami i zwierzę padło na ziemię. Jeździec wrzasnął przerażony i runął na mokrą trawę, podczas gdy jego rumak młócił powietrze kopytami, próbując się podnieść. Noga konnego uwięzła w strzemieniu. Sięgnąłem po Oddech Węża, podbiegłem do zbiega i kopnięciem uwolniłem jego nogę ze strzemienia.

– Edward jest królem – zwróciłem się do niego.

– Pomóż mi! – Jeden z moich ludzi chwycił konia za uzdę. Jeździec próbował się podźwignąć, lecz kopniakiem posłałem go na ziemię. – Pomóż mi, Uhtredzie – wyrzęził.

– Pomagałem ci całe życie – odparłem. – Całe twoje marne życie, a teraz Edward jest królem.

– Nie! – jęknął. – Nie!

Nie odmawiał korony swemu kuzynowi, lecz przeraził go widok mego miecza. Opuszczając ostrze, drżałem z wściekłości. Wbiłem je w jego pierś, sztych bez trudu przedarł się przez kolczugę, mostek i żebra i dosięgnął jego podłego serca, które pękło pod naporem stali. Krzyczał, podczas gdy ja dalej napierałem na ostrze, w końcu ów krzyk przeszedł w przeciągły jęk, a ja z ręką na głowicy miecza patrzyłem, jak życie wycieka z niego i wsiąka w ziemię Anglii Wschodniej. A zatem Aethelwold nie żył, a Finan, który odnalazł porzucone Żądło Osy, szarpnął mnie za rękę.

– Chodź, panie, chodź! – ponaglił.

Duńczycy znowu podnieśli wrzask, my zaś biegliśmy chronieni przez konnych. Widziałem sylwetki jeźdźców wypadające z oparów mgły i wiedziałem, że oto nadciągnęła armia Edwarda, jednak ani on, ani pozbawieni przywódcy Duńczycy nie byli skorzy do walki. Chroniący się za wypełnionym wodą rowem wrogowie stali w murze tarcz, lecz nie zamierzali ruszać na Londyn.

Udaliśmy się tam zamiast nich.

Na bożonarodzeniową ucztę Edward przywdział koronę swego ojca. Szmaragdy błyszcząły w blasku ognia płonącego w wielkiej rzymskiej sali dworu na szczycie wzgórza Londynu. Miecz albo topór rozplątał mi udo, choć w tamtej chwili nie byłem tego świadom. Kowal naprawił moją kolczugę, a i sama rana goiła się pomyślnie.

Pamiętałem lęk, krew i wrzaski.

– Myliłem się – powiedział mi Edward.

– To prawda, królu – odparłem.

– Powinniśmy byli zaatakować ich pod Cracgelad – rzekł i spojrzał w głąb izby, w której ucztowali jego lordowie i tanowie. W tamtej chwili przypominał ojca, choć rysy twarzy miał bardziej wyraziste. – Księża mówili, że nie można ci ufać.

– Może i nie można – rzuciłem.

Słyszając to, uśmiechnął się.

– Mówią też, że opatrzność boża przesądziła o losach wojny i że czekając, zabiliśmy wszystkich naszych wrogów.

– Prawie wszystkich – poprawiłem go. – A król nie może czekać na bożą opatrzność. Musi podejmować decyzje.

Dobrze zniósł tę uwagę.

– *Mea culpa* – wyszeptał. Zaraz potem dodał nieco głośniejszym głosem: – A jednak Bóg był po naszej stronie.

– To rów był po naszej stronie, panie – odparłem. – A twoja siostra wygrała tę wojnę.

To Aethelflaed spowolniła Duńczyków. Gdyby nocą przeprawili się przez rzekę, prędzej byliby gotowi do ataku, a wówczas rozbiliby nas na długo przed tym, zanim konnica Steapy przybyła nam na ratunek. Tymczasem większość Duńczyków została w Huntandon, ktoś bowiem zagrażał ich tyłom. Świadczyły o tym płonące dwory. Aethelflaed, która z rozkazu brata miała się udać w bezpieczne miejsce, miast tego powiodła mercyjskie oddziały na północ i wznieciła pożary, które kazały Duńczykom myśleć, że na ich tyłach czai się jeszcze jedna armia.

– Spaliłam dwa dwory – rzekła. – I kościół.

Siedziała po mojej lewej ręce, Edward zaś po prawej, tymczasem ojciec Coenwulf i biskupi zajmowali miejsca na końcu stołu.

– Spaliłaś kościół? – spytał przerażony Edward.

– Był paskudny – odparła – ale wielki, więc łunę widać było z daleka.

Łunę widać było z daleka. Dotknąłem jej ręki, która spoczywała na stole. Niemal wszyscy nasi wrogowie zginęli, tylko Haesten, Kanut i Sigurd uszli z życiem. Wiedziałem jednak, że zabić jednego Duńczyka to jak wskrzesić tuzin innych. Ich statki wciąż będą przyplływały z morza, albowiem Duńczycy nie spoczną, dopóki szmaragdowa korona nie będzie ich albo dopóki nie rozprawimy się z nimi na dobre.

Teraz jednak przez chwilę byliśmy bezpieczni. Edward był królem, Londyn ostał się nasz, Wessex przetrwał, a Duńczycy zostali pokonani.

Wyrd bið ful āraed.

NOTA HISTORYCZNA

The Anglo-Saxon Chronicle [Kronika anglosaska] jest najbardziej wiarygodnym źródłem z okresu, gdy znaczna część Brytanii znajdowała się we władzy Anglów i Sasów – choć nie istnieje jedna kronika. Wielce prawdopodobne, że sam Alfred zainicjował stworzenie oryginalnego tekstu (który rok po roku opisuje wydarzenia, poczynając od narodzin Chrystusa) i że pierwszy manuskrypt został skopiowany i przekazany klasztorom, a te zobowiązały się odpisy aktualizować, przez co nie ma dwóch takich samych wersji. Wpisy bywają irytująco niejasne i nie zawsze są wiarygodne. I tak kronika odnotowuje, że w roku Pańskim 793 na niebie nad Northumbrią widziano ogniste smoki. Jest w niej mowa o bitwie w 902 roku – pod Holme, miejscu, którego położenia wciąż nie udało się ustalić, choć wiemy, że leży gdzieś w Anglii Wschodniej. Duńska armia dowodzona przez króla Eohrica i Aethelwolda, roszczonego sobie prawo do tronu Wessexu, najechała Mercję, przekroczyła Tamizę w Cracgelad (Cricklade), spustoszyła Wessex, a następnie się wycofała. Król Edward podążył za Duńczykami do Anglii Wschodniej i zemścił się, pustosząc ziemie Eohrica. Oto zapisany w kronice zwodniczy opis bitwy: „Kiedy on [Edward] zamierzał się wycofać, zapowiedział swoim ludziom, że opuszczą Anglię Wschodnią razem.

Kentyjczycy zlekceważyli ów rozkaz i pozostali na miejscu, mimo że siedmiokrotnie wzywał ich do powrotu. Tam zaskoczył ich wróg, oni zaś stawili mu czoło”. Wpis zawiera listę najbardziej znaczących ofiar, wśród których znaleźli się Aethelwold, król Eohric, ealdorman Sigelf, jego syn

Sigebriht i Beortsig. „Obie armie poniosły wielkie straty i choć te były dotkliwsze po stronie Duńczyków, to oni triumfowali na polu walki”. To sugeruje, że Duńczycy wygrali bitwę, lecz stracili większość przywódców. (Korzystam z przekładu Anne Savage, który ukazał się nakładem wydawnictwa Heinemann w 1983 roku).

Najbardziej niejasna w tym krótkim opisie jest zagadkowa odmowa wycofania się kentyjskich sił – przypuszczenie, że ealdorman Sigelf zamierzał zdradzić zachodniosaską armię, jest wyłącznie moim pomysłem.

Nie wiemy, gdzie rozegrała się bitwa ani jaki naprawdę był jej przebieg, wiemy tylko, że się odbyła i że Aethelwold, rywal Edwarda roszczący sobie prawo do tronu Wessexu, zginął. Według kroniki, która poświęca rebelii Aethelwolda sporo miejsca, doszło do niej w 900 roku (choć Alfred zmarł w 899 roku). „Alfred, syn Aethelwulfa, zmarł sześć nocy przed Dniem Wszystkich Świętych. Był królem wszystkich Anglów, z wyjątkiem tej części Brytanii, którą władali Duńczycy, i utrzymał królestwo przez niespełna dwadzieścia dziewięć lat. Po nim władzę objął jego syn. Aethelwold, syn brata jego ojca, władał majątkami ziemskimi w Wimbourne i Christchurch bez przyzwolenia króla i jego doradców. Król i jego armia rozbili obóz w Badbury Rings nieopodal Wimbourne, a Aethelwold i jego poplecznicy zajmowali dwór, zabarykadowani za jego bramami. Oświadczył on, że pozostanie tam, żywy lub martwy. Ostatecznie zbiegł pod osłoną nocy i szukał sojuszników w Northumbrii. Król nakazał swym ludziom ruszyć jego śladem, jednak ci nie zdołali go doścignąć. Pojmali kobietę, którą uwięził bez zgody króla i wbrew rozkazom biskupa, była bowiem otoczoną czią zakonnica”. Nie wiemy jednak, kim była owa kobieta, dlaczego Aethelwold ją porwał ani co się z nią stało. Wymyśliłem zatem, że była nią kuzynka Aethelwolda – Aethelflaed.

The Anglo-Saxon Chronicle podaje podstawowe fakty historyczne, jednak

niewiele szczegółów i wyjaśnień tego, co się wydarzyło. Kolejną zagadką jest los Ecgwynn, którą Edward prawdopodobnie poślubił. Wiemy, że dała mu dwoje dzieci i że jedno z nich, Aethelstan, odegrało istotną rolę w stworzeniu Anglii. Mimo to jej imię znika ze stronic kroniki, zostało zastąpione imieniem córki ealdormana Aethelhelma – Aelflaed. Ze znacznie późniejszych relacji można wnioskować, że małżeństwo Edwarda i Ecgwynn nie zostało uznane – tak naprawdę o historii tych dwojga wiadomo tylko tyle, że osierocony przez matkę Aethelstan z czasem został pierwszym królem Anglii.

Kronika głosi, że Alfred był „królem wszystkich Anglów”, jednak w zapiskach pojawia się wielce istotna uwaga: „z wyjątkiem tej części Brytanii, którą władali Duńczycy”. W istocie większość ziem, które później zyskały miano Anglii, znajdowała się pod rządem Duńczyków – cała Northumbria, cała Anglia Wschodnia i wysunięte najbardziej na północ hrabstwa Mercji. Alfred bez wątpienia pragnął zostać królem wszystkich Anglów i w chwili śmierci był najbardziej wybitnym i najpotężniejszym spośród saskich przywódców, ale jego marzenie, by zjednoczyć wszystkie ziemie, na których posługiwano się anglosaską mową, nie ziściło się. Miał jednak szczęście, ponieważ jego syn, córka i wnuk byli równie oddani tej idei i z czasem zdołali ją urzeczywistnić. Na tle tych właśnie wydarzeń rozgrywa się historia Uhtreda. Zawsze zdumiewa mnie to, że nas, Anglików, nie interesuje historia powstania naszego państwa. Czasami odnoszę wrażenie, że w szkołach naucza się, iż historia Brytanii ma początek w 1066 roku, a wszystko, co działo się do tego momentu, jest nieistotne. Tymczasem historia powstania Anglii to wielka, ekscytująca opowieść.

Ojcem Anglii jest Alfred. Mimo że nie doczekał zjednoczenia Angelcynnu, to on je umożliwił, zachowując zarówno saską kulturę, jak i język angielski. Przekształcił Wessex w twierdzę, która oparła się kolejnym

duńskim atakom i która po jego śmierci była dość silna, by rozszerzać swe wpływy na północ – tak długo, aż duńscy suwereni zostali pokonani i zasymilowani. Na tle tych dziejów rozgrywa się historia Uhtreda, którego uczyniłem swoim przodkiem, jednak opowieści o nim są wyłącznie wytworem mojej wyobraźni. Ród władał Bebbanburgiem (obecnie zamek Bamburgh w hrabstwie Northumberland) od najwcześniejszych lat anglosaskiej inwazji na Brytanię niemal do podboju normańskiego. Podczas gdy reszta północy trafiła pod rządy Duńczyków, Bebbanburg pozostał enklawą Angelcynnu pośród wikingów. Było to możliwe dzięki współpracy z wikingami, jak również dzięki wyjątkowemu położeniu i naturalnej sile rodowej fortecy. Odseparowałem Uhtreda od historii Bebbanburga po to, by mógł być bliżej wydarzeń decydujących o losach Anglii, które mają swój początek na saskim południu i powoli rozlewają się na północ rządzoną przez Anglów. Chciałem, by był blisko Alfreda – człowieka, którego nie lubi tak bardzo, jak bardzo go podziwia.

Alfred, rzecz jasna, jest jedynym brytyjskim monarchą, który zasługuje na przydomek Wielki. Ponieważ nie istnieje komisja przyznająca tak zaszczytne tytuły, został mu on nadany przez historyków, jednak tylko nieliczni odmówią Alfredowi do niego prawa. Był niebywale inteligentnym i dobrym człowiekiem.

Uhtred może być nieprzychylny chrześcijańskiemu społeczeństwu rządzonemu przez prawo, jednak alternatywą dla niego były duńskie rządy i pogłębiający się chaos. Alfred narzucił swym poddanym prawa, edukację i religię, ale chronił ich również przed budzącymi grozę wrogami. Jego dokonania nie były bez znaczenia, stworzył bowiem realne państwo. Justin Pollard w swojej wspaniałej biografii *Alfred the Great* [Alfred Wielki] (John Murray, Londyn 2005) podsumowuje osiągnięcia władcy w ten oto sposób: „Alfred pragnął królestwa, w którym mieszkańcy każdego miasta targowego

będą chcieli bronić swojego dobytku i swego króla, ich dobrobyt był bowiem dobrobytem całego narodu”. Stworzył państwo, które dawało swym obywatelom poczucie przynależności, ponieważ prawo było w nim sprawiedliwe, aspiracje nagradzane, a rząd daleki od tyranii. Nie jest to zła recepta.

Alfred został pochowany w starej katedrze w Winchesterze, jednak ciało przeniesiono później do nowej katedry i złożono w ołowianym grobowcu.

Wilhelm Zdobywca, chcąc odwieść swych poddanych od czczenia przeszłości, nakazał przenieść zamkniętą w ołowiu trumnę do opactwa Hyde nieopodal Winchesteru. Opactwo to, podobnie jak inne budynki kościelne, zostało zniszczone za rządów Henryka VIII, przekształcone w prywatny dom, a następnie w więzienie. Pod koniec XVIII wieku grobowiec Alfreda został odkryty przez więźniów, którzy zdarli ołowianą powłokę, a kości rozrzucili.

Justin Pollard przypuszcza, że szczątki największego z anglosaskich królów nadal znajdują się w Winchesterze, rozrzucone gdzieś w górnej warstwie gleby, między parkingiem a rzędem wiktoriańskich domów. Jego wysadzaną szmaragdami koronę spotkał równie smutny los. Przetrwała do XVII wieku, kiedy to – podobno – przekłęci purytanie, który rządzą Anglią po wojnie domowej, wydłubali kamienie i stopili złoto.

Winchester nadal jest miastem Alfreda. Wiele budowli w samym sercu starego miasta zostało rozplanowanych przez jego budowniczych. Kości członków jego rodziny spoczywają w kamiennych grobowcach w katedrze, która powstała w miejscu świątyni zbudowanej za jego rządów, a pomnik władcy stoi w centrum miasta. Przedstawia on człowieka krzepkiego i wojowniczego, mimo że tak naprawdę Alfred był wątłego zdrowia, a jego wielką miłością nie była wojaczka, tylko religia, nauka i prawo. Istotnie był Alfredem Wielkim, jednak w tej opowieści jego marzenie jeszcze się nie spełniło, zatem Uhtred kolejny raz będzie musiał dobyć miecza.

Spis treści

Karta tytułowa

Nazwy geograficzne

Drzewo genealogiczne królów wessexu

CZĘŚĆ PIERWSZA. Wiedźma

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

CZĘŚĆ DRUGA. Śmierć króla

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

CZĘŚĆ TRZECIA. Anioły

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

CZĘŚĆ CZWARTA. Śmierć zimą

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Nota historyczna

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *Death of Kings*

Copyright © Bernard Cornwell 2011

Copyright for this edition: © Wydawnictwo Otwarte 2019

Copyright © for the translation by Anna Dobrzańska

Opracowanie tłumaczenia: Emilia Rydzewska

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog, Monika Rossiter

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Adiustacja i korekta: d2d.pl

Projekt okładki i wyklejek: Eliza Luty

ISBN 978-83-8135-816-3



OTWARTE

www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek



BERNARD
Cornwell

WOJNY
WIKINGÓW
TOM VI



ŚMIERĆ
KRÓLÓW

